

---

**Larry Niven**

# **Pierścień**

przekład: Arkadiusz Nakoniecznik

# 1. Louis Wu

**W** sercu pogrążonego w ciemnościach Bejrutu, w jednej z szeregu kabin transferowych zmaterializował się Louis Wu.

Jego trzydziestocentymetrowej długości warkoczek błyszczał nieskazitelną bielą sztucznego śniegu, skóra i wygolona czaszka były żółte, źrenice zaś złote. Ubrany był w błękitną szatę z wyszytym złotym, trójwymiarowym smokiem. W chwili, kiedy się zmaterializował, miał na twarzy szeroki uśmiech, ukazujący perłowe, wspaniałe, doskonale standardowe uzębienie. Uśmiechał się i machał ręką. Uśmiech jednak właśnie zniknął i gdy po chwili już go nie było twarz Louisa Wu przybrała wygląd gumowej, obwisłej maski. Louis Wu miał swoje lata.

Przez jakiś czas obserwował mrowiące się wokół niego życie Bejrutu, ludzi zjawiających się w kabinach nie wiadomo z jak daleka, tłumy pieszych, wędrujących po wyłączonych na noc chodnikach.

Zegary zaczęły wybijać jedenastą w nocy. Louis Wu wyprostował się i wyszedł w czekający na niego świat.

W Reshcie, gdzie trwało w najlepsze wydane przez niego przyjęcie, był już ranek następnego dnia po jego urodzinach. Tutaj, w Bejrucie było o godzinę wcześniej. W restauracji pod gołym niebem postawił wszystkim kilka kolejek raki i wziął udział w chóralnym śpiewaniu pieśni po arabsku i w interworldzie. Przed północą przeniósł się do Budapesztu.

Ciekawe, czy już zauważyli, że wyszedł z własnego przyjęcia? Będą pewnie przypuszczać, że zniknął gdzieś z jakąś kobietą i pojawi się za kilka godzin. Ale Louis Wu wyszedł sam, uciekając przed ścigającą go północą, przed nadchodzącym nowym dniem. Dwadzieścia cztery godziny to było stanowczo za mało, by uczcić dwusetne urodziny.

Dadzą sobie radę bez niego. Przyjaciele Louisa potrafili się o siebie zatroszczyć. Pod tym względem jego zasady były niewzruszone.

W Budapeszcie czekało na niego wino, tańce, miejscowi, traktujący go jak zamożnego turystę i turyści, uważający go za bogatego tuziemca. Tańczył, pił wino i zniknął przed północą.

W Monachium poszedł na spacer.

Powietrze było ciepłe i czyste; dzięki niemu przejaśniło mu się nieco w głowie. Szedł jasno oświetlonymi, ruchomymi chodnikami, dodając tempo

swego marszu do ich dziesięciomilowej prędkości. Przemknęła mu niespodziewana myśl, że w każdym mieście na Ziemi znajdują się ruchome chodniki i że wszystkie poruszają się z prędkością dziesięciu mil na godzinę.

Ta myśl była nie do zniesienia; nie nowa, po prostu nie do zniesienia. Jakże podobny był Bejrut do Monachium, do Reshtu... i do San Francisco... i do Topeki, do Londynu, Amsterdamu... W sklepach, wzdłuż których przesuwali się chodniki, można było wszędzie dostać dokładnie to samo. Wszyscy ludzie, których mijał, wyglądali dokładnie tak samo i tak samo się ubierali. Nie Amerykanie, nie Niemcy, nie Egipcjanie - po prostu ludzie.

Ta unifikacja niewyczerpalnej, zdawałoby się, różnorodności, była zasługą działających od trzech i pół stuleci kabin transferowych, pokrywających świat gęstą siecią natychmiastowych połączeń. Różnica między Moskwą a Sydney sprowadzała się do ułamka sekundy i dziesięciostartowej monety. Przez te stulecia miasta wymieszały się ze sobą, aż wreszcie ich nazwy pozostały jedynie relikdami zamierzchłej przeszłości.

San Francisco i San Diego stanowiły północny i południowy kraniec olbrzymiego, rozciągającego się wzdłuż wybrzeża miasta. Ilu jednak ludzi wiedziało, gdzie które z nich w rzeczywistości się znajdowało? Obecnie już prawie nikt.

Jak na dwusetne urodziny, były to myśli dosyć pesymistyczne.

Ale stapianie i mieszanie się miast było czymś jak najbardziej realnym. Działo się to na oczach Louisa. Wszystkie miejscowe, czasowe i zwyczajowe nieracjonalności stapiały się w jedną, wielką, przypominającą mdłą, szarą pastę racjonalność Miasta. Czy ktoś dzisiaj mówi deutsch, english, francais, español?

Każdy używa interworldu. Moda zmieniała się od razu na całym świecie w jednym, konwulsyjnym, monstrialnym spazmie.

Czyżby nadszedł czas na kolejne Oderwanie? Samotnie w małym statku, w nieznanym, ze skórą, oczami i włosami w ich naturalnej barwie, z brodą rosnącą jak i ile jej się podoba...

- Głupoty - powiedział do samego siebie Louis Wu. - Przecież dopiero co wróciłem.

Dwadzieścia lat temu.

Zbliżała się północ. Louis Wu znalazł wolną kabinę, włożył w szczelinę czytnika swoją kartę kredytową i wybrał kod Sewilli.

Zmaterializował się w oświetlonym słonecznymi promieniami pokoju.

- Co jest? - zdumiał się, mrużąc przywykłe do ciemności oczy. Coś musiało nawalić w kabinie. W Sewilli absolutnie nie powinno być o tej porze słońca. Louis Wu uniósł już rękę, by spróbować jeszcze raz, kiedy rozejrzał się od niechcienia dookoła i zamarł w bezruchu.

Znajdował się w doskonale anonimowym, hotelowym pokoju. Była to sceneria wystarczająco prozaiczna, by uczynić widok znajdującej się w nim istoty podwójnie szokującym.

Ze środka pokoju patrzyło na Louisa coś, co nie tylko nie było człowiekiem, ale nawet niczym choćby trochę humanoidalnym. Stało na trzech nogach i przypatrywało się Louisowi oczami umieszczonymi na dwóch płaskich głowach, chwiejących się na smukłych, giętkich szyjach. Skóra stworzenia była biała i sprawiała wrażenie niezwykle delikatnej; jedynie między szyjami, wzdłuż kręgosłupa i na biodrze tylnej nogi pyszniła się gęsta, długa grzywa. Dwie przednie nogi były szeroko rozstawione, tak, że małe, szponiaste podkówki wyznaczały wierzchołki niemal doskonale równobocznego trójkąta.

Louis domyślił się, że stworzenie jest jakimś zwierzęciem z obcej planety. W tych płaskich główkach nie znalazłoby się dość miejsca na odpowiedniej wielkości mózg. Jego uwagę przykuła jednak chroniona gęstą grzywą wypukłość między szyjami... i nagle powróciło zagrzebane pod stuosięmdziesięcioletnim osadem wspomnienie.

To był lalecznik, lalecznik Piersona. Jego czaszka i mózg znajdowały się właśnie pod tym garbem. W żadnym wypadku nie było to zwierze - inteligencją przynajmniej dorównywał człowiekowi. Jego głęboko osadzone oczy, po jednym w każdej głowie, wpatrywały się nieruchomo w Louisa Wu.

Louis spróbował otworzyć drzwi kabiny. Zamknięte.

Był zamknięty w kabinie, nie poza nią. Mógł każdej chwili wybrać jakiś kod i zniknąć, ale taka myśl nawet nie przeszła mu przez głowę. Nie codziennie spotyka się lalecznika. Znikły ze zbadanego kosmosu na długo przed urodzeniem Louisa.

- Czym mogę służyć? - zapytał Louis.

- Owszem, możesz - odpowiedział obcy... ..głosem jakby wziętym prosto z najrozkoszniejszego snu nastolatka. Kobieta obdarzona takim głosem musiałaby być na raz Kleopatram, Heleną, Marilyn Monroe i Lorelei Huntz.

- Nieżas!

Przekleństwo było bardziej niż na miejscu. Nie ma żadnej sprawiedliwości! Żeby takim głosem mówiła dwugłowa istota o bliżej niesprecyzowanej płci!

- Nie obawiaj się - powiedział lalecznik. - Wiedz; że możesz uciec, jeśli zajdzie potrzeba.

- W szkole pokazywali zdjęcia takich jak ty. Znikneliście na bardzo długo... a w każdym razie tak nam się zdawało.

- Gdy mój gatunek opuścił poznany kosmos, nie było mnie z nimi - odparł obcy. - Pozostałem w poznanym kosmosie, bowiem mój gatunek tutaj mnie potrzebował.

- A gdzie się chowałeś? I gdzie, u diabła, w ogóle jesteście?

- To cię troskać nie powinno. Czy ty jesteś Louis Wu MMGREWPLH?

- Znasz mój kod? Śledziłeś mnie?

Tak. Potrafimy kontrolować sieć kabin transferowych tego świata.

Louis uświadomił sobie, że było to jak najbardziej możliwe. Potrzebna była fortuna na łapówki, ale to najmniejszy problem. Tylko...

- Dlaczego?

- Potrzebne jest długie wyjaśnienie...

- Nie wypuścisz mnie stąd?

Lalecznik zastanowił się przez chwilę.

- Przypuszczam, że będę musiał. Ale najpierw dowiedz się, że nie jestem bezbronny. Potrafię cię powstrzymać, gdybyś mnie zaatakował.

Louis Wu prychnął z niesmakiem.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Lalecznik nie odpowiedział.

- Ach, dopiero teraz sobie przypomniałem. Jesteście tchórzami. Cały wasz system etyczny jest oparty na tchórzostwie.

-Niedokładna chociaż jest, ta ocena niech pozostanie.

- W sumie, mogło być gorzej - mruknął Louis. Każda inteligentna rasa miała jakieś dziwactwa. I tak łatwiej byłoby dogadać się z lalecznikiem niż z genetycznie paranoidalnym trinokiem, kzinti o niepohamowanych,

morderczych odruchach, czy z nieruchawym Grogsem o... no, w najmniej szokującym substytucie narządów chwytnych.

Widok stojącego przed nim lalecznika wyzwolił w umyśle Louisa całą lawinę zakurzonych, beładnych wspomnień. Z naukowymi danymi na temat laleczników, ich handlowego imperium, kontaktów z ludźmi, a wreszcie niespodziewanego zniknięcia w mieszane były wspomnienia smaku pierwszego w życiu prawdziwego papierosa, stukania niewprawnymi palcami w klawiaturę maszyny do pisania, listy słówek inerworldu, którą trzeba było wyryć na pamięć, brzmienie i smak angielskiego, niepewności i rozczarowania młodości. Uczył się o lalecznikach na lekcji historii, a potem zapomniał o nich na całe sto osiemdziesiąt lat. Nieprawdopodobne, ile ludzki mózg może pomieścić!

- Zostanę tutaj, jeśli wolisz - powiedział.

- Nie. Musimy się spotkać.

Pod gładką skórą lalecznika drgały nerwowo mięśnie. Drzwi otworzyły się i Louis Wu wszedł do pokoju.

Lalecznik cofnął się kilka kroków wstecz.

Louis usiadł w fotelu, mając na uwadze raczej komfort psychiczny lalecznika niż własną wygodę. Siedząc będzie wyglądał bardziej nieszkodliwie. Fotel był taki sam, jak wszędzie - dopasowujący się do sylwetki, z masażem, przeznaczony wyłącznie dla ludzi. W powietrzu czuć było raczej przyjemny, delikatny zapach - coś pośredniego między apteką a straganem z przyprawami.

Obcy przysiadł na podwiniętej tylnej nodze.

- Dziwisz się, czemu sprowadziłem cię tutaj. Potrzebne jest dłuższe wyjaśnienie. Co wiesz o moim gatunku?

- Sporo lat minęło od szkoły. Mieliście kiedyś prawdziwe imperium handlowe, prawda? To, co my nazywamy "poznany kosmosem", stanowiło tylko niewielką jego część. Wiemy, że handlowaliście z trinokami, a z nimi zetknęliśmy się dopiero dwadzieścia lat temu.

- Tak, do czynienia z nimi mieliśmy. Głównie za pośrednictwem robotów, jak sobie przypominam.

- Mieliście imperium trwające nieprzerwanie co najmniej kilka tysięcy lat i rozciągające się na co najmniej setki lat świetlnych. A potem zniknęliście, zostawiając wszystko za sobą. Dlaczego?

- Czyżby zostało już to zapomniane? Uciekaliśmy przed eksplozją jądra galaktyki!

- Tak, wiem o tym. - Louis przypomniał sobie nawet mętnie, że łańcuchowa reakcja Novych została odkryta właśnie przez nich. - Ale dlaczego teraz? Słońca jądra zamieniły się w Nove dziesięć tysięcy temu. Ich światło nie dotrze tutaj prędzej niż za dwadzieścia tysięcy lat.

- Ludzie nie powinni mieć tyle swobody - odparł lalecznik. - Z pewnością zrobicie sobie krzywdę. Nie dostrzegacie niebezpieczeństwa? Ze światłem pędzące promieniowanie w pustynię zamieni tę część galaktyki!

- Dwadzieścia tysięcy lat to masa czasu.

- Zagłada za dwadzieścia tysięcy lat mimo wszystko zagładą pozostaje. Mój gatunek uciekł w kierunku Obłoków Magellana. Cześć z nas pozostała, na wypadek, gdyby migracji laleczników miało zagrozić jakieś niebezpieczeństwo. Teraz tak się stało.

- O! A jakie to niebezpieczeństwo?

- Teraz jeszcze na to pytanie odpowiedzieć nie mogę. Ale spojrzysz na to - powiedział lalecznik, sięgając po leżący na stole przedmiot.

I Louis, który cały czas zastanawiał się, gdzie też lalecznik ma ręce, zobaczył, że rękoma lalecznika były jego usta.

I to całkiem dobrymi rękoma, pomyślał, gdy lalecznik podał mu ów przedmiot, który okazał się hologramem. Duże, jakby gumowe wargi lalecznika sięgały na kilka cali przed zęby. Były suche jak ludzkie palce i otoczone małymi wyrostkami. Za spiłowanymi, płaskimi zębami roślinożercy Louis dostrzegł poruszenie ruchliwego języka.

Spojrzał na hologram.

Z początku w ogóle nie mógł poznać, co to jest ale wpatrywał się cierpliwie, czekając, aż obraz ułoży mu się w sensowną całość. Mały, intensywnie biały dysk, na przykład słońce typu G0, K9 albo K8, z częścią tarczy odkrojoną czarnym, równym cięciem. Ale to nie mogło być słońce. Skryty częściowo za nim, odcinając się wyraźnie od czarnego tła, widniał pasek niezwykle czystego błękitu. Pasek był doskonale równy, o ostrych krawędziach, ze stałego materiału, najwyraźniej sztuczny i szerszy od białego krążka.

- Wygląda jak gwiazda otoczona obręczą - powiedział Louis. - Co to właściwie jest?

- Możesz to zatrzymać, jeśli chcesz. Teraz mogę ci zdradzić przyczynę, dla której sprowadziłem cię tutaj. Proponuje utworzyć zespół badawczy złożony z czterech członków, mnie i ciebie w to wliczając.

- I co mielibyśmy badać?

- Tego powiedzieć ci na razie nie mogę.

- Nie żartuj. Musiałbym być nienormalny, żeby decydować się na coś, o czym nic nie wiem.

- Wszystkiego najlepszego z okazji dwusetnych urodzin - powiedział lalecznik.

- Dziękuję - odparł, nieco zdziwiony, Louis.

- Dlaczego wyszedłeś ze swego przyjęcia urodzinowego?

- To nie twój interes.

- Mój. Wybacz mi, Louisie Wu. Dlaczego wyszedłeś ze swego przyjęcia urodzinowego?

- Po prostu pomyślałem sobie, że dwadzieścia cztery godziny to trochę za mało, by godnie uczcić dwusetne urodziny. Wiec przedłużyłem sobie ten dzień, uciekając przed północą. Jako obcy nie jesteś w stanie zrozumieć...

- Upojony byłeś radością tego dnia?

- Nie, niezupełnie. Chyba nie...

Nawet na pewna nie. Chociaż samo przyjęcie wyglądało na bardzo udane.

Zaczął się minutę po północy. Czemu nie. Jego przyjaciele byli rozrzuconi po wszystkich strefach czasowych. Nie istniał żaden powód, dla którego miałyby stracić choćby jedną, jedyną minutę. Po całym domu były porostawiane minispalnie dla ucięcia krótkich, ale głębokich drzemek. Na tych, którym szkoda było czasu na sen, czekały środki pobudzające, niektóre o interesującym działaniu ubocznym, inne bez.

Na przyjęcie przybyli goście, których Louis nie, widział co najmniej sto lat, a także i ci, których spotykał codziennie. Cześć z nich dawno, dawno temu była jego śmiertelnymi wrogami. Były także kobiety, których za nic nie mógł sobie przypomnieć. Sam się dziwił, ile razy przez te lata zdążył mu się zmienić gust.



Jak było do przewidzenia, samo przedstawianie gości zajęło w sumie kilka godzin. Ta lista nazwisk, którą musiał zapamiętać! Zbyt wielu przyjaciół zamieniło się w zupełnie obcych ludzi.

Kilka minut przed północą Louis Wu wszedł do kabiny transferowej, wybrał kod i zniknął.

- Byłem śmiertelnie znudzony- wyznał. - ..."Louis,, opowiedz nam o swoim ostatnim Oderwaniu!" "jak możesz być tak samotny, Louis!" ,jak to dobrze że zaprosiłeś trinockiego ambasadora". "Długo żeśmy się nie widzieli, Louis!" "Hej, Louis! Wiesz, ilu trzeba jarucian, żeby pomalować wieżowiec "No, ilu?" "Co ilu?" "Tych janxian" "Aaa. Trzech psika farbą, a dwóch przesuwających wieżowiec. Słyszałem ten dowcip jeszcze w przedszkolu. Wszystko to, co w moim życiu minęło, wszystkie stare dowcipy, wszystko na raz w jednym, olbrzymim domu... Nie mogłem już wytrzymać.

- Jesteś niespokojnym człowiekiem, Louisie Wu. Twoje oderwania - ty je zacząłeś, prawda?

- Nie pamiętam. Wiem tylko, że szybko się rozpowszechniły. Robi to większość moich znajomych.

- Ale nie tak często, jak ty. Mniej więcej co czterdzieści lat nudzi ci się towarzystwo ludzi. Opuszczasz wtedy ich świat i pędzisz ku krawędzi znanego kosmosu. Lecisz dalej, sam w małym statku, aż wreszcie czujesz potrzebę czyjogoś towarzystwa. Z ostatniego, czwartego oderwania dwadzieścia lat temu wróciłeś.

Jesteś niespokojny, Louisie Wu. Na każdej z planet zamieszkanego przez ludzi kosmosu wystarczająco długo żyłeś, by uważano cię za tubylca. Dzisiaj wyszedłeś ze swego przyjęcia urodzinowego. Czy znowu ogarnia cię niepokój?

- To już chyba tylko moja sprawa, prawda?

- Tak. Moją sprawą jest rekrutacja. Nadawałbyś się na członka mojego zespołu badawczego. Podejmujesz ryzyko, ale najpierw je dokładnie kalkulujesz. Nie boisz się być sam na sam ze sobą. Jesteś wystarczająco rozważny i sprytny, by żyć dalej po dwustu latach. Ponieważ nie zaniedbywałeś swego ciała, pod fizycznym względem nie masz więcej jak dwadzieścia lat. Wreszcie, i to chyba najważniejsze, lubisz towarzystwo obcych.

- To prawda - przyznał Louis. Znał kilku ksenofobów i uważał ich za kompletnych durni. Życie byłoby straszliwie nudne, gdyby dokoła byli sami ludzie.

- Ale nie chcesz podejmować decyzji w ciemno. Louisie, czy nie wystarczy ci, że ja, lalecznik, będę z tobą? Wszystkiego, czego mógłbyś się obawiać, ja będę obawiał się w dwójnasób znacznie wcześniej. Inteligentna ostrożność mojej rasy jest przecież przysłowiowa.

- Zgadza się - potwierdził Louis. Szczerze mówiąc, połknął przynętę.

Połączone w jedno - ksenofilia, wewnętrzny niepokój i ciekawość zwyciężyły: dokądkolwiek udawał się lalecznik, Louis był z nim. Ale chciał dowiedzieć się więcej. Jego pozycja przetargowa była wyśmienita. Obcy z pewnością nie wybrałby sobie takiego pokoju. To najzupełniej zwyczajne, z ludzkiego punktu widzenia, wewnątrz musiało zostać przygotowane specjalnie dla rekrutacji.

- Nie chcesz mi powiedzieć, co masz zamiar zbadać - powiedział Louis. - Może mi przynajmniej powiesz, gdzie to jest?

- Dwadzieścia lat świetlnych stąd, w kierunku Mniejszego Obłoku Magellana.

- Podróż z napędem hiperprzestrzennym zajmie nam dwa lata.

- Nie. Mamy statek, który poleci szybciej. Przebędzie rok świetlny w pięć czwartych minuty. Louis otworzył usta, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku. W minutę i piętnaście sekund?

- Nie powinno dziwić cię to, Louisie Wu. Jak inaczej moglibyśmy wysłać zwiadowcę do jądra galaktyki, który doniósł o rozpoczynającej się reakcji łańcuchowej?

Powinieneś być domyśleć się istnienia takiego statku. Jeśli moja misja zakończy się sukcesem, oddam ten statek załodze, razem z planami, które pozwolą więcej takich zbudować.

Ten statek jest twoją... pensją, zapłatą - jak chcesz to nazwać. Poznasz go wtedy, gdy dogonimy migrację laleczników. Tam też się dowiesz, co jest celem naszej wyprawy.

"Gdy dogonimy migrację laleczników"...

- W porządku, jestem - powiedział Louis Wu. Zobaczyć migrację całej rasy! Olbrzymie statki, niosące na swych pokładach setki milionów laleczników, całe systemy ekologiczne, utrzymywane...

- Dobrze. - Lalecznik wstał z miejsca. - Nasza załoga liczyć będzie czterech członków. Teraz idziemy po trzeciego.

I potruchtał do kabiny transferowej.

Louis schował tajemniczy hologram do kieszeni i poszedł za nim. W kabinie próbował dojrzeć kod, jaki wybiera lalecznik, ale ten zrobił to tak szybko, że nic nie zauważył.

Louis Wu wyszedł za lalecznikiem z kabiny i znalazł się w pograżonym w półmroku wnętrzu luksusowej restauracji. Rozpoznał ją po czarno-złotym wystroju i absolutnie nieekonomicznym, jeśli chodziło o wykorzystanie miejsca, ustawieniu stolików. "Krushenko" w Nowym Jorku.

Pojawieniu się lalecznika towarzyszyły pełne niedowierzania szept. Szef sali, niewzruszony niczym robot, zaprowadził ich do stolika. Zamiast jednego z krzeseł przyniesiono dużą, prostokątną poduszkę, na której spoczął lalecznik.

- Oczekiwano tu ciebie - raczej stwierdził, niż zapytał Louis.

- Tak, zamówiłem wcześniej stolik. Są dobrze przygotowani do obsługi obcych gości.

Dopiero teraz Louis zauważył, że lalecznik nie był jedynym przedstawicielem obcej rasy: czterech kzinów przy sąsiednim stoliku i jeszcze jakiś kdatlyno po drugiej stronie sali. Biorąc pod uwagę bliskość budynku Narodów Zjednoczonych nie było w tym nic dziwnego. Louis zamówił sobie kwaśną tequilę i zajął się nią od razu, gdy tylko się pojawiła.

- To był dobry pomysł - powiedział. - Umieram z głodu.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby jeść. Mamy pozyskać trzeciego członka wyprawy.

- Tutaj? W restauracji?

Lalecznik uniósł głos, by odpowiedzieć, ale to, co powiedział, wcale nie było odpowiedzią.

- Naprawdę nigdy nie widziałeś mojego kzina? Nazywa się Kchula-Rrit. Trzymam go w domu. Bardzo zabawny zwierzaczek.

Louis mało co nie udusił się swoją tequilą. Przy stoliku za plecami lalecznika każda z czterech gór pomarańczowego futra była olbrzymim, żywym kzinem. Teraz wszyscy czterej, obnażywszy swoje ostre niczym sztylety zęby, patrzyli w ich stronę. Wyglądało to tak, jakby się uśmiechali, ale u kzina taki grymas nigdy nie jest uśmiechem.

Nazwisko - Rrit noszone jest przez członków rodziny Partriarchy Kzinu. Louisowi, któremu udało się wreszcie przetknąć do końca nieszczęsną tequilę zaświtało, że to właściwie wszystko jedno. Zniewaga i tak była śmiertelna, a zjedzonym można zostać przecież tylko raz.

Siedzący najbliżej kzin wstał z miejsca.

Gęste pomarańczowe futro z czarnymi plamami dokoła oczu okrywało coś, co można by wziąć za tłustego kota, gdyby to coś nie miało ośmiu stóp wzrostu. Zamiast tłuszczu wszędzie prężyły się mięśnie, smukłe i dziwnie ułożone wokół równie dziwnego szkieletu. Przypominające czarne rękawiczki dłonie uzbrojone były w wysunięte, potężne pazury.

Ćwierć tony obdarzonego inteligencją mięsożercy stanęło nad lalecznikiem i zapytało:

- Powiedz, dlaczego uważasz, że możesz obrażać Patriarchę Kzinu i żyć dalej?

Lalecznik nie zwlekał z odpowiedzią, zaś w jego głosie nie słychać było nawet najłżejszego drżenia.

- To właśnie ja na planecie, która okrąża Betę Liry kopnąłem kzina nazwiskiem Chuft-Captain w brzuch, łamiąc mu trzy warstwy jego szkieletu wewnętrznego.

Potrzebuję odważnego kzina.

- Mów dalej - powiedział czarnooki kzin. Pomimo ograniczeń, jakie nakładała na niego budowa ust, jego interworld był bez zarzutu. W jego głosie nie było słychać wściekłości, którą z pewnością musiał odczuwać. Dla postronnego widza kzin i lalecznik mogli dyskutować na przykład o pogodzie.

Ale posiłek, od którego wstał kzin składał się wyłącznie z krwistego, dymiącego mięsa, podgrzewanego przed podaniem do temperatury ciała. Wszyscy kzinowie cały czas szeroko się uśmiechali.

- Ten człowiek i ja - podjął lalecznik - będziemy badać miejsce, o jakim nie śniło się jeszcze żadnemu kzinowi. Będziemy do tego potrzebować kzina. Czy kzin odważy się pójść tam, dokąd poprowadzi lalecznik?

- Mówi się, że laleczniki są roślinożercami i że zawsze raczej uciekają od walki niż do niej dążą.

- Sam to oceń. Twoją zapłatą, jeśli uda ci się przeżyć, będą plany nowego typu statku kosmicznego, plus sam statek. Premia za szczególne ryzyko.

Lalecznik robił wszystko, by jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Kzinowi nigdy nie oferuje się premii za szczególne ryzyko. Kzin nigdy niczego się nie boi i nigdy nie dostrzega żadnego niebezpieczeństwa.

Jednak kzin powiedział tylko jedno słowo:

- Zgoda.

Trzech jego pobratymców prychnęło coś do niego.

Kzin odprychnął im coś w odpowiedzi.

Jeden kzin, mówiący w swoim ojczystym języku, brzmiał jak odgłosy bójk stada kotów. Czterech kzinów w zajadłej dyskusji przywodziło na myśl całą kocią wojna, połączoną z użyciem broni atomowej. W restauracji natychmiast włączyły się wygłuszanie, ale i tak można było doskonale słyszeć sprzeczkę obcych.

Louis zamówił następnego drinka. Z tego, co wiedział o kzinach, ci czterej musieli przejść jakieś specjalne szkolenie. Lalecznik jeszcze żył.

Spór wreszcie ucichł i kzinowie zwrócili się do nich. Ten z czarnymi plamami nad oczami zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Przyjąłem ludzkie imię Nessus - odparł lalecznik. - Naprawdę nazywam się... - w tym miejscu z dwóch gardeł lalecznika popłynęły bogate, muzyczne dźwięki.

- W porządku, Nessus. Musisz wiedzieć, że my czterej stanowimy przedstawicielstwo kzinów na Ziemi. To jest Harch, to Ftanss, ten z żółtymi progami to Hrroth. Ja, jako ich pomocnik i kzin niskiego rodu nie mam imienia. Nazywają mnie według tego, co robię: Mówiący-do-Zwierząt.

Louis zagryzł z wściekłością zęby.

- Problem polega na tym, że jesteśmy tutaj potrzebni. Skomplikowane negocjacje... ale to was nie obchodzi. Zostało ustalone, że moja obecność tutaj nie jest niezbędna. Jeżeli ten twój statek okaże się rzeczywiście coś wart, przyłączy się do was. Jeżeli nie, dowiodę mej odwagi w inny sposób.

- W porządku - powiedział lalecznik i wstał ze swego miejsca.

Louis nie poruszył się, tylko zapytał:

- A jak nazywają cię inni kzinowie?

- W Języku Bohaterów brzmi to tak: - I kzin zaskrzeczał coś przeraźliwie wysoko.

- Wiec czemu nam tego nie powiedziałaś? Czy chciałaś nas obrazić?

- Tak - odparł Mówiący-do-Zwierząt. - Byłem na was wściekły.

Louis, przyzwyczajony do ludzkiego savoir-vivre'u oczekiwał raczej, że kzin skłamię. Wtedy on Louis, mógłby udać, że w to wierzy, dzięki czemu kzin byłby w przyszłości grzeczniejszy... ale teraz było już na to za późno. Louis zawahał się na ułamek sekundy, zanim zapytał:

- Co nakazuje w takim przypadku zwyczaj?

- Musimy zmierzyć się w walce wręcz, zaraz, jak tylko mnie do takiej walki wyzwiesz. Albo jeden z nas musi przeprosić.

Louis wstał. Zdawał sobie doskonale sprawę, że popełnia samobójstwo, ale równie dobrze wiedział, że inaczej po prostu nie można.

- Wyzywam cię - powiedział. - Kły przeciwko zębom, pazury przeciwko paznokciom, ponieważ nie ma dla nas dwóch miejsc w Wszzechświecie.

- Przepraszam w imieniu mego towarzysza, Mówiącego-do-Zwierząt nie podnosząc głowy odezwał się kzin imieniem Hroth.

- Hę? - stęknął Louis.

- Na tym właśnie polega moja funkcja - wyjaśnił kzin. - Być pod ręką we wszystkich tych sytuacjach, w których natura kzinów widzi tylko dwa wyjścia: walczyć lub przeprosić. Wiemy, co się dzieje, gdy walczymy. Dzisiaj jest nas osiem razy mniej niż wtedy, gdy po raz pierwszy zetknęliśmy się z ludźmi. Nasze kolonie są teraz waszymi koloniami, nasi niewolnicy są wolni i uczą się ludzkich technologii i ludzkiej etyki. W sytuacji, kiedy trzeba przeprosić lub walczyć moja funkcja polega na tym, żeby przeprosić.

Louis usiadł. Wyglądało na to, że jednak jeszcze trochę pożyje.

- Nie potrafiłbym tak - powiedział.

- Oczywiście, że nie, skoro odważyłeś się wyzwąć kзина na pojedynek.

Ale nasz Patriarcha uważa, że nie nadaje się do niczego innego. Nie jestem zbyt inteligentny, szwankuje na zdrowiu, zawodzi mnie koordynacja ruchów. Jak inaczej mógłbym zasłużyć sobie na imię?

Louis pociągnął swego drinka, modląc się w duchu, żeby ktoś wreszcie zmienił temat. Taki pokorny kzin wprowadził go w zakłopotanie.

- Skończmy jeść - zaproponował Mówiący-do-Zwierząt. - Chyba że nasza misja zaczyna się już teraz.

- Ależ skąd - odparł Nessus. - Jeszcze nie mamy skompletowanej załogi. Zostanę poinformowany, jeżeli moi agenci zlokalizują czwartego jej członka. Na razie jedźmy.

Mówiący-do-Zwierząt powiedział jeszcze jedną rzecz, zanim wrócił do swego stolika.

- Louisie Wu, twoje wyzwanie było trochę przegadane. Wystarczy zwykły wrzask wściekłości. Po prostu: wrzeszczysz i skaczesz.

- Wrzeszczysz i skaczesz - powtórzył Louis. - Dla mnie bomba.

## 2. I jego pstrokata załoga

Louis Wu znał ludzi, którzy korzystając z kabiny transferowej zamykali oczy. W przeciwnym razie dostawali zawrotów głowy. Według Louisa był to czysty nonsens, ale z drugiej strony dziwactwa niektórych innych jego przyjaciół były znacznie bardziej niezwykle.

Wybrał kod z otwartymi oczami. Obserwujący go obcy zniknęli, a ktoś zawołał:

- Patrzcie! Już wrócił!

Przed drzwiami kabiny zebrał się mały tłumek, uniemożliwiając prawie ich otwarcie.

- A niech wasi Naprawdę nikt nie poszedł do domu? - Rozłożył szeroko ramiona, zgarniając ich niczym pług śnieżny. - Zróbcie przejsście, matolki. Spodziewam się jeszcze gości.

- Wspaniale! - krzyknął mu ktoś do ucha. Jakieś ręce chwyciły mocno jego dłoń i wepchnęły mu do niej napełnioną szklankę. Louis otoczył ramionami siedmiu czy ośmiu z jego gości i uśmiechnął się, rozbawiony przyjęciem, jakie mu zgotowali.

Louis Wu. Z pewnej odległości można go było wziąć za człowieka Orientu, o bladożółtej skórze i powiewających, siwych włosach. Bogata, błękitna szata była udrapowana tak niedbale, że właściwie powinna krepować mu ruchy. Ale nie krepowała. Z bliska wszystko okazywało się fałszywe. Skóra wcale nie była bladożółta, z brązowym odcieniem, lecz gładka i chromowożółta; jak u bohatera komiksów. Fu Manchu. Warkoczyk był zbyt gruby; nie posiadał też w sposób naturalny. Miał czysto biały kolor z leciutkim odcieniem błękitu, taki

sam, jaki mają białe karty. Jak u wszystkich nizinnych, kolorami Louisa Wu były kolory sztucznych barwników.

Nizinny. Widać to było od pierwszego rzutu oka. Jego rysy nie były ani kaukaskie, ani mongoloidalne, ani negroidalne, chociaż dostrzegało się ślady wszystkich trzech. Doskonała mieszanka, na której powstanie trzeba było długich stuleci. Przy ciężeniu równym 1 g jego postawa była w nieuświadomiony sposób naturalna. Ścisnął w dłoni szklankę i uśmiechnął się do swoich gości.

Tak się jakoś stało, że uśmiechnął się do znajdującej się może o cal od niego pary srebrnych oczu.

W ogólnym ścisku i zamieszaniu Teela Brown wylądowała w końcu twarzą w twarz i piersią w pierś z Louistem. Jej błękitna skóra pokryta była siecią cieniutkich, srebrnych niteczek, fryzura strzelała jaskrawopomarańczowym ogniem, a oczy odbijały wszystko niczym dwa srebrne lusterka. Miała dwadzieścia lat; Louis zdażył wcześniej chwilę z nią porozmawiać. To, co mówiła było płytkie, pełne stereotypowych haseł i łatwego entuzjazmu, ale za to była bardzo ładna.

- M u s i a ł a m cię o to zapytać - wysapała bez tchu w piersi. - Jak udało ci się zaprosić tutaj trinoka?

- Tylko mi nie mów, że i on jeszcze tutaj jest!

- Och, nie. Kończyło się powietrze, więc musiał pójść do domu.

- Nieprawda - poinformował ją Louis. - Miał zapas na kilka tygodni. A jeśli rzeczywiście cię to interesuje, to ten właśnie trinok był kiedyś przez dłuższy czas moim gościem i więźniem zarazem. Jego statek wraz z całą załogą zginął na skraju znanego kosmosu, więc musiałem odstawić go na Margrave, żeby wsadzić go do pomieszczenia z takimi warunkami, do jakich był przyzwyczajony.

Oczy dziewczyny wyrażały zachwycone zdumienie. Louis zdziwił się przyjemnie, że były na poziomie jego własnych. Delikatna uroda Taeli Brown czyniła ją mniejszą, niż była w istocie. Jej wzrok przeniósł się na coś, co było za Louistem i oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

Z kabiny transferowej wyłonił się lalecznik Nessus.

Opuszczając "Krushenkę" Louis starał się namówić Nessusa, by ten powiedział coś więcej na temat celu ich wyprawy, ale lalecznik obawiał się promieni podsłuchowych.

- Więc wpadnij do mnie - zaproponował Louis.



- Ale twoi goście...

- Nie ma ich w gabinecie. A mój gabinet jest absolutnie bezpieczny. Poza tym, pomyśl, jakie wrażenie zrobisz na przyjęciu! Pod warunkiem, oczywiście, że ktokolwiek jeszcze tam jest.

Wrażenie było przynajmniej takie, jakiego Louis oczekiwał. Nagle jedynym odgłosem, jaki rozlegał się w pomieszczeniu, było tuk-tuk-tuk kopytek lalecznika. Z kabiny transferowej wyłonił się w międzyczasie Mówiący-do - Zwierząt. Rozejrzał się po otaczającym go morzu ludzkich twarzy, po czym niespiesznie obnażył zęby.

Ktoś rozlał połowę drinka. Stojące w kącie mówiące orchidee zaszczębiotały coś nerwowo. Ludzie odsunęli się na kilka kroków od kabiny. Słychać było wymienione półgłosem uwagi.

- Nic ci nie jest. Ja też ich widzę.

- Pastylki trzeźwiące? Zaraz, zaraz, gdzieś je tu miałem.

- Ależ wymyślił, co?

- Stary, pocziwy Louis.

- Przepraszam, jak to się nazywa?

Nie mieli pojęcia, jak zareagować na pojawienie się Nessusa. Prawie wszyscy zignorowali lalecznika, bojąc się, że cokolwiek by o nim powiedzieli, i tak wyszliby na głupców. Jeszcze dziwniej odnieśli się do Mówiącego-do - Zwierząt; kzin, niegdyś największy wróg ludzkości, był teraz traktowany z szacunkiem, niczym jakiś bohater.

- Chodź za mną - zwrócił się do lalecznika Louis, mając nadzieję, że kzin zrobił to samo, co oni. - Przepraszam, przepraszam! - ryknął i zaczął torować sobie drogę przez tłum. W odpowiedzi na liczne podekscytowane i zdumione pytania tylko tajemniczo się uśmiechał.

Dotarłszy bezpiecznie do gabinetu, Louis zamknął starannie drzwi i włączył urządzenie przeciw podsłuchowe.

- W porządku. Kto chce się czegoś napić?

- Jeżeli możesz podgrzać trochę bourbona, chętnie go wypiję - odparł kzin. - Jeżeli nie możesz go podgrzać, również go wypiję.

- Nessus?

- Jakikolwiek sok roślinny wystarczy. Czy masz może ciepły sok z marchwi?

- Brr! - wstrząsnął się Louis, ale poinformował odpowiednio bar, który po chwili podał szklankę ciepłego soku z marchwi.

Nessus przysiadł na podkurczonej tylnej nodze, kzin zaś opadł ciężko na nadmuchiwany fotel, który pod jego ciężarem powinien właściwie pęknąć jak cieniutki balon. Jeden z najstarszych nieprzyjaciół człowieka wyglądał dziwnie i zabawnie zarazem, balansując na o wiele dla niego za małym, pneumatycznym siedzeniu.

Wojny między ludźmi a kzinami były liczne i straszliwe. Gdyby kzinom udało się wygrać pierwszą z nich, człowiek po kres dziejów pełniłby rolę niewolnika i hodowlanego zwierzęcia. Tak się jednak nie stało, a w wojnach, które miały miejsce potem, znacznie większe straty ponieśli kzinowie. Mieli oni tendencję do atakowania zbyt wcześnie, wtedy, kiedy jeszcze nie byli w pełni gotowi. Wśród pojęć, których nie znali, znajdowały się między innymi takie jak cierpliwość, litość i wojna ograniczona. Każda wojna kosztowała ich utratę sporej części populacji i kilku podbitych wcześniej przez nich planet.

Od dwustu pięćdziesięciu lat kzinowie nie atakowali już zamieszkałej przez ludzi części kosmosu. Nie mieli po prostu czym i kim atakować. Od dwustu pięćdziesięciu lat ludzie nie zaatakowali zamieszkałych przez kzinów planet; żaden z nich nie był w stanie tego zrozumieć. Kzinowie w ogóle nie potrafili zrozumieć ludzi.

Byli twardzi i brutalni; Nessus, przedstawiciel rasy, której tchórzostwo było wręcz przysłowiowe, obraził śmiertelnie w miejscu publicznym czterech dorosłych kzinów.

- Powtórz mi jeszcze raz - poprosił Louis - o tej wrodzonej ostrożności laleczników. To, co dzisiaj widziałem, trochę mi namieszało w głowie.

- Może to nie było fair z mojej strony, ale nie powiedziałem ci jednej rzeczy: moi pobratymcy uważają mnie za szaleńca.

- Wspaniale - wycedził Louis i pociągnął z wręczonej mu przez anonimowego dobroczyńcę szklanki. Szklanka zawierała wódkę, sok owocowy i pokruszony lód.

Ogon kzina poruszał się niespokojnie w lewo i w prawo.

- Mamy więc lecieć z wariatem? Musisz być rzeczywiście szalony, skoro chcesz wziąć ze sobą kzina.

- Niepokoicie się zbyt łatwo - powiedział Nessus swoim miękkim, łagodnym, nieznośnie zmysłowym głosem. - Każdy z laleczników, z którymi zetknęli się

ludzie, był według przyjętych u nas standardów mniej lub bardziej szalony. Żaden obcy nie widział jeszcze rodzinnej planety laleczników i żaden normalny lalecznik nie zawierzył jeszcze swego życia kruchej łupinie statku kosmicznego, który miał go znieść na obce, pełne śmiertelnych niebezpieczeństw światy.

- Szalony lalecznik, kzin i ja. Czwarty członek naszej załogi powinien być chyba psychiatrą.

- Nie, Louisie. Żaden z kandydatów nie jest psychiatrą.

- A czemu nie?

- Nie działałem na oślep. - Nessus mówił jedną parą ust, podczas gdy drugą pociągał ze swojej szklanki. - Najpierw byłem ja. Nasza wyprawa ma na celu przyniesienie korzyści mojej rasie, więc konieczny był jakiś jej przedstawiciel. Powinien on być wystarczająco szalony, żeby udać się w nieznanne, a jednocześnie na tyle normalny, żeby móc wykorzystać swój intelekt i przeżyć. Tak się składa, że ja spełniam obydwa te warunki.

Mieliśmy również ważne powody, żeby włączyć do wyprawy kzin. To, co teraz powiem, Mówiący-do-Zwierząt, jest tajemnicą. Już od dawna obserwujemy wasz gatunek. Wiedzieliśmy o was jeszcze przed tym, jak po raz pierwszy zaatakowaliście ludzi.

- Wasze szczęście, żeście się wtedy nie pokazali - warknął kzin.

- Też tak uważam. Z początku sądziliśmy, że kzinowie są równie groźni, co beużyteczni. Rozpoczęto badania mające na celu ustalenie, czy można was bezpiecznie i bezproblemowo zgładzić.

- Zwiążę ci szyje na supeł.

- Nic takiego nie zrobisz.

Kzin wstał z miejsca.

- On ma racje - powiedział Louis. - Siadaj, Mówiący. Mordując lalecznika nie zyskasz zbyt wielkiej chwały.

Kzin usiadł. I tym razem fotel jakoś nie wybuchnął.

- Zrezygnowaliśmy z tego zamiaru - podjął Nessus. - Wojny z ludźmi okazały się wystarczającym czynnikiem ograniczającym ekspansję kzinów. Stawaliście się coraz mniej niebezpieczni. A my cały czas obserwowaliśmy.

Na przestrzeni kilku stuleci sześciokrotnie zaatakowaliście zamieszkałe przez ludzi planety. Sześciokrotnie zostaliście pokonani, za każdym razem tracąc blisko dwie trzecie męskiej populacji. Czy muszę mówić, jak to świadczyło o waszej inteligencji? W każdym razie, nigdy nie groziła wam całkowita eksterminacja. Wojna nie zabijała waszych samic, więc stosunkowo szybko następowała odbudowa gatunku. Traciliście tylko krok po kroku olbrzymie imperium, którego budowa zajęła wam kilka tysięcy lat.

W końcu zrozumieliśmy, że rozwijacie się w zastraszającym tempie.

- Rozwijamy się?

Nessus prychnął coś w Języku Bohaterów. Louis aż podskoczył ze zdumienia. Nie przypuszczał, że gardła lalecznika potrafią aż t y l e .

- Tak, właśnie tak powiedziałeś - przytaknął Mówiący-do-Zwierząt. - Nie wiem tylko, jak mam to rozumieć.

- Rozwój, ewolucja zależy od przetrwania najlepiej przystosowanych. Przez wiele waszych stuleci najlepiej przystosowanymi byli ci, którym udało się uniknąć walki z ludźmi. Rezultaty są oczywiste. Od niemal dwustu waszych lat między kzinami a ludźmi panuje pokój.

- Bo wojna nie miałaby sensu! Nie moglibyśmy jej wygrać!

- To jednak nie powstrzymało waszych przodków.-

Mówiący-do-Zwierząt przełknął potężną porcję gorącego bourbonu. Jego ogon, nagi i różowy jak u szczura, uderzał nerwowo o podłogę.

- Zostaliście zdziesiątkowani - mówi dalej lalecznik. - Wszyscy żyjący dzisiaj kzinowie są potomkami tych, którym udało się nie brać udziału w wojnie. Niektórzy spośród nas uważają nawet, że obecnie kzinowie dysponują wystarczająco dużym zasobem inteligencji, opanowania i ogłady, by móc współistnieć pokojowo z, innymi rasami.

- I dlatego stawiasz na szali swoje życie, decydując się na odbycie tej wyprawy w towarzystwie kzina.

- Właśnie - przytaknął Nessus i zatrząsł się na całym ciele. - Oprócz tego mam silną motywację. Jeżeli moja odwaga okaże się przydatna, a wyprawa przyniesie korzyść memu gatunkowi, zostanie mi być może przyznane zezwolenie na posiadanie potomstwa.

- Trudno to uznać za wiążące zobowiązanie - zauważył Louis.

- Więc istnieje jeszcze jeden powód dla zabrania kzina.

Znajdziemy się w obcym środowisku, pełnym nieznanymi niebezpieczeństw. Kto mnie obroni? Kto nadaje się do tego lepiej od kżina?

- Chronić lalecznika?

- Czy to brzmi dziwnie?

- I to jak - powiedział Mówiący-do-Zwierząt.- W dodatku przemawia do mego poczucia humoru. No, a ten? Louis Wu?

- Dla nas współpraca z ludźmi okazała się bardzo korzystna, więc jest zrozumiałe, że zdecydowaliśmy się na przynajmniej jednego człowieka, Louis Gridley Wu na swój beztroski zwariowany sposób jest osobnikiem o niezwyklej zdolności przetrwania.

- Rzeczywiście beztroski. I zwariowany. Wyzwał mnie na pojedynek.

- Czy przyjąłbyś to wyzwanie, gdyby nie interwencja Hortha? Skrzywdziłbyś go?

- Żeby zostać natychmiast karnie odesłany do domu za spowodowanie poważnego incydentu dyplomatycznego? Ale chyba nie o to chodzi, prawda?

- Może właśnie o to. Louis żyje, a ty przekonałeś się, że nie możesz zapanować nad nim wykorzystując jego strach. Chyba rozumiesz, co z tego wynika?

Louis zachował dyskretne milczenie. Jeżeli lalecznik chce go przedstawić jako wyrafinowanego, inteligentnego gracza, to on nie ma nic przeciwko temu.

- Przedstawiłeś już swoje motywy - powiedział Mówiący-do-Zwierząt. - Porozmawiajmy teraz o moich. Co możesz mi zaoferować w zamian za przyłączenie się do wyprawy?

I zaczęły się targi.

Dla laleczników napęd hiperprzestrzenny kwantum II przedstawiał wartość nieocenioną. Dzięki niemu statek kosmiczny mógł przebyć odległość jednego roku świetlnego w minutę i piętnaście sekund, podczas gdy zwykle potrzebował na to aż trzech dni. Ale zwykły statek mógł jeszcze zabrać na pokład jakiś ładunek.

- Zainstalowaliśmy silnik w kadłubie General Products numer cztery, największym, jaki w ogóle jest produkowany. Kiedy nasi naukowcy i inżynierowie skończyli, pracę, okazało się, że niemal całe wnętrze wypełnione jest maszyną, toteż będzie nam, niestety, trochę ciasno.

- Egzemplarz eksperymentalny - mruknął kzin. - Jak dokładnie go wypróbowano?

- Statek odbył podróż do jądra galaktyki i z powrotem.

I był to jego jedyny, jak dotąd, lot. Laleczniki nie mogły same dokładnie go przetestować, nie mogły też znaleźć nikogo, kto by to zrobił; znajdowali się przecieź w trakcie migracji. Statek nie miałby na swoim pokładzie praktycznie żadnego ładunku, chociaż jego kadłub mierzył ponad milę średnicy. Co więcej, każde zmniejszenie prędkości kończyło się natychmiast powrotem do normalnej przestrzeni kosmicznej.

- My go już nie potrzebujemy, wy natomiast tak - mówił dalej Nessus. - Oddamy go załodze, razem z wszelkimi niezbędnymi planami. Bez wątpienia bodziecie mogli wprowadzić wiele ulepszeń.

- Za coś takiego z pewnością otrzymałbym imię - zauważył kzin. - Własne imię. Muszę zobaczyć ten statek w akcji.

- Możesz sam na nim polecieć.

- Za taki statek sam Patriarcha nadałby mi imię. Jestem tego pewien. Jakie bym wybrał? Może... - i kzin prychnął coś przeraźliwie głośno.

Lalecznik odpowiedział w tym samym języku.

Louis poruszył się ze zniecierpliwieniem. Nie był w stanie brać udziału w rozmowie, toczącej się w Języku Bohaterów. Miał już zamiar zostawić ich samych, ale przypomniał sobie, że ma przecieź tajemniczy hologram. Wyjął go z kieszeni i rzucił kzinowi. Mówiący-do-Zwierząt schwycił go, wziął delikatnie w palce i spojrzał pod światło.

- Wygląda jak otoczona jakimś pierścieniem gwiazda - powiedział po chwili. - A co to właściwie jest?

- Ma to związek z celem naszej wyprawy - odparł lalecznik. - Nic więcej nie mogę wam na razie powiedzieć.

- Jaki tajemniczy. Kiedy możemy wyruszyć?

- Przypuszczam, że to kwestia dni. Moi agenci cały czas poszukują odpowiedniego kandydata na czwartego członka wyprawy.

- A więc nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Louis, czy możemy przyłączyć się do twoich gości?

Louis wstał i przeciągnął się.

- Jasne. Niech mają swój dreszczyk emocji. Mówiący, zanim tam pójdziemy, miałbym pewną propozycję. Nie odbieraj tego jako próby uwłoczenia twojej godności, ale...

Przyjęcie podzieliło się na kilka obozów: oglądających stereowizję, grających w brydża i pokera, kochających się, i to zarówno w parach, jak i w większych grupach, opowiadających historyjki oraz tych, którzy padli ofiarą różnych używek. Na trawniku, w świetle wstającego słońca dostrzec można było grupę złożoną z tych ostatnich i kilku ksenofilów. W grupie tej znajdowali się między innymi Nessus, Mówiący-do-Zwierząt, Louis Wu, Teela Brown i pracujący na najwyższych obrotach samobieżny barek.

Sam trawnik pielęgnowany był według starożytnej, brytyjskiej zasady: siać i kosić przez co najmniej pięćset lat. Pod koniec pewnego pięćsetlecia doszło do krachu giełdowego, w wyniku którego Louis Wu stał się posiadaczem dużej ilości pieniędzy, zaś pewna szlachecka rodzina takimi posiadaczami być przestała. Trawa była zielona i błyszcząca, w oczywisty sposób prawdziwa. Nikt nigdy nie grzebał w jej genach w poszukiwaniu wątpliwych usprawnień. U podnóża trawiastego, łagodnego zbocza znajdował się kort tenisowy, na którym małe figurki biegały w tę i z powrotem, z wielkim przejęciem i olbrzymią energią machając swoimi raketami.

- Sport jest czymś wspaniałym - zauważył leniwie Louis Wu. - Mógłbym tak siedzieć i patrzeć choćby cały dzień.

Śmiech Teeli trochę go zaskoczył. Pomyślał o milionach dowcipów, których nigdy nie słyszała i nie usłyszy, bo nikt ich już nie opowiada. Z tych milionów dowcipów, które Louis znał na pamięć, przynajmniej 99 procent musi już być przestarzałych. Przeszłość i terażniejszość nie mieszają się ze sobą zbyt dobrze.

Louis leżał na trawie z głową spoczywającą w objęciach Teeli. Barek nachyliła nie nad nim, by mógł dosięgnąć do klawiatury nie podnosząc się z miejsca. Louis zamówił dwie mocha, chwycił wysuwające się z otworu podajnika szklanki i wręczył jedną z nich Teeli.

- Przypominasz mi dziewczynę, którą kiedyś znałem - powiedział. - Słyszałaś kiedyś o Pauli Cherenkov?

- To ta rysowniczką? Z Bostonu?

- Tak. Teraz już na emeryturze.

- To moja pra-pra-prababcia. Kiedyś nawet u niej byłam.

- Kiedyś była powodem nagłobiegmu mojego serca. Mogłabyś być jej siostrą.

Śmiech Teeli rozszedł się przyjemnym wibracjami po kręgosłupie Louisa.

- Obiecuję ci, że nic takiego z mojej strony ci nie grozi, pod warunkiem, że mi powiesz, co to w ogóle jest.

Louis zamyślił się. Wyrażenie było jego własne, wymyślone wyłącznie po to, by oddać stan, w jakim się wtedy znajdował. Nie używał go zbyt często, ale też nigdy nie musiał go wyjaśniać. Zawsze wiedziały, co to znaczy.

Spokojny, łagodny poranek. Gdyby teraz się położył, spałby co najmniej dwanaście godzin. Zmęczenie zaczynało dawać znać o sobie. W objęciach Teeli było mu dobrze i wygodnie. Połowę gości Louisa stanowiły kobiety; większość z nich była kiedyś jego żonami lub kochankami. W początkowej fazie przyjęcia świętował swoją rocznicę sam na sam z trzema kobietami, które kiedyś były dla niego bardzo ważne, i vice versa.

Z trzema? Czy czterema? Nie, z trzema. Wszystko wskazywało na to, że był już odporny na nagłobicie serca. Dwieście lat pozostawiło po sobie zbyt wiele blizn na jego osobowości. A teraz leżał wygodnie z głową tuloną przez kobietę, która wyglądała dokładnie tak samo, jak Paula Cherenkov.

- Kochałem - powiedział. - Znaliśmy się wiele lat. Często się spotykaliśmy. A potem pewnego wieczoru zaczęliśmy o czymś rozmawiać i nagle byłem już zakochany.

Myślałem, że ona też mnie kocha.

Nie poszliśmy tej nocy do łóżka. To znaczy, nie poszliśmy tam razem. Zapytałem ją, czy chce wyjść za mnie za męża. Powiedziała, że nie. Była zajęta robieniem kariery. Nie ma czasu na takie rzeczy, powiedziała. Mimo to zaplanowaliśmy wspólną podróż do Amazońskiego Parku Narodowego, taką namiastkę miodowego miesiąca.

Następny tydzień to była prawdziwa huśtawka nastrojów. Kupiłem bilety i zarezerwowałem hotele. Czy zależało ci kiedykolwiek tak bardzo na kimś, co do kogo byłaś przekonana, że nie jesteś go warta!

- Nie.

- Byłem młody. Dwa dni przekonywałem sam siebie, że jednak jestem wart Pauli Cherenkov. Wreszcie mi się udało. A ona wtedy powiedziała, że nie jedzie. Nie pamiętam już dlaczego. W każdym razie miała jakiś powód.

Tego samego tygodnia byliśmy jeszcze kilka razy na obiedzie. Nic. Powstrzymałem się przed wywieraniem na nią jakiegokolwiek nacisku.



Nigdy się chyba nawet nie domyślała, jak wiele mnie to kosztowało. A ja cały czas w górę i w dół, w górę i w dół. A potem już było wszystko jasne. Powiedziała, że mnie lubi. Ze było nam fajnie razem. Że powinniśmy być dobrymi przyjaciółmi.

Nie byłem w jej typie. Myślałem, że się kochamy. Może ona też tak myślała, przynajmniej przez jakiś tydzień. Nie, nie była okrutna. Po prostu nie miała pojęcia, co się dzieje.

- Ale co z tym nagłobiciem?

Louis podniósł wzrok na Teelę Brown. Srebrne oczy odpowiedziały mu lustrzanym spojrzeniem i Louis zdał sobie sprawę, że ona nie rozumiała ani słowa.

Louis miał, często do czynienia z obcymi. Instynktownie, czy może dzięki bogatemu doświadczeniu potrafił wyczuć, kiedy jakieś pojęcie było zbyt obce, by go zrozumiano. Tutaj miał właśnie do czynienia z podobną, niemożliwą do przeskoczenia, przepaścią.

Jakaż otchłań dzieliła Louisa Wu od dwudziestoletniej dziewczyny! Czy naprawdę aż tak bardzo się zestarzał? A jeśli tak było w istocie, to czy Louis Wu w ogóle był jeszcze człowiekiem?

Teela z niezmiennym spojrzeniem oczekiwała na oświecanie.

- Niezas! - zaklął Louis i zerwał się na nogi. Plamki brudu zsunęły się powoli po jego szacie i spadły na ziemię.

Nessus rozprawiał o etyce. Przerwał sobie na moment (całkiem dosłownie, bo ku zachwytowi słuchaczy uruchomił również narządy mowy drugiej głowy), by odpowiedzieć na pytanie Louisa. Nie, nie miał żadnych meldunków na temat wyników poszukiwania czwartego członka załogi.

Mówiący-do-Zwierząt, otoczony swoją gromadką wielbicieli, rozłożył się na trawie niczym pomarańczowa góra. Dwie kobiety drapały go delikatnie za uszami. Osobliwe uszy, które mogły być rozwinięte niczym chińskie parasolki lub przytulone ciasno do głowy, stały w postawie na baczność i Louis mógł wyraźnie dostrzec wytatuowany na powierzchni każdego z nich rysunek.

- A widzisz? - zawołał Louis. - Dobry miałem pomysł?

- Znakomity - odparł kzin, nie zmieniając pozycji.

Louis roześmiał się w duchu. Kzin to groźna bestia, prawda? Ale kto będzie się bał kzina, którego drapią za uszami? Zarówno goście Louisa jak i sam kzin

czuli się dzięki temu dużo swobodniej. Każde stworzenie większe od myszy polnej lubi być drapane za uszami.

- Cały czas się zmieniają - wymruczał sennie kzin. - Podszedł jakiś mężczyzna, powiedział kobiecie, która akurat mnie drapała, że on też to lubi i obydwójce zaraz gdzieś zniknęli. To musi być bardzo interesujące należeć do gatunku o dwóch inteligentnych płciach.

- Czasem jest to aż z b y t interesujące.

- Naprawdę?

Dziewczyna drapiąca kzina za lewym uchem - jej skóra przypominała czarną otchłań kosmosu z błyszczącymi gwiazdami i galaktykami, włosy zaś rozwiany ogon komety - oderwała się od swego zajęcia.

- Teela, teraz twoja kolej - powiedziała wesoło. - Chce mi się jeść.

Teela posłusznie uklękła za wielką, pomarańczową głową.

- Teela Brown, poznaj Mówiącego-do-Zwierząt. Obyście razem...

Obok nich wybuchła nagle dziwaczna, poplątana muzyka.

- ...żyli długo i szczęśliwie. Co to było? A, to Nessus. Coś się stało?

Źródłem muzyki były dwa wspaniałe gardła lalecznika, który wepchnął się bezceremonialnie między Louisa a dziewczynę i zapytał:

- Ty jesteś Teela Jandrova Brown, numer identyfikacyjny IKLUGGTYN?

Dziewczyna była zdziwiona, ale nie przestraszona.

- Tak się rzeczywiście nazywam, a numeru nie pamiętam. O co chodzi?

- Od tygodnia przeczesujemy Ziemię w twoim poszukiwaniu, a spotykam cię na przyjęciu, na które trafiłem zupełnie przypadkowo i moi agenci nie usłyszą ode mnie pochwały.

- Nie, tylko nie to... - jęknął cicho Louis.

Teela wstała, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować.

- Wcale się nie chowałam ani przed tobą, ani przed jakimkolwiek innym... obcym. O co właściwie chodzi?

- Zaczekaj! - Louis wskoczył między lalecznika i dziewczynę. - Nessus, Teela naprawdę nie nadaje się na odkrywce. Wybierz kogoś innego.

- Ale, Louis...

- Chwileczkę - odezwał się kzin, przyjmując pozycję siedzącą. - Pozwól lalecznikowi, żeby sam wybrał członków załogi.

- Ale spójrz na nią!

- Spójrz na siebie. Niecałe dwa metry wzrostu, szczupły nawet jak na człowieka. Czy ty wyglądasz na odkrywce? A Nessus? \_

- O co tu właściwie chodzi? - zapytała podniesionym głosem Teela.

- Louis, przejdźmy do twego gabinetu - powiedział nagłym tonem Nessus.  
- Teela Brown, mamy dla ciebie propozycje. Nie musisz się na nią zgodzić, nie musisz jej nawet wysłuchać, ale zapewniam cię, że możesz ją uznać za interesującą.

Dalszy ciąg sporu odbywał się już w gabinecie Louisa.

- Odpowiada moim wymaganiom - upierał się Nessus - i dlatego musimy brać ją pod uwagę.

- Niemożliwe, żeby była jedyna na Ziemi!

- Nie, Louis. Oczywiście, że nie jest. Po prostu nie byliśmy w stanie dotrzeć do pozostałych.

- A właściwie do czego mam wam być potrzebna?

Lalecznik zaczął jej to wyjaśniać. Przy okazji okazało się, że Teela Brown zupełnie nie interesuje się kosmosem, nigdy nie była nawet na Księżycu, nie przejawiała żadnej ochoty przekroczenia granic znanego kosmosu. Napęd hiperprzestrzenny kwantum II bynajmniej jej nie zainteresował. Kiedy na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju i zmieszania, do akcji wkroczył Louis.

- Nessus, a właściwie to jakie kwalifikacje przemawiają za tym, żeby Teela brała udział w wyprawie?

- Moi agenci poszukiwali potomków osób, które wygrywały na Loterii Życia.

- Poddaje się. Jesteś naprawdę szalony.

- Wcale nie. Takie właśnie polecenie otrzymałem od Najlepiej Ukrytego, od tego, który prowadzi nas wszystkich. Jego rozsądek nie może być podawany w wątpliwość. Czy pozwolicie mi wyjaśnić?

Dla ludzi kontrola urodzeń już od dawna nie stanowiła większego problemu. Obecnie wystarczyło umieścić pod skórą pacjenta, najczęściej na przedramieniu, niewielki kryształ. Rozpuszczał się on przez rok. Przez ten czas pacjent nie mógł począć dziecka. Dawniej stosowano w tym celu dużo mniej eleganckie i bardziej zawodne metody.

Około połowy dwudziestego pierwszego stulecia ludność Ziemi ustabilizowała się na poziomie osiemnastu miliardów. Rada Ludnościowa, organ utworzony mocą decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych, stworzyła i wprowadziła w życie prawa dotyczące kontroli urodzeń. Od ponad pół tysiąca lat prawa te pozostały niezmienione: dwoje dzieci na rodzinę, o ile Rada nie zadecyduje inaczej. Od postanowień Rady zależało, kto ile razy mógł być rodzicem. Rada mogła przydzielić dodatkowe zezwolenie, odebrać jedno lub nawet dwa - wszystko zależnie od stopnia przydatności danych genotypów.

- Nieprawdopodobne - mruknął kzin.

- A dlaczego? To nie żarty, osiemnaście miliardów ludzi w potrzasku prymitywnej technologii.

- Gdyby Patriarcha chciał narzucić takie prawo kzinom, zginąłby za swoją butę.

- Ale ludzie to nie kzinowie. Przez pięćset lat prawo działało i nikt nie wnosił zastrzeżeń. Dopóki przed mniej więcej dwustu laty nie pojawiły się plotki o nieuczciwości Rady. Skandal, jaki wybuchł, przyniósł zmianę obowiązującego dotychczas prawa.

Każdy człowiek, bez względu na stan i wartość swoich genów, miał prawo mieć jedno dziecko. Prawo do drugiego dziecka i do kolejnych zyskiwał automatycznie wówczas, gdy miał niezwykle wysoki iloraz inteligencji, udowodnione zdolności parapsychiczne, był telepatą, pochodził z długowiecznej rodziny lub miał niepsujące się zęby.

Prawo do następnego dziecka można było również kupić. Za milion. Czemu by nie? Umiejętność robienia pieniędzy również była bardzo cenna i często określała zdolność przetrwania danego osobnika. Poza tym, zlikwidowano w ten sposób w zarodku wszelkie próby przekupstwa.

Jeżeli ktoś nie wykorzystał Pierwszego Prawa, mógł walczyć na arenie. Zwycięzca zyskiwał od razu Drugie i Trzecie Prawo, pokonany tracił Pierwsze i swoje życie.

Rachunek był równy.

- Widziałem te walki w waszych programach rozrywkowych - wtrącił kzin. Myślałem; że to dla żartów.

- Nie. To wszystko było na serio - odparł Louis. Teela zachichotała.

- A loterie?

- Zaraz bodzie i o tym. Nawet przy całej gamie środków spowalniających proces starzenia, co roku więcej ludzi umiera, niż się rodzi... .

I tak co roku Rada Ludnościowa sumowała z jednej strony ilość zgonów i emigracji, z drugiej ilość urodzin i imigracji, odejmowała jedno od drugiego, zaś otrzymana w ten sposób liczba wolnych zezwoleń była przedmiotem i głównym fantem Noworocznej Loterii Życia.

Każdy mógł brać w niej udział. Mając szczęście można było zyskać prawo do posiadania dziesięciu czy dwudziestu dzieci - o ile można to nazwać szczęściem, rzecz jasna.

Z udziału w Loterii nie można było wykluczyć nawet odsiadujących wyroki kryminalistów.

- Miałem czworo dzieci - powiedział Louis Wu - z tego jedno z Loterii. Spotkalibyście troje z nich, gdybyście zjawili się dwanaście godzin wcześniej.

- To bardzo dziwne i skomplikowane - zauważył kzin. - Kiedy nasza populacja staje się zbyt liczna...

- ... atakujecie najbliższą, zamieszkałą przez ludzi planetę.

- Wcale nie, Louis. Walczymy między sobą. Im bardziej jest tłoczno, tym łatwiej czymś kogoś obrazić lub samemu zostać obrażonym.

Problem sam się rozwiązuje. Nigdy nawet nie zbliżyliśmy się do tak strasznego zatłoczenia, jakie macie na tej planecie!

- Chyba zaczynam rozumieć - odezwała się Teela Brown. - Obydwoje moi rodzice wygrali na Loterii.

- Roześmiała się nerwowo. - Gdyby nie to, nigdy bym się nie urodziła. Kiedy tak o tym myślę, to zdaje mi się, że mój dziadek...

- Wszyscy twoi przodkowie od sześciu pokoleń rodzili się wyłącznie dzięki wygraniu na Loterii.

- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia!
- To nie ulega żadnej wątpliwości - zapewnił ją Nessus.
- Nie dostałem odpowiedzi na moje pytanie - upomniał się Louis.
- Co z tego?
- Ci-Którzy-Rządzą w naszej flocie ustalili, że ludzie rozmnażają się po to, by dziedziczyć szczęście.
- He?

Teela Brown z wielkiego zainteresowania aż pochyliła się na fotelu. Bez wątpienia po raz pierwszy miała okazję oglądać szalonego lalecznika.

- Pomyśl o Loterii, Louis. Pomyśl o ewolucji. Przez siedemset lat ludzie rozmnażają się według prostej zasady arytmetycznej ; dwa Prawa na osobę, dwoje dzieci na parę. Ten i ów może zdobyć Trzecie Prawo, lub stracić nawet Pierwsze, ale zdecydowana większość ludzi ma dwoje dzieci.

A potem Prawo się zmienia. Od dwustu lat dziesięć do trzynastu procent ludzi rodzi się na podstawie wylosowanego na Loterii zezwolenia. Co decyduje o tym, kto przetrwa i będzie miał potomstwo?

Wyłącznie szczęśliwy przypadek.

A Teela Brown jest potomkiem sześciu generacji szczęściarzy...

### 3. Teela Brown

**T**eela chichotała bezsilnie.

- Daj spokój - powiedział Louis Wu. - Można odziedziczyć krzaczaste brwi, ale nie szczęście!

- Można też odziedziczyć zdolności telepatyczne.

- To nie to samo. Telepatia nie jest żadną tajemniczą siłą psychiczną. Ośrodek mieści się w prawej półkuli i dokładnie wiadomo, jak działa. Tyle tylko, że u większości ludzi nie działa.

- Kiedyś uważano telepatie za jeden z przejawów zdolności pozazmysłowych. Teraz ty twierdzisz, że szczęście niczym takim nie jest.

- Szczęście to szczęście. - Sytuacja byłaby rzeczywiście śmieszna, dokładnie tak, jak to się wydawało Teeli, Louis jednak wiedział coś, czego ona nawet nie podejrzewała: lalecznik mówił serio. - To wszystko kwestia przypadku. Zmienia się jakiś mikroskopijny czynnik i bach, wypadasz z gry, jak dinozaury.

Albo wyrzucasz dziesięć razy pod rząd szóstko i...

- Są ludzie, którzy potrafią na to wpływać.

- W porządku, wybrałem zły przykład. chodzi o to...

- Właśnie - zadudnij kzin. Kiedy chciał, potrafił głosem wprawiać ściany w drżenie. - Chodzi o to, że zgodzimy się na każdego, kogo wybierze lalecznik. To twój statek, Nessus. Gdzie wiesz jest czwarty członek załogi?

- Zaraz, chwileczkę! - Teela zerwała się z miejsca. Srebrna sięc błyszczała na jej niebieskiej skórze, a płomieniste włosy falowały w powiewie z klimatyzatora. - To wszystko jest śmieszne. Nigdzie nie lecę. Dlaczego miałabym gdzieś lecieć?

- Wybierz kogoś innego, Nessus. Z całą pewnością znajdziesz masę odpowiednich kandydatów.

- Wcale nie taką masę, Louis. Mamy na liście kilka tysięcy nazwisk, z tego większość z dokładnymi adresami lub kodami prywatnych kabin transferowych. Przodkowie każdej z tych osób przynajmniej od pięciu pokoleń rodzili się wyłącznie dzięki wygranej na Loterii.

- No więc?

Nessus zaczął przechadzać się po pokoju.

- Wielu zdyskwalifikował prześladowający ich w oczywisty sposób pech. Spośród pozostałych nie udało nam się dotrzeć do nikogo, Kiedy do nich dzwoniemy, nie ma ich w domu. Kiedy dzwoniemy powtórnie, komputer źle nas łączy. Kiedy chcemy rozmawiać z jakimkolwiek członkiem rodziny Brandtów, dzwonią wszystkie wizjofony w Ameryce Południowej. Były już skargi. to bardzo przygnębiające.

Taptaptap. Taptaptap.

- Nawet mi nie powiedziałaś, dokąd lecicie - poskarżyła się Teela.

- Jeszcze na to za wcześnie. Możesz natomiast...

- Na czerwone pazury fingala! Nawet tego nam nie powiesz?

- Możesz obejrzeć hologram, który ma Louis. Jest to jedyna informacja; jakiej mogę wam na razie udzielić.

Louis wręczył jej hologram, przedstawiający oślepiająco biały dysk otoczony błękitną wstążką. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę; tylko Louis dostrzegł, że z wściekłości krew napłynęła jej do twarzy.

Kiedy się odezwała, wypluwała osobna każde słowo, jakby były to pestki mandarynki.

- Jest to najbardziej zwariowana historia, o jakiej słyszałam. Oczekujesz, że Louis i ja polecimy gdzieś poza granice kosmosu w towarzystwie kżina i lalecznika, za całą informację na temat celu wyprawy mając hologram z jasną plamą i niebieską wstążką? To... to... to śmieszne!

- Rozumiem w takim razie, że twoja odpowiedź brzmi "nie".

Brwi dziewczyny powędrowały do góry.

- Musze mieć jasną odpowiedź. Lada moment moi agenci mogą zlokalizować następnego kandydata.

- Tak - powiedziała Teela Brown. - Odmawiam.

- Pamiętaj więc, że zgodnie z waszym prawem musisz zachować w tajemnicy to, co tutaj usłyszałaś. Otrzymasz honorarium jako konsultant.

- A komu miałabym powiedzieć? - roześmiała się głośno Teela. - Kto by mi uwierzył? Louis, czyżbyś miał zamiar wziąć udział w tym niesłychanym...

- Tak. - Louis myślał już o innych sprawach, między innymi o tym, w jaki sposób taktownie wyprosić ją z gabinetu. - Ale jeszcze nie w tej chwili. Przyjęcie ciągle trwa. A, właśnie, mogłabyś coś dla mnie zrobić? Przełącz odtwarzacz z taśmy czwartej na piątą, dobrze? I powiedz tym, którzy będą o to pytać, że przyjdę za minutkę.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Louis powiedział;

- Mam do ciebie prośbę, Nessus. Także dla twego własnego dobra.

Pozwól mi ocenić, czy dany człowiek nadaje się do tego, by lecieć w nieznanne.



- Wiesz, o jakie kwalifikacje mi chodzi - odpad Nessus - Wiesz też, że nie mamy spośród kogo wybierać.

- Sam mówiłeś, że znaleźliście kilka tysięcy...

- Wielu się nie nadaje, innych nie możemy zlokalizować. Może mi jednak powiesz, pod jakim względem Teela nie spełniała twoich własnych wymagań?

- Jest zbyt młoda.

- Każdy inny kandydat będzie jej rówieśnikiem.

- Dziedziczenie szczęścia! Dobra, w porządku, nie będę teraz o tym dyskutował. Znam ludzi, którzy mają znacznie większego świra. Kilkoro z nich jest jeszcze tutaj... Poza tym, sam widziałeś, że ona nie jest ksenofilem.

- Nie jest też ksenofobem. Nie boi się nikogo z nas.

- Nie ma iskry. Nie ma... nie ma...

- Nie ma w niej niepokoju - dopowiedział Nessus. - Jest szczęśliwa tam, gdzie jest. To rzeczywiście minus. Ona niczego nie chce. Chociaż, skąd możemy wiedzieć? Przecież jej nie zapytaliśmy.

- W porządku, szukaj sobie dalej - warknął Louis i otworzył drzwi gabinetu.

- Louis! Mówiący! - zaśpiewał niemal lalecznik. - Mam sygnał! Jeden z moich agentów znalazł następnego kandydata!

- Jak cholera - skrzywił się z niesmakiem Louis. Na środku pokoju stała Teela Brown, wpatrzona w obcego, przybyłego właśnie lalecznika. Louis budził się powoli. Pamiętał, że wchodził do sypialni, zakładał opaskę na głowę i programował godzinną drzemkę. Najprawdopodobniej było to godzinę temu. Urządzenie wyłączyło się, a jego obudził niewygodny ucisk opaski...

Nie miał jej na głowie.

Usiadł raptownie.

- Ja ją zdjęłam - powiedziała Teela Brown. - Potrzebowałeś snu.

- O rany, która godzina?

- Parę minut po siędemnastej.

- Dobry ze mnie gospodarz. Jak tam przyjęcie?

- Stopniało do około dwudziestu osób. Nie martw się, powiedziałam im, co robię. Wszyscy uznali, że to dobry pomysł.

- No, dobrze. - Louis sturlał się łóżka. -Dziękuję. Może zaszczytymy naszą obecnością tych najbardziej wytrwałych?

- Chciałabym najpierw z tobą porozmawiać.

Usiadł z powrotem. Senne otumanienie powoli ustępowało.

- O czym? - zapytał.

- Naprawdę lecisz na tę szaloną wyprawę?

- Naprawdę.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Jestem dziesięć razy starszy od ciebie. Nie muszę zarabiać na życie. Nie mam cierpliwości, żeby być naukowcem. Kiedyś trochę pisałem, ale okazało się, że to całkiem ciężka praca, a ja zupełnie się tego nie spodziewałem. Co Mi wiec zostało? Bawię się.

Potrząsnęła głową i na ścianach zatańczyły ogniste cienie.

- To wcale nie wygląda na zabawę.

Louis wzruszył ramionami.

- Moim najgorszym wrogiem jest nuda. Zabiła wielu moich przyjaciół, ale ja jej się nie dam. Kiedy mi się nudzi, ryzykuje.

- Czy nie powinienes chociaż wiedzieć, na czym polega to ryzyko?

- Dostanę dużo pieniędzy.

- Nie potrzebujesz ich.

- Za to ludzkość potrzebuje tego, co mają laleczniki. Słyszałaś przecież wszystko o tym statku z napędem hiperprzestrzennym. To jedyny statek w znanym Kosmosie, który może pokonać odległość jednego roku świetlnego szybciej, niż w trzy dni. Dokładnie czterysta razy szybciej!

- Po co latać aż tak szybko?

Louis nie był w nastroju do wygłaszania prelekcji na temat eksplozji jądra galaktyki.

- Wracajmy na przyjęcie.

- Nie! Poczekaj.

- W porządku.

Miała duże dłonie o długich, szczupłych palcach. Błyszczały odbitym światłem, gdy przeczesywała nimi nerwowo swoje płonące włosy.

- Nieżas, nie wiem, jak to powiedzieć. Louis, czy teraz jest w twoim życiu ktoś, kogo kochasz?

Nie spodziewał się takiego pytania.

- Chyba nie.

- Czy naprawdę wyglądam jak Paula Cherenkov?

W półmroku sypialni wyglądała raczej jak płonąca żyrafa z obrazu Daliego. Jej włosy świeciły swoim własnym blaskiem, niczym jaskrawopomarańczowe, ciemniejące aż do czerni dymu płomienie. W tym świetle cała reszta Teeli Brown była tylko cieniem jedynie gdzieś zarysowanym dokładniej przypadkowym odbłaskiem. Wszystkie brakujące detale znajdowały się w pamięci Louisa: długie, wspaniałe nogi, doskonale okrągłe piersi, delikatna uroda małej twarzy. Po raz pierwszy zobaczył ją cztery dni temu, uczepioną ramienia Tedrona Dohenego, który przybył na Ziemię specjalnie po to, by wziąć udział w przyjęciu.

- Myślałem, że to ona - powiedział. - Mieszka teraz na Naszym Dziale, gdzie poznałem Doherego. Kiedy was zobaczyłem, pomyślałem, że Ted i Paula przylecieli tym samym statkiem.

Dopiero z bliska zauważyłem różnice. Masz lepsze nogi, ale Paula potrafiła ładniej się poruszać. Jej twarz była...chyba zimniejsza. A może tylko mi się zdaje. .

Za drzwiami kaskadą dźwięków wybuchła komputerowa muzyka, dzika, czysta i dziwnie niekompletna bez świateł, tworzących z nią całość. Teela poruszyła się niespokojnie.

- O czym myślisz? - zapytał Louis. - Pamiętaj, że lalecznik może wybierać spośród tysięcy kandydatów. Może znaleźć czwartego członka załogi lada dzień, lada chwila. No, co? Idziemy?

- Idziemy.

- Zostaniesz ze mną, dopóki nie wyruszymy?

Teela skinęła swoją ognistą głową.  
Lalecznik pojawił się w dwa dni później.

Louis i Teela siedzieli na trawniku, zajęci wchłanianiem promieni słońca i śmiertelnie poważną rozgrywką w magiczne szachy. Louis zbił jej właśnie skoczką i zaczynał już tego żałować. Teela bardziej niż intelektem posługiwała się intuicją i nie sposób było przewidzieć jej następnego ruchu. W dodatku walczyła na śmierć i życie.

Zastanawiała się właśnie nad posunięciem, kiedy podjechał do nich robot, zwracając na siebie uwagę głośnym popiskiwaniami. Louis spojrzał na jego ekran i ujrzał na nim dwa jednookie pytony.

- Dawać go tutaj - powiedział leniwie.

Teela wstała z wdziękiem.

- Pewnie bodziecie mówić o jakichś sekretach.

- Może. Co bodziesz robić?

- Mam trochę zaległości w czytaniu. - Pogroziła mu palcem. - Nie dotykaj szachownicy!

W drzwiach minęła się z lalecznikiem. Machnęła mu lekko dłonią, a on dał sześciostopowego susa w bok.

- Przepraszam - zagruchał swoim zmysłowym głosem. - Przestraszyłaś mnie.

Teela uniosła w górę brwi i nic nie mówiąc zniknęła we wnętrzu domu.

Lalecznik spoczął koło Louisa, podkulając pod siebie swoje trzy nogi. Spojrzenie jednego oka utkwiał w Louisie, podczas gdy druga głowa poruszała się nerwowo, rozglądając się we wszystkie strony.

- Czy ta kobieta może nas śledzić?

- Oczywiście - odparł ze zdziwieniem Louis. - Wiesz przecież, że na otwartej przestrzeni nie ma ochrony przed promieniami podsłuchowymi.

- Każdy może nas szpiegować. Louis, chodźmy do twojego gabinetu.

- Nieżas! - Louisowi było doskonale wygodnie tam, gdzie akurat był. - Mógłbyś przestać machać tą głową? Zachowujesz się, jakbyś był śmiertelnie przerażony.

- Boję się, aczkolwiek wiem, że moja śmierć niewiele by znaczyła. Ile meteorów spada rocznie na Ziemię? '

- Nie mam pojęcia.

- Znajdujemy się niebezpiecznie blisko pasa asteroidów. Ale to i tak nie ma znaczenia, bowiem nie byliśmy w stanie znaleźć czwartego uczestnika naszej wyprawy.

- To niedobrze - powiedział Louis. Zachowanie lalecznika mocno go zdziwiło. Gdyby Nessus był człowiekiem...Ale nie był. - Mam nadzieję, że jednak nie zrezygnowałeś?

- Nie, chociaż spotykają nas same niepowodzenia. Przez ostatnie dni poszukiwaliśmy niejakiego Normana Haywooda KJMMCWTAD, znakomitego kandydata na członka załogi.

- I..?

- Jest absolutnie zdrowy, ma dwadzieścia cztery i jedną trzecią roku ziemskiego, jego przodkowie od sześciu pokoleń rodzili się dzięki wygranym na Loterii. Co najważniejsze, lubi podróżować. Jest w nim niepokój, którego poszukujemy.

Oczywiście spróbowaliśmy się z nim skontaktować. Przez trzy dni moi agenci deptali mu po piętach, zawsze będąc o jeden transfer z tyłu, podczas gdy Norman Haywood jeździł na nartach w Szwajcarii, uprawiał surfing na Cejlonie, robił zakupy w Nowym Jorku, odwiedzał przyjaciół w Górach Skalistych i malajach. Wczoraj wieczorem mój agent dopadł go w momencie, gdy wsiadał na statek lecący na Jinx. Statek odleciał, zanim agent pokonał naturalny strach przed zawodnymi wytworami waszej techniki.

- Rozumiem. Ja też miewam dni, kiedy nic mi się nie udaje. Nie mogliście wysłać mu wiadomości falą nadprzestrzenną.

-Louis, ta wyprawa ma pozostać w tajemnicy.

-No tak.

Osadzona na wężowej szyi głowa obracała się bezustannie w poszukiwaniu

ukrytych niebezpieczeństw.

- W końcu musi się nam udać - powiedział Nessus. - Tysiące potencjalnych kandydatów nie mogą przecież ukrywać się w nieskończoność, prawda, Louis? Przecież nawet nie wiedzą, że ich szukamy!

- Jasne, na pewno kogoś znajdziesz. Musisz.

- Ile bym dał za to, żeby tak nie było! Louis, jak mam to zrobić? Jak mam polecieć w nieznaną z trzema obcymi w eksperymentalnym statku przeznaczonym początkowo tylko dla pilota? Przecież to szaleństwo!

- Nessus, co cię właściwie gryzie? Przecież ta wyprawa to twój pomysł.

- Wcale nie. Otrzymałem rozkazy od Tych-Którzy-Rządzą, oddalonych ode mnie o dwieście lat świetlnych.

- Coś cię przeraziło. Musze wiedzieć, co. Czego się dowiedziałeś? Czy wiesz, dokąd i po co lecimy? Co się zmieniło? Przecież jeszcze niedawno miałeś dość odwagi, by publicznie znieważyć czterech dorosłych kzinów. Ej, spokojnie, spokojnie!

Lalecznik schował obydwie głowy między przednie nogi i zwinął się w kule.

- Już dobrze, wyłaż - Louis pogłodził lalecznika po widocznej części obydwu karków. Nessus zadrżał. Jego skóra była miękka jak aksamit i bardzo przyjemna w dotyku,

- Wyłażże stamtąd. Nic ci się nie stanie. Jeszcze potrafię zapewnić bezpieczeństwo moim gościom.

- To było szaleństwo! Szaleństwo! - załkał gdzieś spod swojego brzucha lalecznik. - Czy ja naprawdę obraziłem czterech kzinów?

- No wychodź, wychodź. Nic ci nie grozi. O, widzisz? - Płaska głowa wysunęła się ze schronienia i rozejrzała trwożliwie dookoła. - Nie ma się czego bać

- Czterech kzinów? Nie trzech?

- Rzeczywiście, przepraszam. Było ich tylko trzech.

- Wybacz mi - pojawiła się także druga głowa. - Okres paniki minął. Jestem w depresyjnej fazie cyklu.

- Możesz jakoś temu zaradzić?- Louisowi stanęły przed oczami niewesołe

konsekwencje, jakie mogły im wszystkim grozić, gdyby okazało się w jakimś krytycznym momencie, że lalecznik jest akurat nie w tej fazie cyklu, co trzeba.

- Mogę czekać, aż to minie. Mogę się chronić, ile to możliwe. Mogę się starać, by nie wpływało to na moją ocenę sytuacji.

- Biedny Nessus. Jesteś pewien, że nie dowiedziałeś się nic nowego?

- A czy nie wiem już wystarczająco dużo, by przerazić każdy rozsądny umysł? - Lalecznik stanął niepewnie na nogach. - Skąd wzięła się tutaj Teela Brown? Myślałem, że już jej dawno nie ma.

- Zostanie ze mną do czasu, uda ci się skompletować załogę.

- Po co?

Louis sam się nad tym zastanawiał.

Miało to niewiele wspólnego z Paulą Cherenkov. Louis zbyt się zmienił od tamtego czasu. A poza tym nie miał zwyczaju urabiania jednych kobiet na podobieństwo drugih.

To prawda, że sypialnie były przeznaczone dla dwóch osób, nie dla jednej...ale przecież na przyjęciu były także inne dziewczyny. Tyle tylko, że nie tak ładne, jak Teela. Czyżby stary, mądry Louis dał się złapać na samą urodę?

-

W tych płytkich, srebrnych oczach było coś więcej, niż uroda. Coś znacznie bardziej złożonego.

- W celu dokonania aktu cudzołóstwa - powiedział Louis Wu. Pamiętał o tym, że rozmawia z obcym, który i tak nie jest w stanie zrozumieć tego typu skomplikowanych, wybitnie ludzkich problemów. Teraz dopiero zauważył, że lalecznik ciągle jeszcze drży na całym ciele. - Chodźmy do gabinetu - dodał.

- Jest pod ziemią. Żadnych meteorytów.

Kiedy lalecznik już sobie poszedł, Louis zajął się poszukiwaniem Teeli. Znalazł ją w bibliotece, siedzącą przed czytnikiem i zmieniającą strony w tempie zawrotnym nawet dla kogoś, kto posiadał sztukę szybkiego czytania.

- Hej - pozdrowiła go. - Jak się ma nasz dwugłowy przyjaciel?

- Przerażony do nieprzytomności. A ja jestem wycieńczony. Niełatwo udzielać porad psychiatrycznych lalecznikowi Piersona.

Teela wyraźnie poweselała.

- Opowiedz mi o Tyciu seksualnym laleczników - poprosiła.

- Wiem tylko tyle, że Nessus nie ma pozwolenia na posiadanie potomstwa i bardzo nad tym ubolewa. Można przypuszczać, że brak tego zezwolenia jest jedyną przeszkodą. Nic więcej nie udało mi się z niego wydusić. Przykro mi.

- O czym w takim razie rozmawialiście?

Louis machnął ręką.

- Trzysta lat lęków. Tak długo Nessus przebywa w naszej części Kosmosu. Prawie nie pamięta planety laleczników. Mam wrażenie, że on przez te trzysta lat nawet na chwile nie przestał się bać.

Louis opadł ciężko na masujące krzesło. Usiłowanie zrozumienia zupełnie obcych problemów wycieńczyło go intelektualnie i zużyło cały jego zapas wyobraźni.

- A co ty robiłaś? Co czytasz?

- O eksplozji jądra galaktyki - odparta Teela, wskazując na ekran czytnika. Widniały na nim gwiazdy, olbrzymia ilość gwiazd pogrupowanych w obłoki, pasma i mgławice. Było ich tak dużo, że nigdzie nie można było dostrzec czerni Kosmosu.

Tak właśnie wyglądało jądro galaktyki o średnicy pięciu tysięcy lat świetlnych, kuliste skupisko gwiazd na samej osi galaktycznego wiru. Dotarła tam tylko jedna żywa istota, dwieście lat temu, na pokładzie eksperymentalnego statku laleczników. Gwiazdy były czerwone, niebieskie i zielone, największe i najjaśniejsze te czerwone. W samym środku zdjęcia znajdowała się oślepiająco biała plama; można było wyróżnić na niej strefy cienia i blasku, ale nawet ten cień świecił wielokrotnie jaśniej od otaczających ją gwiazd.

- Właśnie dlatego potrzebujecie statku laleczników; prawda?

- Tak.

- Jak to się stało?

- Gwiazdy są za blisko siebie - odpad Louis. - Średnio co pół roku świetlnego. Im bliżej centrum, tym bliżej. W jądrze są już tak blisko, że wzajemnie się ogrzewają. Rozgrzane, szybciej płoną. Szybciej się starzeją.

Dziesięć tysięcy lat temu wszystkie gwiazdy jądra znalazły się na granicy



przemiany z Nową.

I jedna z nich zamieniła się w nią. Wyzwolili się olbrzymia ilość ciepła i promieniowania. Okoliczne gwiazdy wszystko to wchłonęły. I kilka z nich wybuchło.

Powiedzmy, że trzy. Wyzwolone ciepło ogrzało następne i tak zaczęła się reakcja łańcuchowa, której już nic nie mogło powstrzymać. Ta biała plama to właśnie Supernova. Jeśli chcesz, trochę dalej może znaleźć wyjaśniającą to wszystko matematykę,

- Nie, dziękuję wycofała się, zgodnie z jego oczekiwaniami. - Teraz jest już pewnie po wszystkim?

- Tak. Światło utrwalone na tym zdjęciu jest stare, chociaż jeszcze nie dotarło do tej części galaktyki.

Reakcja łańcuchowa musiała się skończyć jakieś dziesięć tysięcy lat temu.

- Wiec po co to całe zamieszanie?

- Promieniowanie. Szybkie cząsteczki, jakie tylko chcesz. -

Relaksujący masaż powoli zaczął działać. Louis wsunął się głębiej w bezkształtną bryłę krzesła. - Znany Kosmos to mała kuleczka pełna gwiazd, oddalona od osi galaktyki o trzydzieści trzy tysiące lat świetlnych. Reakcja zaczęła się ponad dziesięć tysięcy lat temu, a to oznacza, że fala uderzeniowa dotrze do nas za około dwadzieścia tysięcy lat, zgadza się?

- Pewnie.

- A ta fala to nic innego jak tylko wszystkie możliwe rodzaje promieniowania.

- Och...

- Za dwadzieścia tysięcy lat będziemy musieli ewakuować każdą planetę, o jakiej kiedykolwiek słyszałaś, a może nawet jeszcze więcej.

- Dwadzieścia tysięcy lat to masa czasu. Gdybyśmy zacieli już teraz, na pewno dalibyśmy sobie rade nawet z tymi statkami, jakie mamy teraz.

- Nie myślisz. Przy szybkości jednego roku świetlnego na trzy dni pierwszy z naszych statków dotarłby do Obłoków Magellana nie wcześniej, niż za sześćset lat.

- Mogliby się zatrzymać, żeby uzupełnić zapasy powietrza i żywności,...

- Nie wiem, czy udałoby ci się kogoś na to namówić - roześmiał się Louis. - Wiesz, jak to będzie wyglądało? Panika zacznie się dopiero wtedy, kiedy ludzie zobaczą na własne oczy pierwsze oznaki wybuchu. A wtedy zostanie im nie więcej jak sto lat.

Laleczniki miały dobry pomysł, Wysłały zwiadowcę do jądra galaktyki, robiąc dokoła tego dużo szumu, bo potrzebne im były fundusze na dalsze badania. Zwiadowca przysłał zdjęcia, takie jak to, które widziałaś. Zanim zdążył wrócić, laleczników już nie było. Ale my tak nie zrobimy. Będziemy czekać i czekać, a gdy wreszcie zdecydujemy się na działanie, staniemy wobec konieczności jednoczesnego przetransportowania poza galaktykę trylionów istot. Będziemy potrzebować największych i najszybszych statków, jakie tylko istnieją i to w ogromnej ilości. Potrzebujemy już teraz tego nowego napędu, żeby móc już teraz zacząć go ulepszać. Oprócz tego,..

- W porządku. Lecę z wami.

- Hę? - stęknął tylko Louis, wytrącony nagle z toku przemowy.

- Lecę z wami - powtórzyła Teela Brown.

- Zwariowałaś.

- Ty przecież lecisz, prawda?

Louis zacisnął zęby, żeby powstrzymać wzbierającą w nim eksplozję. Kiedy się odezwał, mówił tonem znacznie spokojniejszym, niż mógł sam się spodziewać.

Rzeczywiście, lecę. Ale mam powody, których ty nie masz, a poza tym znam się lepiej na tym, jak pozostawać przy życiu, bo robię to trochę dłużej od ciebie,

- Ale ja mam szczęście,

Louis prychnął pogardliwie,

- I mam też swoje powody, może nie aż takie, jak twoje, ale w sumie nienajgorsze! - Uniosła głos, w którym słyhać było wyraźnie nutę gniewu.

- A pewnie, już to widzę!.

Teela zastukała palcem w widniejącą na ekranie, białą plamę.

- A to? Co, może to zły powód?

- Będziemy mieli statek laleczników niezależnie od tego, czy polecisz, czy nie. Słyszałaś, co mówił Nessus. Są tysiące takich, jak ty.

- A jestem właśnie jedną z nich!

- W porządku, jesteś. I co z tego?

- Czemu się tak o mnie troszczysz? Chyba nie prosiłam cię o opiekę, prawda?

- Przepraszam. Nie mam prawa ci nic zakazywać, jesteś przecież dorosła.

- Dziękuję, że to zauważyłaś. Zamierzam dołączyć do waszej załogi - oznajmiła oficjalnym tonem Teela.

Ona naprawdę była dorosła. Nie można jej było do niczego przymuszać, a poza tym próba narzucenia jej czegokolwiek nie tylko świadczyłaby o złym wychowaniu, ale nic by nie dała. Ale można przecież spróbować perswazji,...

- Pomyśl tylko nad tym - odezwał się Louis Wu. - Nessus robi wszystko, by utrzymać całą wyprawę w tajemnicy. Dlaczego? Co ma do ukrycia?

- To już chyba jego sprawa, prawda? Może tam, dokąd lecimy jest coś cennego? Coś, co można ukraść?

- A jeśli nawet, to co z tego? To jest przecież dwieście lat świetlnych stąd. Tylko my możemy się tam dostać!

- W takim razie może chodzić o sam statek.

Cokolwiek by o Teeli powiedzieć, z całą pewnością nie można było nazwać jej głupią. Niewykluczone, że miała racje.

- Weź naszą załogę - nie dawał za wygraną Louis. - Dwoje ludzi, lalecznik i kzin. Żadne nie jest profesjonalnym badaczem czy odkrywcą.

- Wiem, do czego zmierzasz, Louis, ale oszczędź sobie trudu. Lecę z wami. I bardzo wątpię, czy uda ci się mnie powstrzymać.

- Możesz więc przynajmniej wiedzieć, w co się pakujesz. Skąd taki dziwny dobór załogi?

- To problem Nessusa.

- Obawiam się, że i nasz. Nessus otrzymuje polecenia bezpośrednio od Tych-Którzy-Rządzą. Zdaje się, że dopiero kilka godzin temu zrozumiał, co te polecenia w istocie oznaczają, jest przerażony, Ci... ci kapłani przetrwania grają na czterech stolikach na raz, nie mówiąc już o samym celu wyprawy. - W oczach Teeli pojawiło się zainteresowanie, więc ze zdwojoną energią mówił dalej: - Po pierwsze, Nessus. Jeżeli jest wystarczająco szalony, żeby wylądować na nieznanym planecie, to czy zachowa jeszcze dość zdrowego rozsądku, żeby przeżyć? Ci-Którzy-Rządzą muszą to wiedzieć. Kiedy dotrą do Obłoków Magellana będą odbudowywać swoje handlowe imperium; podstawą jego istnienia są takie właśnie, szalone laleczniki.

Po drugie, nasz futrzasty przyjaciel. Jako ambasador swego gatunku na obcej planecie powinien być jednym z najznamienitszych kzinów, jakich w ogóle można spotkać. Czy na tyle, żeby ułożył sobie współżycie z naszą dwójką? Czy może pozabija nas dla przestrzeni życiowej i świeżego mięsa

Po trzecie, ty i twoje rzekome szczęście, Ono właśnie ma być badane. Po czwarte, ja - prawdopodobnie obiekt kontrolny. Wiesz, co sobie myślę? - Louis stał już od dosyć dawna, wylewając z siebie potok słów w opanowany do perfekcji sposób, dzięki któremu przed stu trzydziestoma laty przegrał wybory na Sekretarza Generalnego ONZ. Nie miał zamiaru do niczego Teeli zmuszać, ale bardzo, bardzo zależało mu na tym, żeby ją przekonać. - Że lalecznikom ani trochę nie zależy na tej planecie, na którą lecimy. Na co im ona, skoro wynoszą się z galaktyki? To będzie po prostu test, Zanim zginiemy, laleczniki dowiedzą się o nas masę ciekawych rzeczy.

To chyba nie jest planeta - powiedziała z namysłem Teela.

- Nieżas! Co to ma do rzeczy?! - wybuchnął Louis.

- Jeżeli mamy zginąć, to dobrze byłoby wiedzieć, gdzie i dlaczego, Moim zdaniem to statek kosmiczny.

- Co ty powiesz.

- Duży, w kształcie pierścienia, z polem siłowym do wychwytywania atomów wodoru. Wodór jest spalany, dzięki czemu uzyskuje się siła napędowa i małe słońce. Pierścień kreci się cały czas, dzięki czemu na jego wewnętrznej powierzchni wytwarza się siła odśrodkowa.

- Mmm... - mruknął Louis, myśląc o dziwnym hologramie. Chyba za mało się nad nim zastanawiał. -Możliwe. Duży, prymitywny i trudny do sterowania. Czemu mieliby się nim interesować Ci-Którzy-Rządzą?

- Na tym statku również mogą być uciekinierzy. Istoty mieszkające bliżej

jądra galaktyki dowiedziały się o wybuchu dużo wcześniej. Mogły go nawet przewidzieć tysiące lat temu, kiedy reakcja dopiero się zaczynała.

- Może i tak... A tobie udało się zmienić temat. Powiedziałem ci już, w co, według mnie, bawią się laleczniki. Mimo to lecę, bo mnie też to bawi. A dlaczego tobie wydaje się, że też chcesz lecieć?

Altruizm to okropna rzecz, ale nie powiesz mi, że przejmujesz się czymś, co ma nastąpić za dwadzieścia tysięcy lat. No, słucham dalej.

- Do licha, jeśli ty możesz być bohaterem, to ja też! A poza tym mylisz się, jeśli chodzi o Nessusa. Z pewnością wycofałby się, gdyby chodziło o misję samobójczą. Zresztą, po co lalecznikom jakieś dokładne wiadomości o nas, czy o kzinach? W jakim celu mieliby nas testować? Przecież opuszczają naszą galaktykę i już nigdy nie będą mieli z nami do czynienia.

Nie, Teela absolutnie nie była głupia. Ale...

- Nie masz racji. Laleczniki mają bardzo poważną motywację, by wiedzieć o nas jak najwięcej.

Spojrzenie Teeli ośmieliło go, by mówić dalej.

- Wszystko, co wiemy o ich migracji to tyle, że każdy zdrowy, normalny lalecznik bierze w niej teraz udział. Wiemy też, że poruszają się z prędkością o ułamek procentu mniejszą od prędkości światła. Laleczniki boją się hiperprzestrzeni.

A teraz; lecąc z taką prędkością dotrą do Obłoków Magellana za około osiemdziesiąt pięć tysięcy lat. I kogo zastaną na miejscu? - Uśmiechnął się do niej szeroko, - Nas, oczywiście. Na pewno ludzi i kzinów. Być może jeszcze kdatlyno i pierinów. Wiedzą, że będziemy zwlekać do ostatniej chwili. Wiedzą, też, że użyjemy statków poruszających się szybciej niż światło. Kiedy dotrą do Obłoków, będą mieli do czynienia z nami... albo z tym, co nas wybije. Znając nas, będą też znali naszych zwycięzców. Tak, tak, mają swoje powody, by nas dokładnie badać.

- Okay.

- Nie zmieniłaś zdania?

Teela potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- To moja sprawa.

Była zupełnie spokojna i pewna swego. I co miał z nią począć? Gdyby miała dziewiętnaście lat, zawiadomiłby rodziców. Ale ona miała dwadzieścia i oficjalnie była już dorosła. Gdzieś trzeba było zakreślić granice.

Jako dorosły człowiek miała swobodę wyboru; miała prawo oczekiwać od Louisa Wu dobrych manier; jej prywatne przekonania i decyzje były święte. Louis mógł tylko przekonywać. Najwyraźniej mu to się nie udało.

Tak więc Teela wcale nie musiała robić tego, co zrobiła. Niespodziewanie wzięła jego dłonie w swoje i łagodnie, z uśmiechem, poprosiła:

- Weź mnie ze sobą, Louis. Ja naprawdę przynoszę szczęście. Gdyby Nessus nie wybrał akurat mnie, spałbyś sam. Byłoby okropnie, sam o tym wiesz.

Miała go. Nie mógł już zrobić nic, by ją powstrzymać.

- W porządku - westchnął. - Dam mu znać.

Samotne noce byłyby rzeczywiście czymś okropnym.

## 4. Mówiący-do-zwierząt

- **P**rzyłączam się do ekspedycji - powiedziała Teela do ekranu wizjofonu.

Lalecznik zaświszczał przeciągle w okolicach dźwięku e.

- Słucham?

- Przepraszam - zreflektował się Nessus. - Jutro o 08.00 na Australijskim Polu Startowym. Rzeczy osobiste do dwudziestu pięciu ziemskich kilogramów. Louis to samo. Aaa... - Lalecznik uniósł obie swoje głowy i zaczął rozdzierająco.

- Jesteś chory? - zapytał z niepokojem Louis.

- Nie. Zobaczyłem jedynie swoją śmierć. Miałem nadzieje, że twoja argumentacja nie będzie mieć aż takiej siły przekonywania. Do zobaczenia. Spotykamy się na Polu Startowym.

Ekran ściemniał.

- Widzisz? Widzisz, co otrzymujesz w nagrodę za to, że potrafisz tak

znakomicie przekonywać?

- Nic nie poradzę, że jestem takim krasomówcą - mruknął Louis. - W każdym razie, robiłem, co mogłem. Nie miej do mnie pretensji, jeśli zginiesz straszliwą śmiercią.

Tej nocy, kiedy Louis spadał już w bezdenną otchłań snu, usłyszał jej słowa:

- Kocham cię. Lecę z tobą, bo cię kocham.

- Ja też cię kocham - wymamrotał z na wpół śpiącą uprzejmością i dopiero wtedy w pełni dotarło do niego to, co powiedziała.

- Co? Lecisz dwieście lat świetlnych dlatego, że nie chcesz się ze mną rozstać?

- Mhmm.

- Sypialnia, półjasno! - powiedział podniesionym głosem Louis.

Rozjarzyły się lampy. Unosili się tuż przy sobie między dwiema równoległymi płaszczyznami. Przygotowując się do podróży kosmicznej obydwójce usunęli ze skóry i włosów sztuczne barwniki. Warkoczek Louisa był teraz prosty i czarny, zaś wygolony zwykle skalp porastała mu siwa, krótka szczecinka. Żółtobrazowa skóra i brązowe, już nie skośne oczy zmieniły w sposób zasadniczy jego wygląd.

Teela również bardzo się zmieniła. Włosy, czarne i miękkie, związała w ogon. Jej skóra miała blady, nordycki odcień. W owalnej twarzy najbardziej zwracały na siebie uwagę duże, brązowe oczy i małe, poważne usta; nos był niemal niedostrzegalny. W emitowanym przez dwie płaszczyzny "łóżka" polu unosiła się równie lekko i nieskrępowanie jak olej na wodzie.

- Przecież nigdy nie byłeś nawet na Księżycu.

Skinęła głową.

- A ja wcale nie jestem najwspanialszym kochankiem na świecie. Sama to powiedziałaś.

Powtórne skiniecie. Teela Brown nie uznawała niedomówień. Przez te dwa dni i dwie noce ani razu nie skłamała, nie powiedziała półprawdy, nie starała się uniknąć odpowiedzi na żadne pytanie. Opowiedziała Louisowi o swoich dwóch kochankach; jeden z nich przestał się nią interesować po pół roku, drugi zaś był jej kuzynem, który otrzymał szansę wyemigrowania na Górę Widoku. Louis był znacznie bardziej powściągliwy w zwierzeniach, ona zaś

zdawała się tą powściągliwość akceptować. Sama zaś była zupełnie otwarta. I zadawała cholerne pytania.

- Więc dlaczego właśnie ja? - koniecznie chciał wiedzieć Louis.

- Nie mam pojęcia - przyznała. Może to twój czar? Jesteś przecież bohaterem.

Był w tej chwili jedynym żyjącym spośród tych, którzy po raz pierwszy zetknęli się z obcą cywilizacją. Czy ten epizod z trinokami będzie się za nim ciągnął aż do końca?

Spróbował jeszcze raz.

- Wiesz, tak się składa, że znam najlepszego kochanka na Ziemi. To jego hobby. Jest moim przyjacielem. Pisze o tym książki. Ma doktoraty z fizjologii i psychologii. Przez ostatnich sto trzydzieści lat...

Teela zasłoniła uszy rękami.

- Przestań - poprosiła. - Przestań.

- Po prostu nie chcę, żebyś zginęła. Jesteś za młoda. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia oznaczający, że znowu użył zwyczajnych słów interworldu w kontekście, który pozbawiał je jakiegokolwiek sensu. "Nagłobieg serca"? "Zginęła"? Louis westchnął, zrezygnowany.

- Sypialnia, połączyć pola - powiedział.

Dwa niezależne od siebie pola, utrzymujące Louisa i Teelę dokładnie między dwiema emitującymi je płaszczyznami zlały się w jedno. Przez chwila zdawało im się, że gdzieś spadają, a potem byli już koło siebie.

- Naprawdę chciało mi się spać, Louis... Ale nie szkodzi...

- Pomyśl jeszcze i o tym, zanim wyruszysz na wyprawę do krainy marzeń. W kabinie będzie dosyć ciasno.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie będziemy mogli się kochać? Do licha, Louis, nic mnie nie obchodzi, czy będą patrzeć, czy nie. Przecież to obcy.

- Ale mnie to obchodzi.

Znowu to zdumione spojrzenie.

- A gdyby byli ludźmi? Też byś się tym przejmował? .



- Tak. Chyba, że bardzo dobrze byśmy się znali. Czy jestem bardzo staroświecki?

- Trochę.

- Pamiętasz tego przyjaciela, o którym ci wspominałem? Tego najlepszego kochanka? Otóż miał on, hm, znajomą, która nauczyła mnie części tego, czego on uczył ją. Ale do tego potrzebne jest ciążenie - dodał. - Sypialnia, wyłączyć pole! .

- Próbujesz zmienić temat.

- Rzeczywiście. Poddaje się.

- Pomyśl jeszcze o jednej rzeczy. Twój znajomy lalecznik mógłby zażyczyć sobie przedstawicieli czterech, a nie tylko trzech gatunków. Równie dobrze zamiast ze mną mógłbyś to robić z samicą trinoka.

- Okropna-perspektywa. Wracając do rzeczy: całość składa się z trzech faz. Zaczynamy od pozycji "na jeźdźca" ... .

- Co to jest pozycja "na jeźdźca"?

- Zaraz ci pokażę...

Rano Louis był szczęśliwy, że lecą razem. Kiedy powróciły wątpliwości, było już za późno. Właściwie, było już za późno od dłuższego czasu. Zewnętrzni handlowali informacją. Dobrze za nią płacili i drogo sprzedawali, ale to, co raz kupili, sprzedawali wielokrotnie, ponieważ teren ich działania obejmował całe ramię galaktyki. We wszystkich bankach zamieszkanego przez ludzi Kosmosu mieli nieograniczony kredyt.

Najprawdopodobniej ich gatunek powstał na zimnym, lekkim księżycu jakiegoś gazowego giganta, takim, jak na przykład Nereida, największy satelita Neptuna.

Teraz zamieszkiwali przestrzeń międzygwiazdową w olbrzymich statkach, przeróżnie wyglądających i wyposażonych w urządzenia od żagli fotonowych po silniki, których istnienie, a już szczególnie działanie, według ludzkiej nauki było absolutnie niemożliwe. Jeżeli jakiś system planetarny był zamieszkanym przez potencjalnych klientów i jeżeli znajdowała się w nim odpowiednia planeta lub księżyc, Zewnętrzni zakładali tam na dzierżawionym terenie olbrzymi, rekreacyjno-handlowy ośrodek. Pięćset lat temu wydzierżawili Nereidę.

- Chyba właśnie tutaj muszą mieć coś w rodzaju swojej centrali - powiedział Louis, jedną ręką wskazując w dół, drugą zaś trzymając na sterach transportowca.

Nereida była lodową, popękaną równiną, oświetloną jasnym blaskiem gwiazd. Słońce wyglądało stąd jak duża, tłusta kropka i dawało mniej więcej tyle samo światła, co na Ziemi Księżyc w pełni. Właśnie ten blask oświetlał rozciągający się w dół labirynt, zbudowany z niewysokich ścian. Tu i ówdzie stały kopulaste budynki i orbitalne wahadłowce o nie osłoniętych niczym przedziałach pasażerskich, ale najwięcej miejsca zajmował właśnie labirynt.

- Ciekawe, po co im to? - zapytał górujący nad Louisem Mówiący-do-Zwierząt. - Do obrony?

- To coś w rodzaju plaży - wyjaśnił Louis. - Zewnętrzni funkcjonują dzięki energii termoelektrycznej. Leżą z głową w słońcu i ogonem w cieniu, a różnica temperatur powoduje przepływ prądu. Dzięki tym ścianom mają więcej miejsc, w których słońce graniczy wyraźnie z cieniem.

Nessus znacznie się uspokoił podczas dziesięciogodzinnego lotu. Zrobił obchód systemów bezpieczeństwa, zaglądając tu i tam, wtykając to jedną, to drugą głowę w najróżniejsze kąty i rzucając przez ramię zdawkowe uwagi. Jego skafander, pumpiasty balon ze wzmocnieniami na kryjącym mózg garbie, sprawiał wrażenie lekkiego i wygodnego. Systemy regenerujące żywność i powietrze były wręcz nieprawdopodobnie małe.

Trochę wszystkich zaskoczył tui przed startem. W kabinie rozległy się dźwięki dziwnej, bogatej muzyki, tęsknej niczym zawodzenie komputera opętanego manią seksualną. To był właśnie Nessus.

Dzięki swoim dwóm gardłom, umięśnionym tak, jak muszą być umięśnione narządy spełniające również funkcję rąk, był niemal chodzącą orkiestrą.

Upaął się, by za sterami koniecznie siedział Louis, a jego zaufanie do niego było tak wielkie, że nawet nie zapiął pasów. Louis podejrzewał, że na statku laleczników muszą być zainstalowane jakieś specjalne, dodatkowe urządzenia zabezpieczające.

Mówiący-do-Zwierząt zjawił się na pokładzie z dziesięciokilogramowym bagażem, który, jak się okazało, składał się niemal wyłącznie z mikrofalowego piecyka do podgrzewania mięsa i olbrzymiej porcji samego mięsa, oczywiście surowego, raczej nie ziemskiego pochodzenia. Nie wiadomo czemu Louis oczekiwał że skafander kżina będzie przypominał średniowieczną zbroję; nic z tych rzeczy. Był to raczej wielocłonowy balon, zupełnie przezroczysty, z monstualnych rozmiarów plecakiem i przypominającym mydlaną bańkę hełmie o uruchamianych językiem przełącznikach. Chociaż kżin nie miał przy

sobie żadnej widocznej broni; sam plecak sprawiał wrażenie ekwipunku wojennego i Nessus uparł się, żeby złożyć go w przedziale bagażowym.

Większą część drogi kzin po prostu przespał.

A teraz wszyscy stali za plecami Louisa, patrząc na rozciągający się pod nim krajobraz.

- Wyląduję przy statku Zewnętrznych - powiedział Louis.

- Nie. Leć jeszcze na wschód. "Szczęśliwy Traf" stoi w odosobnionym miejscu.

- Dlaczego? Obawiacie się, że Zewnętrzni mogą was szpiegować?

- Nie. Mogłaby im zaszkodzić temperatura podmuchu silników plazmowych.

- Dlaczego "Szczęśliwy Traf"?

- Nazwał go tak Beowulf Schaeffer, jedyna istota, która kiedykolwiek nim leciała. Odbił na nim podróż do jądra galaktyki.

Czy "Szczęśliwy Traf" nie ma czegoś wspólnego z hazardem?

- Ma. Zapewne ten Schaeffer nie oczekiwał, że uda mu się wrócić.

Chyba bodzie lepiej, jeśli ci od razu o tym powiem: nigdy nie pilotowałem statku z silnikami plazmowymi. Mój ma zwyczajne, takie jak ten.

- Będziesz musiał się nauczyć - powiedział Nessus.

- Chwileczkę - wtrącił się Mówiący-do-Zwierząt. - Ja już latałem statkiem z silnikami plazmowymi.

Więc to ja polecę "Szczęśliwym Trafem".

- To niemożliwe. Fotel pilota, wszystkie wskaźniki i urządzenia sterujące dostosowane są do wymagań człowieka.

Z gardła kzina wydobył się złowrogi pomruk.

- Tam, Louis. Prosto przed nami.

"Szczęśliwy Traf" okazał się przezroczystą bańką około trzystumetrowej średnicy. Louis, zataczając kręgi wokół olbrzyma, nie mógł znaleźć nawet skrawka miejsca nie zapchanego zielono-brązową maszyną napędu

hiperprzestrzennego. Sam kadłub był standardowym kadłubem General Products nr 4, tak dużym, że zwykle używało się go tylko do transportu całych, nowych kolonii. "Szczęśliwy Traf" wcale nie przypominał statku kosmicznego. Wyglądał raczej jak jakiś olbrzymi, prymitywny satelita wykonany przez rasę o tak ograniczonej technologii i zasobach naturalnych, że każdy, najmniejszy nawet wycinek przestrzeni musiał być dokładnie zagospodarowany.

- A my gdzie mamy siedzieć? - zainteresował się Louis. - Na wierzchu?

- Kabina znajduje się pod spodem. Wyląduj przy kadłubie.

Louis posadził ostrożnie statek na ciemnym lodzie, po czym podprowadził go pod olbrzymią wypukłość.

System podtrzymywania życia błyskał kolorowymi światełkami. W kabinie załogi znajdowały się dwa maleńkie pomieszczenia; w dolnym z trudem mieścił się przeciążeniowy fotel, czujnik masy i zaprojektowany w kształcie podkowy pulpit sterowniczy. Górne nie było ani odrobinę większe. Kzin poruszył się w swoim bąblastym skafandrze.

- Interesujące - powiedział. - Domyślam się, że Louis będzie podróżował w dolnej kabinie, a my w górnej?

- Tak. Ledwo udało nam się zmieścić trzy koje. Każda jest wyposażona w pole statyczne. Szczupłość miejsca nie ma znaczenia, ponieważ będziemy podróżować przy włączonym polu.

Kzin tylko prychnął w odpowiedzi. Louis poczekał, aż statek przesunie się jeszcze kilka cali, po czym wyłączył urządzenia manewrujące.

- Mam do ciebie pewną sprawę - powiedział. - Teela i ja dostajemy we dwoje tyle samo, co Mówiący.

- Chcesz dodatkowej zapłaty? Rozważę twoją sugestie.

- Chce czegoś, czego wy już nie potrzebujecie - odparł Louis. - Czegoś, co już wam do niczego się nie przyda. - To był dobry moment. Nie sądził, żeby mu się udało, ale warto było spróbować. - Chcę znać współrzędne planety laleczników.

Głowy Nessusa zakołysały się gwałtownie na wieżowych szyjach, po czym zwróciły się do siebie, mierząc się spojrzeniem swych pojedynczych oczu.

- Po co ci to? - zapytał lalecznik po dłuższej chwili.

- Kiedyś położenie planety laleczników było najcenniejszym sekretem w

całym znanym Kosmosie. Wy sami zapłacilibyście fortunę, by zamknąć usta komuś, kto by go poznał. Właśnie na tym polegała jego wartość. Poszukiwacze szczęścia sprawdzali jedną po drugiej wszystkie gwiazdy typu G i K. Nawet teraz za te informacje każda sieć zapłaciłaby niezłą sumę.

- A jeśli ta planeta znajduje się poza znanym Kosmosem?

- Hmm... - mruknął Louis. - Taką właśnie teorię wysnuł mój nauczyciel historii. Mimo wszystko, nawet sama informacja byłaby warta masę pieniędzy.

- Zanim wyruszymy na naszą wyprawie - oznajmił powoli Nessus - poznasz współrzędne planety laleczników. Przypuszczam, że informacja ta będzie dla ciebie znacznie bardziej zdumiewająca, niż użyteczna.

Głowy lalecznika spojrzały jeszcze raz na siebie.

- Zwracam waszą uwagę na cztery stożkowe...

- Tak, tak. - Louis już wcześniej zauważył cztery stożkowe wyloty, otwierające się w pobliżu kabiny.

- Czy to dysze silników plazmowych?

- Właśnie. Przekonasz się, że statek zachowuje się niemal tak samo, jakby był napędzany klasycznym silnikiem, z tą tylko różnicą, że nie ma na nim sztucznego ciężenia. Zabrakło po prostu miejsca. Co zaś do działania samego napędu nadprzestrzennego Kwantum II, to muszę zwrócić ci uwagę na...

- Mam miecz - odezwał się Mówiący-do-Zwierząt. - Zachowajcie spokój.

Dopiero po chwili znaczenie tych słów dotarło do Louisa. Odwrócił się, starając się nie robić żadnych nagłych ruchów.

Pod przeciwległą ścianą stał kzin, trzymając w dłoni o wysuniętych na całą długość pazurach coś, co przypominało nieco za duży uchwyt drążka sterowego. Trzy metry od tej rękoności, dokładnie na wysokości oczu kżina, wisiała w powietrzu mała, jarząca się czerwono kulka. Drut, który łączył ją z rękonością, był zbyt cienki, by go dostrzec, ale Louis nie miał żadnych wątpliwości, że z całą pewnością tam jest. Utrzymywany i utwardzony przez pole Slavera mógł z łatwością przeciąć niemal każdy metal, w tym także ten, z którego wykonano oparcie fotela Louisa. Kzin stał w miejscu, z którego mógł kontrolować całąabinę.

Na podłodze leżał ów olbrzymi kawał surowego mięsa; Był teraz rozerwany i widać było specjalnie dopasowane wydrążenie.

- Wolałbym co prawda jakąś bardziej humanitarną broń - powiedział Mówiący - ale żadnej takiej nie mam przy sobie. Louis, zdejmij dłonie z pryzmatów i połóż na oparciu fotela.

Louis posłuchał. Przemknęła mu myśl, czy nie spróbować sztuczki ze zmianą ciężenia, ale kzin przeciąłby go na pół, zanim zdołałby sięgnąć do przełącznika.

- A teraz, jeśli zachowacie spokój, powiem wam, co zaraz nastąpi.

- Powiedz najpierw, dlaczego - odezwał się Louis. Starł się możliwie szybko ocenić szansę. Czerwona kulka wskazywała kzinowi, gdzie znajduje się koniec niewidzialnego ostrza. Gdyby Louisowi udało się schwycić za ów koniec i nie stracić przy tym palców...

Nic z tego. Kulka była zbyt mała.

- To chyba oczywiste - odparł Mówiący-do-Zwierząt. Czarne plamy dokoła oczu nadawały mu wygląd bandyty z komiksu. Kzin nie był ani specjalnie spięty, ani zbyt rozluźniony. I stał tam, gdzie nie można go było niczym dosięgnąć. - Mam zamiar zawładnąć "Szczęśliwym Trafem". Mając go za wzór zbudujemy więcej takich statków. Dzięki nim w następnej wojnie uzyskamy nad ludźmi miażdżącą przewagę. Pod warunkiem, że oni nie będą ich mieli. To chyba jasne?

- Chyba nie obleciał cię strach przed tym, dokąd lecimy? - zapytał z sarkazmem w głosie Louis.

- Nie. - Kzin nie zwrócił uwagi na zniewagę. Sarkazmu nie rozpoznał, bo i jak? - Teraz wszyscy się rozbierzecie, żebym miał pewność, że jesteście nieuzbrojeni. Potem lalecznik założy swój skafander i razem przejdziemy na "Szczęśliwy Traf". Wy zostanieie tutaj, ale bez ubrań i skafandrów, i w unieruchomionym statku. Bez wątpienia Zewnętrzni zainteresują się, dlaczego nie wracacie na Ziemię i pojawią się, zanim skończy wam się tlen. Czy wszyscy zrozumieli?

Louis Wu, maksymalnie odprężony i jednocześnie śledzący bacznie poczynania kzina, gotów wykorzystał najmniejszy błąd, który tamten mógłby popełnić... Louis Wu zerknął kątem oka na Teelę Brown i zmartwił.

Teela szykowała się właśnie do skoku.

Wystarczyłby jeden ruch dłoni kzina, by rozciąć ją na pół.

Louis musiał działać. I to szybko.

- Tylko bez głupstw, Louis. Wstań powoli i idź w stronę ściany. Ty pierwszy zdeeee...

Reszta była już albo zawodzącym jękiem.

Louis pohamował się niemal w pół skoku, powstrzymany przez coś, czego nie rozumiał.

Mówiący-do-Zwierząt odrzucił w tył swoją pomarańczową głowie i jęczał, a właściwie niemal pisał rozdzierającym, wysokim głosem. Rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał objąć cały Wszechświat. Niewidzialne ostrze jego miecza przecięło ściany zbiornika na wole. Cenny płyn wyciekał obfitym strumieniem, ale kzin nic nie słyszał ani nic nie widział.

- Zabierzcie mu broń - polecił Nessus.

Louis ocknął się. Zbliżył się ostrożnie, gotów odskoczyć, gdyby ostrze zwróciło się w jego stronę. Kzin poruszał nim delikatnie, jakby dyrygując niewidzialną orkiestrą. Louis wyjął rękojeść z nie stawiającej żadnego oporu dłoni, dotknął odpowiedniego przycisku i czerwona kulka zbliżyła się, jakby przyciągana magnesem, do rękojeści, po czym zniknęła w niej.

- Nie odkładaj tego - powiedział Nessus. Zacisnął delikatnie szczęki na ramieniu kzina i zaprowadził go do koi. Mówiący nie stawiał żadnego oporu. Przestał też jęczeć; wpatrywał się gdzieś przed siebie, a jego duża, porośnięta sierścią twarz emanowała niezwykłym spokojem.

- Co się stało? Co mu zrobiłeś?

Spokojny, zapatrzony w nicość kzin zaczął delikatnie mrużyć.

- Patrzcie - powiedział Nessus i odsunął się ostrożnie od koi, na której spoczywał otumaniony kzin.

Obie szyje miał cały czas naprężone, a głowy wycelowane prosto w Mówiącego.

Oczy kzina oprzytomniały. Obrzucił szybkim spojrzeniem Louisa, Teelę i Nessusa, wyskrzeczając coś w Języku Bohaterów, po czym usiadł i powiedział w interworldzie:

- To było bardzo przyjemne. Szkoda, że...

Przerwał, po czym zwrócił się już tylko do lalecznika.

- Cokolwiek zrobiłeś, nie rób tego nigdy więcej.

- Wybrałem cię jako jednego z najbardziej rozwiniętych i wyrafinowanych kzinów - powiedział Nessus. - Nie omyliłem się. Tylko w kimś takim tasp może budzić aż taką obawę.

- Ach! - westchnęła tylko Teela.

- Tasp? - zapytał Louis. - A co to takiego

Lalecznik tymczasem mówił dalej do kzina:

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że będę go używał zawsze, gdy mnie do tego zmusisz. Jeżeli zbyt często będziesz używał przemocy lub straszył mnie w jakiś inny sposób, bardzo szybko uzależnisz się od niego. Ponieważ jest on chirurgicznie wszczepiony do mego ciała, będziesz musiał mnie zabić, by go zdobyć. A w niczym nie zmniejszy to twego uzależnienia.

- Bardo przebiegłe - powiedział kzin. - Niezwykła taktyka. Nie będę więcej sprawiać ci kłopotów.

- Niezas! Czy ktoś raczy mi wytłumaczyć, co to takiego ten tasp?

Wszyscy zdawali się być zaskoczeni ignorancją Louisa.

- Tasp pobudza ośrodki przyjemności w mózgu - wyjaśniła mu Teela.

- Na odległość? - Louisowi przez myśl nie przeszło, że coś takiego może być choćby teoretycznie możliwe.

- Oczywiście. To tak, jakbyś miał w mózgu elektrodę, a ktoś puścił przez nią prąd. Tyle że z taspem nie trzeba aż tyle zachodu. Zwykle jest tak mały, że możesz kierować nim jedną ręką.

- Potraktował cię tym ktoś kiedyś? Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

Teela uśmiechnęła się, rozbawiona jego delikatnością.

- Tak, wiem, jakie to wrażenie. To tak jakby... Nie, nie potrafię tego opisać. Z tym, że taspu nie używa się na sobie. Używasz go na kimś, kto się tego nie spodziewa. Właśnie na tym polega dowcip. Policja zawsze wyłapuje taspersów w parkach.

- Wasze taspę działają maksimum przez sekundę - wtrącił Nessus. - Mój działa do dziesięciu.

Działanie rzeczywiście musiało być potężne, skoro wywarło aż takie



wrażenie na Mówiącym-do-Zwierząt. Louisowi jednak nasunęła się pewna myśl.

- No, tak. Wspaniale. Naprawdę wspaniale. Kto, jak nie lalecznik może używać broni, która sprawia rozkosz nieprzyjacielowi?

- Kto jak nie pełen dumy, wysokorozwinięty, wyrafinowany osobnik może się jej bać? -zapytał kzin.

- Lalecznik ma racje: nie zaryzykuję więcej. Mógłbym naprawdę zostać jego niewolnikiem, ja, kzin, niewolnikiem roślinożercy!

- Przejdźmy na pokład "Szczęśliwego Trafu" - przerwał dyskusje Nessus. - I tak już zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu. Louis wszedł jako pierwszy.

Niemal zapalny brak ciężenia na powierzchni Nereidy nie zaskoczył go. Wiedział, jak należy się poruszać w takich warunkach. Wchodząc na pokład statku podświadomie oczekiwał, że ciężenie wróci do normy. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, z trudem udało mu się utrzymać równowagę i nie upaść.

- Ładne rzeczy - mamrotał, wdrapując się do kabiny. - Mogliby przynajmniej... Oj...

Kabina była po prostu prymitywna. Pełna ostrych rogów i krawędzi, znakomicie nadających się do rozbijania łokci i kolan. Wszystko było jakies niezgrabne, wskaźniki źle rozmieszczone...

Oprócz tego, że prymitywna, kabina była przede wszystkim mała. Nawet w statku tych rozmiarów nie starczyło miejsca na całą maszyneria. Niewiele brakowało, a nie starczyłoby miejsca dla pilota.

Tablica instrumentów, czujnik masy, kuchenka, fotel-koja i jeszcze miejsca tyle, by jeden człowiek stanął za fotelem z nachyloną mocno głową, by nie uderzyć w półkolisty sufit. Louis odwrócił się i otworzył miecz kuna.

Mówiący-do-Zwierząt przesunął się powoli obok Louisa, kierując się od razu do górnego pomieszczenia.

Dla samotnego pilota statku stanowiło ono coś w rodzaju pokoju rekreacyjnego. Teraz usunięto z niego wszelki sprzęt sportowy i czytelniki, zaś na to miejsce wstawiono trzy dodatkowe koje. Do jednej z nich wspiął się Mówiący-do-Zwierząt.

Za nim wszedł Louis, cały was trzymając na widoku otwarty miecz. Zamknął pokrywa nad koją kзина i przesunął dźwignię.

Koja zamieniła się w nieprzejryste, olbrzymich rozmiarów jajo. Wewnątrz czas stanął w miejscu i miało być tak aż do chwili wyłączenia pola statycznego. Gdyby statek zderzył się z ładunkiem antymaterii, nawet kadłub General Products zamieniłby się w zjonizowany obłok, a zamknięty w polu statycznym kzin przetrwałby to zdarzenie bez żadnego uszczerbku.

Louis pozwolił sobie na wzięcie głębszego oddechu.

Wszystko to odbyło się niczym jakiś magiczny, rytualny taniec, ale jego cel był jak najbardziej realny. Kzin rzeczywiście ma powody, by dążyć do zawładnięcia statkiem. Tasp nic nie zmienił. Trzeba zatroszczyć się o to, by Mówiący-do-Zwierząt nie miał więcej żadnych okazji.

Louis wrócił do kabiny pilota.

- Wchodźcie na pokład - wezwał Nessusa i Teelę. jakieś sto godzin później Louis Wu znajdował się już poza Układem Słonecznym.

## 5. Rozeta

**M**atematyka hiperprzestrzeni pełna jest najróżniejszych anomalii.

Pewien ich rodzaj występuje dokoła każdej odpowiednio dużej masy znajdującej się w einsteinowskim Wszechświecie. Poza nim statki mogą poruszać się z prędkością większą od prędkości światła. Jeżeli spróbują przekroczyć tą barierę wewnątrz nich - giną bez śladu.

"Szczęśliwy Traf", oddalony o okuło osiem godzin świetlnych od słońca, znalazł się właśnie poza zasięgiem otaczającej je anomalii.

A Louis Wu znajdował się w stanie nieważkości.

Miał napięte wszystkie mięśnie, walczył z kurczącą się konwulsyjnie przeponą i zdawało mu się, że jego żołądek na chwila przewróci się na drugą stronę. Wszystko to, na szczęście, miało niebawem minąć. Oprócz tego odczuwał olbrzymią potrzebę latania...

Latał już wiele razy, choćby w pozbawionym siły ciężenia Hotelu Zewnętrzny, przezroczystej, olbrzymiej kuli, krążącej po wokółksiężycowej orbicie. Tutaj, gdyby choć raz machnął rękami, z pewnością uszkodziłby coś niezmiernie ważnego.

Opuszczał Układ Słoneczny z przyśpieszeniem 2 g. Przez ponad pięć dni

pracował, jadł i spał nie opuszczając swojego fotela-koi. Mimo jego wygody i znakomitego wyposażenia był brudny i nieuczesany; mimo pięćdziesięciu godzin snu był zupełnie wycieńczony.

Jego przyszłość rysowała mu się w coraz ciemniejszych barwach. Dla niego wyprawa miała kojarzyć się głównie z niewygodą.

Niebo głębokiego Kosmosu nie różniło się specjalnie od tego, jakie widać z Księżyca; planety Układu Słonecznego nie rzucają się zbyt w oczy i łatwo można nawet nie zwrócić na nie uwagi. W kierunku południa galaktyki świeciła jasna gwiazda: Słońce.

Louis dotknął sterów. "Szczęśliwy Traf" obrócił się i gwiazdy przesunęły się pod jego stopami.

"Dwadzieścia siedem, trzysta dwanaście, tysięcy" - takie współrzędne podał Nessus, zanim Louis zamknął nad nim pokrywę jego koi. Miały to być koordynaty określające aktualne położenie migracyjnej floty laleczników. Dopiero teraz Louis zdał sobie sprawę, że wskazane miejsce nie leżało po drodze do żadnego z Obłoków Magellana, lalecznik skłamał.

Ale, pomyślał Louis, jednak było to okuto dwustu lat świetlnych stąd. I w osi galaktyki. Być może laleczniki zdecydowały się uciekać najkrótszą drogą, by potem, już poza płaszczyznę galaktyki, skierować się w stronę Obłoków. Dzięki temu uniknęłyby niebezpieczeństwa zderzenia z kosmicznymi śmieciami: obłokami pyłów, skupiskami wodoru, resztkami komet.

Zresztą, nie miało to większego znaczenia. Louis, niczym pianista przed rozpoczęciem koncertu, zawiesił dłonie nad tablicą przyrządów.

Opuścił je.

"Szczęśliwy Traf" zniknął.

Louis starał się nie patrzeć przez przezroczystą podłogę. Przestał już się zastanawiać, dlaczego w kabinie nie ma żadnych osłon. Niektórych widok taki, jak ten doprowadzał do szaleństwa; inni znosili go bez żadnych problemów. Poprzedni pilot "Szczęśliwego Trafu" musiał należeć do tej drugiej kategorii.

Utkwił wzrok w czujniku masy, przezroczystej kuli umieszczonej nad tablicą wskaźników, z której środka rozchodził się promieniście pak niebieskich linii. Czujnik, mimo szczupłości miejsca, był większy niż zwykle. Louis opadł w głąb koi i obserwował niebieskie linie.

Zmieniały się w widoczny sposób, przesuając się powoli po krzywiźnie kuli. Było to niezwykle i dosyć deprymujące. Podczas lotu ze zwykłym napędem

hiperprzestrzennym linie trwały nieruchomo przez całe godziny.

Palec Louisa spoczął na przycisku awaryjnego wysączenia napędu.

Miniaturowa kuchenka poczęstowała go porcją dziwnie smakującej kawy i zimną przekąską, która rozpadła mu się w dłoni, ujawniając układ warstw mięsa, sera, chleba i jakichś tajemniczych liści. Kuchenka powinna pójść do remontu już ładnych kilkaset lat temu. Linie w czujniku masy pogrubiały, popęzły szybciej w górę kuli i zniknęły. Na jej spodzie pojawiła się jedna, bardzo gruba krecha, o nieostrych, rozmytych krawędziach.

Louis wepchnął przycisk.

Pod jego stopami pojawił się nieznany, czerwony gigant.

- Za szybko! - parsknął z irytacją Louis. - Za szybko, do cholery! Na normalnym statku wystarczyło sprawdzać czujnik masy co jakieś sześć godzin. Tutaj nie było czasu nawet na to, żeby mrugnąć.

Louis opuścił wzrok na jasną, płomieniście czerwoną tarczę.

- Niežas! jestem już poza znanym Kosmosem!

Obrócił statek, b~ zobaczyć gwiazdy. Pod stopami przepłynęło mu obce niebo.

- Są moje! Wszystkie moje! - zarechotał, zacierając radośnie dłonie. Podczas Oderwania Louis Wu musiał sam sobie dostarczać rozrywek.

Pojawiła się znowu czerwona gwiazda; Louis pozwolił jej obrócić się jeszcze o dziewięćdziesiąt stopni, zbytnio się do niej zbliżył i teraz będzie musiał ją ominąć.

Działo się to w dziewięćdziesiątej minucie lotu.

W sto osiemdziesiątej ponownie wypadł z hiperprzestrzeni.

Obce gwiazdy nie napawały go lękiem. Na Ziemi światła miast przyćmiewały ich słabe mruganie. Pierwszą gwiazdę zobaczył mając dwadzieścia sześć lat. Upewnił się, że jest w otwartym Kosmosie, zablokował stery i wreszcie pozwolił sobie na przeciągnięcie się.

- Uuh. Oczy mam jak gotowane cebule.

Odpiął się i zawisł w powietrzu, gimnastykując lewą dłoń. Od trzech godzin dłoń ta była zaciśnięta na przycisku hamowania. W ogóle już jej nie czuł.

Pod sufitem wisały przyrządy do ćwiczeń izometrycznych. Po chwili udało mu się rozruszać mięśnie, ale nadal czuł przejmujące zmęczenie.

Hmm. Obudzić Teelę? Byłoby miło teraz sobie z nią porozmawiać. Tak, to dobry pomysł. Na następne Oderwanie biorę ze sobą kobietę. W polu statycznym, oczywiście. Trzeba chwycić, co najlepsze.

Na razie jednak czuł się jak leżące od stu lat w niewygodnej pozycji zwłoki. Stanowiłby raczej marne towarzystwo. Ech...

Nie powinien wpuścić jej na pokład "Szczęśliwego Trafu".

Bynajmniej nie ze względu na niego. Był bardzo zadowolony, że została z nim przez te dwa dni. To tak, jakby do historii Louisa Wu i Pauli Cherenkov dopisano szczęśliwe zakończenie.

Jednak w Teeli było coś płytkiego. Nie chodziło tutaj tylko o jej wiek. Przyjaciele Louisa byli w różnym wieku, a niektórzy z najmłodszych mieli naprawdę głębokie osobowości. Oni też z pewnością najbardziej cierpieli. Tak, jakby cierpienie stanowiło nieodłączną część procesu uczenia się. Tak zresztą chyba było w istocie.

Teela nie potrafiła współczuć, nie potrafiła utożsamić się z czyimś bólem. Potrafiła natomiast wyczuć czyjaś rozkosz, zareagować na nią, potrafiła stać się jej przyczyną... Była wspaniałą kochanką: aż boleśnie piękna, świeża, zmysłowa jak kot, otwarta...

Jednak żadna z tych cech nie kwalifikowała jej do uczestnictwa w wyprawie.

Życie Teeli było szczęśliwe i bezbarwne. Dwukrotnie się zakochała i dwukrotnie ona pierwsza doszła do wniosku, że to nie to: Nigdy nie znalazła się w prawdziwie stresowej sytuacji, nigdy nie została naprawdę skrzywdzona. Kiedy po raz pierwszy stanie wobec prawdziwego niebezpieczeństwa, z pewnością wpadnie w panikę.

- Ale ja wybrałem ją jako kochankę! - powiedział do siebie Louis.

- Niech diabli porwą tego Nessusa!

Gdyby Teela chociaż raz w życiu miała do czynienia z niebezpieczeństwem lub z jakąkolwiek groźną sytuacją, Nessus z pewnością odrzuciłby jej kandydaturę.

Popęłnił błąd zabierając ją ze sobą. Będzie dla niego obciążeniem. Będzie musiał ją chronić, zaniedbując swoje własne bezpieczeństwo.

Jakie niebezpieczeństwa mogą im grozić? Laleczniki byli dobrymi handlarzami. Nigdy nie przepłacały. "Szczęśliwy Traf" stanowił zapłata nieoszacowanej wartości. Louis miał niejasne przeczucie, że będą mieli niejedną okazja na nią zasłużyć.

Albo nawet na więcej.

Wrócił do koi, przespał godzinę, po czym obrócił statek i jeszcze raz runął w nadprzestrzeń.

Pięć i pół godziny od Słońca wyhamował ponownie.

Podane przez lalecznika współrzędne określały mały, kwadratowy wycinek widzianego z okolicy Słońca Kosmosu, a także odległość tego miejsca od punktu obserwacji. Ów "mały wycinek" był w istocie sześcianiem o boku długości pół roku świetlnego. W tym właśnie wycinku przestrzeni powinna znajdować się olbrzymia flota statków. W tym samym wycinku, o ile można było wierzyć wskazaniom instrumentów, znajdowali się Louis Wu i "Szczęśliwy Traf".

Daleko za sobą pozostawił pełną gwiazd kulę o średnicy siedemdziesięciu lat świetlnych. Znany kosmos był bardzo mały i bardzo daleko stąd.

Poszukiwania floty nie miały żadnego sensu. Louis nie wiedział nawet, jak wygląda to, czego ma szukać. Zamiast tego poszedł obudzić Nessusa.

Lalecznik, uczepony zębami drażka do ćwiczeń, zajrzał Louisowi przez ramię.

- Musza znaleźć kilka gwiazd, żeby się zorientować. Daj na środek tego zielono-białego giganta...

W kabinie pilota zrobiło się nagle tłoczno. Louis niemal leżał na tablicy przyrządów, chroniąc instrumenty przed wierzgającymi beztrosko kopytami lalecznika.

- Analiza widma. Aha... Teraz ta podwójna, niebiesko-żółta...

- Czego właściwie szukamy? Płomieni plazmowych? Nie, raczej używalibyście...

- Włącz teleskop. Zrozumiesz, kiedy zobaczysz.

Gęstwina obcych gwiazd. Louis zwiększał stopniowo powiększenie, aż wreszcie...

- Pięć kropek ustawionych w regularny pięciokąt, zgadza się?

- To właśnie nasz cel.

- Jeszcze tylko sprawdzę odległość... Niezas! Coś nie tak, Nessus. Są za daleko.

Lalecznik nie odezwał się.

- To i tak zresztą nie mogą być statki, nawet, jeśli nawalił odległościomierz. Przecież wasza flota porusza się prawie z prędkością światła. Byłoby to widać.

Pięć przyćmionych plamek wyznaczających wierzchołki równobocznego pięciokąta. Znajdowały się jedną piątą roku świetlnego od nich; były niedostrzegalne gołym okiem. Biorąc pod uwagę powiększenie, musiałyby być rozmiarów dużych planet. Na ekranie teleskopu jedna z nich była mniej błękitna i bardziej przyćmiona od pozostałych.

Rozeta Kemplerera. Bardzo dziwne.

Bierze się trzy lub więcej przedmiotów o jednakowych masach. Ustawia się je na wierzchołkach równobocznego wieloboku i nadaje jednakowe prędkości kątowe w stosunku do centrum ich wspólnej masy.

Figura znajduje się wtedy w stanie doskonałej równowagi. Orbity jej poszczególnych składników mogą mieć kształt elipsoidalny lub kołisty. W środku figury może znajdować się jakieś ciało, ale może go też nie być. Nie ma to żadnego znaczenia. Figura jest stabilna jak para punktów trojańskich. Jedyne problemy polegają na tym, że co prawda dowolne ciało może bardzo łatwo zostać "przechwycone" przez punkt trojański (choćby asteroidy na orbicie Jowisza), ale jest prawie niemożliwe, by aż pięć obiektów utworzyło przypadkowo rozetę Kemplerera.

- Dziwne - mamrotał pod nosem Louis. - Niezwykle, Nikt jeszcze nie widział rozety..., - Przerwał nagle.

Znajdowali się w przestrzeni międzygwiazdnej. Co oświetlało te obiekty?

- O, nie - powiedział powoli Louis Wu. - Nigdy w to nie uwierzę. Masz mnie za idiotę, czy co?

- W co tak bardzo nie chcesz uwierzyć?

- Doskonale wiesz, w co!

- Skoro tak uważasz. To właśnie cel naszej podróży, Louis. Zbliź się jeszcze bardziej, to zostanie nam wysłany na spotkanie statek.

Ów obiecany statek miał kadłub nr 3, cylindryczny, o zaokrąglonych końcach i spłaszczonym brzuchu. Był pomalowany na szokująco pomarańczowy kolor i nie miał żadnych okien. Nie miał również żadnych widocznych silników. Zastosowano na nim prawdopodobnie klasyczny, stosowany przez ludzi napęd, albo jakąś jego pochodną.

Stosując się do polecenia Nessusa Louis nie dotknął nawet sterów, pozwalając, by wszystkie manewry wykonywał tamten statek. Przy użyciu napędu plazmowego "Szczęśliwy Traf" dogoniłby "flotę" laleczników nie wcześniej niż za kilka miesięcy; obcy statek potrzebował na to niecałej godziny. Pojawił się tuż przy "Szczęśliwym Trafie" z wysuniętą już częściowo rurą cumowniczą.

Zanosilo się na to, że zejście z pokładu nie będzie wcale prostą operacją; na statku było zbyt mało miejsca, by cała załoga mogła jednocześnie wstać z koi, a poza tym była to ostatnia szansa dla Mówiącego-do-Zwierząt, jeżeliby chciał zawiadnąć "Szczęśliwym Trafem".

- Na pewno spróbuje - powiedział Louis. - Wiesz, co zrobimy?

Odłączyli stery i tablice wskaźników od głównego napędu. Oczywiście, nie było to nic skomplikowanego i kzin, mając do dyspozycji trochę czasu, z pewnością potrafiłby to naprawić. Tyle tylko, że tego czasu miał nie mieć...

Louis obserwował, jak Nessus przechodzi przez rura cumownicą. Lalecznik niósł skafander kzina i szedł po omacku, z zaciśniętymi powiekami. Wielka szkoda, bo widok był wspaniały.

- Nieważkość - powiedziała Teela, gdy otworzyła się pokrywa jej koi. - Nie czuje się zbyt dobrze. Lepiej mi pomóż. Co się stało? Jesteśmy już na miejscu?

Po drodze do śluzy Louis przedstawił jej pokrótce sytuację. Słuchała uważnie, ale Louis odniósł wrażenie, że koncentruje się raczej na tym, by zapanować nad buntującym się żołądkiem. Sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

- Na tamtym statku będzie ciężenie - pocieszył ją.

Pokazał jej pięcioboczną rozeta. Było ją już doskonale widać gołym okiem. Zdumiona Teela odwróciła się do niego gwałtownie, nagły ruch zaburzył jej poczucie równowagi i zanim zamknęły się za nią drzwi śluzy Louis zdążył jeszcze zobaczyć, jak jej twarz przybiera momentalnie zielony kolor. Rozety



Kemplerera swoją drogą, a wrażliwość na nieważkość swoją.

Kiedy odsunęła się pokrywa ostatniej koi, Louis powiedział

- Żadnych gwałtownych ruchów. Jestem uzbrojony. -

Pomarańczowa twarz kzin nie zmieniła wyrazu.

- Dotarliśmy?

- Tak. Odłączyłem napęd plazmowy. Nie dasz rady szybko tego naprawić. Jesteśmy na celowniku działa laserowego.

- A gdybym uciekł w hiperprzestrzeń? Wróć, mój błąd. Jesteśmy pewnie w zasięgu anomalii.

- Jesteśmy w zasięgu p i e c i u anomalii.

- Pięciu? Naprawdę? Ale kłamałeś z tym działem. Wstydź się, Louis...

Kzin spokojnie opuścił swoją kaje. Louis posuwał się za nim z odbezpieczonym mieczem. W śluzie kzin stanął jak wryty, zdumiony widokiem pięciu ułożonych w rozetę, świecących punktów.

Widok był rzeczywiście wspaniały.

"Szczęśliwy Traf" wypadł z nadprzestrzeni pół godziny przed "flotą" laleczników; tyle mniej więcej wynosi średnia odległość Ziemi od Jowisza. "Flota" jednak poruszała się z olbrzymią prędkością, pędząc tuż za światłem, które emitowała. Kiedy "Szczęśliwy Traf" zatrzymał się, rozety nie można było dostrzec gołym okiem. Kiedy obudziła się Teela, było ją już trochę widać. Teraz nie sposób jej było nie dostrzec, a i to cały czas dosłownie rosła w oczach.

Pięć bladoniebieskich, ułożonych w pięciokąt plamek, zbliżających się i rosnących z ogromną prędkością...

Przez mgnienie oka "Szczęśliwy Traf" był otoczony pięcioma planetami. A w chwili porem planety znikły. Nie oddaliły się, nie ściemniały, tylko znikły. Odbite od nich światło weszło w te zakresy czerwieni, których ludzkie oko nie jest w stanie dostrzec.

Mówiący-do-Zwierząt trzymał w dłoni miecz.

- Na oczy finagla! - wybuchnął Louis. - Nie ma w tobie ani krzty ciekawości?

Kzin zastanowił się przez chwilę.

- Jestem ciekawy, ale znacznie wyżej cenie sobie dume. - Schował ostrze i wręczył miecz Louisowi. - Każda groźba jest wyzwaniem. Idziemy?

Statek laleczników nie miał żadnej załogi. Całe jego wnętrze zajmowało jedno duże pomieszczenie. Na jego środku, dokoła konsoly z napojami, stały cztery koje, dostosowane kształtem do budowy osób, dla których były przeznaczone.

Na statku nie było okien.

Była natomiast grawitacja, ku szczeremu zadowoleniu Louisa. Nie była to jednak ziemska grawitacja; także powietrze niezupełnie przypominało ziemskie. Powietrze pachniało - niekoniecznie nieprzyjemnie, ale na pewno dziwnie. Louis czuł wyraźnie ozon, jakieś węglowodory, zapach laleczników - całej ich masy - i jeszcze kilka tuzinów innych, których nawet nie miał nadziei nigdy zidentyfikować.

Wnętrze pozbawione było jakichkolwiek ostrych rogów czy kantów. Wygięta ściana przechodziła płynnie w sufit i podłoga, koje i konsola sprawiały wrażenie jakby lekko nadtopionych. W świetle laleczników nie miało prawa egzystować nic ostrego ani twardego, nic, o co można by się uderzyć lub skaleczyć.

Nessus leżał rozparty na swojej koi, sprawiając wrażenie kogoś całkowicie zadowolonego z życia.

- Nie chce mówić! - poskarżyła się żartobliwie Teela.

- To chyba oczywiste - odpad lalecznik. - I tak musiałbym teraz zaczynać wszystko od początku. Bez wątpienia zastanawialiście się nad...

- Latającymi planetami - wpadł mu w słowo kzin.

- I rozetami Kemplerera - uzupełnił Louis. Ledwie słyszalny szum powiedział mu, że statek znajduje się w ruchu. Wraz z Mówiącym-do-Zwierząt zajęli miejsca na swoich kojach. Teela wręczyła Louisowi intensywnie czerwony napój w przezroczystej tubce.

- Ile mamy czasu? - zapytał lalecznika.

- Lądujemy za godzinę. Wtedy poznacie ostateczny cel naszej wyprawy.

- Powinno wystarczyć. A teraz oświeć nas: Dlaczego latające planety?

To chyba niezbyt bezpiecznie ruszać tak po Kosmosie całymi globami?

- Najbezpieczniej na świecie! - odparł z powagą lalecznik. - Dużo bezpieczniej, niż na przykład podróżować tym statkiem. A jest on znacznie bezpieczniejszy od większości waszych pojazdów. Zresztą, mamy spore doświadczenie w poruszaniu planet.

- Doświadczenie! Co przez to rozumiesz?

- Aby to wyjaśnić, będę musiał opowiedzieć wam o ciepłe... i o kontroli urodzeń. Nie będziecie czuć się zawstydzeni lub urażeni?

Potrząsnęli głowami. Louis miał na tyle silnej woli, by się nie roześmiać. Teela nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Musicie wiedzieć, że dla nas kontrola urodzeń jest sprawą niezwykle trudną. Istnieją tylko dwa sposoby, by uniknąć posiadania potomstwa: jeden to poważny zabieg chirurgiczny. Drugi - to całkowita abstynencja seksualna.

- To... to..., o k r o p n e ~- wyjąkała wstrząśnięta Teela.

- Raczej niewygodne. Nie zrozum mnie źle: zabieg nie jest substytutem abstynencji. On ma do niej zmusić. Jeszcze nie tak dawno nie było możliwe cofnięcie jego skutków, dzisiaj już można to robić. Mimo to niewielu się na niego decyduje.

Louis gwizdnął przeciągle.

- Ja myślę. Wiec podstawą waszego systemu kontroli urodzeń jest siła woli?

- Tak. Abstynencja seksualna wywołuje nieprzyjemne skutki uboczne, zarówno u nas jak i u innych gatunków. Rezultat jest oczywisty: nadmierna populacja. Pół miliona lat temu było nas pół biliona. W systemie rachunkowym kzinów będzie to...

- Jestem wystarczająco dobry z matematyki - przerwał mu kzin. - To, co mówisz, nie ma żadnego związku z niezwykłością waszej floty. - Kzin nie narzekał, tylko po prostu stwierdzał fakt. Z konsoly wydobył naczynie o dwu uszach i co najmniej półgalonowej pojemności.

- Ależ ma, zapewniam cis. Produktem ubocznym cywilizacji składającej się z pół biliona osobników jest cała masa ciepła.

- Byliście cywilizowani już tak dawno temu?

- Oczywiście. Czy prymitywna kultura dałaby radę wyżywić tak ogromną

populacje? Dawno już zużyliśmy całą nadającą się do uprawy ziemię, byliśmy więc zmuszeni przekształcić dwie planety naszego systemu tak, by można było produkować na nich żywność. Aby tego dokonać, musieliśmy, między innymi, przesunąć je bliżej naszego słońca. Rozumiecie?

- Zaczęliście zbierać doświadczenia w poruszaniu planet. Jak się domyślam, używaliście statków bezzałogowych...

- Oczywiście. Po tej operacji żywność przestała być problemem. Miejsce nigdy nim nie było. Już wtedy wznosiliśmy bardzo wysokie budowle. Najlepiej czujemy się w dużej grupie.

- To się chyba nazywa "instynkt stadny". Czy to właśnie dlatego ten statek pachnie jak stado laleczników?

- Tak. Czujemy się bezpieczniej, jeśli czujemy obecność innych. Jedynym problemem, jaki nam wówczas pozostał, było ciepło.

- Ciepło?

- Ciepło stanowiące produkt uboczny cywilizacji.

- Nie rozumiem - powiedział Mówiący-do-Zwierząt.

Louis, który rozumiał to doskonale, powstrzymał się od komentarza. Ziemia była znacznie gęściej zaludniona niż Kzin

- Dam ci przykład. Chciałbyś mieć w nocy do dyspozycji źródło światła, prawda? Bez światła musisz spać, bez względu na to, czy masz coś lepszego do roboty.

- To oczywiste.

- Przypuśćmy, że twoje źródło światła jest doskonałe, to znaczy wytwarza promieniowanie wyłącznie w zakresie widma widzialnego dla kzinów. Ale nawet wtedy ta część światła, która nie ucieknie przez okno na zewnątrz, będzie musiała zostać wchłonięta przez ściany i przedmioty znajdujące się we wnętrzu. Światło zamieni się w ciepło. Inny przykład. Na Ziemi nie ma wystarczającej ilości naturalnej, świeżej wody dla jej osiemnastu miliardów mieszkańców. Woda musi być wytwarzana. Wytwarza się przy tym również ciepło. Na naszych planetach, tylekroć bardziej zatłoczonych, nie możemy przerwać tego procesu nawet na moment.

Trzeci przykład. Środki transportu zawsze są potężnymi źródłami ciepła. Wyładowany zbożem statek lecący z jednej z planet rolniczych podczas wejścia w atmosferę wytwarza olbrzymią ilość ciepła. Jeszcze większą, gdy

startuje.

- Ale systemy chłodzące...

- Większość istniejących systemów chłodzących przepycha po prostu ciepło z jednego miejsca w drugie, dodając jeszcze do tego swoje.

- Hmm. Zaczynam rozumieć. Im więcej laleczników, tym więcej wytwarzanego ciepła.

- Czy rozumiesz więc, że ciepło, stanowiące uboczny produkt naszej cywilizacji, czyniło powoli nasz świat niezdatnym do zamieszkania?

Smog, pomyślał Louis Wu. Silniki spalinowe. W atmosferze termojądrowe bomby i raketowe silniki. Odpady przemysłowe w jeziorach i oceanach. Czasem niewiele brakuje, byśmy udusili się w naszych własnych odpadkach. Czy, gdyby nie Rada Ludnościowa, Ziemia upiekłaby się we własnym ciepłe?

- Nieprawdopodobne - powiedział Mówiący-do-Zwierząt. - Dlaczego nie przenieśliście się na inną planetę?

- Kto narażałby swe życie na tysiączne niebezpieczeństwa, czyhające w Kosmosie? Tylko ktoś taki, jak ja. Czy mieliśmy wysłać na nowe światy szaleńców?

- Mogliście wysłać statki pełne zamrożonych embrionów. Pilotami byłiby właśnie ci "szaleńcy".

- Zawsze mam kłopoty z tłumaczeniem spraw związanych z płcią. Nasza biologia nie pozwoliłaby nam na zastosowanie takich metod, ale bez wątpienia wymyślilibyśmy coś podobnego... tylko po co? Nasza liczebność bynajmniej by się dzięki temu nie zmieniła i dalej umieralibyśmy, duszeni naszym własnym ciepłem!

- Szkoda, że nie możemy wyrzeć na zewnątrz - powiedziała ni w pleć, ni w dziewięć Teela.

Lalecznik aż zamilkł na chwile ze zdumienia.

- Jesteś pewna? - zapytał wreszcie. - Nie bałabyś się?

- Bać się? Na statku laleczników?

- No, tak. Właściwie, sam widok w niczym nie zwiększy niebezpieczeństwa. Proszę bardzo. - Zagwizdał coś melodyjnie i statek zniknął.

Widzieli siebie nawzajem, koje, na których spoczywali i konsolę z napojami. Poza tym była tylko pustka Kosmosu. I pięć planet świecących białym blaskiem za czarnymi włosami Teeli.

Wszystkie były jednakowej wielkości - mniej więcej podwójnej średnicy widzianego z Ziemi Księżyca w pełni. Tworzyły regularny pięciobok. Cztery z nich otoczone były nitkami małych, żarzących się światełek - orbitalnych, sztucznych słońc, dających żółtobiałe światło. Te cztery były dokładnie takie same, jeśli chodzi o jasność i wygląd: nieco zamglone, błękitne kule, o niewidocznych z tej odległości zarysach kontynentów. Piąta natomiast...

Piąta planeta nie, miała żadnych światel na swojej orbicie. Błyszczała swoim własnym światłem, poszatwowanym nieregularnymi plamami kontynentów, poprzedzielanych czernią niemal równie głęboką, jak czerń Kosmosu. Ta czerń również była wypełniona blaskiem gwiazd. Kosmos zdawał się oblewać rozświetlone słonecznymi promieniami kontynenty.

- W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego - powiedziała Teela takim głosem, jakby z trudem powstrzymywała się od łez. Louis, który widział tyle więcej od niej, musiał się z nią zgodzić.

- Nieprawdopodobne - wymamrotał Mówiący-do-Zwierząt. - Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Zabraliście ze sobą swoje planety.

- Laleczniki nie mają zaufania do statków kosmicznych - zauważył Louis. Pomyślał z mieszaniną zdumienia i strachu, że mógłby tego nie zobaczyć, że lalecznik mógłby wybrać kogoś innego. Umarłby, nie zobaczywszy rozety laleczników...

- Ale jak?

- Wyjaśniłem już wam - podjął Nessus, - że nasza cywilizacja dusiła się w wytwarzanym przez siebie cieple. Udało nam się pozbyć wszystkich produktów ubocznych cywilizacji, właśnie z wyjątkiem tego jednego. Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko odsunąć planetę od naszego słońca.

- Czy nie było to niebezpieczne?

- Nawet bardzo. Tego roku oszalało wiele laleczników. Dlatego jest on słynny w naszej historii. Kupiliśmy od Zewnętrznych specjalny, inercyjny napęd. Możecie sobie wyobrazić, jakiej zażądali ceny. Płacimy im jeszcze do dzisiaj. Najpierw przesunęliśmy dwie planety rolnicze. Eksperymentowaliśmy też z innymi, niezamieszkałymi planetami.

W końcu udało nam się. Przesunęliśmy także i naszą.

W ciągu następnych tysiącleci osiągnęliśmy liczbę pełnego biliona. Niedostatek światła słonecznego zmusił nas do oświetlania ulic także i w dzień. Emisja ciepła zwiększyła się. Zaczęły występować anomalie w naszym słońcu.

Po pewnym czasie doszliśmy do wniosku, że słońce jest raczej przeszkodą, niż udogodnieniem. Odsunęliśmy się na odległość jednej dziesiątej roku świetlnego, używając go już tylko w charakterze kotwicy. Potrzebowaliśmy przecież planet rolniczych, a nie byłoby roztropne tułać się na oślep po Kosmosie. Gdyby nie to, w ogóle zrezygnowalibyśmy ze słońca.

- No, tak - powiedział Louis Wu. - Teraz już wiem, dlaczego nikomu nie udało się nigdy odnaleźć planety laleczników.

- Miedzy innymi właśnie dlatego.

- Odszukaliśmy każdego żółtego karła w znanym Kosmosie i sporo poza nim. Chwileczkę, Nessus. Przecież ktoś powinien natrafić na planety rolnicze. Ustawione w rozetę Kemplerera.

- Szukaliście nie tam, gdzie należało.

- Jak to? Przecież waszą macierzystą gwiazdą z całą pewnością był żółty karzeł!

- Rzeczywiście, pochodzimy z okolic żółtego karła bardzo podobnego do Procjona. Jak wiesz, za około pół miliona lat Procjon przejdzie w stadium czerwonego giganta.

- Na ciężkie łapy finagla! To właśnie stało się z waszą gwiazdą?

- Tak. Zaraz po tym, jak uporaliśmy się z przesunięciem naszej planety, rozpoczął się proces ekspansji słońca. W tym czasie twoi przodkowie rozwalali sobie jeszcze nawzajem głowy kością udową antylopy. Kiedy zaczęliście się zastanawiać, gdzie znajduje się nasza planeta, przeszukiwaliście złe orbity dokoła słońca.

Przeprowadziliśmy odpowiednie planety z pobliskich systemów, zwiększając liczbę naszych planet rolniczych do czterech i ustawiając je w rozetę Kemplerera. Było bardzo ważne, by w chwili wyruszenia w drogę poruszyć je wszystkie jednocześnie i dostarczyć im odpowiedniej ilości promieniowania ultrafioletowego. Rozumiecie więc, że gdy przyszedł czas opuszczenia galaktyki, byliśmy do tego dobrze przygotowani. Wiedzieliśmy już, jak należy poruszać planetami.

Rozeta powiększała się cały czas. Teraz planeta laleczników błyszczała pod

ich stopami, rosnąc coraz bardziej, by za chwilę ich dopaść. Migocące w czarnych oceanach gwiazdy okazały się archipelagami nieprzeliczonych wysp. Kontynenty płonęły słonecznym ogniem.

Dawno temu Louis Wu stał na szczycie Góry Widoku. Wielka Rzeka, płynąca u jej stóp kończy się największym wodospadem, na jaki kiedykolwiek natrafiono w poznanym Kosmosie. Louis patrzył w dół, tak daleko, na ile jego wzrok mógł przebić wilgotne opary.

Bezkształtna biel bezdennej otchłani oszołomiła go zupełnie i Louis, na wpół zahipnotyzowany, przysiągł sobie żyć wiecznie. Jak inaczej można zobaczyć wszystko to, co jest do zobaczenia?

Teraz odnowił tę przysięgę. Planeta laleczników była już tuż, tuż.

- Przegraliśmy - powiedział Mówiący-do-Zwierząt. Różowy, nagi ogon poruszał się nerwowo w lewo i w prawo, ale twarz i głos kzin nie zdradzały żadnych uczuć. - Wasze tchórzostwo zasługiwało w pełni na naszą pogardę, ale ta pogarda zaślepiła nas. Jesteście niebezpieczni. Gdybyście uznali nas za swoich wrogów, zniszczylibyście nas. Dysponujecie straszliwą potęgą. Nie bylibyśmy w stanie nic zrobić.

- To chyba niemożliwe, żeby kzin bał się zwykłego roślinożercy.

Nessus powiedział to bez żadnych złośliwych intencji, ale Mówiący wybuchnął:

- Jaka myśląca istota nie bałaby się takiej mocy?

- Niepokoisz mnie. Strach idzie w parze z nienawiścią. Należałoby oczekiwać, że kzin raczej zaatakuje to, czego się boi.

Dyskusja wkraczała na śliski grunt. "Szczęśliwy Traf" znajdował się dopiero na początku swojej podróży, a już setki lat świetlnych poza znanym Kosmosem. Byli zdani na łaskę i niełaskę laleczników. Jeżeli laleczniki uznają, że obcy stanowią dla nich rzeczywiste zagrożenie...

Zmienić temat, i to szybko ! Louis otworzył usta...

- Hej ! - zawołała Teela. - Cały czas mówicie o rozecie Kemplerera. Co to właściwie jest?

Kzin i lalecznik zaczęli jej to wyjaśniać, a Louis zastanowił się głęboko, jak jeszcze nie tak dawno mógł uważać Teelę za niezbyt inteligentne stworzenie o płytkiej osobowości.



## 6. Błękitna wstążka

- **Z**robiłeś ze mnie balona - powiedział Louis Wu. - Teraz rzeczywiście wiem, gdzie znajduje się planeta laleczników. Dziękuję ci bardzo. Nessus. Dotrzymałeś słowa.

- Uprzedzałem cię; że informacja ta bardziej cię zdziwi, niż okaże się użyteczna.

- To dobry dowcip - odezwał się Mówiący-do-Zwierząt. - Nie spodziewałem się, że masz poczucie humoru.

Znajdowali się nad małą, otoczoną czarnym morzem wyspą o podłużnym kształcie. Wyspa rosła, niczym ognista salamandra i Louisowi zdawało się przez moment, że dostrzeżę wyniosłe, smukłe budowle. Wyspa. No tak, trudno było ufać obcym aż na tyle, żeby wpuścić ich na kontynent.

- My nie żartujemy - odparł Nessus. - Laleczniki nie mają poczucia humoru.

- Dziwne. Zawsze myślałem, że poczucie humoru jest jednym ze składników inteligencji.

- Nie. Humor jest związany z osłabieniem mechanizmu obronnego.

- Mimo wszystko...

- Żadne inteligentne stworzenie nie osłabia swego mechanizmu obronnego.

Statek opadał coraz niżej i plamy światła zaczęły przybierać bardziej określone kształty: oświetlenie ulic, okna w budynkach, źródła światła na dużych, przypominających parki terenach. W ostatniej chwili Louisowi mignęły budynki, smukłe niczym ostrza rapierów i wznoszące się na mile w górę, a potem miasto wchłonęło ich i już byli na dole.

W parku pełnym kolorowych, nieznanym roślin.

Nikt się nie poruszył.

Laleczniki były jednym z najbardziej bezbronne wyglądających gatunków, jakie zamieszkiwały znany Kosmos. Były zbyt nieśmiałe, zbyt małe i zbyt dziwne, by ktokolwiek mógł ich się bać. Były po prostu zabawne.

Jednak nagle Nessus przestał być tylko małym, śmiesznym Nessusem, a stał się jednym z przedstawicieli rasy o wiele potężniejszej, niż ktokolwiek

mógł przypuszczać. Szalony lalecznik siedział bez ruchu, obserwując swoich podwładnych, bo tym przecież w istocie byli. Nie był ani odrobinę śmieszny. Jego rasa potrafiła poruszać planety. Pięć planet naraz.

Nagły chichot Teeli zabrzmiał wręcz szokująco.

- Pomyślałam sobie - wyjaśniła, kiedy udało jej się opanować, - że jedynym sposobem ograniczenia liczebności laleczników jest całkowita abstynencja seksualna, prawda, Nessus?

- Tak jest.

Zachichotała ponownie.

- Nic więc dziwnego, że nie macie poczucia humoru.

Szli przez park - zbyt symetryczny, zbyt regularny, zbyt uporządkowany - za prowadzącym ich błękitnym światłem.

Powietrze było aż gęste od wszechobecnego, przyprawowo - chemicznego zapachu laleczników. Zapach, sztuczny i intensywny, wypełniał wnętrze statku. Nie zniknął, gdy otworzyły się drzwi śluzy. Planeta pachniała bilionem laleczników i miała tak nimi pachnąć aż po kres swego istnienia.

Nessus tańczył; jego małe, szponiaste podkówki zdawały się w ogóle nie dotykać miękkiej powierzchni chodnika. Kzin poruszał się sprężystym, kocim krokiem, uderzając miarowo pomarańczowym ogonem. Lalecznik stepował w rytmie na trzy-czwarte. Poruszeń kzina nie można nawet było dosłyszeć.

Teela szła niemal równie cicho. jej chód sprawiał zawsze wrażenie nieco niezgrabnego, ale to nie była prawda. Nie potykała się, o nic nie zahaczała. Tak więc najmniej zgrabnym z całej czwórki okazał się Louis Wu.

Chociaż, właściwie dlaczego Louis Wu miałby być zgrabny? Podstarzała małpa, której ewolucja nigdy do końca nie dostosowała do chodzenia po ziemi. Przez miliony lat jego przodkowie chodzili na czworakach i gdy tylko zaistniała taka możliwość, wspinali się na drzewa.

Plejstocen, ze swoimi milionami lat suszy, położył temu kres. Lasy zniknęły, pozostawiając przodków Louisa głodnych i bez ochrony. W desperacji zaczęli jeść mięso. Zaczęło im się lepiej powodzić, gdy odkryli zastosowanie kości udowej antylopy, przy użyciu której roztrzaskali niejedną czaszkę.

A teraz stawiając jedną za drugą stopy wciąż jeszcze wyposażone w szcążkowe palce, Louis Wu i Teela Brown szli z dwoma obcymi przez miasto laleczników.

Z obcymi? Wszyscy byli tutaj tacy, nawet szalony Nessus z potarganą grzywą i niespokojnymi, rozglądającymi się dookoła głowami. Kzin takie nie czuł się zbyt swobodnie., Jego obrzeżone czarnymi obwódkami oczy bez ustanku przeszukiwały nieznaną roślinność w poszukiwaniu przyczajonych istot z zatrutymi żądłami lub ostrymi jak brzytwa zębami. Tak działał instynkt. Laleczniki nie dopuściłyby, żeby po ich parkach włóczyły się tak niebezpieczne stworzenia.

Dotarli do błyszczącej, niczym zagrzebana do połowy w ziemi perła, kopuły. Prowadzące ich światelko rozdzieliło się na dwie części.

- Musze was opuścić - powiedział Nessus. - Louis zobaczył, że lalecznik jest śmiertelnie przerażony.

- Idę spotkać się z Tymi-Którzy-Rządzą - Nessus mówił szybko, przyciszonym głosem. - Mówiący, powiedz mi jedną rzecz: gdybym nie wrócił, czy zacząłbyś mnie szukać, by pomścić zniewagę, jakiej dopuściłem się u „Krushenki”?

- A czy istnieje niebezpieczeństwo, że możesz nie wrócić?

- Tak. Tym-Którzy-Rządzą może nie spodobać się to, co mam im do powiedzenia: Szukałbyś mnie?

- Tutaj? Na obcej planecie, zamieszkałej przez potężne istoty, wątpiące w pokojowe intencje kzinów?

- Ogon kzina uderzył mocno w ziemię. - Nie. Ale też wycofałbym się natychmiast z udziału w ekspedycji,

- To powinno wystarczyć. - I Nessus, drżąc na całym ciele, ruszył za swoim światelkiem.

- Czego on tak się boi? - zdziwiła się Teela. - Zrobił przecież to, co mu kazali. Dlaczego miałoby mieć do niego pretensje.

- Sądzę, że on coś planuje - powiedział Louis. - Coś cholernego. Tylko co? !

Błękitne światelko ruszyło z miejsca. Weszli za nim do wnętrza matowej kopuły...

Kopuła zniknęła. Dwoje ludzi i kzin obserwowali ze swoich koi zbliżającego się przez gęstwinę wspaniałych roślin, obcego lalecznika. Albo kopuła było od wewnątrz tak doskonale przejrzyste, albo to, co widzieli - było rzucaną na jej ścianę projekcją.

Powietrze pachniało lalecznikami.

Obcy lalecznik był już prawie przy nich. (W tej chwili Louis uświadomił sobie, że myśląc o Nessusie myśli już o „nim”, nie o „tym”. Kiedy nastąpiła ta zmiana? A jednocześnie kzin był „nim” od samego początku). Zatrzymał się w miejscu, w którym musiała przebiegać granica perłowej kopuły. Jego grzywa była srebrna i zapleciona w misterne warkoczyki. Głos miał dokładnie taki sam jak Nessus - drżący, wibrujący zmysłowością kontralt.

- Wybawcie mi, że nie witam was osobiście. Możecie nazywać mnie imieniem Chiron.

A więc projekcja. Louis i Teela mruknęli zdawkowe uprzejmości, Mówiący-do-Zwierząt obnażył zęby.

- Ten, którego nazywacie Nessusem wie wszystko, czego i wy macie się dowiedzieć. Jego obecność jest teraz potrzebna gdzie indziej. Wspomniał jednak o wrażeniu, jakie wywarły na was nasze zdolności

Louis skrzywił się nieznacznie. Lalecznik mówił dalej:

- Może to się okazać bardzo pomocne. Tym lepiej powinniście zrozumieć naszą reakcję na dzieło wielokroć przewyższające to, co nam udało się dokonać.

Połowa kopuły zgasła.

Była to niestety połowa znajdująca się po przeciwnej stronie niż obraz lalecznika. Louis odnalazł co prawda dźwignie urządzenia sterującego ustawieniem koi, ale i tak potrzebowałyby dwóch głów, by jednocześnie patrzeć w obie strony. Ciemna strona kopuły rozjaśniła się niezliczonymi gwiazdami, stanowiącymi tło dla małego, jaskrawobiałego dysku.

Dysk otoczony był pierścieniem. Louis Wu oglądał powiększenie hologramu, który spoczywał w jego kieszeni.

Sam dysk bardzo przypominał Słońce oglądane z orbity Jowisza. Pierścień miał bardzo dużą średnicę, ale był wąski, niewiele szerszy od znajdującego się w jego centrum, jaskrawego źródła światła. Jego bliższa część była czarna i miała ostre krawędzie, dalsza natomiast przypominała rozciągniętą w Kosmosie, bładoniebieską wstążkę.

Louis co prawda przyzwyczajał się powoli do cudów, ale nie był jeszcze tak zblazowany, żeby wygłaszać jakieś idiotyczne teorie. Zamiast tego powiedział:

-Wygląda jak gwiazda otoczona pierścieniem. A w to właściwie jest?

- To jest gwiazda otoczona pierścieniem. Stałym. I sztucznym.

Teela klasnęła w dłonie i wybuchnęła radosnym śmiechem. Po chwili udało jej się jakoś opanować i przez moment nawet wyglądała cudownie poważnie; tylko oczy błyszczały jej jak dwa ogniki. Louis doskonale ją rozumiał. Sam poczuł przyływ podobnej radości. Otoczone pierścieniem słońce stało się jej jego prywatną zabawką; zupełnie nową rzeczą w starym, poczciwym Wszechświecie.

(Bierze się pięćdziesiąt stóp bladoniebieskiej, szerokiej na jakiś cal wstążki, najlepiej takiej, jaką obwiązuje się prezenty pod choinką. Na środku pustej podłogi stawia się zapaloną świeczkę, po czym otacza się ją ustawioną na krawędzi wstążką, tak, by jej wewnętrzna strona odbijała blask płomienia).

Ogon kżina uderzał miarowo o ziemię.

W końcu, to jednak nie była świeczka, tylko prawdziwe, duże słońce!

- Wiecie już, że od dwustu czterech ziemskich lat lecimy na północ galaktyki, dokładnie wzdłuż jej osi. Według waszej rachuby czasu będzie to...

- Wiem, dwieście siedemnaście lat - przerwał lalecznikowi kżin.

- Właśnie. Przez cały was, rzecz jasna, obserwowaliśmy rozciągający się przed nami Kosmos w poszukiwaniu ewentualnych niebezpieczeństw. Wiedzieliśmy już wcześniej, że gwiazda EC-1752 otoczona jest niezwykle zwartym pierścieniem materii. Podejrzewaliśmy, że składa się on z materiału skalnego lub zamrożonych gazów. Dziwiła nas jednak jego niespotykana regularność.

Jakieś dziewięćdziesiąt dni temu flota naszych planet osiągnęła pozycję, z której widać było wyraźnie, że ów pierścień ma doskonale równe, ostre krawędzie. Dalsze badania pozwoliły ustalić z całą pewnością, że nie składa się on ani z gazów, ani ze skał, czy choćby resztek asteroidów; stanowi jednolitą, zwartą konstrukcję o olbrzymiej wytrzymałości. Zrozumiałe, że ogarnęło nas przerażenie.

- Na jakiej podstawie ocenialiście jego wytrzymałość? - zapytał Mówiący-do-Zwierząt.

- Analiza widma i inne dokładne pomiary pozwoliły nam ustalić różnice względnych prędkości. Pierścień obraca się wokół swego słońca z szybkością 770 mil na sekundę, dzięki temu wytwarza się siła przeciwdziałająca przyciąganiu gwiazdy, a także dodatkowe przyśpieszenie rzędu 9.94 metra na

sekundę. To chyba oczywiste, że konstrukcja wytrzymująca tak olbrzymie naprężenia musi mieć wręcz niezwykłą wytrzymałość!

- Siła ciężkości - powiedział z zamyśleniem Louis.

- Nic innego.

- Nieznacznie mniejsza niż na Ziemi. Tam ktoś mieszka, na wewnętrznej powierzchni Hoooo... - ocknął się, czując, jak jeżą mu się włoski na plecach. Zapadła cisza, w której słychać było wyraźnie świst tnącego powietrze ogona Mówiącego-do-Zwierząt.

Nie po raz pierwszy ludzie natrafili na lepszych od siebie. Jak do tej pory, mieli szczęście...

Niespodziewanie Louis wstał z miejsca i podszedł do zajmującej połowę kopuły projekcji. Nic z tego. Pierścień oddalał się przed nim, aż wreszcie Louis dotknął gładkiej ściany. Ale zdołał dostrzec pewien szczegół, na który do tej pory nie zwrócił uwagi: błękitna wstążka była poszatkowana regularnie rozmieszczonymi, prostokątnymi plamami cienia.

- Możecie dać lepszy obraz?

- Możemy go powiększyć.

Gwiazda ruszyła prosto na Louisa, by minąć go po prawej stronie i zniknąć. Teraz widział już tylko oświetloną, wewnętrzną powierzchnię pierścienia. Chociaż obraz był bardzo niewyraźny, można się było domyśleć, że jasne, prawie białe obszary to chmury, ciemnoniebieskie to ląd, a jasnoniebieskie - oceany.

I cienie; długi pasek błękitu, krótki pasek cienia, długi pasek błękitu... i od nowa. Kropki i kreski.

- Te cienie nie biorą się znikąd - mruknął. - Coś na orbicie?

- Zgadza się. Dwadzieścia obiektów w kształcie prostokąta ustawionych na bliskiej orbicie w rozetę Kemplerera. jeszcze nie znamy ich przeznaczenia.

- I nie poznacie. Zbyt długo jesteście bez swojego słońca. Dzięki tym prostokątom na pierścieniu występuje cykl dzień-noc. Inaczej cały czas byłoby południe.

- Sam widzisz, dlaczego jest nam niezbędna wasza pomoc. Patrzycie na wszystko z innego punktu

- Uhm. Jak duży jest pierścień? Dokładnie go zbadaliście? Wysyłałiście jakieś sondy?

- Badaliśmy go najdokładniej, jak to było możliwe bez zmniejszania naszej prędkości i bez zwracania na siebie uwagi. Rzecz jasna, nie wysyłałiśmy żadnych sond.

Musiałyby być sterowane hiperfalą, a to mogłoby zdradzić nasze położenie.

- Przecież wyśledzenie źródła fali nadprzestrzennej jest nawet teoretycznie niemożliwe!

- Ci, którzy zbudowali pierścień mogą mieć na ten temat inną teorię.

- Hm.

- Badaliśmy pierścień przy użyciu wszystkich dostępnych instrumentów.

- Obraz zaczął się zmieniać, rozbłyskując najróżniejszymi barwami. - Robiliśmy zdjęcia i hologramy we wszystkich zakresach fal elektromagnetycznych. Jeśli cię to interesuje...

- Niewiele na nich widać.

- Rzeczywiście. Zbyt wielkie ugięcie światła w polach grawitacyjnych, do tego dochodzi jeszcze wiatr słoneczny i obłoki pyłu... Nasze teleskopy nie zdołały dostrzec nic więcej.

- Więc w sumie niewiele udało się wam dowiedzieć.

- Powiedziałbym, że raczej sporo. W tym czegoś bardzo dziwnego: pierścień zatrzymuje niemal dokładnie 40 procent neutrinów.

Twarz Teeli wyrażała zwykłe zdziwienie, ale Mówiący-do-Zwierząt aż prychnął ze zdumienia, Louis zaś przeciągle zagwizdał.

To było rzeczywiście coś .

Zwyczajna materia, nawet ta ściśnięta straszliwie w jądrze gwiazdy, nie jest w stanie zatrzymać właściwie żadnego neutrina. Warstwa ołowiu grubości kilku lat świetlnych zatrzymałaby może jedno.

Każdy przedmiot znajdujący się w polu statycznym Slavera odbijał wszystkie neutrina. Podobnie kadłub General Products.

Nic jednak nie zatrzymywało czterdziestu procent neutrinów przepuszczając

resztę.

- To coś nowego - przyznał Louis. - Jak duży jest ten pierścień? Ile waży?

- Jego masa w gramach wynosi dwa razy dziesięć do trzydziestej, długość promienia w milach 0.95 razy dziesięć do ósmej, zaś szerokość niecałe dziesięć do szóstej.

Louis nie bardzo radził sobie z abstrakcyjnymi potęgami dziesięciu, więc postanowił przetłumaczyć je na liczby bardziej przemawiające do wyobraźni.

Jego skojarzenie z ustawioną na krawędzi kolorową wstążką okazało się jak najbardziej słuszne. Średnica pierścienia wynosiła ponad dziewięćdziesiąt milionów mil - długość jakieś sześćset milionów, obliczył szybko w pamięci - zaś jego szerokość od krawędzi do krawędzi niecały milion mil. Waży trochę więcej od Jowisza.

- To niezbyt dużo - zauważył na głos. - Coś tak ogromnego powinno chyba mieć masę sporego słońca

- To tak, jakby kazać miliardom istot żyć na powierzchni nie grubszej od folii aluminiowej - dodał kzin.

- Jest niezupełnie tak, jak mówicie - odparł lalecznik. - Gdyby konstrukcja pierścienia była wykonana z takiego samego metalu, jak kadłuby naszych statków, miałby on pięćdziesiąt stóp grubości.

Pięćdziesiąt stóp? Trudno było w to uwierzyć.

Teela, z osami utkwionymi w suficie, poruszała szybko ustami.

- Zgadza się - powiedziała wreszcie. - Tylko... po co to wszystko? Na co komuś było potrzebne?

- Dla przestrzeni.

- Przestrzeni?

- Dla przestrzeni życiowej - powtórzył z naciskiem Louis. -

Tylko o to chodziło, o nic więcej. Sześćset bilionów mil kwadratowych powierzchni to trzy miliony razy więcej niż wynosi powierzchnia Ziemi. To tak, jakby zrobić w skali 1:1 mapy trzech milionów planet i połączyć je krawędziami. Trzy miliony planet, do których można dojść na piechotę! To musi rozwiązać każdy problem ludnościowy.



A ten ich musiał być rzeczywiście nielichy! Nie robi się czegoś takiego z nudów ani dla przyjemności.

- Właśnie - wtrącił się kzin. - Chiron, czy przeszukaliście pobliskie systemy w poszukiwaniu podobnych pierścieni?

- Tak, ale...

- ... nie znaleźliście żadnego. Tak myślałem. Gdyby mieli napęd nadprzestrzenny, zasiedliliby inne układy. Nie potrzebowaliby wtedy pierścienia. Dlatego właśnie jest tylko ten jeden.

- Zgadza się.

- No, to już lepiej. Więc przynajmniej pod jednym względem mamy nad nimi przewagę. - Kzin zerwał się ze swego miejsca. - Czy mamy zbadać powierzchnię pierścienia?

- Lądowanie może okazać się zadaniem zbyt ryzykownym... ,

- Nonsens. Musimy przecież wypróbować statek, który dla nas przygotowaliście. Czy jego systemy lądowania są wystarczająco uniwersalne? Kiedy możemy wyruszyć?

Z obydwu gardeł Chirona wydobył się nieskoordynowany, zdumiony gwizd.

- Jesteś chyba szalony! Zastanów się, jaką potęgą muszą dysponować ci, na których dzieło patrzysz!

Przy nich nawet moja rasa wygląda jak zbieranina barbarzyńców.

- Albo tchórzy.

- Jak sobie chcesz. Obejrzyjcie wasz statek, kiedy tylko wróci ten, którego nazywacie Nessusem. Przedtem musicie jeszcze dowiedzieć się wielu rzeczy.

- Nadużywasz mojej cierpliwości - powiedział kzin, ale usiadł na swoim miejscu.

Ty kłamco, pomyślał Louis. Świetnie to zagrałeś. Jestem z ciebie dumny: On sam czuł w żołądku nieprzyjemny ucisk. Błękitna wstążka wisiała między gwiazdami, a człowiek po raz kolejny spotkał lepszych od siebie. Najpierw byli kzinowie.

Kiedy ludzie po raz pierwszy zastosowali w swoich statkach napęd termojądrowy, wojenna flota kzinów od już dawna używała polaryzatorów

gravitacji. Dzięki temu ich statki były o wiele szybsze i zwrotniejsze. Opór ziemskiej floty byłby tylko symboliczny, gdyby nie Lekcja Kzinów: Każdy napęd stanowi broń o skuteczności działania wprost proporcjonalnej do jego sprawności.

Pierwszy najazd kzinów na zamieszkały przez ludzi Kosmos stanowił dla nich nie lada szok. Ludzie od stuleci żyli w pokoju, zapominając już niemal, co to wojna. Ale ziemskie statki były napędzane zasilanymi energią termojądrową silnikami fotonowymi, do których zapłonu niezbędne były olbrzymie, montowane na asteroidach działa laserowe.

Kiedy więc telepaci kzinów po raz kolejny powtarzali, że ludzie nie dysponują żadną bronią, w statki najeźdźców uderzyła ulewa ognia.

Działania wojenne, spowolnione stawianym przez ludzi oporem i nieprzekraczalną barierą prędkości światła, toczyły się dziesiątkami lat. Jednak prędzej czy później, kzinowie i tak wygraliby tę wojnę.

Wygraliby, gdyby na małej, ziemskiej kolonii nazywanej Nasze Dzieło nie wylądował statek Zewnętrznych. Gubernator kupił od nich, oczywiście na kredyt, plany napędu hiperprzestrzennego. Koloniści nic wówczas nie wiedzieli o toczącej się cały czas wojnie.

Dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy zbudowali pierwsze statki szybsze od światła.

Kzinowie nie mieli żadnych szans.

Później pojawiły się laleczniki, włączając znany Kosmos do swego handlowego imperium.

Ludzkość miała naprawdę wiele szczęścia. Trzykrotnie natrafiła na rasy stojące na o wiele wyższym stopniu technologicznego rozwoju. Kzinowie zniszczyliby ją, gdyby nie hiperprzestrzenny napęd Zewnętrznych. Zewnętrzni z kolei nie chcieli nic oprócz informacji i miejsca na bazy, a i to nawet kupowali, nie zabierali. Zresztą Zewnętrzni, delikatne istoty o metabolizmie opartym na helu II, byli zbyt wrażliwi na ciepło i ciężenie, by prowadzić zbrojne podboje. Zaś laleczniki, potężne ponad wszelkie wyobrażenie były zbyt tchórzliwe.

Czym dziełem był Pierścień? Może rasy..., wojowników?

W kilka miesięcy później Louis wiedział już, że był to przełomowy moment jego życia. Do tej chwili mógł się jeszcze wycofać - ze względu na Teelę, rzecz jasna. Pierścień poznawany przez same liczby był już wystarczająco przerażający. Zbliżyć się do niego, ba, wylądować...

Louis był świadkiem, jak bardzo przeraziły kżina latające planety laleczników. Kłamstwo Mówiącego-do-Zwierząt stanowiło akt niesłychanej odwagi. Czy on, Louis, mógł teraz okazać się tchórzem?

Spojrzał na zajmujący połowę kopuły obraz. Kiedy jego wzrok zahaczył po drodze o Teelę, Louis zaklął siarczyście w duchu. Jej twarz wyrażała tylko zachwyty i zdumienie. Jej zapał był równie szczery, jak kżina udawany. Czy była zbyt głupia na to, by się bać?

Nad wewnętrzną powierzchnią pierścienia znajdowała się atmosfera.

Analizy widma wykazały, że jej gęstość i skład zbliżone są do ziemskiej; mogli nią oddychać zarówno człowiek, jak kżin i lalecznik.

Skąd tam się wzięła i jak się utrzymywała, pozostawało tajemnicą. Trzeba po prostu polecieć i sprawdzić.

Dokoła gwiazdy G2 nie znajdowało się nic oprócz Pierścienia; żadnych planet, asteroidów ani komet.

- Dokładnie wysprzątałi - zauważył Louis. - Nie chcieli, żeby coś rąbnęło w Pierścień.

- Oczywiście - zgodził się lalecznik. - Gdyby coś miało uderzyć w Pierścień, uczyniłaby to z prędkością co najmniej 770 mil na sekundę. Bez względu na twardość i wytrzymałość materiału, zawsze istniałoby niebezpieczeństwo trafienia w wewnętrzną, zamieszkaną powierzchnię.

Sama gwiazda była odrobinę mniejsza i trochę chłodniejsza od Słońca.

- Będziemy chyba potrzebować skafandrow termicznych - powiedział Mówiący-do-Zwierząt.

- Wcale nie - odparł Chiron. - Temperatura wewnętrznej powierzchni mieści się w granicach tolerancji wszystkich naszych trzech gatunków.

- Skąd o tym wiesz?

- Promieniowanie podczerwone emitowane przez zewnętrzną...

- Pytam jak głupiec.

- Wcale nie. My badamy Pierścień już od jakiegoś czasu, ty dowiedziałeś się o jego istnieniu zaledwie przed kilkoma minutami. Na podstawie promieniowania podczerwonego można przypuszczać, że temperatura

wewnętrznej powierzchni wynosi około 290 stopni w skali absolutnej. Dla Louisa i Teeli jest to optimum, dla ciebie o jakieś dziesięć stopni więcej.

- Niech was nie trwoży ani nie zmyli nasza dbałość o szczegóły - dodał Chiron. - Nie zezwolimy na lądowanie, o ile nie zgodzą się na nie sami budowniczo Pierścienia. Chcemy po prostu, byście byli przygotowani na każdą ewentualność.

- Nie znacie żadnych szczegółów ukształtowania powierzchni?

- Niestety, nie. Nasze instrumenty mają zbyt małą zdolność rozdzielczą.

- Sporo, możemy się domyślać - odezwała się Teela. - Na przykład tego, że mają trzydziestogodzinną dobę. Widocznie tak właśnie było na ich rodzinnej planecie.

Sądycie, że pochodzą właśnie z tego systemu?

- Przypuszczamy, że tak, ponieważ raczej nie dysponowali napędem nadprzestrzennym - odpowiedział Chiron. - Ale przecież mogli przeprowadzić swoją planetę do innego systemu, używając takiej samej techniki, jak nasza.

- I tak pewnie zrobili - zadudnił kzin - bo inaczej przy budowie Pierścienia musieliby zniszczyć cały swój system. Sądzę, że ich macierzysty układ możemy znaleźć całkiem niedaleko stąd, tak samo ogołocony z planet, jak i ten. Najpierw zapewne zasiedlili wszystkie zdatne do tego planety, a dopiero potem zdecydowali się na ten desperacki krok.

- Desperacki? - powtórzyła Teela.

- Kiedy skończyli budowę Pierścienia, po prostu przyprowadzili tutaj wszystkie zamieszkane planety.

- Albo i nie - zauważył Louis. - Do transportu ludności wystarczyłyby przecież duże statki.

- Dlaczego desperacki? - nie ustępowała Teela.

Wszyscy spojrzeli na nią.

- Myślałam, że zbudowali go dla..., dla... - zająknęła się. - Dlatego, że chcieli.

- Dla zabawy? Dla ładnych widoków? Pomyśl, ile trzeba było na to materiałów i energii. A jednocześnie cały czas mieli na głowie problem z przeludnieniem. Kiedy wreszcie jedynym rozwiązaniem stał się Pierścień, z pewnością nie mogli już sobie na niego pozwolić. Zbudowali go jednak, bo go

potrzebowali.

- Hmm... - mruknęła z zadumą Teela.

- Wraca Nessus - oznajmił Chiron, po czym bez słowa zrobił w tył zwrot i zniknął wśród krzewów.

## 7. Dyski Transferowe

- **N**ie był to szczyt dobrego wychowania - zauważyła Teela.

- Najwyraźniej chciał uniknąć spotkania z Nessusem. Nie mówiłem? Laleczniki uważają go za niespełna rozumu.

- Oni wszyscy są zdrowo stuknięci.

- No, oni akurat tak nie uważają, ale to wcale nie znaczy, że nie masz racji. Ciągłe chcesz lecieć?

Teela odpowiedziała takim samym spojrzeniem, jakim obdarzyła go wtedy, gdy próbował jej wyjaśnić, co to takiego "nagłobicie serca".

- A wiec chcesz - stwierdził ze smutkiem Louis.

- Oczywiście. Kto by nie chciał? Dlaczego te laleczniki aż tak się tego boją?

- Ja to rozumiem - powiedział Mówiący-do-Zwierząt. - Są tchórzami. Ale dlaczego w takim razie upierają się, by dowiedzieć się czegoś więcej? Minęły już przecież Pierścień z prędkością niewiele mniejszą od prędkości światła, a jego budowniczości z całą pewnością nie znali napędu nadprzestrzennego. Czyli nie stanowią ani nigdy nie będą stanowić dla laleczników żadnego niebezpieczeństwa. Nie bardzo rozumiem, jaką rolę mamy w tym wszystkim my odegrać.

- Nic dziwnego.

- Czy mam to odebrać jako zniewagę?

- Co? Nie oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o to, że to my mamy ciągle problemy z przeludnieniem, nie wy. Skąd wiec mielibyście to rozumieć?

- Chyba, że tak. Wyjaśnij wiec, jeśli możesz.

Louis rozglądał się dookoła w poszukiwaniu Nessusa.

- Nessus zrobiłby to chyba lepiej ode mnie. No, ale trudno. Wyobraź sobie bilion laleczników zamieszkujących tę planetę: Potrafisz?

- Mogę wyczuć każdego z nich. Na samą myśl zaczyna mnie wszystko swędzić.

- A teraz wyobraź je sobie na Pierścieniu. I co, już lepiej?

- Mmm. Tak. Mając do dyspozycji osiem do siódmej razy więcej miejsca... Ale to nie me sensu. Czy przypuszczasz, że laleczniki planują zbrojny podbój? A jak miałyby potem przenieść się na Pierścień?

Przecież wiesz, że nie mają zaufania do statków kosmicznych.

- To rzeczywiście problem. Poza tym, one przecież nie walczą. Ale nie o to tutaj chodzi. Pytanie brzmi tak: Czy Pierścień jest bezpieczny?

- Rozumiesz? Może chcą zbudować swoje własne Pierścienie? Może spodziewają się, że tam, w Obłokach Magellana, znajdą puste, czekające na zasiedlenie? Wcale nie musi to się okazać tylko pobożni życzeniem. Ale zanim zdecydują się na cokolwiek, muszą wiedzieć, czy to jest bezpieczne.

- Idzie Nessus. - Teela wstała z miejsca i podeszła do niewidzialnej ściany. - Wygląda, jakby był pijany. Czy laleczniki piją?

Nessus nie truchtał, jak zwykle. Posuwał się krok za krokiem na czubkach swoich kopytek z przesadną ostrożnością okrążając każdą przeszkodę. Jego dwie głowy obracały się we wszystkie strony, omiatając okolicę przerażonym spojrzeniem. Był ledwie kilka kroków od kopuły, kiedy coś przypominającego dużego, parnego motyla usiadło mu na zadzie. Nessus wrzasnął jak przerażona kobieta i wykonał rekordowy skok wzwyż z miejsca. Upadając przetoczył się kilkanaście stóp, po czym zamarł w bezruchu, zwinięty w ciasną kulę:

Louis już biegł.

- Depresyjna faza cyklu! - krzyknął przez ramie. Trochę dzięki dobrej pamięci, a trochę dzięki szczęściu trafił na wyjście z kopuły i po chwili był już na zewnątrz.

Wszystkie kwiaty pachniały jak laleczniki. (jeżeli całe życie na planecie opierało się na tych samych podstawowych związkach chemicznych, to w jaki sposób Nessus przyswajał sobie odżywcze składniki z ciepłego soku z marchwi? ) Louis ominął jaskrawopomarańczowy krzak i przykłęknął koło lalecznika.

- To ja, Louis - powiedział. - Jesteś bezpieczny.

Wyciągnął rękę i zaczął delikatnie gładzić zmierzwioną grzywę lalecznika. Nessus szarpnął się, po czym powrócił do poprzedniej pozycji.

Nie wyglądało to zbyt dobrze. Cóż, na razie nie było potrzeby, by zmuszać lalecznika do stanięcia oko w oko z nieprzyjaznym światem.

- Czy to było coś niebezpiecznego? To, co na tobie usiadło?

- To? Nie. - Uwodzicielski kontrakt był może nieco przytłumiony, niemniej jednak ciągle piękny. - był tylko... wachacz kwiatów.

- Jak ci poszło z Tymi-Którzy-Rządzą?

Nessus drgnął nerwowo.

- Wygrałem.

- Świetnie. Co wygrałeś?

- Prawo do rozmnażania się i parę partnerów.

- I właśnie dlatego tak się boisz? - Nie było to wcale niemożliwe, pomyślał Louis. Nessus mógł być przecież odpowiednikiem samca Czarnej Wdowy, dla którego miłość równała się wyrokowi śmierci albo Nerwowej Dziewicy. Którejkolwiek płci. Czy raczej: jakiegokolwiek.

- Mogłem przegrać, Louis - powiedział lalecznik. - Sprzeciwiłem się im. Zagroziłem im.

- Mów dalej.

Podeszli do nich Teela i kzin. Louis cały nas gładził potarganą grzywę, ale lalecznik nie poruszał się.

- Ci-Którzy-Rządzą - podjął Nessus - obiecali przyznać mi prawo do spłodzenia potomka, oczywiście wtedy, jeśli uda mi się powrócić cało z ekspedycji. Ale to było za mało. Aby mieć potomstwo, musiał najpierw mieć partnerów. A kto z własnej woli połączy się z szalonym lalecznikiem?

Musiałem blefować. Znajdźcie mi partnera, powiedziałem, albo wycofuje się z udziału w wyprawie.

Jeżeli ja to zrobię, tak samo uczyni kzin. Tak powiedziałem,

Wprawilo ich to we wscieklosc.

- Wyobrazam sobie. Musiales chyba byc w stanie maniakalnym.

- Specjalnie sie do niego doprowadzilem. Zagrozilem im unicestwieniem ich planow. Ustapili. Musi sie znalezc ochotnik, powiedzialem, ktory zdecyduje sie zostac moim partnerem.

- Znakomicie. Swietnie to rozegrales. I co, znalezli sie ochotnicy?

- Jedna z naszych plci stanowi... власnosc. Jej przedstawiciele sa nieinteligentni; glupi. Potrzebowalem tylko jednego ochotnika. Ci-Ktorzy-Rzadzaja...

- Dlaczego nie powiesz po prostu "przywodcy" albo "rzadzacy"? - przerwala mu Teela.

- Staram sie dokladnie tlumaczyc nasze terminy - odparl lalecznik. - Wlasciwie, to powinno sie tlumaczyc jako "Ci-Ktorzy-Dowodza-Z-Tylu". Spozród nich wybierany jest jeden przewodniczacy; czy Mowiacy-Za-Wszystkich... W dokladnym przekladzie jego tytul brzmi: Najlepiej Ukryty.

To wlasnie Najlepiej Ukryty zgodzil sie byc moim partnerem. Powiedzial, ze takiego poswiecenia nie moze oczekiwac od nikogo innego.

Louis gwizdnal przeciagle.

- No, tak. To rzeczywiscie cos. Rzeczywiscie. Lepiej, zebyś trzasl sie teraz, kiedy juz po wszystkim.

Nessus jakby sie troche odprezyl.

- Tylko ten zaimek - mowil dalej Louis. - Teraz albo o tobie, albo o Najlepiej Ukrytym musze zaczac myslec jako o niej, nie o nim.

- To bardzo niedelikatnie z twojej strony, Louis. Nie dyskutuje sie o sprawach plci z przedstawicielem obcej rasy. - Pojawila sie jedna pytonowa glowa i spojrzala z dezaprobatą na Louisa. - Ty i Teela nie kopulowalibyscie chyba w mojej obecności, prawda?

- Ciekawe, kiedyś zaczęliśmy rozmawiac na ten temat i Teela powiedziala...

- Jestem urazony - oznajmil lalecznik.



- Niby czemu? - zawołała Teela. Głowa dała momentalnie nura do bezpiecznego schronienia. - Oj, daj spokój! Przecież nic ci nie zrobie!

- Prawdziwie?

- Prawdzi... To znaczy, naprawdę. Uważam, że jesteś niezłym spryciarzem.

Lalecznik rozprostował się,

- Czy mi się zdawało, czy nazwałaś mnie spryciarzem?

- Aha. - Spojrzała w górę, na pomarańczowe cielsko Mówiącego-do-Zwierząt. - I ty też - dodała wielkodusznie.

- Nie chciałbym, żebyś odebrała to jako obrazę - powiedział kzin - ale nigdy więcej tego nie mów. Nigdy.

Na twarzy Teeli pojawił się wyraz autentycznego zdumienia. Park otoczony był wysokim na jakieś dziesięć stóp, pomarańczowym płótem wyposażonym w zwisające bezwładnie macki. Sądząc po ich wyglądzie, płót musiał być kiedyś mięsożerny. Nessus kroczył zdecydowanie w jego stronę.

Louis oczekiwał, że w płocie lada moment ukaze się jakaś przerwa, toteż oniemiał ze zdumienia widząc, że Nessus kieruje się prosto na pomarańczową ścianę. Ściana rozstała się, przepuszczając lalecznika, po czym natychmiast się zamknęła.

Nie zwlekając poszli w jego ślady.

Przed chwilą niebo nad ich głowami miało barwę jasnoblękitną; kiedy znaleźli się po drugiej stronie, było czarno-białe. Na parnym tle wiecznej nocy błyszczały, rozświetlone blaskiem miasta, białe obłoki: Znajdowali się bowiem w mieście.

Na pierwszy rzut oka jedynym, co różniło je od ziemskich miast, była wielkość. Budynki były większe, bardziej klockowe i zuniformizowane; przede wszystkim były wyższe, niebotycznie wysokie, tak że oświetlone okna i balkony wznosiły się, zdawało się, bez końca, by dopiero gdzieś na jakiejś straszliwej wysokości zakończyć się poszarpaną linią tego, co tutaj było horyzontem, a co znajdowało się prawie w zenicie. Tutaj można już było dostrzec kąty proste, których na próżno by szukać we wnętrzach. Tutaj kąty te były już po prostu zbyt duże, by rozbić o nie kolano.

Jak się jednak działo, że miasto nie zdominowało skrawka nieba nad parkiem? Na Ziemi znajdowało się niewiele budowli myjących ponad mile wysokości; tutaj żadna nie miała mniej. Louis domyślił się, że park musi być

otoczony całym pierścieniem pół uginających światło. Nie pofatygował się jednak, by o to zapytać - i tak był to najmniejszy z cudów planety laleczników.

- Nasz pojazd znajduje się po drugiej stronie wyspy - powiedział Nessus. - Korzystając z dysków transferowych możemy dotrzeć tam w ciągu niespełna minuty. Pokaże wam.

- Już nic ci nie jest?

- Nic, Teelo. Jak powiedział Louis, najgorsze już minęło. - Lalecznik podskakiwał lekko kilka metrów przed nimi. - Będę się kochać z Najlepiej Ukrytym. Musze tylko wrócić z Pierścienia.

Ścieżka była miękka i wygodna. Wyglądała jak zrobiona z betonu, ale szła się po niej jak po sprężystej, wilgotnej ziemi. Doszli wreszcie do końca niezwykle długiej ściany i znaleźli się na czymś w rodzaju skrzyżowania.

- Idziemy tędy- powiedział Nessus, wskazując przed siebie. - Nie wchodźcie na pierwszy dysk. Idźcie za mną.

Na środku skrzyżowania znajdował się duży, niebieski czworokąt. U każdego z jego boków, dokładnie naprzeciwko wylotu ulicy, widniał niebieski dysk.

- Jeśli chcecie, możecie stanąć na czworokącie - zwrócił się do nich Nessus - ale uważajcie, żeby nie wejść na niewłaściwy dysk.

Ominął najbliższy z nich, przeciął po przekątnej czworokąt, wszedł na dysk po drugiej stronie i zniknął.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem Teela wydała dziki wrzask uszcześliwionego wilkołaka, wbiegła na ten sam dysk i również zniknęła.

Mówiący-do-Zwierząt parsknął coś w języku Bohaterów i skoczył. Żaden tygrys nie zdołałby dokładniej wymierzyć. Louis został sam.

- Na wszystkie demony Krainy Mgieł - mruknął ze zdumieniem. - Mają otwarte kabiny transferowe.

I ruszył przed siebie.

Stał w obrębia niebieskiego kwadratu na następnym skrzyżowaniu, dokładnie między lalecznikiem i kzinem.

- Twoja partnerka wysforowała się do przodu - powiedział Nessus.

- Mam nadzieję, że poczeka na nas.

Lalecznik zszedł z kwadratu i po trzech krokach stanął na kolejnym dysku. Po czym już go nie było.

- Co za pomysł! - wykrzyknął z podziwem Louis. Nikt go nie słuchał, bowiem kzin poszedł już w ślady Nessusa. - Po prostu idziesz, to wszystko. Trzy kroki i skaczesz. I możesz skakać tak daleko, jak zechcesz. To czary!

Po czym zrobił trzy kroki.

Zupełnie, jakby miał na nogach siedmiomilowe buty. Biegł lekko przed siebie i co trzy kroki zmieniał się roztaczający się dokoła niego widok. Okrągłe znaki na rogach budynków były kodami adresowymi, dzięki którym każdy podróżujący mógł się łatwo zorientować, gdzie jest.

Wzdłuż ulic znajdowały się szeregi wystaw, które Louis z ciekawością by obejrzał. A może to wcale nie były wystawy, tylko coś zupełnie innego? Pozostali jednak znacznie już go wyprzedzili, toteż przyspieszył kroku, próbując ich dogonić.

W pewnej chwili znalazł się twarzą w twarz z dwoma obcymi.

- Obawiałem się, że nie będziesz wiedział, kiedy skręcić - powiedział Nessus i wskoczył na dysk po lewej stronie.

- Poczekajcie... - kzin również zniknął. Gdzie, u diabła, była Teela?

Z pewnością gdzieś z przodu. Louis zrobił krok w lewo...

Siedmiomilowe buty. Miasto przepływało obok niczym sen. Louis biegł, a po głowie tańczyły mu dzikie myśli. Różnokolorowe dyski transferowe, działające na różne odległości. Te długodystansowe, co sto mil, każdy w środku miasta i te krótkodystansowe, co skrzyżowanie. Ze skrzyżowania na skrzyżowanie, z miasta do miasta, z wyspy na wyspę, z kontynentu na kontynent...

Otwarte kabiny transferowe. Laleczniki osiągnęły przerażająco wysoki stopień rozwoju. Każdy dysk miał niespełna jard średnicy i zaczynał działać jeszcze zanim do końca się na nim stanęło. Jeden krok i lądowało się w zupełnie innym miejscu. Jak śmiesznie wyglądały przy tym ruchome chodniki!

W wyobraźni Louisa powstawał obraz olbrzymiego lalecznika, wysokiego na kilkaset mil, przeskakującego ostrożnie i z wdziękiem z wyspy na wyspę, nawet bardzo ostrożnie, bo gdyby nie trafił, mógłby zamoczyć sobie kopytka... Monstrualny lalecznik rósł i rósł... Teraz przeskakiwał już z planety na planetę...

Laleczniki naprawdę osiągnęły przerażająco wysoki stopień rozwoju.

Dyski skończyły się. Louis stał nad brzegiem spokojnego, czarnego oceanu. Nad horyzontem wznosiły się afery olbrzymie księżyce. W połowie drogi między nim a horyzontem jarzyła się miliardami światła następna wyspa. Obcy czekali na niego.

- Gdzie jest Teela?

- Nie mam pojęcia - odparł Nessus.

- Na grube łapy finagla! Nessus, jak ją teraz znajdziemy?

- To ona musi nas znaleźć. Nie ma powodu do obaw. Kiedy...

- Zgubiła się na zupełnie obcej planecie! Wszystko może się zdarzyć!

- Nie tutaj, Louis. W całym Wszechświecie nie istnieje miejsce bezpieczniejsze od tego. Kiedy Teela dotrze do brzegu wyspy przekona się, że dyski, które powinny przenieść ją na następną, nie działają.

Ruszy wtedy wzdłuż brzegu, aż trafi na ten właściwy, który będzie działał.

- Czy tobie się zdaje, że mówisz o komputerze? To dwudziestoletnia dziewczyna!

Tuż obok niego pojawiła się Teela.

- Hej. Trochę się zgubiłam. Coś się stało?

Mówiący-do-Zwierząt obdarzył go kpiącym, wyszczerzonym uśmiechem.

Louis, starając się uniknąć pytająco-zaciekawionego spojrzenia Teeli poczuł, że się rumieni.

Ale Nessus powiedział tylko:

- Idźcie za mną.

I poszli. Nad samym brzegiem znajdował się ciemnobrązowy pięciokąt. Weszli na niego...

Stali na nagiej, rzęsiście oświetlonej skale. Była to właściwie skalista wyspa wielkości prywatnego kosmodromu. Na jej środku wznosił się wysoki budynek, a obok samotny statek kosmiczny.

- Oto nasz pojazd - oznajmił Nessus.

Teela i Mówiący-do-zwierząt musieli poczuć się zawiedzeni, bowiem uszy kzina niemal zupełnie zniknęły w pomarańczowym futrze, Teela zaś obejrzała się żałośnie na wyspę, z której dopiero co przybyli. Natomiast Louis wreszcie się rozluźnił. Miał już dosyć cudów. Dyski transferowe, olbrzymie miasto, cztery planety wiszące nad horyzontem..., wszystko to działało na niego przygnębiająco. Statek zaś nie. Był to kadłub General Products nr 2 osadzony na trójkątnym skrzydle, z którego sterczały znajome dysze silników. Wreszcie coś swojskiego.

Kzin zatroszczył się o to, by błogie uczucie swojskości zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

- Jeżeli spojrzeć na to z punktu widzenia laleczników, to jest to dosyć dziwaczna konstrukcja. Czy nie czułbyś się bezpieczniej, gdyby wszystkie urządzenia statku znajdowały się pod osłoną kadłuba?

- Nie. Ten statek to coś zupełnie nowego. Chodźcie, to wam pokaże.

Uwaga kzina nie była pozbawiona słuszności. General Products, korporacja kontrolowana w całości przez laleczniki, handlowała najróżniejszymi rzeczami, ale głównym towarem były od niepamiętnych czasów kadłuby statków kosmicznych. Istniały nich cztery rodzaje: od kuli o wymiarach piłki do koszykówki do kuli o ponad tysięczstopowej średnicy. W taki właśnie kadłub wyposażony był "Szczęśliwy Traf". Kadłub nr 3, obły cylinder, nadawał się znakomicie do uniwersalnych statków pasażerskich. Taki właśnie statek wysadził ich kilka godzin temu na planecie laleczników. Kadłub nr 2 przypominał kształtem wąskie, zaostrome na końcach cygaro; z reguły przeznaczony był tylko dla jednej osoby.

Kadłuby General Products przepuszczały swobodnie widzialne światło.

Dla energii elektromagnetycznej w każdej innej postaci, a także dla wszystkich rodzajów materii, stanowiły zaporę nie do pokonania.

Korporacja ręczyła za to swoją reputacją i reputacja ta przetrwała już setki lat i miliony statków. Kadłub General Products sam w sobie stanowił najpewniejszą z możliwych gwarancji bezpieczeństwa.

Stojący przed nr statek miał kadłub General Products nr 2.

O ile jednak Louis mógł dostrzec, w jego wnętrzu znajdowały się jedynie systemy podtrzymywania życia i zespół napędu nadprzestrzennego. Cała reszta - małe i duże silniki plazmowe, aparatura nawigacyjna, miotacze ciągu i

silniki hamujące - umieszczone były na wielkim skrzydle w układzie delta.

Ponad połowa koniecznych dla funkcjonowania statku układów znajdowała się poza kadłubem. Dlaczego nie użyć większego i wsadzić wszystko do środka?

Lalecznik podprowadził ich pod zwężającą się rufę statku.

- Chodziło nam o to, by prawie nie naruszać kadłuba - powiedział.

Przez przezroczystą powłokę Louis dostrzegł grubą jak jego udo wiązkę kabli, wychodzących z zewnątrz i rozpełzających się po skrzydle; wyglądało to dosyć skomplikowanie. Dopiero potem zauważył silnik, który mógł wciągnąć całą tą płataninę do środka i luk, gotowy w każdej chwili do zamknięcia niepotrzebnego otworu.

- Kadłub zwykłego statku musi być poprzecinany w wielu miejscach - podjął lalecznik. - W tym znajdują się tylko dwa otwory: śluza wejściowa i ten, który właśnie widzicie. Przez pierwszy z nich wchodzi i wychodzą pasażerowie, przez drugi informacje. Obydwa mogą być w razie potrzeby szczelnie zamknięte.

Nasi inżynierowie pokryli wewnętrzną stronę kadłuba warstwą przezroczystego przewodnika. Kiedy zamknie się obydwie wejścia, tworzy się jednolita, przewodząca powierzchnia.

- Pole statyczne - domyślił się Louis.

- Otóż to. W razie niebezpieczeństwa całe wnętrze kadłuba zostaje objęte na kilkanaście sekund działaniem pola statycznego Slavera. Zostaje wstrzymany upływ czasu, dzięki czemu pasażerom nie może stać się nic złego. Nie jesteśmy tak głupi, by ufać wytrzymałości samego kadłuba. Promień lasera działającego w zakresie widzialnego światła może bez przeszkód przejść przez powłokę, zabijając pasażerów i nie wyrządzając najmniejszej szkody samemu statkowi. To samo z antymaterią; sam kadłub nic tutaj nie pomnie.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Bo też nikt tego specjalnie nie rozgłasza.

Louis przyłączył się do kżina, który cały czas badał leje skierowanych w dół dysz.

- Po co aż tyle silników?

- Chyba ludzie nie zapomnieli Lekcji Kżinów? - prychnął Mówiący-do-

zwierząt.

- Hm. - Każdy lalecznik zajmujący się historią ludzi lub kzinów musiał także o tym wiedzieć. Każdy rodzaj napędu jest jednocześnie środkiem niszczenia o skuteczności działania wprost proporcjonalnej do swojej sprawności. Te dysze mogły służyć dla celów jak najbardziej pokojowych, ale drzemała w nich niszczycielska siła.

- Teraz już wiem, dlaczego umiesz pilotować statek o napędzie plazmowym.

- Chyba nic w tym dziwnego, że przeszedłem normalne, wojenne przeszkolenie, prawda, Louis?

- Na wypadek następnej wojny z ludźmi.

- Czy mam zademonstrować, jak mnie wyszkolono?

- Będziesz miał okazję - przerwał im Nessus. - Nasi inżynierowie przystosowali urządzenia sterujące do wymagań kzina. Czy chcesz je obejrzeć?

- Zerknę na nie. Potrzebuję też wszystkich danych na temat lotów próbnych, zapisów działania urządzeń i tak dalej. Daliście standardowy napęd hiperprzestrzenny?

- Tak. Nie było żadnych lotów próbnych.

To typowe, pomyślał Louis, gdy zbliżali się już do śluzy wejściowej.

Zbudowali statek i postawili go tutaj, żebyśmy przylecieli i go sobie zabrali. Musieli tak zrobić.

Żaden lalecznik nie odważyłby się go sprawdzić.

Gdzie podziała się Teela? Otwierał już usta, by zapytać o to głośno, kiedy dziewczyna pojawiła się znikąd na dysku transferowym. Cały czas gdzieś sobie skakała, zupełnie nie interesując się statkiem. Weszła z nimi na pokład, ale cały czas zerknęła przez ramię na błyszczące na horyzoncie miasto laleczników.

Louis czekał na nią przy śluzie. Miał zamiar porządnie ją obsztorcować. Zgubiła się już raz i to powinno jej wystarczyć.

Drzwi otworzyły się i weszła przez nie rozpromieniona Teela.

- Och, Louis, tak się cieszę, że tutaj przyleciałam! To miasto! Jest... jest...

cudowne! - Chwyciła jego dłonie w swoje i ścisnęła z całej siły. Jej uśmiech był jak promień słońca.

Nie mógł jej tego zrobić.

- Cieszę się - powiedział i pocałował ją mocno. Objąwszy ją ramieniem podszedł do pulpitu sterowniczego.

Teraz był już pewien; Teela Brown nigdy jeszcze nie została przez nikogo ani przez nic skrzywdzona. Po prostu nie wiedziała, że czasem można i należy się bać. Pierwszy ból, jakiego zazna, będzie stanowił dla niej szokujące i niezrozumiałe przeżycie. Niewykluczone, że ją po prostu zniszczy.

Louis Wu postanowił zrobić wszystko, żeby nic takiego nigdy jej nie spotkało.

Bogowie nie opiekują się głupcami. Głupcami opiekują się silniejsi głupcy. Kadłub General Products nr 2 ma dwadzieścia stóp szerokości, sto stóp długości i zwęża się na obu końcach.

Większość urządzeń statku znajduje się poza kadłubem, na cienkim, zbyt dużym skrzydle. Sam kadłub jest wystarczająco duży, by pomieścić trzy kabiny, długi, rozszerzony w jednym miejscu korytarz, sterownię, kuchnię i całą masę schowków, baterii, wszelkich pomocniczych urządzeń i tak dalej, i tak dalej. Tablica przyrządów została przygotowana z myślą o tym, że pilotem statku będzie kzin. Louis co prawda odniósł wrażenie, że w razie niebezpieczeństwa dałby sobie radę, ale to niebezpieczeństwo musiałyby być naprawdę duże.

W schowkach znajdowało się nie przebrane bogactwo najróżniejszego sprzętu eksploracyjnego. Nie było tam nic takiego, co Louis mógłby wskazać palcem i powiedzieć: "To jest broń", ale wiele rzeczy mogło właśnie jako broń służyć. Oprócz tego Louis dostrzegł cztery skutery powietrzne, cztery plecaki odrzutowe, zestawy do testowania żywności, zestawy medyczne, zestawy do analizowania powietrza, filtry... Ktoś był cholernie pewien, że ten statek jednak gdzieś wyląduje.

Właściwie, czemu by nie? Istoty tak potężne jak budowniczy Pierścienia, a jednocześnie zamknięte jak w puszcze z powodu braku napędu nadprzestrzennego, mogą przecież zaprosić ich do siebie. Może właśnie tego oczekiwały laleczniki.

Na pokładzie nie znajdowało się nic, co Louis mógłby wskazać palcem i powiedzieć: "To na pewno nie jest broń".

Załoga statku składała się z przedstawicieli trzech gatunków; czterech, jeżeli kobietę i mężczyznę uznać by za nie spokrewnione ze sobą istoty, a tak



właśnie mogli uważać zarówno kzin, jak i lalecznik.

(Przypuśćmy; że Nessus i Najlepiej Ukryty byli tej samej płci. Czy nie mogło być tak, że do zapłodnienia potrzeba dwóch samców i jednej, bezrozumnej, samicy?) Dzięki temu budowniczy Pierścienia mogli od pierwszej chwili stwierdzić, że różne rasy mogą jednak ze sobą pokojowo współ egzystować.

Jednak zbyt wiele przedmiotów z wyposażenia statku mogło służyć jako broń.

Wystartowali na napędzie inercyjnym, by przypadkiem nie zniszczyć wysepki. Po pół godzinie znaleźli się poza zasięgiem przyciągania rozety laleczników. Dopiero wtedy Louis zdał sobie sprawę, że oprócz Nessusa i transmitowanego do kopuły obrazu Chirona nie zobaczyli ani jednego lalecznika.

Po wejściu w nadprzestrzeń Louis spędził ponad półtorej godziny przeglądając dokładnie całą zawartość schowków. Lepiej zdziwić się teraz, niż później, powiedział sobie.

Jednak cały ten arsenał i pozostałe wyposażenie wywołały u niego najpierw niesmak, a potem jakieś niedobre przecucie:

Zbyt wiele broni. A jednocześnie każda z nich mogła być użyta jako coś innego. Lekkie lasery. Silniki plazmowe. Kiedy pierwszego dnia lotu z napędem hiperprzestrzennym urządzili chrzest statku, Louis zaproponował, by nazwać go "Cholerny Kłamca". Teela i Mówiący, kierując się jakimiś swoimi motywami, przystali na to. Nessus, kierując się jakimiś swoimi motywami, nie zaprotestował.

Byli w nadprzestrzeni cały tydzień, pokonując w tym czasie odległość ponad dwóch lat świetlnych.

Kiedy powrócili do normalnej przestrzeni, znajdowali się w pobliżu otoczonej błękitnym pierścieniem gwiazdy typu G2; niedobre przecucie nie opuszczało Louisa ani na moment.

Ktoś był cholernie pewien, że jednak wylądują na Pierścieniu.

## 8. Pierścień

**P**lanety laleczników gnały na północ galaktyki z prędkością niemal równą prędkości światła. Mówiący-do-zwierząt, po wprowadzeniu statku w nadprzestrzeń, skręcił na południe i kiedy "Kłamca" powrócił do przestrzeni

einsteinowskiej, pędził z dużą szybkością prosto na opasane tajemniczą konstrukcją słońce.

Gwiazda świeciła oślepiającym, białym blaskiem. Bardzo przypominała Słońce oglądane z orbity Plutona. Ta gwiazda miała jednak jeszcze ledwo dostrzegalne halo. Louis miał nigdy nie zapomnieć tego widoku - tak właśnie wyglądał Pierścień oglądany gołym okiem.

Kzin hamował pełnym ciągiem, oprócz wielkich silników plazmowych używając do tego także mniejszych, pomocniczych. "Kłamca" mknąc przed siebie niczym mała kometa, wytrącając prędkość z przeciążeniem ponad 200g.

Teela nie miała o tym pojęcia, ponieważ Louis nic jej nie powiedział. Nie chciał jej niepokoić. Gdyby zniknęła utrzymywana w kabynie sztuczna grawitacja, zostaliby rozplaszczeni jak karaluchy.

Sztuczna grawitacja działała jednak bez zarzutu, wytwarzając delikatne ciśnienie, takie samo, jak na planecie laleczników. Pod stopami auli ledwo zauważalne, przytłumione drżenie, zaś do ich uszu docierał niski pomruk. Odgłosy pracy silników dostawały się do wnętrza przez jedyny otwór w kadłubie - ten, którym wychodziła wiązka kabli. Dostawszy się do środka, były wszędzie.

Nawet podczas lotu w nadprzestrzeni kzin nie włączył polaryzacji ścian kadłuba. Lubił widzieć wszystko dookoła, to zaś, co widział, najwyraźniej nie robiło na nim większego wrażenia. Tak więc statek był cały czas przezroczysty, z wyjątkiem kabin, dzięki czemu przedstawiał sobą widok dość zdumiewający.

Przechodzące w siebie łagodnymi łukami ściany, podłogi i sufity korytarza i sterowni były nie tyle przezroczyste, ile po prostu niewidzialne. W czymś, co wydawało się absolutną pustką tkwiły opoki solidności - kzin w swoim fotelu-koi, otoczony podkową zielonych i pomarańczowych wskaźników, żarzące się neonowym blaskiem krawędzie drzwi, koje w korytarzu, pełniącym również rolę czegoś w rodzaju pokoju zebrań, bliżej rufy matowe ściany kabiny i, oczywiście, wielki trójkąt skrzydła. Dokoła świeciły gwiazdy. Wszechświat wydawał się bardzo bliski...i jednocześnie statyczny, bowiem obrzeżone pierścieniem słońce znajdowało się dokładnie przed rufą, skryte za nieprzenikliwymi ścianami kabin, toteż nie mogli obserwować, jak rośnie z minuty na minutę.

Powietrze pachniało ozonem i lalecznikami.

Nessus, który powinien kulić się ze strachu gdzieś w kącie, porażony wizją dwustukrotnego przeciążenia, siedział spokojnie wraz z innymi przy

ustawionym w rozszerzeniu korytarza stole.

- Z pewnością nie znają fal nadprzestrzennych - perorował. -

Gwarantuje to matematyka, na jakiej opary jest ich system. Poza tym, fala nadprzestrzenna stanowi uogólnienie matematyki napędu nadprzestrzennego, a tego przecież też nie mają.

- Ale mogli ją odkryć zupełnie przypadkowo.

- Nie, Teelo Możemy zresztą spróbować coś podsłuchać, bo i tak nie mamy teraz nic do roboty, ale... , .

- Nic, tylko czekać i czekać! - Teela zezwała się z miejsca i wybiegła z pomieszczenia.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie lalecznika Louis tylko wzruszył ramionami.

Teela znajdowała się w fatalnym nastroju. Tydzień spędzony w nadprzestrzeni niemal zanudził ją na śmierć, a perspektywa dalszego co najmniej półtora dnia zupełnej bezczynności doprowadzała ją do szału. Czego jednak chciała od Louisa? Czy miał zmienić dla niej prawa fizyki?

- Musimy czekać - potwierdził ze swego miejsca przy pulpicie sterowniczym Mówiący-do-Zwierząt.

Najprawdopodobniej nie zwrócił uwagi na ton jakim Teela powiedziała ostatnie słowa. - Żadnych transmisji hiperfalowych. Gwarantuję że mieszkańcy Pierścienia z pewnością nie próbują się z nami skontaktować. W każdym razie nie w ten sposób.

Kwestia nawiązania kontaktu urosła do rangi głównego problemu. Dopóki nie uda im się porozumieć z budowniczymi Pierścienia, ich obecność w zamieszkanym systemie gwiazdnym będzie miała posmak czegoś wybitnie nielegalnego. Jak dotąd jednak nic nie wskazywało na to, by ktoś zauważył ich obecność.

- Prowadzę ciągły nasłuch - powiedział kzin. - Jeżeli będą chcieli skontaktować się z nami przy użyciu fal elektromagnetycznych, z pewnością ich usłyszę.

- Chyba, że spróbują czegoś oczywistego.

- Słusznie. Wiele gatunków korzystało z pasma zimnego wodoru.

- Jak na przykład kdatlyno. Bardzo zgrabnie was wykryli.

- A my bardzo zgrabnie ich podbiliśmy.

W Kosmosie radio rozbrzmiewa najróżniejszymi odgłosami gwiazd. Cisza panuje jedynie w zakresie dwudziestu jeden centymetrów, wyczyszczonym przez niezliczone sześciennicze lata światła zimnego, międzygwiazdowego wodoru. Każda myśląca rasa, pragnąca skontaktować się z innymi istotami, użyłaby właśnie tego pasma. Niestety, wyrzucany przez dysze "Kłamcy" wodór o temperaturze Nowej zagłuszał dokładnie ten właśnie zakres.

- Pamiętajcie - odezwał się Nessus - żeby nasza orbita nie przechodziła przez wnętrze Pierścienia.

- Powtarzałeś to wiele razy. Zbyt wiele. Mam znakomitą pamięć.

- Nie możemy pozwolić na to by mieszkańcy Pierścienia uznali nas za zagrożenie dla swojej egzystencji. Ufam, że o tym nie zapomnisz.

- Jesteś lalecznikiem. Niczemu nie ufasz. Ani nikomu.

- Spokojnie, spokojnie - przerwał im zmęczonym tonem Louis. Te uszczypliwości stanowiły ten rodzaj urozmaicenia monotonii lotu, bez którego mogli doskonale się obejść. Poszedł do swojej kabiny, by się zdrzemnąć.

Mijały godziny. "Kłamca", poprzedzany plazmowym płomieniem, spadał coraz wolniej ku tajemniczej gwiazdzie.

W czułe ślepie instrumentów nie trafiła żadna spójna wiązka światła. Mieszkańcy Pierścienia albo jeszcze nie zauważyli "Kłamcy", albo nie znali zastosowania laserów jako znakomitych przyrządów obserwacyjnych i nadawco-odbiorczych.

Podczas spędzonego w nadprzestrzeni tygodnia, Mówiący-do-Zwierząt przez znaczną część swego wolnego czasu przebywał w towarzystwie ludzi. Louis i Teela polubili jego kabinę panowała w niej nieco większa grawitacja, ściany zdobiły hologramy przedstawiające złotopomarańczową dżunglę i starożytne, tajemnicze fortece, zaś w powietrzu unosiły się ostre, zmienne zapachy obcego świata. W swojej własnej kabinie mogli podziwiać miejskie widoczki i oceaniczne pola uprawne, do połowy pokryte genetycznie przyszyżonymi wodorostami. Kzinowi podobało się to znacznie bardziej niż im.

Kiedyś spróbowali nawet zjeść razem posiłek, ale kzin jadł niczym wygłodniały wilk, a poza tym skarżył się, że ich potrawy czuć przypalonymi śmieciami, więc dali z tym spokój.

Teraz Teela i kzin rozmawiali przyciszonymi głosami przy jednym końcu stołu, przy drugim zaś Louis wsłuchiwał się w ciszę i stłumiony pomruk silników.

Był już przyzwyczajony do tego, że jego życie zależy od niezawodnego działania układu wytwarzającego sztuczne ciężenie. Jego własny jacht mógł znieść przyspieszenia rzędu 30 g. Z tym, że na nim nie było słycać pracy silników.

- Nessus... - przerwał pomrukującą ciszę płonących za ścianą kadłuba słońc.

- Tak, Louis?

- Powiedz, co takiego wiesz o nadprzestrzeni, o czym my nie mamy pojęcia?

- Nie rozumiem.

- Nadprzestrzeń przeraża cię. Lot na kolumnie słonecznego ognia już nie. Zbudowaliście "Szczęśliwy Traf" musicie wiedzieć o nadprzestrzeni coś, czego my nie wiemy.

- Może. Może rzeczywiście jest tak, jak mówisz.

- Wiec powiedz, co to jest? Chyba, że to jeden z waszych pieczołowicie chronionych sekretów.

Teela i Mówiący przerwali rozmowę. Uszy kuna, zwykle niemal niewidoczne, były rozwinięte niczym dwie przejrzyste, pomarańczowe parasolki.

- Wiemy, że nie ma w nas nic nieśmiertelnego - powiedział Nessus. - Nie mówię o twojej rasie. Nie mam prawa. My nie mamy żadnej nieśmiertelnej części. Nasi naukowcy udowodnili to już dawno. Boimy się śmierci, bo wiemy, że jest ostateczna.

- I..?

- Statki wchodziły w nadprzestrzeń i znikły. Żaden lalecznik nigdy nie zbliżyłby się do obszaru występowania anomalii, a mimo to statki nie wracały. Przynajmniej wtedy, kiedy miały na pokładzie załogi. Ufam inżynierom, którzy zbudowali "Kłamcę", ufam wiec również generatorom sztucznej grawitacji. Z pewnością nas nie zawiodą. Ale nawet nasi inżynierowie boją się nadprzestrzeni.

Potem nadeszła "noc", którą Louis bardzo marnie przespał, po niej zaś "dzień", w trakcie którego Louis i Teela doszli do wniosku, że nie mogą już na

siebie patrzeć.

Teela nie bała się. Louis podejrzewał, że nigdy nie będzie mu dane zobaczyć u niej najmniejszych oznak strachu. Ona po prostu potwornie się nudziła.

Tego wieczoru "Kłamca" obrócił się o 180 stopni. Gwiazda stanowiąca cel ich podróży wypelzła majestatycznie zza rufy. Była biała, odrobino mniej jasna od Słońca i otoczona wąską, częściowo błękitną tasiemką.

Stłoczyli się za plecami Mówiącego-do-Zwierząt, obserwując, jak kzin włącza ekran teleskopu. Odnalazł błękitną wstążkę wewnętrznej powierzchni Pierścienia, dotknął przycisku zbliżenia...

Niemal od razu wyjaśniła się jedna z dręczących ich zagadek.

- Coś na krawędzi - powiedział Louis.

- Trzymaj to na ekranie - rzucił lalecznik.

Krawędź Pierścienia powiększała się coraz bardziej. Ściana, rosnąca prostopadle do jego powierzchni w stronę Słońca. Widzieli jej zewnętrzną, ciemną powierzchnie na tle błękitnego krajobrazu. Niska barierka, ale niska tylko w porównaniu z rozmiarami Pierścienia.

- Jeżeli jego szerokość wynosi milion mil - liczył na głos Louis, - to ta ściana musi mieć co najmniej tysiąc mil wysokości. No tak, teraz już wiemy, dzięki czemu jest tam ciągle atmosfera.

- Czy to wystarczy?

- Powinno. Siła odśrodkowa wytwarza ciężenie około 1 g. Trochę powietrza z pewnością wycieka na zewnątrz, ale to przecież można uzupełnić. Tym bardziej że po to, by go zbudować, musieli dysponować jakąś niezwykle taną techniką przetwarzania materii. Żeby nie wspomnieć o innych rzeczach.

- Ciekawe, jak to wygląda od wewnątrz.

Mówiący dotknął innego przycisku i obraz zaczął się przesuwac. Powiększenie było zbyt małe, by dostrzec szczegóły; przez ekran przemknęły najróżniejsze odcienie błękitu i granatu...

Po czym pojawiła się druga krawędź. Tym razem patrzyli na jej wewnętrzną stronę.

Nessus, wysunąwszy obie głowy nad ramię kzina, zażądał:

- Daj maksymalne powiększenie.

Obraz ruszył na nich.

- Góry! - zawołała Teela. - Jak cudownie!

Ściana była nieregularna, wyrzeźbiona jak zerodowana skała i miała kolor Księżyca.

- Góry o wysokości tysiąca mil.

- Nic więcej nie wycisnę. Musimy się zbliżyć.

- Najpierw spróbujmy się porozumieć - powiedział lalecznik. - Czy już wyhamowaliśmy?

Kzin sprawdził dane z komputera.

- Zbliżamy się do gwiazdy z prędkością około trzydziestu mil na sekundę. Czy to wystarczająco wolno?

- Tak. Zacznij nadawanie.

Na "Klamce" ciągle jeszcze nie padł ani jeden promień lasera. Stwierdzenie tego samego, jeśli chodzi o promieniowanie elektromagnetyczne, nastęrczało już więcej trudności. Fale radiowe, promieniowanie podczerwone, ultrafioletowe, X - wszystko trzeba było sprawdzić, całe spektrum, od temperatury zewnętrznej powłoki Pierścienia począwszy, na ciepłe wypromieniowywanym przez gwiazdę skończywszy. Pasma 21 centymetrów było puste, podobnie jak częstotliwości stanowiące jego wielokrotność, które mogły zostać użyte właśnie dlatego, że pasmo zimnego wodoru było aż tak oczywiste. Po sprawdzeniu tego wszystkiego nie pozostawało nic innego, jak liczyć na łut szczęścia.

Ze skrzydła "Klamcy" wysunęły się paszcze instrumentów nadawczo-odbiorczych; rozpoczęło się bombardowanie wewnętrznej powierzchni Pierścienia falami radiowymi we wszystkich możliwych zakresach, promieniami lasera o słabej mocy, nawet plazmowe silniki przekazywały pulsującymi kropkami i kreskami, zakodowane w języku Morse'a informacje.

- Nasz komputer prędzej czy później dałby sobie radę z tłumaczeniem każdego sygnału - powiedział Nessus. - Musimy przyjąć, że ich urządzenia są przynajmniej równie sprawne.

- Czy ten twój debilny komputer potrafi także przetłumaczyć całkowite

milczenie?- zapytał jadowicie Mówiący-do-Zwierząt.

- Nadawaj głównie w kierunku krawędzi. Jeżeli w ogóle mają porty kosmiczne, to muszą być właśnie tam. Lądowanie gdziekolwiek indziej wiązałoby się z olbrzymim niebezpieczeństwem.

Kzin prychnął coś obraźliwego w Języku Bohaterów i na tym wymiana zdań się zakończyła. Lalecznik jednak pozostał na swoim miejscu, kręcąc czujnie we wszystkie strony wysuniętymi maksymalnie w górę głowami.

Naznaczona prostokątnymi plamami cienia, błękitna wstążka przesuwała się bezszelestnie pod kadłubem statku.

- Chciałeś opowiedzieć mi o kuli Dysona - przypomniała Teela.

- A ty kazałaś mi zająć się łapaniem pcheł. - Louis znalazł opis kuli Dysona w bibliotece statku. Był tym tak podekscytowany, że popełnił niewybaczalny błąd i przerwał Teeli jej znudzone zamyślenie, by jej o tym powiedzieć.

- Opowiedz mi teraz.

- Zajmij się lepiej łapaniem pcheł.

Czekała cierpliwie.

- W porządku - skapitulował wreszcie. Od pół godziny gapił się tępo w sunący majestatycznie pod nim Pierścień. Był co najmniej równie znudzony, jak ona.

- Chciałem ci po prostu powiedzieć, że Pierścień jest konstrukcyjnym kompromisem między kulą Dysona a normalną planetą.

Dyson był jednym z dawnych filozofów, zdaje się, że jeszcze nawet przedatomowych. Wysunął hipotezę, że rozwój cywilizacji jest limitowany ilością energii, jaką może ona dysponować. Jeżeli ludzkość chce wykorzystać całą energię, jaka znajduje się w jej zasięgu, musi zbudować dokoła Słońca olbrzymią kulę, nie przepuszczającą na zewnątrz żadnego, najmniejszego nawet promienia światła. Gdybyś przestała choć na moment chichotać zrozumiałabyś, o co chodzi. Na Ziemię trafia zaledwie około jednej bilionowej części energii emitowanej przez Słońce. Gdyby można było wykorzystać ją całą...

Wtedy ten pomysł wcale nie był szaleństwem. Nie istniały przecież nawet teoretyczne przesłanki napędu nadprzestrzennego. O ile sobie przypominasz, one NIGDY nie istniały, bo przecież nie my go wynaleźliśmy. I nigdy byśmy nie wynaleźli - komu by się chciało przeprowadzać konieczne eksperymenty poza



obszarem naszej miejscowej anomalii?

Co by się stało, gdyby statek Zewnętrznych nie wylądował na Naszym Dziele? Co by się stało, gdyby nie utworzono Rady Ludnościowej, albo gdyby nie udało się wprowadzić w życie jej postanowień? Jak myślisz, ile byśmy wytrzymali, mając na Ziemi bilion ludzi, a jako środek komunikacji statki z napędem termojądrowym? Całego wodoru zawartego we wszystkich oceanach nie starczyłoby na dłużej niż jakieś sto lat.

Ale kula Dysona to nie tylko sposób na przechwytywanie energii słonecznej.

Przyjmijmy, że jej średnica wyniesie jedną jednostkę astronomiczną. Jako budulec wykorzystujemy wszystkie planety, bo i tak trzeba przecież dokładnie oczyścić cały Układ. Otrzymujemy skorupę z, powiedzmy, stali chromowej, grubości kilku jardów. Teraz na jej wewnętrznej powierzchni rozstawiamy generatory ciężenia. Uzyskujemy powierzchnie miliard razy większą od powierzchni Ziemi. Bilion ludzi mogłoby łączyć po niej całe życie i nie spotkać nawet żywego ducha.

Teeli wreszcie udało się wtrącić całe zdanie:

- Generatory grawitacji są po to, żeby wszystko stało na ziemi?

- Tak. Wewnętrzną powierzchnie pokrywamy warstwą gleby...

- A gdyby jakiś generator przestał nagle działać? ,

- Gdyby ciotka miała wąsy... No cóż, wtedy bilion ludzi poleciałoby do Słońca. Razem z powietrzem, glebą i w ogóle wszystkim. Powstałoby gigantyczne tornado, zdolne wchłonąć całą planetę. Nie byłoby żadnej szansy ratunku.

- To mi się wcale nie podoba - stwierdziła z przekonaniem Teela.

- Tylko spokojnie. Są sposoby, żeby możliwość wystąpienia takiej awarii sprowadzić niemal do zera.

- Nie o to mi chodzi. Nie byłoby widać gwiazd.

O tym Louis nie pomyślał.

- Mniejsza o to. Najważniejsze w tej całej sprawie z kulą Dysona jest to, że prędzej czy później każda rozwijająca się cywilizacja dochodzi do punktu, w którym zaczyna jej potrzebować. Cywilizacje techniczne z biegiem czasu zużywają coraz więcej energii. Pierścień taki jak ten stanowi kompromis między kulą Dysona a normalną planetą; uzyskuje się tylko cześć dodatkowej

powierzchni, zaś przechwyceniu ulega tylko część energii, ale za to można podziwiać gwiazdy i nie trzeba martwić się o generatory grawitacji.

Ze sterowni dobiegało gniewne parsknięcie kzina, wystarczająco głośne, by wydusić przez służę całe powietrze ze statku. Teela zachichotała.

- Jeżeli laleczniki rozumują podobnie, jak kiedyś Dyson - ciągnął Louis - to równie dobrze mogą się spodziewać, że w Obłoku Magellana zastaną setki, albo i tysiące takich pierścieni.

- I właśnie dlatego jesteśmy im potrzebni.

- Bałbym się postawić cokolwiek w zakładzie, w którym chodziłoby o myśli lalecznika. Ale tym razem chyba bym zaryzykował.

- Teraz się nie dziwię, że cały czas przesiedziałeś z głową w czytniku.

- To bezczelność! - wrzasnął kzin. - Zniewaga! Celowo nas ignorują! Prowokują do ataku!

- Niemożliwe - zaprotestował Nessus. - Jeżeli nie możesz wykryć emisji fal radiowych, to znaczy, że nie używają radia. To samo z laserami.

- Nie mają radia, nie mają laserów, nie mają fal nadprzestrzennych. Wiec jak się porozumiewają?

Telepatia? Posłańcy? Lustra?

- Papugi - podpowiedział Louis, stając w drzwiach sterowni. - Olbrzymie papugi, hodowane specjalnie dla swoich pojemnych płuc. Są zbyt duże, żeby latać. Siedzą tylko na szczytach wzgórz i wrzeszczą jedna do drugiej.

Kzin odwrócił się i spojrzał Louisowi prosto w oczy.

- Od czterech godzin usiłuję nawiązać jakiś kontakt. Od czterech godzin jestem całkowicie ignorowany. Nie odpowiedziano mi ani jednym słowem, ani jednym sygnałem.

Drżą mi wszystkie mięśnie, futro mam potargane i zmatowiałe, oczy mi łzawią, mam mało miejsca, moja kuchenka mikrofalowa podgrzewa wszystko do tej samej temperatury i nie mam pojęcia, jak ją naprawić. Gdyby nie twoja pomoc i życzliwe uwagi z pewnością pograżyłbym się w rozpacz.

- Czyżby utracili wszystkie zdobycze swojej cywilizacji? - zastanawiał się na głos Nessus. - Byłoby to dosyć głupie, wziąwszy wszystko pod uwagę.

- Może po prostu nie żyją - powiedział z nienawiścią w głosie Mówiący-do-Zwierząt. - To także byłoby głupie. Ale największą głupotą było to, że nie chcieli się z nami skontaktować. Wylądujemy i sprawdzimy, o co tu chodzi.

- Wylądować? W miejscu, które być może zabito tych, którzy tam mieszkali?  
- zaśpiewał z przerażeniem lalecznik. - Jesteś szalony!

- A jak inaczej mniemy się czegoś dowiedzieć?

- Właśnie! - poparła kżina Teela. - Nie po to wlekliśmy się taki kawał, żeby teraz latać sobie w kółko.

- Nie zgadzam się. Mówiący, kontynuuj próby nawiązania kontaktu.

- Już je zakończyłem.

- Wiec zacznij od początku.

- Nie.

Była już najwyższa pora, by do akcji wkroczył Louis Wu, dyplomata-ochotnik.

- Tylko spokojnie, futrzaku. Nessus, on ma racje. Ci z Pierścienia nie mają nam nic do powiedzenia. Gdyby mieli, daliby nam w jakiś sposób znać.

- Ale co nam pozostaje, oprócz ciągłego próbowania?

- Musimy zająć się naszymi sprawami. Damy im jeszcze trochę czasu na zastanowienie.

Lalecznik z ociąganiem skinął głowami.  
Lecieli dalej w ślimaczym tempie.

Mbwiący-do-Zwierząt wycelował dziób "Klamcy" tak, by statek minął krawędź Pierścienia; było to ustępstwo na rzecz Nessusa. Lalecznik obawiał się, że hipotetyczni mieszkańcy Pierścienia mogliby odebrać przelot nad jego wewnętrzną powierzchnią jako groźbę czy zagrożenie. Uparł się także, by nie używać dużych silników plazmowych, bowiem wyglądały one jak niebezpieczna broń.

Trudno było im określić skalę tego, w widzieli. Przez tych kilka godzin Pierścień zmienił pozycje, ale działo się to zbyt wolno, zaś w sztucznej grawitacji statku, niwelującej wszelkie zmiany przyśpieszenia, ucho wewnętrzne nie informowało reszty organizmu o jakimkolwiek ruchu. Czas kapął kropla po kropli i Louis Wu po raz pierwszy od chwili, kiedy opuścili Ziemię był gotów obgryzać paznokcie.

Wreszcie Pierścień ustawił się krawędzią do "Kłamcy". Mówiący wprowadził statek na orbitę kołową wokół Słońca, po czym lekkim ciągiem pchnął statek w kierunku Pierścienia.

Wreszcie było widać jakiś ruch.

Krawędź Pierścienia urosła wkrótce z cienkiej kreski do rozmiarów olbrzymiej, czarnej ściany o wysokości tysiąca mil, pozbawionej jakichkolwiek szczegółów, chociaż szczegóły te i tak musiałyby ujść ich uwadze, rozmazane ogromną prędkością. Pół tysiąca mil od nich, przesłaniając sobą jedną czwartą nieba, potworna ściana mknęła z szybkością 770 mil na sekundę. Z przodu i z tyłu niknęła, zwężając się do nieskończoności, by rozszerzyć się hen, wysoko do błękitnej, nierealnej wstążki.

Spoglądając na ten monstrualny wytwór technologii wstępowało się w inny Wszechświat, Wszechświat idealnie równoległych linii, kątów prostych i innych geometrycznych abstrakcji. Louis wpatrywał się jak zahipnotyzowany w punkt, w którym ściana zwężała się tak, że jej właściwie nie było, by po jego przekroczeniu rozwinąć się oszałamiającym błękitem. Czy to początek, czy koniec? Czy czarna ściana niknęła w tym miejscu, czy może właśnie się pojawiała?

... coś pędziło prosto na nich, właśnie tego punktu, z nieskończoności. Ostra krawędź, wyrastająca ze ściany jak kolejna abstrakcja. A na niej, jeden przy drugim, rząd czarnych otworów. Pędziły prosto na "Kłamce", prosto na Louisa. Zamknął oczy i schował głowę w ramionach. Z czyjś gardła wyrwał się cichy, przerażony jęk.

W tym momencie powinna nadejść śmierć, Kiedy nie nadeszła, otworzył oczy. Otwory przesuwaly się pod nimi; każdy z nich miał nie więcej niż pięćdziesiąt mil średnicy.

Nessus leżał zwinięty w ciasną kulę. Teela, oparta dłońmi o przezroczystą ścianę, patrzyła z osłupieniem przed siebie. Mówiący-do-Zwierząt jakby nigdy nic siedział przy pulpicie sterowniczym. Prawdopodobnie jako jedyny z nich prawidłowo ocenił odległość.

Albo udawał. Ten jęk mógł się wyrwać właśnie z jego gardła.

Nessus rozwinął się, obejrzał na niknące już w oddali otwory i powiedział:

- Mówiący, zrównaj się prędkością z Pierścieniem. Musimy to dokładnie zbadać.

Siła odśrodkowa jest tylko złudzeniem, dowodem na istnienie prawa

bezwładności. Rzeczywistością jest siła dośrodkowa, której wektory łączą się pod kątem prostym z wektorem prędkości danej masy. Masa stawia opór, dążąc do poruszania się po linii prostej.

Właśnie ze względu na tę prędkość i prawo bezwładności Pierścień przejawiał tendencje do rozpadnięcia się. Zapobiegała temu tylko jego nadzwyczaj mocna konstrukcja, "Kłamca", by zawisnąć nad wybranym punktem, musiał osiągnąć prędkość niemal dokładnie 770 mil na sekundę.

Wkrótce tak się stało. Statek, napędzany ciągiem 0.992 g, unosił się w pozornym bezruchu tuż obok ściany Pierścienia, podczas gdy jego załoga zajęta była obserwacją portu kosmicznego.

Sam port znajdował się w otwierającej się w owym olbrzymim występie wąskiej szczeliny, tak wąskiej, że na pierwszy rzut oka trudno ją było dostrzec. Dopiero kiedy zszedł "Kłamcę" okazało się, że spokojnie mogły się w niej zmieścić obok siebie dwa ogromne statki; były to cylindry o spłaszczonych nieco nosach - zupełnie obca konstrukcja, ale można było się domyślać, że są napędzane silnikami termojądrowymi. Mogły uzupełniać paliwo w czasie lotu, wychwytyjąc z przestrzeni kosmicznej atom rozproszony w niej wodoru. Jeden z nich został częściowo zdemontowany i stał tak z wnętrzościami wystawionymi na działanie próżni i ciekawskie spojrzenia przybyszów.

W kadłubie drugiego, nietkniętego statku błyszcząły odbitym światłem gwiazd okna. Tysiące okien. Ten statek był NAPRAWDĘ duży.

I zupełnie ciemny. Ciemności panowały zresztą w całym porcie. Być może istotom, które z niego korzystały, niepotrzebne było światło, ale Louis Wu odniósł wrażenie, że port został dawno już opuszczony.

- Nie wiem tylko, po co te otwory - powiedziała Teela.

- Działa elektromagnetyczne - odpowiedział machinalnie Louis. - Do startów.

- Nie - uciął Nessus.

- Ha?

- Raczej do lądowań. Mogę wam nawet powiedzieć, jak to musiało wyglądać, Statek wchodził na orbitę tuż nad tą ścianą, powiedzmy, dwadzieścia pięć mil od jej powierzchni, po czym wyłączał silniki. Linie pól elektromagnetycznych, emitowanych przez obracające się wraz z Pierścieniem działa nadawały mu po krótkim czasie prędkość owych 770 mil na sekundę. Dopiero wtedy statek zniżał się i lądował. Ta metoda przynosi wielki zaszczyt budowniczym Pierścienia.

Zagrozenie, jakim musiało być dla niego każde lądowanie, zostało dzięki temu zmniejszone do minimum.

- Ale działa mogły przecież być używane także do startów.
- Raczej nie. Zwróć uwagę na te konstrukcje po lewej stronie.
- Nieżas!

"Konstrukcja" okazała się zamkniętą teraz śluzą, wystarczająco dużą, by zmieścić się w niej każdy z ogromnych statków. Nic więcej nie było potrzeba.

Każdy punkt na zewnętrznej powierzchni Pierścienia pędził przed siebie z prędkością 770 mil na sekundę. Start polegał po prostu na wypchnięciu statku w przestrzeń, a tam pilot mógł od razu włączyć silniki głównego ciągu.

- Port wydaje się być zupełnie opuszczony - powiedział kzin.
- Przepływ energii?

Instrumenty nic takiego nie wysuwają. Żadnej aktywności elektromagnetycznej ani plam ciepła. Oczywiście, mogą działać urządzenia zużywające tak mało energii, że nasze przyrządy nie są w stanie jej wykryć.

- Wnioski?

- Wszystkie urządzenia portu mogą znajdować się w stanie pełnej używalności. Możemy to sprawdzić, wchodząc w zasięg działania i decydując się na lądowanie.

Nessus momentalnie zwinął się w kłębek.

- Nie da rady- zauważył Louis. - Cała maszyna włącza się pewnie na jakiś ściśle określony sygnał, którego przecież nie znamy, Albo reaguje wyłącznie na kadłub z metalu. Gdyby nas nie przechwyciła w odpowiednim momencie, moglibyśmy uderzyć w cały ten port i narobić niezłego zamieszania.

- Pilotowałem już statek w podobnych warunkach podczas manewrów bojowych.

- Jak dawno temu?
- Może zbyt dawno. Zresztą, nieważne, Co proponujesz?
- Zajrzeć od spodu - powiedział Louis.

Lalecznik wystawił obie głowy.  
Pchani ciągiem 1 g wisieli pod spodnią stroną Pierścienia.

- Światła - rzucił Nessus,

Poteżne reflektory "Kłamcy" miały zasięg pół tysiąca mil. Jednak jeśli nawet ich światło dotarło do celu, to już nie wróciło; były skonstruowane wyłącznie po to, by pomagać przy lądowaniu.

- Ciągle jeszcze niezachwianie wierzysz w waszych inżynierów, Nessus?

- Przyznaje, że powinni przewidzieć taką okoliczność.

- Zrobiłem to za nich. Oświetlę Pierścień, jeśli zgodzisz się na użycie silników plazmowych - zaproponował kzin.

- Zgadzam się.

Mówiący-o-Zwierząt włączył cztery silniki - dwa duże, skierowane do tyłu i dwa mniejsze hamownicze. Właśnie w tych otworzył dysze na maksymalną szerokość. Wodór przepływał zbyt szybko i wylatując w próżnię nie był jeszcze do końca spalony, dzięki czemu ogień wydechu, zwykle gorący jak jądro Novej, miał teraz temperaturę powierzchni żółtego karta. Dwa strumienie światła rozjaśniły czarny spód Pierścienia.

Nie był bynajmniej gładki; na całej powierzchni widniały zapadliska i wybrzuszenia, najróżniejszych kształtów i rozmiarów.

- Myślałam, że będzie zupełnie równo - powiedziała Teela.

- Nic z tego - odparł Louis. - Załóż się, że tam, gdzie mamy zagłębienie, po wewnętrznej stronie jest góra, a gdzie wybrzuszenie - morze albo ocean.

Więcej szczegółów zobaczyli dopiero wtedy, gdy Mówiący-do-Zwierząt podprowadził "Kłamcę" trochę bliżej, Przesuwali się teraz powoli nad fantastycznymi wypukłościami i zapadliskami spodniej strony Pierścienia, tajemniczymi, ale w jakiś dziwny sposób przyjemnymi dla oka...

Od wielu stuleci statki wycieczkowe i prywatne jachty przesuwają się w taki sam sposób nad powierzchnią Księżyca. Widok był nawet podobny; strzelające w bezpowietrzną pustkę szczyty, ostre, wyraźne granice między światłem i cieniem. Jedyna różnica polegała na tym, że na Księżycu zawsze można było dostrzec poszarpany, łukowato wygięty horyzont.

Tutaj horyzont nie był ani poszarpany, ani wygięty, biegł w niewyobrażalnej

dali idealnie prostą, ledwie widoczną na tle czerni Kosmosu kreską. Jak Mówiący może to wytrzymać, przemknęło Louisowi przez głowę. Godzina za godziną przy sterach statku, tuż obok tak nieprawdopodobnego ogromu...

Wstrząsnął nim dreszcz. Stopniowo zaczęły do jego świadomości docierać prawdziwe rozmiary, prawdziwa skala Pierścienia. Nie było to zbyt przyjemne uczucie,

Z trudem oderwał spojrzenie od tego przerażającego horyzontu i skierował je na oświetloną powierzchnie pod /nad, nimi.

- Wszystkie morza wydają się być podobnej wielkości - zauważył Nessus.

- Widziałam kilka mniejszych - odparła Teela, - A tam... To chyba rzeka, Tak, na pewno. Natomiast nigdzie nie zauważyłam żadnych wielkich oceanów.

Mórz było dużo, o ile oczywiście to, co brali za morza rzeczywiście nimi było. Chociaż ich rozmiary, wbrew temu, co mówił lalecznik, dosyć znacznie się różniły, to rozmieszczone były dość regularnie, tak, że żaden obszar nie znajdował się w zbyt dużej odległości od wody. Oprócz tego...

- Są płaskie. Wszystkie morza mają zupełnie płaskie dna,

- Rzeczywiście - potwierdził Nessus.

- Czyli już coś wiemy. Wszystkie morza są płytkie, więc mieszkańcy Pierścienia żyją na lądach, wykorzystując tylko ich powierzchnię, tak jak my.

- Wszystkie morza mają bardzo skomplikowane kształty - myślała na głos Teela. - I rozwiniętą linię brzegową. Wiesz, co to oznacza?

- Zatoki. Całą masę zatok, z których można korzystać.

- Czyli twoi mieszkańcy Pierścienia, choć żyją na lądzie, nie boją się wody - stwierdził Nessus. - Gdyby było inaczej, nie potrzebowaliby tych zatok. Louis, oni muszą być bardzo podobni do ludzi. Kzinowie nie znoszą nawet widoku wody, a my boimy się utonąć.

Jak wiele można dowiedzieć się o świecie oglądając go od spodu, pomyślał Louis. Musi kiedyś napisać na ten temat jakąś prac...

- To musi być przyjemnie - wyrzeźbić sobie świat tak, jak się tego potrzebuje - zauważyła Teela.

- A twój już ci się nie podoba?



- Wiesz, o co mi chodzi.

- O moc? - Louis lubił niespodzianki. Moc, potęga, siła - to go nie interesowało. Nie był naturą kreatywną; wolał. znajdować rzeczy takimi, jakie były, niż je tworzyć.

Daleko przed nimi coś się pojawiło. Dużo większa wypukłość... tym razem ogromna; światło plazmowego ognia nie mogło oświetlić jej granic.

Jeżeli poprzednie były morzami, to teraz mieli przed sobą ocean, króla wszystkich oceanów Wszechświata. Ciągnął się bez końca. Jego dno nie było już płaskie, przypominało raczej mapę topograficzną Pacyfiku z licznymi dolinami, uskokami i wzniesieniami, niektórymi tak wysokimi, że z pewnością musiały sięgać nad powierzchnię wody.

- Żeby utrzymać morską florę i faunę, potrzebowali przynajmniej jednego, prawdziwego oceanu - domyśliła się Teela.

Oceanu może nie dość głębokiego, ale wystarczająco szerokiego, by zmieściła się w nim cała Ziemia.

- Wystarczy - odezwał się niespodziewanie kzin. - Teraz musimy zobaczyć wewnętrzną powierzchnię.

- Przedtem trzeba jeszcze wykonać niezbędne pomiary. Czy Pierścień jest dokładnie okrągły? Wystarczyłoby najmniejsze odchylenie, by cała atmosfera uciekła w Kosmos.

- Ale przecież wiemy, że nie uciekła. O tym, czy są jakieś odchylenia możemy się przekonać, badając rozmieszczenie wody na wewnętrznej powierzchni.

- Dobrze więc - ustąpił Nessus. - Ale najpierw dolećmy do drugiej krawędzi.

Tu i tam widniały kratery po meteorytach. Nie było ich wiele, ale były. Louis pomyślał z rozbawieniem, że budowniczowie Pierścienia niezbyt dokładnie wysprzątały swój układ słoneczny. Ale nie, to niemożliwe; te meteoryty musiały przylecieć spoza układu, z przestrzeni międzygwiazdnej. Jeden z kraterów, wyjątkowo głęboki, przesunął się właśnie bezpośrednio pod nimi. Na jego dnie Louis dostrzegł coś błyszczącego.

Musiła to być "podłoga" Pierścienia, wykonana z substancji tak gęstej, że wychwytywała 40 procent neutrino. I z pewnością niezwykle wytrzymałej. Nad nią znajdowała się warstwa gleby, morza, miasta, a wreszcie powietrze. Pod nią była warstwa gąbczastego materiału, którego zadanie polegało na ochronie przed bezpośrednimi uderzeniami meteorów. Większość z nich nie

była w stanie poważniej go naruszyć, ale niektóre miały dość impetu, by wyrwać duże kratery z błyszczącymi tajemniczo dnami.

Daleko z boku, patrząc wzdłuż ledwo dostrzegalnej krzywizny Pierścienia, Louis zauważył jakieś wgłębienie. Musiało być duże, nawet ogromne, skoro można je było dostrzec nawet w słabym blasku gwiazd.

Widocznie tam też uderzył meteor; pomyślał. Nie zwrócił na wgłębienie większej uwagi. Jego umysł, jednak jeszcze nie do końca przestawiony, nie zastanowił się nad tym, jak wielki musiałby to być meteor.

## 9. Czarne prostokąty

Za czarnej krawędzi Pierścienia wyłoniło się oślepiająco białe słońce.

Dopiero kiedy kzin włączył polaryzację kabiny, Louis mógł bez mrużenia oczu spojrzeć prosto w tarczę gwiazdy; jej część była przestłonięta czarnym prostokątem.

- Musimy bardzo uważać - powiedział ostrzegawczym tonem Nessus. - Gdybyśmy zatrzymali się na dłużej nad wewnętrzną powierzchnią Pierścienia, z pewnością zostalibyśmy zaatakowani.

Mówiący-do-zwierząt wycharczał coś w odpowiedzi. Po tyłu godzinach spędzonych nieprzerwanie za pulpitem sterowniczym musiał być już porządnie zmęczony.

- Zaatakowani! Czym, może mi powiesz? Przecież oni nie mają nawet porządnej stacji nadawczej!

- Nic nie wiemy o tym, jak przesyłają informacje. Może wykorzystują telepatię, a może wibracje podłoża lub korzystają z połączeń przewodowych. Równie mało wiemy o ich uzbrojeniu. Zbliżając się do zamieszkałej powierzchni, będziemy stanowić olbrzymie zagrożenie. Użyją przeciw nam wszystkiego, czym tylko dysponują.

Louis skinął głową. Z natury nie był zbyt ostrożny, zaś Pierścień jeszcze rozbudził jego wrodzoną ciekawość, ale tym razem lalecznik miał rację.

Przelatujący nad wewnętrzną powierzchnią "Kłamca" byłby po prostu niebezpiecznym meteor. W dodatku bardzo dużym. Nawet przy szybkości orbitalnej stanowiłby olbrzymie zagrożenie; pierwsze liźnięcie górnych warstw atmosfery ściągnęłoby go momentalnie w dół. Poruszając się szybciej, z włączonymi silnikami, stanowiłby zagrożenie może nie tak bezpośrednie, ale za to dużo bardziej fatalne.

Wystarczyłaby najmniejsza awaria napadu, by potężna siła odśrodkowa rzuciła go z ogromną szybkością na zamieszkane tereny. Mieszkańcy Pierścienia z całą pewnością nie lekceważyli meteorytów. Wystarczyłby jeden otwór w jego konstrukcji, by cała atmosfera została wyssana na zewnątrz.

Mówiący-do-Zwierząt odwrócił się w ich stronę, dziki czemu jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciw bliźniaczych głów lalecznika.

- Mów wiec, co robić.

- Najpierw wyhamuj do prędkości orbitalnej.

- A potem?

- Przyspieszaj w kierunku Słońca. Dzięki temu i tak zdążysz obejrzeć wewnętrzną część Pierścienia. Naszym celem będą czarne prostokąty.

- Tak daleko posunięta ostrożność jest niepotrzebna i upokarzająca. Czarne prostokąty zupełnie nas przecież nie interesują.

Niezas! Louis, zmęczony i głodny, nie miał najmniejszej ochoty odgrywać roli mediatora między dwoma obcymi. Zbyt długo już byli na nogach. Jeżeli Louis czuł zmęczenie, to kzin musiał być wręcz wyczerpany.

-Interesują, i to bardzo - odparł Nessus. - Ich powierzchnia przechwytuje więcej światła słonecznego niż sam Pierścień. Niewykluczone, że w rzeczywistości są to niezwykle wydajne generatory termoelektryczne.

Kzin parsknął coś straszliwie obraźliwego w Języku Bohaterów, ale jego odpowiedź w interworldzie była zaskakująco spokojna.

- Nie rozumiem cię. Co nas może obchodzić źródło energii, którą dysponuje Pierścień? A jeśli nawet, to wylądujemy, znajdziemy jakiegoś tubylca i po prostu zapytajmy go o to!

- Nie zgadzam się na lądowanie.

- Czy kwestionujesz moje umiejętności pilota?

- Czy kwestionujesz moje uprawnienia dowódcy?

- Skoro już sam poruszyłeś tę kwestię...

- Nie zapomnij, że ciągle mam tasp. Ja decyduje o tym, co stanie się ze "Szczęśliwym Trafem" i napędem nadprzestrzennym kwantum B, i ja jestem

Najlepiej Ukrytym na tym statku. Pamiętaj, że...

- Dość! - przerwał Louis.

Obaj spojrzeli na niego.

- Trochę za wcześnie zaczęliście się kłócić. Czemu nie obejrzeć prostokątów przez teleskop? Wtedy obydwaj będziecie znali więcej faktów, którymi będziecie mogli w siebie rzucać. To da wam więcej satysfakcji.

Głowy Nessusa spojrzały szybko na siebie. Kzin wsuwał i wysuwał pazury.

- A teraz, jeżeli chodzi o bardziej przyziemne sprawy - ciągnął Louis. - Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Zmęczeni. Głodni. Kto lubi się kłócić z pustym żołądkiem? Ja osobiście mam zamiar godzinę się zdrzemnąć. Wam radzę zrobić to samo.

- Nie będziesz patrzył? - zapytała ze zdumieniem Teela. - Przecież bodziemy przelatywać nad wewnętrzną powierzchnią!

- Opowiesz mi, co widziałas - powiedział, po czym wyszedł. Kiedy się obudził, czuł przejmujący głód i kręciło mu się w głowie. Głód był tak wielki, że kazał mu najpierw wziąć sobie potężną kanapkę i dopiero potem pozwolił mu iść do sterowni.

- I co?

- Już po wszystkim - odpowiedziała chłodnym tonem Teela. - Krążowniki, diabły, smoki, wszystko na raz. Mówiący walczył z nimi gołymi rękami. Z pewnością by to ci się spodobało.

- Nessus?

- Ustaliliśmy z Mówiącym, że lecimy do czarnych prostokątów. Mówiący położył się spać.

- Jest coś nowego?

- Trochę. Zaraz ci pokażę.

Lalecznik pomajstrował coś przy ekranie. Najwidoczniej znał pismo kzinów.

Obraz przypominał oglądaną z dużej wysokości powierzchnie Ziemi; góry, rzeki, doliny, jeziora, nagie przestrzenie, które mogły być pustyniami.

- Pustynie? .

- Na to wygląda. Mówiący przeprowadzał pomiary temperatury i wilgotności. Wszystko wskazuje na to, że Pierścień, przynajmniej częściowo, wymknął się swoim twórcom spod kontroli. Na co komuś byłoby pustynie?

Po przeciwnej stronie odkryliśmy jeszcze jeden ocean, równie duży, jak ten. Badania spektrum pozwoliły stwierdzić, że woda jest słona.

Twoja propozycja okazała się bardzo rozsądna - kontynuował Nessus. - Chociaż Mówiący i ja jesteśmy przeszkolonymi dyplomatami, ty jesteś z nas chyba najlepszy.

Kiedy skierowaliśmy teleskop na prostokąty, Kzin od razu zgodził się, żeby tam lecieć.

- Tak? A to dlaczego?

- Stwierdziliśmy coś dziwnego. Otóż te prostokąty poruszają się z prędkością znacznie większą od orbitalnej.

Louis o mało się nie udławił.

- To wcale nie jest niemożliwe - odpowiedział samemu sobie lalecznik. - Mogą przecież krążyć wokół słońca po orbicie eliptycznej, nie koniecznie po kołowej. Wcale nie muszą utrzymywać stałej odległości.

Louisowi jakoś udało się przełknąć kęs, który stanął mu w gardle.

- Przecież to wariactwo! Cały czas zmieniałaby się długość dnia i nocy.

- Początkowo sądziliśmy, że chodzi tu o rozróżnienie zimy i lata - wtrąciła Teela - ale to też nie miało sensu.

- Oczywiście, że nie. Prostokąty wykonują pełen obrót w niecały miesiąc. Komu potrzebny rok trwający trzy tygodnie?

- Widzisz więc, na czym polega problem - powiedział Nessus. - Ta anomalia była zbyt mała, by dostrzec ją z naszego systemu. Co jest jej powodem? Czy w pobliżu Słońca występuje raptowny skok grawitacji i stąd ta większa prędkość? Jakkolwiek by było, czarne prostokąty zasługują na to, by im się dokładniej przyjrzeć.  
Upływ czasu znaczyła powolna wędrówka czarnego prostokąta przez tarczę słońca.

Kzin wyłonił się ze swojej kabiny, zamienił kilka słów z ludźmi, po czym zastąpi Nessusa przy sterach.

Wkrótce potem wyszedł z kabiny sterowniczej. Nie powiedział ani słowa, ale lalecznik, drżąc na całym ciele, zaczął się cofać przed jego morderczym spojrzaniem. Kzin gotów był zabijać.

- No, dobrze - westchnął z rezygnacją Louis. - O co chodzi tym razem?

- Ten zjadacz liści... - zaczął Mówiący-do-Zwierząt, ale głos uwiązł mu w gardle. Odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Ten schizofrenik wprowadził nas na trajektorię wymagającą najmniejszego zużycia paliwa. W tym tempie dotarcie do pasa prostokątów zajmie nam cztery miesiące.

I kzin zaczął przeklinać w Języku Bohaterów.

- Sam nas na nią wprowadziłeś - zaprotestował słabo Nessus.

- Chciałem powoli wyjść z płaszczyzny Pierścienia, żeby przyjrzeć się jego powierzchni - odparł kzin podniesionym głosem. - Potem mogliśmy od razu ruszyć w stronę czarnych prostokątów, docierając tam w ciągu kilku godzin, zamiast miesięcy!

- Nie krzycz na mnie, Mówiący. Gdybyśmy ruszyli dużym ciągiem w stronę prostokątów; nasza przewidywana trajektoria mierzyłaby prosto w Pierścień. Chciałem tego uniknąć.

- Przecież możemy wycelować w Słońce - zauważyła Teela. - Wszyscy zwrócili się w jej stronę.

- Jeżeli mieszkańcy Pierścienia obawiają się, że na nich spadniemy, z pewnością cały czas dokładnie nas śledzą - wyjaśniła spokojnie. - Kiedy przewidywana trasa naszego lotu będzie mierzyła prosto w Słońce, wtedy przestaniemy być niebezpieczni. Rozumiecie?

- To nawet niegłupie - mruknął kzin.

Lalecznik wykonał gest, stanowiący odpowiednik wzruszenia ramionami. - Ty jesteś pilotem. Rób, jak uważasz, ale nie zapominaj...

- Nie bój się, nie zamierzam przelecieć przez Słońce. W odpowiedniej chwili wejdę na orbitę równoległą do prostokątów.

Po czym kzin wycofał się do sterowni. Wycofanie się w odpowiednim momencie było sztuką, którą opanowało bardzo niewielu kzinów.

Statek przez pewien czas leciał równoległe do Pierścienia; kzin, posłuszny rozkazom lalecznika, nie włączał silników głównego ciągu. Potem wytracił

prędkość orbitalną, tak że "Kłamca" zaczął spadać ku Słońcu, a następnie obrócił go przodem do kierunku lotu i zaczął przyspieszać.

Wewnętrzna powierzchnia Pierścienia wyglądała jak szeroka, błękitna wstęga, naznaczona licznymi granatowymi i białymi plamami. Nawet krótka obserwacja wystarczała, by stwierdzić, że szybko się od niej oddalają. Kzin nie tracił czasu.

Louis zamówił dwie szklanki mochy i jedną z nich podał Teeli.

Rozumiał gniew kzina. Pierścień przerażał go. Mówiący-do-Zwierząt był przekonany o tym, że i tak będzie musiał wylądować, toteż starał się doprowadzić do tego jak najprędzej, póki nie opuściła go jego odwaga.

Kzin ponownie wyszedł ze sterowni.

- Za czternaście godzin wejdziemy na orbity czarnych prostokątów. Coś ci powiem, Nessus. My, wojownicy Patriarchy, od dzieciństwa jesteśmy uczeni cierpliwości. Ale wy, laleczniki, macie cierpliwość nieboszczyków.

- Skręcamy - odezwał się nieswoim głosem Louis i uniósł się z miejsca. Dziób statku odchyłał się coraz bardziej w bok od wyznaczonego kursu.

Nessus wrzasnął przeraźliwie i skoczył przed siebie. Był jeszcze w powietrzu, kiedy "Kłamca" rozjarzył się potwornym blaskiem niczym olbrzymią żarówką, i zatoczył się...

### N i e c i a g ł o ś ć

... jak pijany. Odczuli to, mimo działającej sztucznej grawitacji. Louisowi udało się w ostatniej chwili chwycić kurczowo oparcia fotela, Teela z nieprawdopodobną dokładnością upadła prosto do swojej koi, zwinięty w kulę lalecznik rąbnął mocno w ścian. Przez ułamek sekundy panowała zupełna ciemność, a potem wszystko rozjarzyło się upiorną, fioletową poświatą. Otaczała ona dokoła cały kadłub.

Widocznie Mówiący-do-Zwierząt naprowadził "Kłamcę" na kurs, po czym włączył autopilota, pomyślał Louis. Autopilot sprawdził kurs i zapewne uznał niedalekie Słońce za olbrzymich rozmiarów meteoryt, zagrażający istnieniu statku i podjął kroki, by go ominąć.

Grawitacja wróciła do normy. Louis podniósł się z podłogi. Na pierwszy rzut oka nic mu się nie stało. Podobnie Teeli. Stała tuż przy ścianie, spoglądając na zewnątrz przez zasłonę z fioletowego światła.

- Nie działa połowa wskaźników - oznajmił kzin.

- Nic dziwnego - powiedziała Teela. - Straciliśmy skrzydło.

- Proszę?

- Straciliśmy skrzydło.

Rzeczywiście tak było. Wraz ze skrzydłem stracili wszystkie silniki, urządzenia nadawczo-odbiorcze i lądownicze. Został tylko czysty, gładki kadłub General Products. I to, co się w nim znajdowało.

- Strzelano do nas - powiedział kzin. - Cały czas strzelają. Prawdopodobnie z laserów X. Ten statek znajduje się w stanie wojny. Przejmuję dowodzenie. Nessus nie zaprotestował, bowiem leżał bez ruchu pod ścianą, zwinięty w kule. Louis przyklęknął przy nim i zaczął go delikatnie obmacywać.

- Na łapy finagla, nie robiłem doktoratu z fizjologii laleczników. Nie mam pojęcia, co mu się stało.

- Jest po prostu przestraszony. Próbuje się schować we własnym brzuchu. Przywiążcie go do koi. Louis bez większego zdziwienia zauważył, że z ulgą podporządkowuje się poleceniom. Doznał poważnego szoku. Jeszcze chwilę temu znajdował się w statku kosmicznym; teraz ten statek był już tylko szklaną igłą, spadający bezwładnie ku Słońcu.

Razem z Teelą ułożyli lalecznika w jego koi i przypięli go antywstrząsową uprzężą. -

- Mamy do czynienia z wojowniczą cywilizacją - powiedział kzin. - Laser na promienie X jest bez wątpienia bronią zaczepną. Gdyby nie nasz kadłub, byłibyśmy już martwi.

- Chyba włączyło się też pole statyczne - zauważył Louis. - Licho wie, jak długo działało.

- Kilka sekund - odezwała się Teela. - Ta fioletowa poświata to fosforyzujące resztki tego, co było na zewnątrz.

- Rozpylone przez promień lasera. Słusznie. Zdaje się, że już słabnie.

I rzeczywiście, poświata była już dużo mniej intensywna.

- Niestety, broń, jaką dysponujemy jest wyłącznie defensywna. Jakże zresztą mogło być inaczej, przecież to statek laleczników! - prychnął kzin. - Nawet silniki plazmowe były na zewnątrz. A my ciągle jesteśmy pod ostrzałem. Przekonają się, co to znaczy zaatakować kzin!



- Masz zamiar dać im nauczkę?

Kzin nie wyczuł sarkazmu.

- Oczywiście!

- Czym ? - wybuchnął Louis. - Wiesz, co nam zostawili? Napęd nadprzestrzenny i system utrzymywania życia, to wszystko! Nie mamy nawet jednej pary silników manewrujących. Cierpisz na manię wielkości, jeśli sądzisz, że będziesz mógł tym prowadzić wojnę!

- Tak właśnie uważa przeciwnik! Ale nie wie, że...

- Jaki przeciwnik?

- ... wyzywając do walki kзина...

- To automaty, ty futrzaku! Żywy nieprzyjaciel otworzyłby ogień od razu, jak tylko znaleźliśmy się w zasięgu strzału!

- Mnie również zastanowiła ich dziwna taktyka.

- Mówię ci, to automaty! Sterowane komputerem lasery do rozwalania meteorytów. Zaprogramowane tak, żeby zniszczyć wszystko, co mogłoby uderzyć w wewnętrzną powierzchnię Pierścienia. Kiedy obliczyły, że nasza trajektoria przetnie jego płaszczyznę - bach!

- To... To nawet możliwe. - Kzin zaczął odłączać dopływ energii od nieczynnych wskaźników. - Ale mam nadzieję, że się mylisz.

- No pewnie. Zawsze lepiej, gdy jest na kogo zwalić winę, prawda?

- Byłoby lepiej, gdyby trajektoria naszego lotu nie przecięła płaszczyzny Pierścienia. - Mówił, opuszczając przesłony na martwych okienkach wskaźników. - Poruszamy się z dużą prędkością. Dzięki niej wydostaniemy się poza system i poza zasięg tutejszej anomalii. Bodziemy mogli włączyć napęd nadprzestrzenny i dogonić flotę laleczników. Ale najpierw musimy uniknąć zderzenia z Pierścieniem.

Louis nie sięgnął jeszcze myślą aż tak daleko w przód.

- Musiało ci się tak śpieszyć? - zapytał kwaśno.

- Wiemy przynajmniej, że na pewno nie wpadniemy na Słońce. Gdybyśmy lecieli prosto na nie, nie zostalibyśmy ostrzelani.

- Ogień trwa - zameldowała Teela. - Widzę gwiazdy, ale poświata nie ustępuje. To chyba znaczy, że jesteśmy na kursie kolizyjnym z powierzchnią Pierścienia, prawda?

- Jeżeli lasery są sterowane automatycznie, to tak.

- Czy zginiemy, jeśli spadniemy na Pierścień?

- Spytaj o to Nessusa. To jego koledzy zbudowali ten statek. Tylko najpierw spróbuj go jakoś rozwinąć.

Kzin parsknął z niesmakiem. Tylko kilka żarzących się światełek na tablicy kontrolnej świadczyło o tym, że niewielka część tego, co kiedyś było "Kłamacz" jeszcze funkcjonuje.

Teela nachyliła się nad lalecznikiem, który opleciony swoją delikatną uprzężą, leżał bez ruchu w koi. Wbrew oczekiwaniom Louisa podczas nagłego ataku ani przez moment nie wpadła w panikę. Zaczęła masować delikatnie nasady karków Nessusa, tak jak kiedyś robił to Louis.

- Jesteś głupim, tchórzliwym zwierzątkiem - przemówiła łagodnie do lalecznika. - No chodź, pokaż te swoje główki. Spójrz na mnie. Ominie cię najciekawsze!

Dwanaście godzin później Nessus ciągle znajdował się w stanie głębokiej katatonii.

- Ja próbuję go rozluźnić, a on spina się coraz bardziej! - poskarżyła się Teela ze łzami w oczach. Poszli do kabiny by coś zjeść, ale Taeli nie chciało nic przejść przez gardło. - Na pewno źle to robię, Louis. Na pewno.

- Cały czas mówisz mu o tym, ile tu się dzieje - zwrócił jej uwagę Louis. - Akurat na tym wcale mu nie zależy. Zresztą, daj mu spokój. Nie robi nic złego ani sobie, ani nam. Kiedy zajdzie potrzeba, z pewnością się ocknie, chociażby po to, by się ratować. A na razie niech się tuli do własnego brzucha.

Teela chodziła niepewnie po małej kabinie. Jeszcze nie zdołała się przyzwyczaić do różnicy między grawitacją ziemską a tą, jaka panowała na statku. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, rozmyśliła się, by po chwili jednak wykrztusić.

- Boisz się?

- Pewnie.

- Tak myślałam - skinęła głową i podjęła swoją wędrówkę. Po chwili znowu

zapytała:

- Dlaczego Mówiący się nie boi?

Od momentu ataku kzin cały czas był czymś zajęty: katalogował uzbrojenie, starał się w przybliżeniu obliczyć ich kurs, od czasu do czasu nawykłym do rozkazywania głosem rzucał jakieś krótkie, doskonale zrozumiałe polecenie.

- Sądzę, że jest wręcz przerażony. Pamiętasz, jak zareagował na widok planet laleczników? Jest śmiertelnie przerażony, ale za nic nie pozwoli, by Nessus się tego domyślił.

Teela potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem! Czemu wszyscy się boją, a ja nie?

Miłość i żal zapiekły Louisa bólem tak starym i tak zapomnianym, że aż prawie nowym.

- Nessus miał częściowo rację - spróbował jej wyjaśnić. - Nigdy do tej pory nie spotkało cię nic złego, prawda? Masz zbyt wiele szczęścia, by coś takiego się stało. My boimy się bólu, ale ty tego nie rozumiesz, bo sama nigdy go nie zaznałaś,

- To szaleństwo! Rzeczywiście, nigdy nie zламаłam nogi czy coś w tym rodzaju, ale to przecież nie jest żadna siła parapsychiczna !

- Nie, szczęście nie jest siłą parapsychiczną. Szczęście to statystyka, a ty jesteś matematycznym fuksem. Byłoby dziwne, gdyby wśród czterdziestu trzech miliardów ludzi Nessus nie znalazł właśnie kogoś takiego jak ty. Wiesz, co on zrobił? Ustalił grupę ludzi będących potomkami tych, którzy wygrywali na Loterii Życia. Twierdzi, że było ich tysiące, ale założy się, że gdyby wśród tych tysięcy nie znalazł tego, czego szukał, rozpocząłby poszukiwania w znacznie większej grupie tych, którzy mogli pochwalić się mniejszą liczbą przodków-szczęściarzy. Podejrzewam, że byłoby ich dziesiątki milionów.

- Ale c z e g o on szukał?

- Raczej kogo. Ciebie. Wziął pod lupę tych kilka tysięcy ludzi i zaczął ich po kolei eliminować. Ten jako dziecko zламаł sobie palec. Ten często wdaje się w bójki i zawsze obrywa. Ta ma kłopoty z osobowością. Ten był oblatywaczem nowych modeli statków kosmicznych i stłukł sobie paznokieć. Rozumiesz? Tobie nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Niezależnie od tego, ile razy upuszczałaś kromkę chleba, zawsze upadłaby masłem do góry.

- Wiec to sprawa rachunku prawdopodobieństwa... - powiedziała z

namysłem Teela. - Ale, Louis, coś tu nie gra. Na przykład wcale nie wygrywałam bez przerwy na ruletce.

- Ale też nigdy zbyt dużo nie przegrałaś.

- No... Nie.

- O to właśnie chodziło Nessusowi.

- Wiec mówisz, że jestem jakimś nieprawdopodobnym nieudacznikiem...

- Nieżas! Nie, właśnie nie jesteś! Nessus odrzucał jednego po drugim tych kandydatów, którym coś się nie udało, aż wreszcie trafił na ciebie. Myśli, że znalazł wyjątek, według którego można ustalać nowe zasady. A ja twierdzę, że po prostu doszedł do najdalszego punktu zupełnie normalnej krzywej.

Rachunek prawdopodobieństwa twierdzi, że istniejesz. Twierdzi również, że kiedy następnym razem rzucisz w górę monetę, to tak jak wszyscy inni będziesz miała równe szanse na przegraną i wygraną. Szczęście nie ma pamięci.

Teela usiadła z głośnym westchnieniem.

- Nie ma co, rzeczywiście okazałam się niesamowitą szczęściarą. Biedny Nessus, zawiódł się na mnie.

- Dobrze mu to robi.

Kąciki jej ust podejrzenie zadrzały.

- Możemy to zaraz sprawdzić.

- Co?

- Zamów tosta z masłem. Zaczniemy rzucać.

Czarny prostokąt był ciemniejszy od najczarniejszej czerni, uzyskiwanej wielkim nakładem kosztów podczas laboratoryjnych eksperymentów. Jeden jego róg przesłaniał częściowo błękitną wstążkę Pierścienia. Używając go jako wzoru można było dorysować sobie resztę - czerń na tle czerni Kosmosu, wyróżniającą się tylko tym, że nie migały w niej żadne gwiazdy. Przesłaniał już spory szmat nieba. I ciągle rósł.

Louis miał na oczach okulary z niezwykle silnie polaryzującego materiału. W miejscu, w którym docierało do nich najmocniejsze światło, pojawiały się czarne plamy. Polaryzacja ścian kadłuba okazała się już niewystarczająca.

Mówiący-do Zwierząt, który cały czas siedział w sterowni sterując tym, co jeszcze pozostało do sterowania, również je założył. Znaleźli także dwa pojedyncze szkła, każde z krótką gumką i wspólnymi siłami ubrali w nie Nessusa.

Louis widział odległe o dwanaście milionów mil Słońca jako czarny dysk, okolony jaskrawopomarańczową koroną. Wnętrze statku bardzo się już nagrzało. Klimatyzator wył na najwyższych obrotach.

Teela otworzyła drzwi kabiny i momentalnie je zamknęła. Po chwili pojawiła się w okularach na nosie.

Prostokąt był teraz po prostu monstrualną pustką. Tak, jakby ktoś startł fragment poznaczonej białymi punkcikami tablicy moką, dobrze wypłukaną ścierką.

Ryk klimatyzatora uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowy.

W jaki sposób pozbywał się ciepła, skoro na zewnątrz było o tyle goręcej niż w środku? Wcale się nie pozbywał, domyślił się Louis. Magazynował je. Gdzieś w trzewiach klimatyzatora znajdował się mały punkcik o temperaturze gwiazdy, rosnący z minuty na minutę.

Jeszcze jeden powód do obaw.

Czarna pustka powiększała się coraz bardziej.

To jej ogrom sprawiał, że pozornie zbliżali się tak powoli. Prostokąt miał szerokość przynajmniej równą średnicy Słońca, jakiś milion mil. Jego długość musiała wynosić co najmniej dwa i pół miliona mil. Nagle ujrzeli jego prawdziwe rozmiary. Jego krawędź wsunęła się między nich a Słońce i zapadła ciemność.

Czarny prostokąt zasłaniał pół Wszechświata. Jego krawędzie, czarne na czarnym tle, sięgały zbyt daleko, by można je było dostrzec.

Część statku znajdująca się za kabinami mieszkalnymi była rozpalona do białości. To klimatyzator pozbywał się nagromadzonego w nim ciepła. Louis otrząsnął się jak po złym śnie, odwrócił się w stronę monstrualnego prostokąta.

Wycie klimatyzatora ustało nagle, pozostawiając po sobie dzwonienie w uszach.

- No... - powiedziała niepewnie Teela.

W drzwiach sterowni pojawił się Mówiący-do-Zwierząt.

- Szkoda, że z teleskopu został nam tylko ekran - powiedział. - Mógłby nam wiele wyjaśnić.

- Na przykład co? - krzyknął Louis, zapominając, że na statku panuje już cisza.

- Na przykład to, dlaczego prostokąty poruszają się z prędkością większą od orbitalnej. Czy rzeczywiście są generatorami energii? Co utrzymuje je w jednakowym położeniu? Gdyby działał teleskop, moglibyśmy znać odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie zadał ten pożeracz liści.

- Czy spadniemy na Słońce?

- Oczywiście, że nie: Przecież już to mówiłem. Przez pół godziny będziemy lecieć w cieniu tego prostokąta, a potem przejdziemy między Słońcem a następnym prostokątem. Jeśli zrobi się za gorąco, będziemy mogli włączyć pole statyczne.

Powróciła znowu dźwięcząca cisza. Prostokąt był teraz bezkształtnym, bezgranicznym polem doskonałej czerni. Ludzkie oko nie potrafi wyłowić z doskonałej czerni żadnych szczegółów.

Po pewnym czasie powróciła ulewa słonecznego światła. Krótco potem włączył się klimatyzator.

Louis wpatrywał się z natężeniem w niebo; wreszcie jego wzrok odszukał następny prostokąt. Właśnie obserwował, jak zbliża się nieprzenikliwie czarna płachta, kiedy uderzyła błyskawica.

W każdym razie, tak to wyglądało. Uderzyło jak błyskawica, bez ostrzeżenia, wybuchając straszliwym blaskiem, jakby znaleźli się nagle w sercu Supernowej. Statek zakołysał się...

N i e c i ą g ł o ś ć

... i światło zgasło. Louis sięgnął palcami po okulary, by przetrzeć załzawione oczy.

- Co to było? - wykrzyknęła Teela.

Louis powoli odzyskiwał wzrok. Kiedy wreszcie zniknęły kolorowe plamy, zobaczył, że Nessus wystawił jedną, chronioną okularami, głowę, że kzin szuka czegoś w jednym ze schowków i że Teela patrzy prosto na niego.

Nie, nie na niego. Na coś co znajdowało się dokładnie za nim. Odwrócił się.

Słońce było czarnym krążkiem mniejszym niż poprzednio, okolone żółtobiałym płomieniem. Przez moment, kiedy znajdowali się w polu statycznym, bardzo się skurczyło. Ten "moment" musiał trwać kilka godzin. Ryk klimatyzatora przeszedł w niezbyt głośne, irytujące pohukiwanie.

Na zewnątrz coś płonęło.

Czarna, cienka nić, otoczona białofioletową poświatą. Jej jeden koniec nikał w słońcu, drugi gdzieś z przodu, przed "Kłamcą", za daleko, by można go było dostrzec.

Niść wiała się niczym przepołowiona dżdżownica.

- Zdaje się, że w coś uderzyliśmy - powiedział spokojnie Nessus. Sprawiał wrażenie, jakby cały czas kontrolował sytuację. - Mówiący, musisz wyjść na zewnątrz. Zakładaj skafander.

- Znajdujemy się w stanie wojny - odpad kzin. - Ja tu dowodzę.

- Znakomicie. Co więc zamierzasz uczynić?

Kzin miał dość zdrowego rozsądku, by nic nie odpowiedzieć. Właśnie skończył wyciągać ze schowka swój baloniasty skafander. Najwidoczniej sam też postanowił przeprowadzić rekonesans.

Wziął jeden ze skuterów - przypominających kształtem torpedy pojazdów o wygodnym, częściowo wpuszczonym w obudowę siedzeniu pilota.

Przyglądali się, jak manewruje dokoła wijącej się, czarnej nici. Musiała już nieco ostygnąć, bowiem kolorowy pasek koło sztucznej, narzuconej przez okulary czerni ściemniał i miał teraz kolor intensywnie pomarańczowy. Zwalista postać kzina wydobyła się ze skutera i poszybowała w kierunku nici. Słyszeli jego oddech. W pewnej chwili parsknął coś ze zdziwieniem, ale nie powiedział ani słowa. Przebywał na zewnątrz pełne pół godziny.

Kiedy wrócił na pokład "Kłamcy", czekali w ciszy i skupieniu na to, co miał im do powiedzenia.

- Jest rzeczywiście grubości nici - oznajmił. - jak widzicie, mam tylko połowę chwytaka.

Pokazał im zniszczone narzędzie. Rękojeść została odkrojona jednym, równym cięciem. Powierzchnia metalu była wypolerowana jak lustro.

- Kiedy zbliżyłem się na ile, by zobaczyć, jakiej jest grubości, dotknąłem jej chwytakiem. Przeszła przez niego jak przez powietrze. Nie czułem prawie

żadnego oporu.

- To samo zrobiłby twój miecz.

- Ale miecz jest wykonany z drutu utrzymywanego w polu Slavera i nie może się zginać. Ta... nic wije się we wszystkie strony, sami zresztą widzicie.

- A więc to coś nowego. - Coś, co może ciąć jak miecz kżina. Niebywale lekkie, cienkie i mocne. Coś, co pozostawało ciałem stałym w temperaturze, w której każda naturalna substancja dawno zamieniłaby się w plazmę. - Coś naprawdę nowego. Ale skąd to się wzięło?

- Pomyśl. Przelatując między dwoma prostokątami uderzyliśmy w coś. Następnie widzimy koło nas olbrzymiej długości nic, rozgrzaną do temperatury wnętrza gwiazdy. Właśnie w nią uderzyliśmy, to jasne. Temperatura wytworzyła się w wyniku zderzenia. Według mnie należy przyjąć, że była rozpięta między tymi dwoma prostokątami.

- Może i tak. Ale po co?

- Możemy się tylko domyślać. Zastanówmy się. Budowniczo Pierścienia umieścili czarne prostokąty na wokółsłonecznej orbicie po to, by na jego wewnętrznej powierzchni uzyskać cykl dzień

noc. Prostokąty, by spełniać swą rolę, muszą znajdować się dokładnie między Pierścieniem a Słońcem. Nie mogą też ustawić się do niego którąkolwiek krawędzią.

Budowniczo Pierścienia użyli nici do związania prostokątów w jeden łańcuch. Nadali mu prędkość większą od orbitalnej po to, by nic była cały czas napięta.

W umyśle Louisa tworzył się dziwny obraz: dwadzieścia czarnych prostokątów ustawionych jak do zabawy w "kółko graniaste", połączonych kawałkami nici o długości pięciu milionów mil każdy...

- Musimy mieć tą nic - oświadczył Louis. - Aż trudno sobie wyobrazić, na ile sposobów można ją wykorzystać.

- Nie miałem jak przynieść jej na pokład. Czy nawet odciąć kawałka.

- W wyniku kolizji nasz kurs mógł ulec poważnym zmianom - przerwał lalecznik. - Czy istnieje jakiś sposób by sprawdzić, czy zderzymy się z Pierścieniem?

Nikt nie potrafił podać takiego sposobu.



- Mogliśmy go ominąć, ale zderzenie odebrało nam znaczną część prędkości. Możliwe, że zostaniemy na zawsze uwięzieni na eliptycznej orbicie wokół tego słońca - lamentował lalecznik. - Teela, twoje szczęście nas zawiodło.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie twierdziłam, że jestem jakimś talizmanem.

- To wina Najlepiej Ukrytego. Gdyby tutaj był, szorstkie znalazłbym słowa dla mej aroganckiej partnerki.

Tego wieczoru kolacja zamieniła się niemal w jakiś rytuał. Załoga "Kłamcy" spożywała ostatni posiłek na pokładzie swego statku. Teela Brown, ubrana w powiewny, czarno-pomarańczowy strój, który z pewnością nie ważył więcej, niż kilka gramów, była wręcz boleśnie piękna.

Za jej plecami Pierścień dosłownie rósł w oczach. Od czasu do czasu Teela odwracała się, by na niego spojrzeć. Wszyscy patrzyli. Ale o ile Louis mógł się jedynie domyślać uczuć lalecznika i kzinna, to w Teel dostrzegał wyraźnie tylko i wyłącznie ciekawość i oczekiwanie. Czuła to samo, co on: nie ominą Pierścienia.

Kochał ją tej nocy z gwałtownością, która najpierw ją zdumiała, a potem zachwyciła.

- Wiec tak działa na ciebie strach! Musze sobie zapamiętać!

Nie mógł odpowiedzieć uśmiechem na jej uśmiech.

- Cały czas myślę, że to być może ostatni raz.

W ogóle ostatni, dodał w myśli.

- Och, Louis! Jesteśmy przecież w kadłubie General Products!

- A jeśli coś się stanie i pole statyczne nie zaskoczy? Kadłub z pewnością wytrzyma upadek, ale z nas zostanie tylko galareta.

- Na oczy finagla, przestań się bać! - Jej dłonie zsunęły się w dół po jego ciele. Przyciągnął ją bliżej, by przypadkiem nie dostrzegła jego twarzy...

Kiedy już spała, przypominając cudowny, uroczy sen, Louis wyszedł z kabiny. Wziął gorącą kąpiel, pociągając ze szklanki zimnego bourbona.

Istniały przyjemności, których nie można było sobie odmówić. .

Jasny błękit z białymi pasemkami, czysty granat, znowu błękit...

Pierścień przesłaniał już niemal całe niebo. Z początku szczegóły można było dostrzec tylko na obszarach pokrytych chmurami: burze, fronty atmosferyczne, opady. Potem pojawiły się zarysy mórz. Powierzchnia Pierścienia mniej więcej w połowie pokryta była wodą.

Wszyscy znajdowali się w swoich kojach. Kzin, Teela i Louis przypięci uprzężą przeciążeniową. Nessus dodatkowo zwinięty w kłębek.

- Lepiej byś trochę popatrzył - doradził mu Louis. - Znajomość topografii może nam się później przydać.

Nessus posłuchał; pojawiła się jedna głowa, by obserwować pędzący na nich krajobraz.

Oceany, wygięte krechy rzek, łańcuchy górskie.

Żadnego znaku życia. Dopiero z wysokości poniżej tysiąca mil można dostrzec ślady cywilizacji. Powierzchnia Pierścienia pędziła pod nimi, zabierając ze sobą szczegóły niemal tak prędko, jak nadążali je rozpoznawać. Zresztą nie były ważne. I tak spadną na obcy, nieznaną teren.

Statek mknął z prędkością około dwustu mil na sekundę. Wystarczyłoby to w zupełności, by wynieść ich poza system. Wystarczyłoby, gdyby na ich drodze nie znajdował się Pierścień...

Byli coraz bliżej. Z boku wypełzło im na spotkanie jakieś morze, mignęło, zniknęło. Nagle uderzyła oślepiająca, fioletowa błyskawica.

N i e c i ą g ł o ś ć

## 10. Powierzchnia pierścienia

C hwila jasnioletowego, jaskrawego światła. Sto mil atmosfery, sprasowanej w ułamku sekundy do cieniutkiej warstwy plazmy rąbnęło ich prosto w dziób.

Louis mrugnął odruchowo i już byli na dole.

- Niezas! - usłyszał gniewny okrzyk Teeli. - Nic nie widziałam!

- Obserwowanie tytanicznych wydarzeń jest zawsze niebezpieczne, czasem bolesne, a często kończy się fatalnie - odpad lalecznik. - Bądź wdzięczna polu statycznemu Slavera, albo swojemu szczęściu.

Louis słuchał tego ledwie jednym uchem. Czuł się jakoś dziwnie. Jego oczy usiłowały znaleźć jakiś poziomy lub pionowy punkt odniesienia.

Ten nagły przeskok z potwornego spadania do całkowitego bezruchu byłby już sam w sobie wystarczająco oszałamiający, a w dodatku "Kłamcy" brakowało ledwie trzydziestu stopni do tego, by leżeć dokładnie do góry nogami. Sztuczna grawitacja działała cały czas bez zarzutu, więc odnosiło się wrażenie, że to nie statek, a otaczający go teren stanął nagle na głowie.

Niebo miało kolor nieba z umiarkowanej strefy klimatycznej Ziemi. Roztaczający się dookoła widok był dosyć dziwny: doskonale gładka, błyszcząca powierzchnia o poszarpanych, czerwonobrazowych krawędziach. Coś więcej można będzie powiedzieć dopiero po wyjściu na zewnątrz.

Louis rozpiął swoją uprząż i wstał z koi.

Uczył to dosyć niepewnie, bowiem jego oczy i błędnik miały dokładnie odmienne zdania co do tego, gdzie właściwie jest dół. Tylko spokojnie. Nie było gdzie się śpieszyć. Niebezpieczeństwo minęło.

Odwrócił się, by ujrzeć zamykające się za Teelą wewnętrzne drzwi śluzy. Dziewczyna była bez skafandra.

- Teela, ty wariacie, wyłaż stamtąd! - ryknął.

Za późno. Nie mogła go już usłyszeć. Rzucił się do drzwi.

Analizatory powietrza, umieszczone na skrzydle "Kłamcy", zniknęły wraz z resztą zewnętrznych czujników i urządzeń. Żeby sprawdzić przydatność atmosfery Pierścienia do oddychania należało wyjść na zewnątrz w skafandrze i użyć wchodzącego w skład jego wyposażenia, przenośnego analizatora.

Chyba że Teela padnie martwa w drzwiach śluzy. Wtedy nie trzeba już będzie przeprowadzać żadnych testów.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi.

Automatycznie w śluzie przestała działać sztuczna grawitacja i Teela runęła głową w dół. W ostatniej chwili udało jej się złapać wyciągniętą na oślep ręką krawędzi otworu wejściowego, dzięki czemu obróciła się w trakcie upadku o 180 stopni i zamiast na czaszce, wylądowała na dokładnie przeciwnej części

swego ciała.

Louis wskoczył w skafander, zapiął go, zatrzasnął hełm. Na zewnątrz, nad jego głową Teela wstała powoli na nogi, trąc stłuczone boleśnie miejsce. O dziwo, ciągle jeszcze oddychała.

Louis wszedł do śluzy. Nie sprawdził nawet, na jak długo starczy mu powietrza, bo przecież miał zamiar przebywać w skafandrze tylko tyle czasu, ile będzie potrzeba analizatorowi na określenie składu atmosfery.

W ostatniej chwili przypomniał sobie, w jak niezwykłym położeniu znajduje się statek, chwycił się mocno tego, co przed chwilą było progiem, a teraz okazało się górną krawędzią otworu wejściowego, zawisł na rykach i skoczył.

Nogi wymknęły się momentalnie spod niego i Louis wylądował twardo na swoim gluteus maximi.

Gładka, szarawa, półprzezroczysta powierzchnia była nieprawdopodobnie śliska. Louis raz i drugi spróbował wstać, po czym dał za wygraną. Siedząc zerknął na wskazania analizatora.

- Louis, słyszysz mnie? - zapytał kzin.

- Aha.

- Czy powietrze nadaje się do oddychania?

- Tak. Tyle, że trochę rzadkie. Na Ziemi powiedziałbym, że jesteśmy jakąś milę nad powierzchnią morza.

- Możemy wyjść?

- Pewnie, ale weźcie ze sobą liny i przywiążcie ją do czegoś w śluzie, bo nie bodziemy mieli jak wrócić. Uważajcie przy schodzeniu. Tutaj prawie nie ma tarcia.

Śliska powierzchnia nie sprawiała Teeli niemal żadnego kłopotu. Stała bez ruchu z założonymi ramionami, czekając, kiedy wreszcie Louis przestanie się wygłupiać i zdejmie hełm.

- Musze ci coś powiedzieć - oznajmił, kiedy już to uczynił.

I powiedział, w sposób bynajmniej niezbyt elegancki.

Powiedział o tym, że analiza widmowa składu atmosfery przeprowadzana z odległości dwóch lat świetlnych nie może w żadnym wypadku dawać pewności

co do jej rzeczywistego składu. Powiedział o trudno wykrywalnych truciznach, związkach metali, pyłach, organicznych zawiesinach i mikroorganizmach, które swą niewyczuwalną obecnością mogą zatruć pozornie nadającą się do oddychania atmosferę, a które można odkryć dopiero w pobranej bezpośrednio próbce powietrza. Powiedział o karygodnej nierozwadze i nieprawdopodobnej głupocie. Powiedział o nieodpowiedzialności tych, których jedynym pragnieniem jest odgrywanie roli świnki morskiej. Powiedział to wszystko, zanim dwaj obcy zdążyli opuścić statek.

Mówiący-do-Zwierząt spuścił się po linie i zrobił kilka ostrożnych kroków, niczym tancerz, badający przyczepność parkietu. Nessus zszedł w ten sam sposób, zamiast rąk używając swoich dwóch par ust, po czym stanął w bezpiecznej pozycji trójnoga.

Jeżeli nawet któryś z nich zauważył zmieszanie i przygnębienie Teeli, to nie dał tego po sobie poznać. Stali pod przekrzywionym kadłubem "Kłamcy" i rozglądali się dookoła.

Znajdowali się w olbrzymiej, płytkiej bruździe. Jej dno miało szarawy kolor i było doskonale gładkie, niczym szklany blat ogromnego stołu. Po dwóch stronach statku, w odległości jakichś stu jardów wznosiły się łagodnie jej krawędzie, utworzone przez zwały brunatnoczerwonej lawy. Louisowi zdawało się, że lawa jeszcze płynie, ściekając niezliczonymi strumykami na dno ogromnej koleiny. Z pewnością nie zdążyła jeszcze ostygnąć, rozgrzana do olbrzymiej temperatury w wyniku upadku "Kłamcy".

Bruzda ciągnęła się hen, daleko za statkiem; nie można było dojrzeć jej końca.

Louis po raz kolejny spróbował wstać. Z całej czwórki tylko on jeden miał aż takie problemy z utrzymaniem równowagi. Podciągnął stopy i uniósł się z przesadną ostrożnością; co prawda stał, ale nie mógł zrobić najmniejszego kroku.

Kzin wyjął z kabury swój podręczny laser, wycelował w punkt niedaleko swych stóp i nacisnął spust. Obserwowali w milczeniu promień zielonego światła. Nie rozległ się ani jeden trzask topionego lub chociaż pękającego materiału, nie uniosła się nawet jedna strużka dymu. Gdy Mówiący zwolnił spust, w szklistej powierzchni nie powstał nawet najmniejszy ślad.

- Znajdujemy się w bruździe wyrytej w trakcie lądowania przez kadłub "Kłamcy" - zawyrokował Mówiący-do-zwierząt. - Nasz upadek zahamowała dopiero warstwa materiału, z którego jest wykonana zasadnicza konstrukcja Pierścienia. Nessus, co możesz nam o niej powiedzieć?

- To coś zupełnie nowego - powiedział lalecznik. - Zdaje się, że w ogóle nie przewodzi ciepła, ale to z pewnością nie jest odmiana ani kadłuba General

Products, ani pola statycznego - Slavera.

- Przy wchodzeniu na te ściany będziemy potrzebować jakiejś ochrony - zauważył Louis. W tej chwili rozważania na temat konstrukcji Pierścienia niezbyt go interesowały. - Wy tu poczekaјcie, a ja spróbuјę wdrapać się na górę.

Jako jedyny miał na sobie izolowany termicznie skafander.

Pójdę z tobą! - zawołała Teela. Podeszła do niego bez żadnego widocznego wysiłku; oparł się na niej ciężko i razem ruszyli w stronę łagodnego zbocza lawy.

Szło się po niej bardzo dobrze, choć jednak trochę stromo.

- Dzięki - powiedział i ruszył pod górę. Pro chwili zorientował się, że Teela idzie za nim. Nie zareagował. Im szybciej nauczy się ostrożności, tym dłużej będzie żyła.

Przeszli jakieś dwanaście jardów, kiedy Teela wydała zaskoczony okrzyk i zaczęła dziki taniec. Podskakując tak wysoko, jak tylko było możliwe, zrobiła w tył zwrot i popędziła w dół zbocza. Kiedy dotarła do śliskiej powierzchni Pierścienia, pojechała jak na łyżwach. Już przy statku odwróciła się w stronę Louisa i oparłszy dłonie na biodrach popatrzyła na niego zdumionym, wściekłym i przestraszonym zarazem spojrzeniem.

Mogło być gorzej, pomyślał Louis. Mogła upaść i porządnie się poparzyć. A mimo to i tak miałyby rację. Podjął wspinaczka tłumiąc w sobie nieprzyjemne poczucie winy.

Ściana lawy miała około czterdziestu stóp wysokości. Na szczycie ustępowała miejsca czystemu, białemu piaskowi.

Wylądowali na pustyni. Rozglądając się po okolicy Louis nigdzie nie mógł dostrzec nawet śladu jakiegokolwiek roślinności czy wody. Mieli szczęście. Równie dobrze "Kłamca" mógł przecież przeorać całe miasto!

Albo nawet kilka miast. Bruzda, wyżłobiona przez jego upadek, ciągnęła się milami przez białą pustynię. W oddali widać było jej koniec, ale tuż za nią zaczynała się następna. Łądując, "Kłamca" musiał kilka razy odbić się od podłoża, pozostawiając za sobą przerywany ślad swego upadku. Oczywiście Louisa szły za tym śladem coraz dalej i dalej... Louis patrzył w nieskończoność.

Pierścień nie miał horyzontu. Nie istniała linia, na której kończył się ląd, a zaczynało niebo. Tutaj ziemia i niebo zdawały się mieszać ze sobą w odległości, w której nawet kontynenty wydawały się małymi punkcikami; kolory

traciły już tam swoją intensywność, przybierając błękitny odcień nieba. Widok miejsca, w którym wszystko niknęło, podziałał na niego wręcz hipnotycznie.

Kiedy wreszcie oderwał wzrok, uczynił to z niemałym wysiłkiem. Tak jak mgliste przepaści u podnóża Góry Widoku, oglądane dziesiątki lat temu i setki lat stąd... Jak niezmacone otchłanie Kosmosu, takie, jakimi je odbiera samotny pilot małego, jednoosobowego stateczku... Ten niezwykły horyzont Pierścienia mógł wchłonąć duszę człowieka szybciej, niż ten zdałby sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa.

- Świat jest płaski !- krzyknął w dół, do bruzdy.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Wyryliśmy niezłą koleinę. I tak mieliśmy sporo szczęścia; bo zdaje się, że tu w okolicy nie ma nic żywego. Tam, gdzie uderzyliśmy, wszystko poleciało do góry i pospadało jak małe meteoryty. Przed nami... - odwrócił się i zamarł.

- Louis?

- Niezas ! To największa góra, jaką w życiu widziałem.

- Louis !

Mówił zbyt cicho.

- Góra!- ryknął - Sami zobaczycie! Widocznie chcieli mieć jedną górę tak ogromną, żeby nie było z niej żadnego pożytku. Jest za duża, żeby cokolwiek na niej sprawić. Jest za duża nawet na narty! Wspaniała!

Rzeczywiście, była wspaniała. Samotna, potężna góra, niemal dokładnie stożkowego kształtu. Przypominała trochę wulkan, a raczej pseudowulkan, bo przecież pod powierzchnią Pierścienia nie było magmy, która szukałaby w ten sposób ujścia. Jej podstawa ginęła w gęstej mgle, zbocza widać było wyraźnie dzięki rzadkiemu powietrzu, zaś szczyt błyszczał bielą śniegu; raczej szarością, więc chyba nie był to czysty śnieg. Może wieczna zmarzlina.

Kontury szczytu rysowały się z nieprawdopodobną ostrością. Czyżby wystawał ponad atmosferę?

Prawdziwa góra tej wielkości od razu runęłaby pod swoim własnym ciężarem; ta jednak z pewnością była tylko pustą w środku skorupą, utworzoną z tajemniczego materiału konstrukcyjnego Pierścienia.

- Zaczynam lubić tych, którzy to budowali - mruknął pod nosem Louis. Nie istniała żadna logiczna przyczyna, dla której na świecie robionym niejako "na

zamówienie" miałyby istnieć taka góra.

Ale każdy świat powinien mieć chociaż jedną górę nie do zdobycia. Pozostała trójka czekała na niego pod wypukłością kadłuba. Wszystkie ich pytania stopiły się w jedno:

- Widziałeś jakieś ślady cywilizacji?

- Nie.

Kazali mu opisać wszystko, co zobaczył. Ustalili kierunki: "zgodnie z ruchem obrotowym" było wzdłuż wrytej przez "Kłamcę" bruzdy, do tyłu; "przeciwnie do ruchu obrotowego" było do przodu, w kierunku góry; strony lewa i prawa odpowiadały rękom człowieka stojącego twarzą do kierunku obrotowego.

- Dostrzegłeś po lewej lub prawej którąś ze ścian?

- Nie. Nie wiem, dlaczego. Powinny tam być.

- To niedobrze.

- To niemożliwe. Tam, na górze, wzrok sięga na tysiące mil.

- To niedobrze - powtórzył Nessus. I znowu: - Widziałeś coś poza pustynią?

- Nie. Daleko po lewej stronie majaczyło coś niebieskiego. Może ocean. A może to tylko odległość.

- Żadnych budowli?

- Żadnych.

- Smugi kondensacyjne na niebie? Jakież trasy komunikacyjne?

- Nic.

- Jakiegokolwiek ślady cywilizacji?

- Gdybym coś takiego dostrzegł, powiedziałbym wam. Sądząc po tym, co zobaczyłem, to całe dziesięć bilionów mieszkańców Pierścienia przeniosło się w zeszłym miesiącu do prawdziwej kuli Dysona.

- Louis, musimy odszukać tę cywilizację.

- Wiem o tym.



Było to aż nazbyt oczywiste. Musieli przecież prędzej czy później opuścić Pierścień, a nie było mowy o tym, by udało im się własnymi siłami poruszyć kadłub "Kłamcy". Dzikusi, bez względu na to, jak liczni i jak przyjaźnie nastawieni, niewiele mogli im w tym pomóc.

- Jest w tym wszystkim jeden pozytywny aspekt - powiedział Louis. - Nie musimy naprawiać statku.

Jeśli tylko uda nam się przetransportować "Kłamcę" na krawędź Pierścienia, prędkość obrotowa wyrzuci nas poza zasięg anomalii gwiazdy i będziemy mogli od razu wejść w nadprzestrzeń.

- Ale najpierw musimy uzyskać pomoc.

- Albo ją wymusić - dodał Mówiący-do-Zwierząt.

- Czemu wiec wszyscy stoicie i gadacie? - wybuchnęła Teela.

Czekała do tej pory cierpliwie, nie zabierając głosu w dyskusji. - Musimy się stąd wydostać, prawda? Wiec czemu nie wyciągamy skuterów? Ruszcie się! Gadać możecie później. . .

- Waham się, czy należy opuszczać statek - oznajmił lalecznik.

- Wahasz się? A co, oczekujesz nadejścia pomocy? Kto, według ciebie, ma się nami zainteresować? Czy ktokolwiek odpowiedział na nasze sygnały? Louis mówi, że jesteśmy w samym środku pustyni. Jak długo jeszcze będziemy tu siedzieć?

Nie zdawała sobie sprawy, że Nessus potrzebuje trochę czasu, by zgromadzić w sobie potrzebną odwagę. A w dodatku, pomyślał Louis, w ogóle nie ma cierpliwości.

- Oczywiście; że stąd wyruszamy - odparł lalecznik. - Dałem tylko wyraz moim wątpliwościom. Ale najpierw musimy ustalić, dokąd się udamy. Inaczej nie będziemy wiedzieć, co wziąć, a co zostawić.

- Musimy dotrzeć do najbliższej krawędzi!

- Teela ma racje - poparł ją Louis. - Jeżeli w ogóle jest tu jeszcze jakaś cywilizacja, to z pewnością właśnie w pobliżu krawędzi. Tyle tylko że nie wiemy, w którą to stronę. Powinienem coś zobaczyć, kiedy byłem na górze.

- Wcale nie - zaproponował lalecznik.

- Nieżas! To ja tam byłem, nie ty! Wzrok nie napotyka żadnych przeszkód.

Widać na tysiące mil! Zaraz, chwileczkę...

- Pierścień ma około miliona mil szerokości.

- Właśnie to sobie przypomniałem - westchnął z rezygnacją Louis. - Te rozmiary! Po prostu ciągle nie może do mnie dotrzeć, że może istnieć coś aż TAK dużego.

- Z pewnością dotrze - pocieszył go lalecznik.

- Może. Chyba mam za małą głowę, żeby mi się to zmieściło. Z daleka Pierścień wyglądał jak wąska wstążka... Błękitna wstążka...

Ciałem Louisa wstrząsnął niekontrolowany dreszcz.

Jeżeli boczna ściana Pierścienia miała tysiąc mil wysokości, to jak daleko od niej musieli wylądować, skoro Louis nie mógł jej w ogóle dostrzec?

Przypuśćmy, że w zapyłonym, wilgotnym powietrzu jego wzrok sięgał na, powiedzmy, tysiąc mil. Jeżeli już na wysokości czterdziestu mil to powietrze ustępowało miejsca zupełnej próżni...

Znaczyło to ni mniej ni więcej tylko tyle, że od najbliższej krawędzi dzieliło ich przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy mil. Gdyby przebyć taką trasę na Ziemi, wróciłoby się do punktu wyjścia. A krawędź mogła przecież być dużo, dużo dalej...

- Nasze skutery nie dadzą rady ruszyć "Kłamcy" z miejsca - zastanawiał się na głos Mówiący-do-Zwierząt. - W razie ataku i tak musielibyśmy go odciąć. Lepiej go tu zostawić; nietrudno będzie go później znaleźć.

- A czy ktoś proponował, żeby go ciągnąć?

- Dobry wojownik myśli o wszystkim. Może do tego dojść, jeśli nie znajdziemy nigdzie pomocy.

- Znajdziemy - odparł z pewnością w głosie Nessus.

- Też tak sędzę - potwierdził Louis. - Na krawędzi znajdują się porty kosmiczne. Nawet jeśli cały Pierścień cofnął się w rozwoju do epoki kamienia łupanego, to cywilizacja zaczęłaby się odradzać właśnie stamtąd. Jestem tego pewien.

- To tylko nie poparte niczym domysły - zaproponował kzin.

- Być może.

- Ale mimo to zgadzam się z tobą. Jeśli nawet tutejsza cywilizacja utraciła już swoje wielkie sekrety, to przecież w portach możemy jeszcze znaleźć sprawne maszyny. Sprawne, albo chociaż takie, które da się jeszcze naprawić.

Tylko... do której krawędzi mieli bliżej?

- Teela ma rację - ocknął się nagle Louis. - Bierzmy się do roboty. Nocą rozejrzemy się jeszcze raz.

Godziny, które nadeszły, były wypełnione ciężką pracą. Wyciągali zawartość schowków, sortowali, opuszczali na linach cięższe przedmioty i ustawiali je pod kadłubem. Nagła zmiana kierunku przyciągania nastęrczała trochę kłopotów, ale na szczęście żaden z "towarów" nie okazał się nadmiernie kruchy.

W trakcie pracy Louis przydybał Teelę samą we wnętrzu statku.

- Zachowujesz się tak, jakby ktoś otruł twoją ulubioną orchideę. Chcesz porozmawiać?

Unikając jego spojrzenia potrząsnęła energicznie głową. Jej wargi, teraz dopiero to zauważył, wyglądały bardzo ładnie, kiedy się dąsała. Albo płakała. Były jedną z rzadko spotykanych kobiet, których płacz nie szpecił.

- A wiec ja ci coś powiem. Kiedy wyszłaś na zewnątrz bez skafandra, porządnie cię objechałem. Piętnaście minut później usiłowałaś prawie na bosaka wejść na zbocze gorącej lawy.

- Chciałeś, żebym się oparzyła!

- Oczywiście. Nie rób takiej zdziwionej miny. Potrzebujemy cię. Nie chcemy, żebyś zginęła. Chce cię przyzwyczaić do tego, że masz być ostrożna. Nie nauczyłaś się tego wcześniej, więc nauczysz się teraz. Zapamiętasz to oparzenie dużo lepiej, niż moje wykłady.

- Potrzebujecie mnie! Dobrze sobie. Przecież wiesz, dlaczego Nessus mnie zabrał. Miałam być szczęśliwą maskotką, a przyniosłam pecha.

- Zgadzam się. Jako maskotka zupełnie się nie sprawdziłaś: No, uśmiechnij się. Potrzebujemy cię po to, żebyś zajmowała się mną w nocy, dzięki czemu nie musy gwałcić Nessusa. Potrzebujemy cię, żebyś tyrała jak osioł, podczas gdy my wygrzewamy się na słończku. Potrzebujemy cię dla twoich inteligentnych i przemyślanych uwag.

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech, który po chwili zniknął i Teela wybuchnęła płaczem. Chlipała, wtulona twarzą w pierś Louisa, obejmując go mocno ramionami.

Nie pierwszy raz kobieta płakała na piersi Louisa Wu, ale Teela miała więcej powodów od wszystkich poprzednich razem wziętych. Louis przytulił ją, gładząc delikatnie po karku i czekał, aż się uspokoi.

- Skąd miałam wiedzieć, że to parzy! - poskarżyła się jego skafandrowi.

- Przypomnij sobie Prawa Finagla: Perwersja Wszechświata dąży ku maksimum. Wszechświat z samej swojej zasady jest zawsze wrogi.

- Ale to bolało!

- Lawa cię zaatakowała. Chciała cię skrzywdzić. Posłuchaj! - powiedział błagalnym tonem. - Musisz nauczyć się tak właśnie myśleć. Jak paranoik. Jak Nessus.

- Nie potrafię! Skąd mam wiedzieć, jak on myśli? Nawet go nie rozumiem! - Uniosła mokrą od łez twarz. - Ciebie też nie rozumiem.

Przesunął dłońmi po jej łopatkach i w dół, wzdłuż kręgosłupa.

- Posłuchaj - odezwał się po chwili. - Gdybym powiedział, że Wszechświat nienawidzi mnie, pomyślałabyś, że zwariowałem, prawda?

Skinęła energicznie głową.

- Wiec mówię ci, że świat naprawdę mnie nienawidzi. Jest przeciwko mnie. Dwustuletni człowiek nie przedstawia dla niego żadnej wartości.

Jaka siła kształtuje gatunek? Ewolucja, prawda? To ona wyposażyła Mówiącego w doskonały wzrok i niezachwiane poczucie równowagi. To ona zaszczepiła Nessusowi odruch ucieczki przed najmniejszym niebezpieczeństwem. To ona likwiduje u pięćdziesięcio czy sześćdziesięcioletniego człowieka popęd seksualny, po czym przestaje się nim interesować.

Bowiem ewolucja nie zajmuje się żadnym organizmem zbyt starym na to, by mógł się rozmnażać. Rozumiesz?

- Jasne. Jesteś zbyt stary na to, by się rozmnażać - powtórzyła, przedrzeźniając jego ton.

- Otóż to. Kilkaset lat temu jacyś biolodzy pogrzebali trochę w genach

różnych roślin i dali świata to, co potocznie nazywa się "utrwalaczem". W wyniku tego mam dwieście lat i jestem ciągle zdrowy. Ale bynajmniej nie dlatego, że Wszechświat mnie jakoś szczególnie kocha.

Wszechświat mnie nienawidzi. Wiele razy próbował mnie zabić. Szkoda, że nie mogę pokazać ci blizn. I będzie próbował, aż do skutku.

- Bo jesteś za stary na to, żeby się rozmnażać!

- Kobieto, przecież to ty nie masz pojęcia, jak zatroszczyć się o swoje własne przetrwanie! Znajdujemy się w obcym miejscu, nie znamy reguł gry i nie wiemy, co i kogo możemy spotkać. Jeżeli będziesz ciągle próbować biegać na bosaka po gorącej lawie, to następnym razem może to się skończyć dużo gorzej, niż lekkim poparzeniem! Uważaj choć trochę. Rozumiesz?

- Nie - odparta Teela. - Nie.

Kiedy obmyła zażawioną twarz, wspólnymi siłami wytaszczyli ostatni, czwarty skuter. Przez całe pół godziny byli zupełnie sani. Czy kzin i lalecznik uznali, że lepiej nie wtrącać się do ściśle ludzkich spraw? Być może. Być może.

Miedzy dwiema ścianami zastygłej lawy ciągnął się pas szklistej powierzchni Pierścienia, równie gładkiej, jak wypolerowany blat stołu. Koło przekrzywionego, przezroczystego cylindra stało mnóstwo najróżniejszych przedmiotów i krzątały się cztery małe sylwetki. Sprawiały wrażenie nieco zagubionych.

- Co z wodą? - zapytał Louis. - Nie widziałem żadnych jezior. Będziemy musieli taszczyć ze sobą zapasy, czy jak?

- Niekoniecznie - odparł Nessus. Otworzył klapę w tylnej części swego skutera. Pod nią znajdował się zbiornik i system skraplający wodę z powietrza.

Skutery stanowiły istne cudo funkcjonalności i wygody. Różniły się tylko fotelami pilotów, poza tym wyglądały tak samo: dwie czterostopowej średnicy kule połączone konstrukcją podtrzymującą fotel. Połowa tylnej części przeznaczona była na bagaż. Oprócz tego znajdowały się tam zaczepy umożliwiające podłączenie dodatkowych silników. Cztery teleskopowe nogi, na których teraz stały, były chowane w trakcie lotu.

Fotel lalecznika przypominał raczej małą leżankę z trzema otworami na nogi. W czasie lotu Nessus leżał bez ruchu, obsługując urządzenia sterownicze swymi dwiema parami ust.

Fotele Louisa i Teeli miały wygodne zagłówki, zaś przyrządy sterownicze

znajdowały się na odległość ręki od oparcia. Fotel kzlina różnił się tym, że był dużo większy, nie miał zagłówka, a oprócz tego po obu jego stronach umieszczone były jakby jakieś kabury czy olstra. Czyżby na broń?

- Musimy wziąć ze sobą wszystko, co może nam posłużyć jako broń - powtarzał po raz któryś z rzędu Mówiący-do-Zwierząt, przechadzając się niespokojnie między porostawianym ekwipunkiem.

- Nie mamy żadnej broni - odparł Nessus. - Chcieliśmy pokazać, że mamy pokojowe zamiary, więc nie zabraliśmy ze sobą żadnej broni.

- A co to jest, według ciebie? - zapytał kzin, pokazując sporą kolekcję dosyć groźnie wyglądających przedmiotów.

- Narzędzia. Tylko narzędzia. To na przykład - wskazał głową - jest przenośny laser o regulowanej intensywności strumienia światła. Nocą może służyć jako dalekosiężny reflektor. Oczywiście, trzeba bardzo uważać, żeby nie zrobić komuś krzywdy, bo w krańcowym ustawieniu promień światła jest niezwykle skupiony i ma bardzo dużą moc.

Te pistolety obezwładniające mają służyć rozstrzygnięciu sporów w naszym gronie. Ładunek działa zaledwie dziesięć sekund, ale trzeba uważać, by przypadkiem nie zwolnić tego oto zabezpieczenia, bo wtedy...

- ...ładunek działa ponad godzinę. To broń Jinxów, prawda?

- Tak, Louis. A to jest nieco zmodyfikowane narzędzie do kopania. Być może słyszeliście o podobnym narzędziu znalezionym niegdyś w polu statycznym Slavena...

Chodzi mu o dezintegrator Slavera, domyślił się Louis.

Rzeczywiście, przede wszystkim służył jako znakomite narzędzie do kopania. W miejscu, na które padł wąski strumień generowanego przez niego pola, ładunki elektronów zmieniały nagle znak z ujemnego na dodatni. Stała materia, pozbawiona nagle wiążących ją sił, rozpadała się momentalnie w atomowy proch.

- Jako broń nie ma żadnej wartości - zadudnił kzin. - Badaliśmy to. Działa zbyt wolno, by był z tego jakiś pożytek.

- No, właśnie. Po prostu nieszkodliwa zabawka. Z kolei ten przedmiot...

Przedmiot, który lalecznik trzymał w ustach przypominał trochę jakąś ręczną, dwulufową broń palną, z tym, że miał charakterystyczny kształt, którym odznaczały się wszystkie wytwory "rąk" laleczników: jakby ktoś zatrzymał w

ruchu zmieniającą właśnie swój kształt dużą kroplę rtęci.

- ...działa podobnie, jak dezintegrator Slavena, z tym, że emituje dwa promienie; drugi z nich neutralizuje pozytywny ładunek protonu. Należy bardzo uważać, by nie trafić w coś jednocześnie obydwoma promieniami.

- Rozumiem - mruknął kzin. - Gdyby obydwa promienie padły na jakąś powierzchnię, nastąpiłby gwałtowny przepływ prądu.

- Właśnie.

- Czy sądzisz, że to wszystko wystarczy? Nie wiemy, z czym przyjdzie nam się tu spotkać:

- Nie jest aż tak źle - wtrącił się Louis. - Przede wszystkim, to przecież nie jest planeta. Jeżeli budowniczy Pierścienia nie lubili jakichś zwierząt, to z pewnością zostawili je tam, skąd przybyli. Na pewno nie bodziemy mieli do czynienia z żadnymi tygrysami. Albo moskitami.

- Chyba że budowniczy Pierścienia lubili tygrysy - jakby nigdy nie zauważyła Teela. Jej uwaga, chociaż rzucona mimochodem, nie była pozbawiona słuszności. Co wiedzieli na temat fizjologii budowniczych, a więc i mieszkańców Pierścienia? Tylko tyle że pochodzili prawdopodobnie z pokrytej częściowo wodą planety krążącej wokół słońca typu K9 lub zbliżonego. Mogli więc wyglądać jak ludzie, laleczniki, kzinowie, delfiny, orki lub wieloryby, ale najprawdopodobniej wyglądali zupełnie inaczej.

- Chyba bardziej powinniśmy się obawiać tubylców, niż ich zwierząt - odezwał się kzin. - Musimy zabrać całą naszą broń. Proponuję, żeby powierzyć mi dowództwo aż do czasu, kiedy bodziemy mogli stąd odlecieć.

- Mam tasp.

- Nie zapomniałem o tym, Nessus. Możesz uważać go za swoje decydujące o wszystkim veto. Sugerowałbym jednak, żebyś go nie nadużywał. Pomyślcie tylko! - Kzin górował nad nimi jak prawdziwy olbrzym, dwieście pięćdziesiąt kilogramów kłów, pazurów i pomarańczowego futra. - Przecież jesteśmy podobno istotami myślącymi. Zastanówcie się nad naszą sytuacją. Zostaliśmy podstępnie zaatakowani. Nasz statek jest częściowo zniszczony. Czekają nas nie wiadomo jak długa podróż przez całkowicie nieznaną terytorium. Jego mieszkańcy dysponowali niegdyś olbrzymią potęgą. Nie wiemy, czy ciągle nią dysponują, czy też może najbardziej wyrafinowaną bronią, jaką znają jest strzała z kościanym grotem.

Równie dobrze mogą dysponować promieniami konwercyjnymi i techniką transmutacyjną, której potrzebowali do zbudowania tego... tego... - kzin

rozejrzał się dookoła, po szklistym podłożu i ciemnych ścianach lawy i chyba wewnętrznie zadrżał - ... tego niesamowitego tworu.

- Mam tasp - powtórzył Nessus. - To moja ekspedycja.

- Czy jesteś zadowolony z jej dotychczasowego przebiegu? Nie chcę cię urazić, po prostu pytam. To ja muszę być dowódcą. Z nas wszystkich tylko ja przeszedłem przeszkolenie w sztukach wojennych.

- Może zaczekajmy jeszcze trochę - zaproponowała Teela. - Może nie spotkamy nikogo, z kim musielibyśmy walczyć.

- Właśnie - popart ją Louis. Wcale nie uśmiechała mu się myśl o dostaniu się pod komendę kżina.

- W porządku. Ale musimy wziąć broń.

Zabrali się do ładowania ekwipunku.

Oprócz broni w jego skład wchodziło także wiele innych rzeczy. Urządzenia testujące i wytwarzające żywność, filtry powietrza i wody, sprzęt campingowy...

Wśród ekwipunku znajdowały się także osobiste komunikatory, przeznaczone do noszenia na przegubie dłoni lub, w przypadku lalecznika, na karku. Były dosyć pokaźnych rozmiarów i z całą pewnością nie można ich było nazwać wygodnymi.

- Po co nam to? - zapytał Louis, bowiem lalecznik już wcześniej zapoznał ich z obsługą zainstalowanych w skuterach interkomów.

- Właściwie służą do nawiązywania kontaktu z autopilotem "Kłamcy".

Dzięki nim można wezwać statek, gdziekolwiek się chce.

- Więc do czego mają nam się przydać?

- Do tłumaczenia, Louis. Jeżeli natrafimy na jakieś myślące istoty, będziemy zmuszeni korzystać z usług komputera "Kłamcy" jako tłumacza.

- A, chyba, że tak.

Skończyli pakowanie. Wokół kadłuba statku pozostało jeszcze sporo ekwipunku, ale i tak nie mieliby jak go wykorzystać. Znajdowały się tam między innymi skafandry próżniowe, części zapasowe do urządzeń, które stracili wraz z całym skrzydłem, wyposażenie przydatne jedynie podczas lotu



w głębokiej przestrzeni. Zabrali wszystko, co mogło okazać się potrzebne - nawet filtry powietrza, choć te ostatnie raczej ze względu na znikomą wagę i rozmiary, niż dlatego, że spodziewali się je wykorzystać.

Louis był wykończony. Wdrapał się na fotel swego skutera i rozejrzał dokoła, zastanawiając się, o czym to mógł jeszcze zapomnieć. Zauważył, że Teela spogląda w górę i nawet przez zasłaniającą mu oczy mgłę zmoczenia dostrzegł wyraz przerażenia na jej twarzy.

- Nieżas! - zakląła niezbyt pewnym głosem. - Ciągłe jest południe!

- Tylko nie panikuj. Po prostu...

- Louis! Doskonale wiem, że pracowaliśmy co najmniej sześć godzin!

Jak może być ciągle południe?

- Nie denerwuj się. Przecież wiesz, że tutaj słońce nie zachodzi.

- Nie zachodzi? - Atak hysterii minął równie nagle, jak się pojawił. - No, tak. Oczywiście, że nie zachodzi.

- Musimy się do tego przyzwyczaić. Zresztą, spójrz jeszcze raz; widzisz? To krawędź czarnego prostokąta.

Stojące w zenicie słońce zaczęło nagle gasnąć.

- Ruszajmy w drogę - przynaglił ich Mówiący-do-Zwierząt. - Kiedy zapadnie ciemność, powinniśmy być już w powietrzu.

## 11. Łuk nieba

**W** zapadającym mroku cztery skutery wzbiły się jednocześnie w górę. W krótkim czasie obnażona powierzchnia konstrukcji Pierścienia zniknęła im z oczu.

Nessus poinstruował ich wcześniej, jak włączyć zdalne sterowanie. Teraz wszystkie skutery powtarzały posłusznie manewry, które wykonywał Louis. Siedząc wygodnie w swoim fotelu prowadził pewnie skuter poruszeniami dwóch pedałów i drążka sterowniczego.

Nad deską rozdzielczą unosiły się cztery miniaturowe, częściowo przejrzyste główki: jedna z nich należała do uroczej czarnowłosej syreny, jedna do groźnego, bystrookiego tygrysa, a dwie do niezbyt inteligentnie wyglądających

jednookich pytonów. Interkom działał bez zarzutu, wywołując wrażenia zbliżone do delirium tremens.

Kiedy skutery przelatywały nad czarnymi ścianami lawy Louis obserwował reakcję swoich współtowarzyszy.

Teela była pierwsza. Jej oczy rozejrzały się po okolicy, po czym uniosły się i tam, gdzie zwykle trafiały na granicę, znalazły nieskończoność. Nagle stały się wielkie i okrągłe, a jej twarz zapłonęła niczym przedzierające się przez burzowe chmury słońce.

- Och, Louis!

- Co za ogromna góra! - zauważył kzin.

Nessus nic nie powiedział. Jego głowy rozglądały się nerwowo dookoła.

Ciemność zapadła bardzo szybko. Głęboki cień połknął nagle ogromną górą, nie zostawiając po niej nawet śladu. Słońce było już tylko cieniutkim rąbkiem, graniczącym z nieprzeniknioną czernią. Coś pojawiło się na mroczniejącym niebie.

Olbrzymi łuk.

Robił się coraz wyraźniejszy. Kiedy ziemię i niebo pochłonęła już zupełna ciemność, pokazał się w całym przepychu.

Pasy poznaczonego białymi plamami błękitu poprzedzielane odcinkami czerni. U podstawy łuk był bardzo szeroki, by szybko zwęzić się wraz z nabieraniem wysokości. W pobliżu zenitu miał szerokość maźniętej cienkim pędzelkiem kreski. W samym zenicie był przecięty niewidocznym w dzień pierścieniem czarnych prostokątów.

Skutery w niezmaconej niczym ciszy nabierały szybko wysokości. Pole dźwiękochłonne nie dopuszczało do uszu Louisa nawet szumu rozcinanego powietrza. Tym większe było jego zdziwienie, kiedy jego prywatna bańka ciszy i spokoju wypełniła się nagle zgiełkiem bogatej muzyki.

Zupełnie, jakby eksplodowały organy parowe.

Dźwięk był wręcz boleśnie głośny. Louis czym prędzej zasłonił uszy dłońmi. Oszołomiony, nie od razu zdał sobie sprawę z tego, co się właściwie dzieje. Dopiero po chwili dźgnął palcem w wyłącznik interkomu i obraz dwóch głów lalecznika zniknął niczym duch o świcie.

Potworna kakofonia (coś jakby palony żywcem chór kościelny) ścichła

znacznie, docierając do niego okrężną drogą, przez interkomy Teeli i kзина.

- Dlaczego on to zrobił? - zapytała ze zdumieniem Teela.

- Jest przerażony. Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczai.

- Do czego ma się przyzwyczaić?

- Przejmuję dowodzenie - oznajmił Mówiący-do-Zwierząt. - Lalecznik nie jest w stanie podejmować żadnych decyzji. Oświadczam, że od tej pory ta ekspedycja ma charakter wojskowy i że ja jestem jej dowódcą.

Przez moment Louis zastanawiał się nad jedyną alternatywą, jaka mu pozostała: mógł sam ogłosić się dowódcą wyprawy. Wcale jednak nie spieszyło mu się do walki z Mówiącym-do: Zwierząt. Zresztą, szczerze mówiąc, kzin bardziej nadawał się do roli dowódcy.

Skutery znajdowały się już na wysokości pół mili. Ziemia i niebo były już zupełnie czarne, ale czerń ziemi poznaczona była tu i ówdzie jeszcze czarniejszymi cieniami, przez co nabierała nie tyle może wyglądu, co charakteru mapy. Niebo, zdominowane przytłaczającym swymi rozmiarami łukiem, pobłyskiwało licznymi gwiazdami.

Luisowi niespodziewanie przyszła na myśl "Boska Komedia" Dantego. Wszechświat włoskiego poety był skomplikowanym tworem, w którym dusze ludzi i aniołów miały do odegrania ściśle określone role małych trybików, wchodzących w skład niewyobrażalnie wielkiej maszyny. Pierścień był czymś w oczywisty, natrętny sposób sztucznym, czymś co zostało z r o b i o n e. Nie można było o tym nawet na moment zapomnieć; nad głową wznosił się najbardziej widoczny tego dowód.

Nic dziwnego, że Nessus nie mógł tego znieść. Zbyt się bał, a oprócz tego był zbyt wielkim realistą. Może dostrzegał piękno tego, co widział, a może nie. Z całą pewnością jednak zdawał sobie sprawę z tego, że znaleźli się, na ogromnej, sztucznej konstrukcji, wielokrotnie większej od wszystkich planet, tworzących jeszcze niedawno olbrzymie imperium laleczników.

- Zdaje się, że widzę boczne ściany - powiedział kzin.

Louis z wysiłkiem oderwał spojrzenie od łuku na niebie. Rozejrzał się w lewo i w prawo i poczuł w sercu lodowaty paroksyzm strachu.

Po lewej, krawędź bocznej ściany Pierścienia można było dostrzec jako ledwie widoczną, ciemnogrnatową na ciemnogrnatowym tle kreskę. Louis nie pokusił się o to, żeby chociaż oszacować jej wysokość; nie miał pojęcia, gdzie może znajdować się jej podstawa. Widział tylko górną krawędź; gdy za

długo się w nią wpatrywał, znikąca. Znajdowała się tam, gdzie powinien znajdować się horyzont. Równie dobrze mogła więc być krawędzią, jak i podstawą czegokolwiek.

Po prawej, druga ściana wyglądała właściwie tak samo. Ta sama wysokość, ta sama tendencja do rozmazywania się i niknięcia.

Wszystko wskazywało na to, że "Kłamca" uderzył w Pierścień w niewielkiej odległości od środka jego błękitnej wstęgi. Ściany wydawały się równie odległe... a to-oznaczało, że od każdej z nich dzieliło ich około pół miliona mil.

Louis odchrząknął z wysiłkiem.

- Mówiący, co o tym myślisz?

- Według mnie ta po lewej jest odrobinę wyższa.

- Okay. - Louis skręcił w lewo. Pozostałe pojazdy, sprzęgnięte z urządzeniami sterowniczymi jego skutera, wykonały posłusznie ten sam manewr.

Włączył interkom, by sprawdzić, jak się ma Nessus. Lalecznik, wczepiony kurczowo w fotel wszystkimi trzema nogami, schował obie głowy pod siebie i leciał, nie patrząc którądy ani dokąd.

- Mówiący, jesteś pewien? - zapytała Teela.

- Oczywiście - odparł kzin. - Ta ściana jest wyraźnie wyższa.

Louis uśmiechnął się w duchu. Nigdy nie przechodził żadnego szkolenia bojowego, ale wiedział co nieco o wojnie. Podczas pobytu na Wunderlandzie znalazł się niespodziewanie w samym sercu rewolucji i przez trzy miesiące walczył jako partyzant, zanim udało mu się wreszcie dostać na jakiś statek.

Pamiętał doskonale, że jedną z cech dobrego oficera była umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Należało się tylko cieszyć, jeżeli decyzje te okazywały się w dodatku trafne...

Lecieli nad skrytą w ciemnościach powierzchnią Pierścienia. Błękitny łuk świecił dużo jaśniej od Księżyca, ale przecież nawet Księżyc w pełni nie jest zbyt wielką pomocą dla pilota poruszającego się szybko statku powietrznego. Przez jakiś czas srebrzyła się za nimi bruzda, wryta przez bezwładny upadek "Kłamcy", ale niebawem i ona zginęła w ciemnościach.

Skutery cały czas przyspieszały. Tuż poniżej prędkości dźwięku przez dźwiękochłonne pole przedostał się przenikliwy, jednostajny odgłos. Narastał coraz bardziej, osiągając szczyt natężenia przy prędkości 1 Macha, po czym

raptownie zamilkł. Pole dźwiękochłonne przybrało inny kształt i znowu zapanowała cisza.

Wkrótce potem skutery osiągnęły swoją prędkość przelotową. Louis odprężył się i rozsiadł najwygodniej, jak potrafił. Przemknęła mu myśl, że będzie musiał spędzić w tym fotelu ponad miesiąc, więc lepiej, żeby się jak najszybciej do niego przyzwyczaił.

Tymczasem, ponieważ prowadził całą czwórkę i nie bardzo mógł sobie pozwolić na sen, zaczął zaznajamiać się ze swoim pojazdem.

Urządzenia sanitarne były proste, wygodne w obsłudze i wymagały pozbycia się jakichkolwiek myśli o godności ludzkiej czy czymś w tym rodzaju.

Spróbował wepchnąć dłoń w barierę dźwiękochłonną. Była to odmiana miejscowego pola siłowego o wektorach ustawionych w ten sposób, by kierowały strugi powietrza dokoła miejsca zajmowanego w danej chwili przez skuter. W dotyku bynajmniej nie przypominała szklanej szyby. Louis miał wrażenie, że nadstawia dłoń na bardzo silny, pędzący na niego ze wszystkich stron wiatr. Znajdował się w doskonale spokojnym oku cyklonu.

Bariera wydawała się niezawodna.

Upuścił celowo kawałek materiału, który znalazł w kieszeni. Skrawek spadł pod podwozie skutera i zatrzymał się w powietrzu, wibrując jak oszalały. Louis bardzo chciał uwierzyć, że to samo stałoby się z nim, gdyby przypadkiem zdarzyło mu się spaść z fotela, co zresztą wcale nie wyglądało na łatwą sprawę.

Z pewnością tak by właśnie było. Te laleczniki...

Pociągnął ze sprężystej rurki - woda destylowana. Otworzył podajnik żywności - czerwonobrazowa cegiełka. Zamówił sześć takich cegiełek, każdą z nich nadgryzł, a resztę wrzucił do przeznaczonego na to otworu. Każda miała inny smak; każda była bardzo dobra.

Zanościło się na to, że przynajmniej nie znudzi mu się jedzenie. W każdym razie, przez jakiś czas.

Jeżeli jednak nie, znajdą roślin i wody, by uzupełnić zapasy "surowców" dla regeneratora żywności, to podajnik przestanie dostarczać czerwonobrazowe cegiełki.

Zamówił siódmą i zjadł ją w całości.

Gdy myślał o tym, jaką odległość dzieliła ich od jakiegokolwiek, nawet

hipotetycznej pomocy, czuł, jak opuszcza go odwaga. Ziemia znajdowała się dwieście lat świetlnych stąd; odległa o dwa lata flota laleczników oddalała się od nich z prędkością niewiele mniejszą od prędkości światła. Nawet kadłub "Kłamcy" zniknął im z oczu ledwie kilka chwil po starcie. Teraz to samo stało się z wrytą przez niego bruzdą.

Czy zdołają go jeszcze odnaleźć?

Oczywiście, i to bez większych problemów, zdecydował Louis. Przeciwnie do ruchu obrotowego znajdowała się największa góra, jaką kiedykolwiek oglądały oczy człowieka... Trudno było przypuszczać, żeby Pierścień był upstrzony takimi wzniesieniami. Żeby odnaleźć "Kłamcę" wystarczyło znaleźć się w pobliżu góry, a potem odszukać ciągnącą się tysiącami mil bruzdę.

Nad jego głową błyszczał niesamowity łuk. Trzy miliony razy więcej miejsca, niż na Ziemi. Wystarczająco dużo, by móc się kompletnie zgubić.

Przez ciało Nessusa przeszło lekkie drżenie, po czym, jedna po drugiej, pojawiły się obie głowy. Lalecznik włączył językiem fonię i zapytał:

- Louis, czy możemy porozmawiać tylko we dwójkę?

Miniaturowe twarze kzina i Teeli wydawały się drzemać. Louis zablokował połączenia z ich interkomami.

- Mów.

- Co się wydarzyło?

- Nic nie słyszałeś?

- Moje narządy słuchu mieszczą się w okolicach ust. Ponieważ miałem schowane głowy, nic do mnie nie docierało.

- Jak się teraz czujesz?

- Nie wiem, czy znowu nie wpadnę w katatonię. Czuję się bardzo zagubiony.

- Ja też. Przez ostatnie trzy godziny przebyliśmy dwa tysiące dwieście mil. Lepiej by nam szło z kabinami, czy choćby dyskami transferowymi.

- Nasi inżynierowie nie byli w stanie przenieść tutaj dysków transferowych. - Głowy lalecznika zwróciły się do siebie, mierząc się przez chwilę spojrzeniem swych pojedynczych oczu. Louis już kilka razy zwrócił uwagę na ten gest.

Przemknęła mu myśl, czy przypadkiem nie jest to odpowiednik śmiechu.

Czyżby szalony lalecznik wykształcił w sobie coś w rodzaju poczucia humoru?

- Skierowaliśmy, się w lewą stronę - podjął. - Mówiący-do-Zwierząt zdecydował, że do tej ściany mamy bliżej. Moim zdaniem równie dobrze mogliśmy rzucać monetę. Ale Mówiący jest szefem. Objął dowództwo, kiedy ty wpadłeś w katatonię.

- To niedobrze. Jego skuter znajduje się poza zasięgiem mojego taspu. Muszę...

- Zaczekaj chwilę. Dlaczego nie pozwolisz mu dowodzić?

- Ale... ale...

- Zastanów się - nie ustępował Louis. W razie czego zawsze możesz użyć taspu. Jeżeli nie uczynisz go przywódcą, ciągle będzie próbował zmusić cię do tego siłą. Poza tym, on się naprawdę do tego nadaje.

- Nie powinno to nam chyba zaszkodzić - zaśpiewał po zastanowieniu lalecznik. - Moje dowództwo nie zwiększyłoby w materialny sposób naszych szans.

- Otóż to. Wezwij Mówiącego i powiedz mu, że jest Najlepiej Ukrytym.

Louis podłączył się pod interkom kżina, by nic nie stracić z zapowiadającej się tak interesująco rozmowy. Jeżeli jednak spodziewał się jakichś fajerwerków, to srodze się zawiódł. Kżin i lalecznik zamienili kilka zdań w sycząco-parskającym Języku Bohaterów, po czym kżin wyłączył się:

- Muszę was przeprosić - odezwał się Nessus. - Moja głupota spowodowała na nas wszystkich wielkie niebezpieczeństwo.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Louis. - Jesteś po prostu w depresyjnej fazie cyklu.

- Jestem istotą myślącą i potrafię spojrzeć prawdzie w oczy. Popełniłem straszny błąd, jeśli chodzi o Teelę Brown.

- Rzeczywiście, ale to nie była twoja wina.

- Moja, Louisie. Powinienem się być domyśleć, dlaczego mam tak wielkie kłopoty z odnalezieniem innych kandydatów.

- Hę?

- Oni mieli po prostu zbyt wiele szczęścia.

Louis gwizdnął bezgłośnie. Lalecznik spłodził kolejną teorię.

- Mieli zbyt wiele szczęścia, żeby wplątać się w tak niebezpieczną historię jak naszą wyprawę. Loteria Życia rzeczywiście doprowadziła do wykształcenia nowej, dziedzicznej cechy: szczęścia. Ale to szczęście nie stało się moim udziałem. Usiłując skontaktować się z potomkami tych, którzy wygrali na Loterii, trafiłem na Teelę Brown.

- Posłuchaj...

- Innym udało się tego uniknąć, ponieważ sprzyjało im szczęście.

Znalazłem Teelę, by zaproponować jej udział w tym szalonym przedsięwzięciu, ponieważ ona nie odziedziczyła tego genu. Louis, naprawdę bardzo mi przykro.

- Idź wreszcie spać, co?

- Muszę też przeprosić Teelę.

- Nie. To już moja wina. Mogłem ją powstrzymać.

- Naprawdę?

- Nie wiem... Nie mam pojęcia. Idź spać.

- Nie mogę.

- W takim razie prowadź, a ja się prześpię.

Tak też się stało. W ostatniej chwili przed zaśnięciem Louis zdążył się jeszcze zdziwić, jak gładko i bez wstrząsów leci jego skuter. Lalecznik był znakomitym pilotem.

Louis obudził się o świcie.

Nic był przyzwyczajony do spania przy pełnym ciężeniu. Jeszcze nigdy w jego długim życiu nie zdarzyło mu się spędzić całej nocy w pozycji siedzącej. Kiedy ziewnął rozziewając i spróbował się przeciągnąć, mięśnie zatrzęszczały mu tak, jakby miały zamiar popękać. Jęknął głośno, przetarł zaspane oczy i rozejrzał się dookoła.

Światło i cienie były nic takie, jak powinny. Spojrzał w górę, prosto w rozpaloną tarczę stojącego w zenicie słońca. Głupota, pomyślał, czekając, aż oczy przestaną mu łzawić. Jego odruchy były szybsze od jego myśli.



Po lewej stronie panowała jeszcze ciemność, pogłębiająca się wraz z odległością. Miejsce, w którym powinien znajdować się horyzont było mieszaniną nocy i chaosu, z której wystrzelał w górę niesamowity łuk Pierścienia.

Po prawej stronie był już jasny dzień.

Świt na Pierścieniu wyglądał jednak z u p e ł n i e inaczej.

Pustynia powoli zbliżała się do końca. Jej granica, ostra niczym cięcie nożem, wyginała się łagodnie w lewo i w prawo. Z tyłu, za ich plecami, jaśniał żółtobiały, rozpalony piasek. Olbrzymia góra ciągle jeszcze przesłaniała znaczną część nieba. Z przodu błyszcząły rzeki i jeziora, poprzedzielane brązowymi i zielonymi połaciami łądu.

Skutery pędziły przed siebie w niezmienionym szyku. Przypominały jednakowe, srebrne żuki. Louis znajdował się na przedzie; jego pamięć podpowiedziała mu, że zgodnie z ruchem obrotowym miał kżina, po przeciwnej stronie lalecznika, a z tyłu Teelę. -

Zbocze góry przecinała wisząca w powietrzu smuga pyłu, jakby ślad po ppokonującym pustynię kołowym pojeździe.

- Nie śpisz już, Louis?

- Dzień dobry, Nessus. Prowadzisz cały czas?

- Kilka godzin temu sterowanie przejął Mówiący-do-Zwierząt. Może zauważyłeś, że przebyliśmy już ponad siedem tysięcy mil.

- Tak. - Był to jednak zaledwie drobny ułamek drogi, która ich jeszcze czekała. Louis, całe życie korzystający z kabin transferowych, zatracił gdzieś zupełnie poczucie odległości.

- Obejrzyj się - powiedział. - Widzisz ten ślad? Jak myślisz, co to może być?

- To z pewnością pozostałość po naszym przelocie przez atmosferę. Nie miał jeszcze czasu ulec rozproszeniu.

- Aha... A ja myślałem, że to jakaś burza pyłowa. Nieżas! Nie ma co, nieźle spadaliśmy! - smuga miała co najmniej kilka tysięcy mil długości.

Niebo i ziemia były dwiema płaszczyznami, przyciśniętymi jedna do drugiej, ludzie zaś mikrobami, pełzającymi pracowicie w pozostawionej im przestrzeni.

- Wzrosło ciśnienie atmosferyczne.

Louis oderwał wzrok od miejsca gdzie powinien znajdować się horyzont.

- Co mówiłeś?

- Spójrz na wskaźnik ciśnienia. Musieliśmy wylądować przynajmniej dwie mile wyżej, niż jesteśmy teraz.

Louis zamówił sobie śniadaniową cegielkę.

- Czy to ważne?

- W nieznanym środowisku należy zwracać na wszystko uwagę: Nigdy nie wiadomo, który szczegół okaże się nagle ważny. Na przykład, ta góra, którą wykorzystujemy jako punkt orientacyjny; jest z pewnością jeszcze wyższa, niż to nam się wydawało. Albo ten srebrny punkt przed nami.

- Jaki punkt? Gdzie?

- Prawie na linii horyzontu, gdyby tu coś takiego było. Dokładnie przed nami.

Przypominało to próbę odnalezienia jakiegoś szczegółu na mapie oglądanej niemal dokładnie z boku. Louisowi udało się jednak go znaleźć: jasny, lustrzany błysk, odrobinę większy od pojedynczego punktu.

- Odbite światło słoneczne. Co to może być? Szklane miasto?

- Niemożliwe.

Louis roześmiał się.

- Łagodnie to określiłeś. - A jednak to jest wielkości całego miasta. Albo olbrzymiego pola pokrytego lustrami. Może to wielki teleskop zwierciadlany?

- Jeśli tak, to z pewnością od dawna nie używany.

- Skąd wiesz?

- Stwierdziliśmy już, że cywilizacja Pierścienia musiała cofnąć się w rozwoju do epoki barbarzyństwa. Gdyby było inaczej, z pewnością nie pozwoliliby, żeby tak olbrzymie obszary zamieniły się w pustynie.

Jeszcze nie tak dawno Louis uznałby słuszność tego argumentu, ale teraz...

- Nie wiem, czy nie upraszczasz problemu. Pierścień jest większy, niż nam się zdawało. Sądzę, że jest tu dosyć miejsca i dla wysoko rozwiniętej

cywilizacji, i dla barbarzyńców, i dla całej masy rzeczy pomiędzy nimi.

- Każda rozwijająca się cywilizacja ma tendencje ekspansjonistyczne.

- Racja, ale...

I tak mieli się przekonać, co to było. Błyszczący punkt znajdował się dokładnie na trasie ich lotu.

Konstruktorzy skutera nie przewidzieli, że jego pasażer może mieć ochotę napić się kawy.

Louis przetykał właśnie ostatnie kęsy swojej cegiełki, kiedy zauważył na tablicy instrumentów dwa zielone światełka. Przyglądał im się przez chwilę podejrzliwie, po czym przypomniał sobie, że przecież wczoraj wieczorem odłączył interkomy Teeli i kzin. Czym prędzej przywrócił połączenie.

- Dzień dobry - powiedział kzin. - Widziałeś świt, Louis? Było to niezwykle stymulujące artystycznie.

- Widziałem. Cześć, Teela.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Louis przyjrzał się dokładniej jej twarzy. Była zafascynowana i zachwycona jak po osiągnięciu nirwany.

- Nessus, czy używałeś taspu na mojej kobiecie?

- Nie. Dlaczego miałbym to zrobić?

- Od jak dawna znajduje się w tym stanie?

- W jakim stanie? - zainteresował się Mówiący-do-Zwierząt. - Nie była ostatnio zbyt rozmowna, jeśli o to ci chodzi.

- Niezas! Chodzi mi o wyraz jej twarzy! .

Mała, przezroczysta główka Teeli nad tablicą przyrządów spoglądała w nieskończoność niewidzącymi oczyma. Teela była doskonale, spokojnie szczęśliwa.

- Wydaje się odprężona - stwierdził kzin. - Jest jej chyba wygodnie. Subtelniejsze szczegóły ludzkiej...

- Nieważne. Posadź nas na ziemi, dobrze? Weszła w trans Góry Widoku.

- Nie rozumiem.

- Wystarczy, żebyś wylądował.

- Zaczęli spadać w dół. Żołądek Louisa poczuł się przez chwilę niepewnie w swobodnym spadku, jaki zaaplikował im kzin, ale na szczęście zaraz wróciło ciśnienie.

Louis obserwował twarz Teeli; ani przez moment nie zmieniła wyrazu. Była doskonale spokojna. Kąciki jej ust były skierowane lekko ku górze. .

Umysł Louisa pracował na najwyższych obrotach. Wiedział co nieco o hipnozie; przez dwieście lat oglądania stereowizji można się było tego i owego dowiedzieć. Gdyby jeszcze mógł sobie to wszystko przypomnieć.

- Byłoby dobrze, gdyby udało ci się znaleźć jakąś dolinę - zwrócił się do kzina. - Chciałbym usunąć sprzed jej oczu ten cholerny horyzont.

- W porządku. Ty i Nessus przejdźcie na ręczne. Teelę ja sam sprowadzę.

Czworokątny szyk rozpadł się na trzy części. Mówiący-do-Zwierzą skręcił w kierunku strumienia; na który Louis zwrócił już wcześniej uwagę. Louis i Nessus podążyli za nim.

Tracąc wysokość przelecieli nad strumieniem. Mówiący skręcił jeszcze raz i leciał teraz z minimalną prędkością wzdłuż jego biegu, szukając jakiejś łąki czy kawałka brzegu wolnego od drzew.

- Rośliny są bardzo podobne do ziemskich - zauważył Louis.

Kzin i lalecznik zgodzili się z nim.

Zakręcili, lecąc nad korytem strumienia.

Tubylcy stali w płytkim rozlewisku, rozpinając w poprzek strumienia długą sieć. Kiedy nadleciała mała eskadra, wszyscy spojrzeli w górę. Przez dłuższą chwilę stali bez ruchu z otwartymi ustami, zostawiwszy sieć jej własnemu losowi.

Louis, Mówiący i Nessus zareagowali dokładnie w ten sam sposób: wystrzelili ostrymi świecami do góry. Tubylcy momentalnie zmaleli do rozmiarów niedostrzegalnych punkcików, strumień zamienił się w krętą nitkę. Bujny, rozległy las wchłonął wszystko.

- Przełączcie stery na autopilota - polecił kzin ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.- Lądujemy gdzie indziej.

Musiał się nauczyć tego tonu tylko dlatego, że miał przebywać z ludźmi, pomyślał Louis. Funkcja ambasadora wymaga najróżniejszych umiejętności.

Teela nic nie zauważyła.

- I co? - zapytał Louis.

- To byli ludzie - odparł lalecznik.

- Też to widziałeś? Myślałem, że mam halucynacje. Skąd miałoby tu się wziąć ludzie?

Nikt nie spróbował odpowiedzieć na to pytanie.

## 12. Pięć boga

Wylądowali w niewielkiej dolinie otoczonej niskimi, porośniętymi lasem wzgórzami. Pseudohoryzont zniknął za pagórkami, łuk na niebie był niewidoczny w blasku pełnego słońca - równie dobrze mogli znajdować się na którejkolwiek z zasiedlonych przez ludzi planet. Co prawda trawa nie bardzo przypominała trawę, ale była zielona i rosła tam, gdzie powinna rosnać trawa. Pod nogami mieli ziemię i skały, a dokoła krzaki o gałęziach poskręcanych w prawie swojski sposób.

Roślinność, jak zauważył już wcześniej Louis, była zdecydowanie typu ziemskiego. Krzaki rosły właśnie tam, gdzie należało się tego spodziewać, podobnie nagie, kamieniste miejsca znajdowały się tam, gdzie można było oczekiwać. Analizatory, w jakie były wyposażone skutery stwierdziły, że nawet na poziomie molekularnym miejscowe rośliny były blisko spokrewnione z ziemskimi. Tak jak Louis i kzin mieli kiedyś wspólnego przodka, najprawdopodobniej jakiegoś wirusa, tak i te drzewa i krzewy miały wspólnego przodka z ziemską roślinnością.

Jeden z porastających skraj polany krzewów znakomicie nadawałby się na żywopłot; wyrastał w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wypuszczał bujną koronę, opadał w dół, wypuszczał koronę znowu w górę, pod tym samym kątem i tak dalej. Louis widział już coś podobnego na planecie Gummidgy; ten trójkątny żywopłot był jednak zielonobrazowy, jakby rósł na Ziemi. Louis ochrzcił go "krzewem łokciowym".

Nessus obchodził polanę dookoła, zbierając do analizy owady i próbki roślin. Jako jedyny wziął ze sobą swój skafander; coś, co by chciało go zaatakować, musiałoby najpierw uporać się z niezwykle wytrzymałym materiałem.

Teela siedziała bez ruchu w swym skuterze; jej duże, delikatne dłonie spoczywały lekko na urządzeniach kontrolnych. Kącki ust były skierowane nieznacznie ku górze. Siedziała rozluźniona i czujna zarazem, upozowana tak, jakby ktoś chciał namalować jej sylwetkę. Jej zielone oczy patrzyły przez Louisa i przez bariery zielonych wzgórz w nieskończoność abstrakcyjnego horyzontu Pierścienia.

- Nie rozumiem - powiedział kzin. - Co jej się właściwie stało? Przecież nie śpi, a jednocześnie nie reaguje na żadne bodźce.

- Hipnoza autostradowa - wyjaśnił Louis. - Sama się z tego otrząśnie.

- Więc nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa?

- Teraz już nie. Obawiałem się, że może spaść ze skutera albo zacząć wariować ze sterami. Na ziemi nic jej nie grozi.

- Ale dlaczego nie zwraca na nas żadnej uwagi?

Louis spróbował mu to wyjaśnić.

W otaczającym Słońce pasie asteroidów ludzie spędzają pół życia prowadząc wśród skał małe, jednoosobowe stateczki. Ustalają swoją pozycję według gwiazd. Górnik pracujący w Pasie spędza wiele godzin patrząc w gwiazdy; te fałszywe, będące plazmowymi ognikami silników czy pełzającymi nie opodal asteroidami i te prawdziwe, będące pojedynczymi słońcami lub całymi galaktykami.

Człowiek może stracić duszę wśród gwiazd. Później stwierdza się ze zdumieniem, że jego ciało wykonywało wszystkie niezbędne czynności, podczas gdy umysł przebywał w obszarach, z których już nic nie pamięta. Nazywają to "zagubionym spojrzeniem". To bardzo niebezpieczne. Dusza czasem nie chce wrócić do ciała.

Stojąc na szczycie Góry Widoku człowiek patrzy w nieskończoność. Góra ma co prawda tylko czterdzieści mil wysokości, ale ludzki wzrok, gubiąc się w spowijającej jej podstawie mgłę, dostrzega właśnie nieskończoność.

Wilgotna mgła jest biała i bezkształtna. Rozciąga się od zbocza Góry aż po horyzont. Pustka chwyta łapczywymi pazurami umysł człowieka i trzyma mocno, a on stoi bez ruchu na krawędzi nieskończoności, aż wreszcie ktoś przyjdzie i zabierze go stamtąd. Nazywają to "transem Góry Widoku".

Jest wreszcie Pierścień, a na nim nierzeczywisty horyzont...

- To wszystko jest po prostu autohipnozą - podsumował Louis.

Zajrzał w szeroko. otwarte, zielone oczy. Dziewczyna zadrżała niespokojnie.  
- Mógłbym ją chyba z tego wyciągnąć, ale po co ryzykować? Na razie niech sobie pośpi. Sama się obudzi.

- Nie rozumiem, co to jest hipnoza - powiedział kzin. - Wiem, co to jest, ale tego nie rozumiem.

Louis skinął głową.

- Wcale się nie dziwię. Kzinowie z pewnością nie daliby zbyt wiele zarobić hipnotyzerom. Ani laleczniki jak mi się zdaje - dodał, bowiem Nessus przerwał zbieranie próbek obcego życia i dołączył do nich.

- Możemy badać to, czego nie rozumiemy - powiedział. - Wiemy na przykład, że jest w człowieku coś, co nie pozwala mu na podejmowanie decyzji. Jakaś jego część chce, by ktoś inny powiedział mu, co ma robić. Podatnym na hipnozę jest ufający hipnotyzerowi osobnik o dużej zdolności koncentracji. Początkiem wszystkiego jest podporządkowanie się osobie hipnotyzującej.

- Ale czym właściwie jest hipnoza?

- Narzuconym z zewnątrz stanem monomanii.

- A dlaczego dany osobnik wpada w monomanię?

Na to Nessus najwyraźniej nie miał odpowiedzi.

- Ponieważ ufa hipnotyzerowi - zastąpił go Louis.

Mówiący-do-Zwierząt potrząsnął swoją wielką głową i odwrócił się.

- Taka wiara w kogoś innego jest czymś nienormalnym. Przyznałem, że ja też nie rozumiem, co to właściwie jest hipnoza - wyznał lalecznik. - A ty, Louis?

- Też niezupełnie.

- To dobrze - stwierdził Nessus i popatrzył sobie przez chwilę w oczy. - Nie mógłbym ufać komuś, kto rozumie coś, co nie ma żadnego sensu.

- Dowiedziałeś się czegoś o tutejszych roślinach?

- Jak ci już powiedziałem, są bardzo podobne do ziemskich. Tyle tylko, że niektóre z nich są dużo bardziej wyspecjalizowane, niż by się tego można spodziewać.

- Chcesz powiedzieć, że są starsze?

- Być może. A może jest tak dlatego, że bardziej wyspecjalizowana roślina może łatwiej znaleźć przestrzeń i niezbędne do życia składniki, szczególnie w ograniczonym środowisku na sztucznej planecie, za jaką można uznać Pierścień. Najważniejsze jest to, że rośliny i owady są wystarczająco podobne do nas, by stanowić dla nas niebezpieczeństwo.

- I vice versa, jak przypuszczam?

- O, tak. Niektóre rośliny są jadalne dla mnie, niektóre nawet dla ciebie. Będziesz musiał je jeszcze dokładnie sprawdzić, najpierw pod względem szkodliwości, a potem smaku. Jest jednak bardzo wiele takich, które dadzą się przerobić w regeneratorskiej żywności.

- Więc nie umrzemy z głodu.

- Ten jeden plus nie rekompensuje rozlicznych niedogodności i niebezpieczeństw. Gdyby naszym inżynierom przyszło na myśl wyposażenie "Kłamacy" w gwiazdne nasiono!

- Gwiazdne nasiono?

- Bardzo proste urządzenie, skonstruowane tysiące lat temu na wzór prawdziwych gwiazdnych nasion. Po dotarciu do gwiazdy emituje charakterystyczne promieniowanie elektromagnetyczne. Gdybyśmy mieli coś takiego, skierowalibyśmy je w słońce i w ten sposób ściągnęlibyśmy pomoc.

- Ale, gwiazdne nasiona poruszają się strasznie wolno! Moglibyśmy czekać latami.

- Ale pomyśl, Louis! Niezależnie od tego, jak długo przyszłoby nam czekać, nie musielibyśmy opuszczać bezpiecznego schronienia na statku.

I ty byś, to wytrzymał? - prychnął pogardliwie Louis i spojrzał na kzin. Zderzył się z nim wzrokiem. Skrzyżował z nim spojrzenia.

Mówiący-do-Zwierząt, skulony na ziemi kilka jardów od niego, patrzył mu prosto w oczy i uśmiechał się jak kot z "Alicji w Krainie Czarów". Przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami, po czym kzin wstał z udawaną nonszalancją, skoczył jak tygrys i zniknął w zaroślach.

Louis odwrócił się. Czuł, że właśnie wydarzyło się coś ważnego. Ale co? I dlaczego? Wzruszył ramionami.



Teela siedziała w swoim fotelu w takiej pozycji, jakby ciągle jeszcze pędziła przed siebie. Louis przypomniał sobie jak to było, kiedy poddawał się hipnozie w celach leczniczych. Czuł się wtedy trochę jak aktor. Rozparty wygodnie na miękkich poduszkach, w które wsiąkało jego poczucie odpowiedzialności. Wiedział doskonale, że wszystko to było tylko grą między nim a hipnotyzerem, że w każdej chwili on, Louis Wu, może wstać i wyjść.

Tyle tylko, że nigdy tego nie zrobił.

Oczy Teeli oprzytomniały nagle. Potrząsnęła głową i spojrzała w ich stronę.

- Louis! Wylądowaliśmy? W jaki sposób?

- Całkiem zwyczajnie.

- Pómóż mi. - Wyciągnęła ręce niczym dziecko, które wdrapało się na wysoki parkan i teraz nie bardzo wie, jak ma zejść. Louis objął ją w talii i zszedł na ziemię. Dotknięcie jej ciała wywołało rozkoszne drżenie wzdłuż jego kręgosłupa; poczuł, jak po jego ciele rozlewa się czułe, obezwładniające ciepło. Położył swoje dłonie tam, gdzie były.

- Z tego, co ostatnio pamiętam, lecieliśmy na wysokości ponad jednej mili - powiedziała Teela.

- Od tej pory nie gap się za bardzo na horyzont.

- A co, zasnęłam przy kierownicy? - zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Jej włosy rozsypały się w kruczoczną, wspaniałą chmurę. - A wy się przestraszyliście! Przepraszam, Louis. Gdzie jest Mówiący?

- Pogonił za jakimś królikiem. Właściwie, to czemu i my nie mielibyśmy rozprostować trochę kości skoro już nadarza ku temu się okazja?

- Dobry pomysł.

- Spojrzeli sobie nawzajem w oczy, odczytując ukryte w nich myśli. Louis otworzył bagażnik swego skutera i wyciągnął z niego koc. - Gotowe.

- Zdziwiacie mnie - powiedział Nessus. - Żadna inna inteligentna rasa nie kopuluje tak często, jak wy. Idźcie już, idźcie. Tylko uważajcie, na czym siadacie. Nie zapominajcie, że dokoła roi się od obcych form życia.

- Czy wiesz - zapytał Louis, że "nagi" znaczyło kiedyś tyle samo co "bezbronny"?

On sam odnosił wrażenie, że zdejmując ubranie pozbawia się jakiegś

magicznej osłony. Pierścień posiadał funkcjonującą biosferę, z całą pewnością pełną najróżniejszych owadów, bakterii i zębiastych stworzeń żywiących się świeżym mięsem.

- Nie - przyznała Teela. Stojąc nago na kocu wyciągnęła ramiona ku wiszącemu nad ich głowami słońcu. - Jak dobrze! Czy wiesz, że po raz pierwszy widzę cię nagiego w dzień?

- I nawzajem. Muszę przyznać, że prezentujesz się nie najgorzej. - Spójrz, coś ci pokażę. - Uniósł rękę do swojej bezwłosej piersi. - Nieżas!...

- Nic nie widzę.

- Zniknęła. Na tym właśnie polega kłopot z "utrwalaczem", nie pozostawia żadnych wspomnień. Blizny znikają, a potem... - przesunął dłonią po skórze, ale nie wyczuł nawet najmniejszego śladu.

- To było na Gummidgy; żarłacz zdarł ze mnie cały pas skóry od ramienia do pępka, szeroki na jakieś cztery cale. Gdyby od razu ponowił atak, przecięłby mnie na pół. Na szczęście postanowił najpierw przetknąć ten pierwszy, mały kąsek. Chyba okazałem się dla niego śmiertelną trucizną, bo niemal natychmiast zdechł w drgawkach. A teraz nie mam po nim już nawet najmniejszego śladu.

- Biedny Louis. Ale ja też nie mam nigdzie żadnych blizn.

- Bo ty jesteś statystyczną anomalią, a w dodatku masz dopiero dwadzieścia lat.

- Och.

- Hmm... Jesteś taka gładziutka...

- Jeszcze jakieś brakujące wspomnienia?

- Kiedyś źle pokierowałem laserem górniczym... - poprowadził jej rękę.

- Położył się na wznak, a Teela usiadła mu okrakiem na biodrach.

Przez długą, wspaniałą chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Louis wykonał pierwszy ruch.

Kobieta oglądana przez gęstniejącą mgłę zbliżającego się orgazmu zdaje się emanować jakimś nierzeczywistym, anielskim blaskiem...

Coś wielkości królika wyskoczyło spomiędzy drzew, przegalopowało

Louisowi przez pierś i zniknęło po drugiej stronie polany. W chwilę potem z krzaków wypadł Mówiący-do-Zwierząt, krzyknął: "Przepraszam!" i pogonił w ślad za zdobyczą.

Kiedy wszyscy zebrali się ponownie przy skuterach, futro dokoła ust Mówiącego było zbryzgane świeżą krwią.

- Po raz pierwszy w życiu - powiedział z nieukrywaną satysfakcją, - zdobywałem żywność wyłącznie przy użyciu kłów i pazurów.

Posłuchał jednak Nessusa i łyknął potrójną dawkę środka przeciwalergicznego.

- Chyba najwyższa pora, byśmy porozmawiali o tubylcach - podsunął Nessus.

- O tubylcach? - zapytała ze zdumieniem Teela.

Louis wyjaśnił jej, o co chodzi.

- Ale dlaczego uciekliśmy? - Co mogli nam zrobić? Czy to byli naprawdę ludzie?

- Louis odpowiedział na ostatnie pytanie, ponieważ także i jemu nie dawało ono spokoju:

- Nie mam pojęcia. Skąd by się tutaj wzięli ludzie?

- Nie ma żadnej wątpliwości - przerwał mu kzin. - Zaufaj swojej intuicji, Louis. Być może różnią się od ciebie i od Teeli, ale to bez wątpienia ludzie.

- Skąd ta pewność?

- Czuję ich. Poczułem ich woń, jak tylko wyłączyliśmy bariery dźwiękochłonne. Gdzieś daleko stąd jest ich cała masa. Zaufaj memu nosowi, Louis.

I Louis zaufał. W końcu nos ten należał do myśliwego - mięsożercy.

- Równoległa ewolucja? - mruknął bez większego przekonania.

- Bzdura - zaproponował Nessus. .

- Słusznie. - Kształt i budowa ludzkiego ciała były bardzo wygodne dla obdarzonego inteligencją wytwórcy narzędzi, ale wcale nie bardziej niż jakikolwiek inny. Rozum pojawia się pod najróżniejszymi postaciami.

-Tracimy tylko czas - odezwał się Mówiący-do-Zwierząt. - Problem nie polega na tym, skąd tu się wzięli ludzie, tylko na tym, jak nawiązać pierwszy kontakt. Tym bardziej, że dla nas każdy będzie pierwszy.

Kzin miał rację. Eskadra skuterów z pewnością mogła się poruszać szybciej, niż informacja o jej przybyciu. Chyba, że tubylcy dysponowali czymś w rodzaju semaforów...

- Musimy wiedzieć jak najwięcej o zachowaniu i życiu ludzi na tym szczeblu rozwoju. Louis? Teela?

- Mam jakie takie pojęcie o antropologii - przyznał się Louis.

- Więc ty będziesz mówił. Miejmy nadzieję, że autopilot poradzi sobie z tłumaczeniem. Spróbujemy nawiązać kontakt z pierwszą grupą, na jaką trafimy.

Wydawało się, że dopiero co wznieśli się w powietrze, kiedy gęsty las ustąpił miejsca regularnym kwadratami pól uprawnych. W chwilę potem Teela dostrzegła miasto.

Przypominało trochę dawne ziemskie miasta. Składało się głównie z ogromnej ilości kilkupiętrowych, ustawionych jeden koło drugiego budynków. Ponad tę zbitą masę wznosiły się nieliczne, smukłe wieże, połączone krętymi estakadami tras komunikacyjnych; ten akurat szczegół w niczym nie przypominał Ziemi. Tam w zbliżonym okresie czasu korzystano głównie z helikopterów.

- Może już tutaj znajdziemy to, czego szukamy? - zapytał z nadzieją w głosie kzin.

- Założę się, że jest zupełnie puste - odparł Louis.

Był to tylko domysł, ale, jak się wkrótce okazał, trafny. Przekonali się o tym od razu, kiedy tylko znaleźli się nad miastem.

W dniach swojej świetności musiało być wręcz niewyobrażalnie piękne. Szczególnie jedna jego cecha musiałaby obudzić zazdrość każdego innego miasta we Wszechświecie; znaczna część budynków nie stała na ziemi, lecz unosiła się w powietrzu, łącząc się z gruntem i sąsiednimi budowlami pajęczą siecią ramp i szybów wind. Te latające zamki, wolne od ograniczeń nakładanych przez siłę ciężenia, musiały oszałamiać różnorodnością kształtów i rozmiarów.

Teraz pod skuterami przesuwiał się obraz zniszczenia. upadając, latające konstrukcje miażdżyły stojące pod nimi budynki, toteż teraz całe połączenie

miasta były olbrzymim rumowiskiem strzaskanych cegieł, pogruchotanych betonowych płyt i powyginanych w najdziwaczniejsze sposoby stalowych konstrukcji.

Dało to Louisowi sporo do myślenia. Ludzie nie budowali latających zamków; byli na to zbyt ostrożni.

- Musiały spaść wszystkie naraz - zauważył Nessus. - Nigdzie nie widać śladów jakichkolwiek napraw. Bez wątplenia była to awaria centralnego systemu zasilania.

Mówiący, czy kzinowie też budują swoje miasta?

- Nic lubimy wysokości. Ludzie by tak budowali, ale oni zbyt cenią swoje życie.

- Utrwalacz! - wykrzyknął Louis. - To na pewno dlatego. Oni po prostu nigdy nie wynaleźli niczego w rodzaju naszego utrwalacza.

- Tak, to całkiem możliwe. Żyli krótko, więc nie bardzo troszczyli się o to życie - zastanawiał się na głos lalecznik. - To brzmi dosyć złowieszczo. Skoro za nic mieli swoje życie, to z całą pewnością nie będą zbyt przejmować się naszym.

- Martwisz się na zapas.

- Wkrótce się przekonamy. Mówiący, widzisz ten wysoki budynek? Jasnokremowy, z powybijanymi oknami?

Przelecieli nad nim dosłownie chwilę temu. Louis, pełniący obowiązki pilota eskadry, zawrócił szerokim łukiem w to samo miejsce.

- Miałem rację. Widzisz, Mówiący? - Dym. Budynek był wysoką na jakieś dwadzieścia pięter, zdobiony bogatymi ornamentami wieżą o okrągłych, czarnych oknach. Większość okien na poziomie gruntu była czymś przesłonięta; z nielicznych otwartych unosił się ku górze rzadki, szarawy dym.

Wieża otoczona była jedno i dwupiętrowymi domami. Cały ich pas został zmiądzony przez olbrzymi, toczący się cylinder, który spadł z nieba; zanim jednak dotarł do wyniosłej budowli, sam zamienił się w olbrzymią stertę gruzów.

Wieża wznosiła się na skraju miasta; tuż za nią zaczynały się kwadraty pól uprawnych. Kiedy skutery zniżały się do lądowania, ich pasażerowie zobaczyli liczne sylwetki pędzące w stronę miasta.

Budynki, które z wysoka wydawały się prawie nietknięte, z bliska okazały się stojącymi chyba już tylko z przyzwyczajenia ruinami. Awaria systemu zasilania i związana z nią katastrofa musiały nastąpić wiele pokoleń temu. Dzieła zniszczenia dokonały wandalizm, deszcze i korozja. Oraz to, dzięki czemu ziemscy archeolodzy mogli tak wiele dowiedzieć się o przeszłości swojej planety.

Mieszkańcy nie odbudowali swego miasta. Nie zdecydowali się również na jego opuszczenie. Po prostu żyli dalej w ruinach.

Na rosnącej z pokolenia na pokolenie warstwie śmieci i odpadków.

Śmieci i odpadki. Puste pudełka. Naniesiony wiatrem kurz i pył. Resztki żywności, kości, niejadalne części roślin. Popsute narzędzia. Wszystko to gromadziło się bez przerwy, ponieważ mieszkańcy ruin byli zbyt leniwi lub zbyt zajęci, by zrobić z tym porządek. Rosły olbrzymie sterty, osiadając pod swoim własnym ciężarem, ubijane niezliczonymi tysiącami stóp.

Pierwotne wejście do wieży już dawno znalazło się pod powierzchnią gruntu. Kiedy eskadra skuterów wylądowała na uklepanej warstwie odpadków, pokrywającej dziesięciostopowej grubości dywanem dawny parking dla pojazdów naziemnych, przez jedno z okien pierwszego piętra wyszło z godnością pięć humanoidalnych postaci.

Okno było podwójne, toteż mała procesja nie miała żadnych kłopotów ze zmieszczeniem się. Nad nim i po obu jego stronach wisiała duża ilość czaszek, bardzo podobnych do ludzkich, Louis nie mógł doszukać się żadnego systemu, według którego mogły być rozmieszczone.

Pięciu tubylców ruszyło w kierunku skuterów. W pewnej chwili zawahali się wyraźnie, nie wiedząc, kto spośród przybyszów jest najważniejszy. Rzeczywiście, byli bardzo podobni do ludzi, ale nie do końca. Z całą pewnością nic należeli do żadnej z wyróżnionych przez antropologów ras.

Każdy z nich był o dobrych sześć cali niższy od Louisa. Ich skóra była bardzo jasna, a w porównaniu z żółtobrazową karnacją Louisa czy jasnorożową Teeli wręcz trupioblada. Wszyscy mieli krótkie tułowia i bardzo długie nogi. Szli z identycznie założonymi ramionami, palce ich dłoni były nadzwyczaj długie i smukłe. W czasach, kiedy ludzie jeszcze sami wykonywali operacje, mogliby zostać znakomitymi chirurgami.

Jednak dużo bardziej niezwykle od dłoni były ich popielatoszare włosy i brody; były starannie uczesane, ale z całą pewnością żadnej z nich nigdy nikt nie przycinał. Zza gęstego zarostu widać było tylko oczy.

Nic trzeba dodawać, że wszyscy wyglądali dokładnie tak samo.

- Jacy włoszacy! - szepnęła Teela.

- Zostańcie na skuterach - polecił przytłumionym głosem Mówiący-do-Zwierząt. - Poczekaście, aż się zbliżą i dopiero wtedy zejździe. Wszyscy macie komunikatory?

Louis ukrył swój w lewej dłoni. Komunikatory miały połączenie z autopilotem "Kłamacy". Powinny działać, mimo dzielącej ich od niego odległości. Z kolei autopilot powinien dać sobie radę z każdym nowym językiem.

Jednak o tym, czy tak jest w istocie, mieli się dopiero przekonać. Nie byłoby się czym przejmować, gdyby nie te czaszki...

Na placyk przybywało coraz więcej tubylców. Wszyscy zatrzymywali się na widok rozgrywającej się na środku sceny, toteż niebawem zebrał się duży, ustawiony w szeroki krąg tłum. Zwykle nad takim tłumem unosiłby się szmer rozmów i wymienianych przyciszonym głosem uwag; tutaj panowała jednak zupełna cisza.

Być może obecność tylu widzów zmusiła wreszcie piątkę dygnitarzy do działania. Zdecydowali się na Louisa Wu.

Z bliska wcale nie wyglądali dokładnie tak samo. Różnili się wzrostem. Wszyscy byli szczupli, ale o ile jeden z nich przypominał wręcz szkielet, to inny miał nawet coś w rodzaju mięśni. Czterech było odzianych w bezkształtne, szarobure szaty, piąty miał na sobie strój tego samego, wyszukanego kroju, tyle że w kolorze bladopomarańczowym.

Odezwał się najszcuplejszy. Wierzch jego dłoni zdobił tatuaż w kształcie ptaka.

Louis odpowiedział.

Wytatuowany osobnik wygłosił krótką przemowę. Mieli szczęście. Autopilot musiał zebrać najpierw nieco danych, zanim mógł rozpocząć tłumaczenie.

Louis ponownie odpowiedział.

Chudy tubylec mówił dalej. Jego czterej towarzysze trwali w wyniosłym milczeniu. Podobnie zebrany dookoła tłum.

Autopilot gromadził słowa i wyrażenia.

Louis miał wrażenie, że ta niesamowita cisza zwali mu się nagle na głowę

jakimś najbardziej materialnym ciężarem. Gęsty tłum otaczał szerokim pierścieniem ich czwórkę i pięciu zarośniętych dostojników. Ten z wytatuowanym ptakiem ciągle mówił.

- Nazywamy tę górę Pięścią Boga - wskazał kierunek, z którego przybyli.

- Dlaczego? A dlaczego by nie, inżynierze? - Musiał mieć na myśli olbrzymią górę, którą zobaczyli zaraz po wydostaniu się z wyżłobionej przez "Kłamcę" bruzdy. Stąd nie można już jej było dostrzec.

Louis słuchał i uczył się. Autopilot świetnie sobie radził z tłumaczeniem. Stopniowo w umyśle Louisa tworzył się obraz małej wioski egzystującej w ruinach potężnego niegdyś miasta...

- To prawda, Zignamuclckclick nie jest już tak wspaniałe, jak było kiedyś. Ale i tak nasze domostwa są dużo lepsze od tych, które moglibyśmy sami sobie wybudować. Jeśli zaczyna przeciekać dach, zawsze można zejść piętro niżej i przeczekać złą pogodę. W budynkach łatwo jest utrzymać ciepło. W razie wojny łatwo jest się w nich bronić, a napastnikom trudno je podpalić.

Tak więc, inżynierze, chociaż rano wychodzimy na pola, to wieczorem wracamy do naszych domów na skraju Zignamuclckclick. Dlaczego mielibyśmy męczyć się, budując nowe domy, skoro stare są lepsze?

Dwóch przerażających obcych i dwoje prawie-ludzi, bez bród i nienaturalnie wysokich. Cała czwórka na bezskrzydłych, metalowych ptakach, cała czwórka mówiąca nonsensy swymi ustami, a zupełnie normalne rzeczy za pośrednictwem małych, obłych przedmiotów. Nic dziwnego, że tubylcy wzięli ich za budowniczych Pierścienia. Louis postanowił nie protestować; wyjaśnienia mogłyby potrwać i kilka dni, a poza tym byli tu po to, by się uczyć, nie nauczać.

- W tej wieży, inżynierze, mieści się siedziba naszych władz. Mamy tutaj ponad tysiąc ludzi. Czy moglibyśmy wybudować wspanialszy budynek niż ten, który widzicie? Odgradziliśmy górne piętra, tak że łatwiej jest utrzymać ciepło w tych pomieszczeniach, z których korzystamy. Kiedyś broniliśmy wieży zrzucając z góry gruz i kamienie. Pamiętam, że naszym największym problemem był strach przed wysokością.

Jednak tęsknimy za tymi wspaniałymi dniami, kiedy w naszym mieście żyły tysiące tysięcy ludzi a domy i pałace unosiły się w powietrzu. Mamy nadzieję, że postanowisz przywrócić te dni. Mówi się, że w tamtych czasach nadano nawet temu światu taki kształt, jaki ma teraz. Może zechcesz nam powiedzieć, czy tak naprawdę było?

- Tak było - potwierdził Louis.



- I te wspaniałe dni wróca?

Louis udzielił odpowiedzi, jak miał nadzieję, wymijającej. Wyczuł, że sprawił tym zawód swemu rozmówcy. .

Odczytanie wyrazu zarośniętej twarzy było zadaniem z góry skazanym na niepowodzenie. Z kolei gesty są zawsze pewnym rodzajem kodu, który trzeba znać, jeśli chce się go zrozumieć; gesty brodacza były częścią zupełnie obcej, nieznannej kultury. Spod popielatych włosów wзираły tylko brązowe, łagodne oczy. Ale z oczu, wbrew powszechnemu mniemaniu, nic nie można wyczytać.

Mówił śpiewnym, melodyjnym głosem, zupełnie jakby recytował poezję. Autopilot tłumaczył słowa Louisa w podobny, śpiewny sposób, chociaż do niego zwracał się najzupełniej normalnym tonem. Louis słyszał, jak komunikator Nessusa pogwizduje cichutko w języku laleczników, a Mówiącego-do-Zwie-rząt parska i prycha w Mowie Bohaterów.

Louis tymczasem zadawał pytania...

- Nie, inżynierze; nic jesteśmy ludźmi żadnymi krwi. Czaszki? Pełno ich w całym Zignamuclickclick.

Leżą tutaj od chwili upadku miasta. Używamy ich jako dekoracji i wykorzystujemy ich symboliczne znaczenie.

Przemawiający dostojnikiem uniósł z namaszczeniem rękę, prezentując Louisowi umieszczony na niej tatuaż.

- ...! - zawołał tłum.

Autopilot nic przetłumaczył tego słowa.

Po raz pierwszy odezwał się ktoś poza mówcą.

Louis przeoczył coś i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Niestety, nie było czasu, by się nad tym zastanawiać.

- Pokaż nam cud - zażądał chudy brodacz. - Nie wątpimy w twoją moc, ale możesz już tutaj nigdy się nie zjawić. Chcemy zobaczyć coś, o czym będziemy mogli opowiadać naszym dzieciom.

Louis zastanowił się. Widziano już ich lecących jak ptaki, więc ta sztuczka odpada. Może w takim razie manna z regeneratorów żywności? Ale nawet urodzeni na Ziemi ludzie różnili się między sobą, jeśli chodzi o tolerancję na różne rodzaje pożywienia. Różnica między smakowitym jedzeniem a

budzającym odrazę śmieciem wynikała najczęściej z uwarunkowań kulturowych, a nie z jakiegoś bezwzględnego poczucia smaku. Niektórzy jadali szarańczę z miodem, inni wędzone węże; to co dla kogoś było pysznym serem, dla innego przedstawiało wartość skisłego mleka. Lepiej nie ryzykować. W takim razie, może laser?

Kiedy Louis sięgnął do wnętrza bagażnika swego skutera, krawędź czarnego prostokąta dotknęła brzegu słonecznej tarczy. Znakomicie. W zapadającym zmroku pokaz powinien zrobić tym większe wrażenie.

Ustawił małą moc i szeroką średnicę promienia, po czym skierował światło najpierw na wytatuowanego dostojnika, potem na jego czterech sąsiadów, wreszcie na tłum. Jeżeli nawet byli zdumieni, to dobrze to ukrywali. Louis nie był gorszy; ukrył niezadowolenie z tak powściągliwej reakcji i skierował laser w górę.

Wybrał za cel małą, rzeźbioną figurkę, wystającą poza krawędź dachu wieży. Louis przesunął potencjometr i figurka rozjarzyła się białym blaskiem. Promień zwęził się do zielonej, ostrej kreski i na brzuchu posążka pojawił się ognisty pępek.

Louis czekał na wiwaty.

- Walczysz światłem - powiedział mężczyzna z tatuażem na ręce. - To jest zabronione.

- ... ! - krzyknął ponownie tłum.

- Nie wiedzieliśmy o tym. Prosimy o wybaczenie.

- Nie wiedzieliście? Jak to, nie wiedzieliście? Czyż nie wznieśliście Łuku na znak Przymierza z Człowiekiem?

- Jakiego łuku?

Chociaż twarz tubylca była skryta pod gęstą brodą, jego zdumienie było aż nadto widoczne.

- Łuku nad Światem, o inżynierze!

Louis dopiero wtedy zrozumiał, o co chodzi i wybuchnął śmiechem.

Brodacz zamachnął się i uderzył go niezdarnie prosto w nos. Cios był słaby, bowiem tubylec był mizernej postury i dysponował niewielką siłą. Słaby, ale bolesny. Louis nie był przyzwyczajony do bólu. Większość ludzi w jego czasach nie znała bólu większego od przydepniętego palca. Zbyt

powszechne byty środki uśmierzające, zbyt łatwo dostępna pomoc medyczna. Ból doświadczony przez narciarza, który złamał nogę trwał zwykle nie dłużej niż kilka sekund, a wspomnienie o nim było grzebane w najniższych pokładach podświadomości jako coś, czego zdrowy umysł nie był w stanie znieść. Wszelkie sporty walk, jak karate, judo czy boks zostały zakazane jeszcze na długo przed urodzeniem Louisa. Louis Wu był bardzo kiepskim wojownikiem. Z całą pewnością mógł stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, ale nie z bólem.

Louis Wu wrzasnął przeraźliwe i upuścił laser.

Tłum runął na nich. Dwustu spokojnych, wydawało się, ludzi zamieniło się w tysiąc wściekłych demonów. Sytuacja nie przedstawiała się nawet w części tak wesoło, jak jeszcze minutę temu.

Wychudzony przywódca chwycił Louisa w uścisk swych patykowatych ramion, z histeryczną siłą przygważdżając go do ziemi. Louis oswobodził się jednym, równie histerycznym szarpnięciem. W następnej chwili siedział już w skuterze, ale wtedy doszedł do głosu rozsądek.

Urządzenia sterownicze pozostałych skuterów były podporządkowane jego pojazdowi. Gdyby wystartował, one również by wystartowały, niezależnie od tego, gdzie w danej chwili znajdowałiby się ich pasażerowie. Louis rozejrzył się dookoła.

Teela znajdowała się już w powietrzu, obserwując z góry toczącą się walkę. Najwyraźniej nawet nie przyszło jej przez myśl, żeby pomóc.

Kzin zamienił się w szalejącą, niszczycielską błyskawicę. Powalił już pół tuzina przeciwników, a w chwili, kiedy Louis na niego patrzył, roztrzaskał kolbą lasera czaszkę siódmego.

Zarośnięci tubylcy kłębili się niezdecydowanie w bezpiecznej odległości od niego.

Długie, smukłe palce usiłowały wyciągnąć Louisa z fotela. Były bliskie sukcesu, chociaż Louis zapał się rękami i nogami. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, żeby włączyć barierę dźwiękochłonną, która była przecież nie czym innym, jak zwykłym polem siłowym.

Rozległy się przerażone wrzaski, kiedy niewidzialna sita odrzuciła napastników od skutera.

Jeden z nich siedział wciąż Louisowi na plecach. Louis zrzucił go, wyłączył na moment pole, a potem włączył ponownie. Rozejrzył się w poszukiwaniu Nessusa.

Lalecznik próbował dotrzeć do swego pojazdu. Tubylcy rozstępowali się na boki, najwyraźniej przestraszeni jego niezwykłym wyglądem. Tylko jeden stanął mu na drodze, ale za to ścisnął w dłoni okazałych rozmiarów metalowy pręt.

Nessus wykonał unik i obrócił się na przednich nogach, odwracając się tyłem do niebezpieczeństwa, ale zarazem tyłem do swego skutera.

Lalecznik zginie, jeśli będzie posłuszny zakodowanemu w jego genach odruchowi ucieczki. Chyba, że Mówiący lub Louis zdążą na czas z pomocą. Louis otwierał już usta, by zawołać kżina, kiedy Nessus dokończył swego obrotu.

Louis zamknął usta.

Lalecznik potruchtał do skutera. Nikt nie usiłował mu w tym przeszkodzić. Kopyto jego tylnej nogi aż po pęcinę zbroczone było krwią.

Grupka miłośników talentu wojennego kżina cały czas trzymała się poza zasięgiem jego potężnych ramion. Mówiący splunął im pogardliwie pod nogi - gest zapożyczony od ludzi - i dosiadł swego pojazdu.

Tubylec, który usiłował powstrzymać Nessusa, leżał bez ruchu w kałuży krwi.

Wszyscy byli już w powietrzu. Louis wystartował jako ostatni. Z daleka zobaczył, do czego przymierza się Mówiący-do-Zwierząt, i krzyknął z całych sił:

- Poczekaj! To niepotrzebne!

Kżin wyciągnął zmodyfikowane narzędzie do kopania,

- A czy musi być potrzebne? - zapytał, ale nie pociągnął za spust.

- Nic rób tego! To by było morderstwo. Co mogą nam teraz zrobić? Obrzucić kamieniami?

- Mogą użyć twojego lasera.

- Właśnie, że nie. Obowiązuje przecież zakaz.

- Tak powiedział ten chudzielec. Wierzysz mu?

- Tak.

Kzin odłożył broń. Louis westchnął z ulgą; szczerze mówiąc spodziewał się, że Mówiący-do-Zwierząt zrówna miasto z ziemią.

- Skąd wziął się ten zakaz? Czyżby jakaś wojna?
- Albo szalenie przy dziale laserowym. Szkoda, że nie ma kogo zapytać.
- Leci ci krew z nosa.

W dodatku ów nos bolał jak wszyscy diabli. Louis oddał sterowanie kzinowi, a sam zajął się opatrywaniem swych ran. Pod nimi, w ginącym powoli z oczu Zignamucllickclick, kłębił się rozwścieczony, żądny zemsty tłum.

## 13. Gwiezdne nasiona

- **P**owinni byli paść na kolana - poskarżył się Louis. -To właśnie mnie zmyliło. A poza tym, autopilot mówi wszędzie "inżynier", a powinien mówić "bóg".

- Bóg?

- Z budowniczych Pierścienia zrobili bogów. Powinienem od razu zwrócić uwagę na to milczenie! Wolno było odezwać się tylko kapłanowi. Zachowywali się tak, jakby słuchali starej, dobrej im znanej litanii. Tyle tylko, że udzielałem złych odpowiedzi.

- Więc religia. Bardzo dziwne. Ale chyba nie powinieneś się śmiać - odezwał się interkom głosem Teeli. - Nikt nie śmieje się w kościele, nawet turyści.

Lecieli w gasnącym blasku słońca. Pierścień wschodził na niebie poszatkowanym, błękitnym łukiem.

- Wydawało mi się to wtedy śmieszne - odparł Louis. - Nadal mi się to wydaje śmieszne. Zapomnieli, że żyją na Pierścieniu. Myślą, że to nad ich głowami to olbrzymi łuk.

Przez dźwiękochłonną barierę przebił się ostry, narastający odgłos. Przez chwilę świdrował im w uszach, a potem umilkł. Przekroczyli barierę dźwięku. Zignamucllickclick zniknęło za ich plecami. Miasto nie będzie miało okazji zemścić się na demonach. Najprawdopodobniej nigdy więcej już ich nie zobaczy.

- To naprawdę wygląda jak łuk - powiedziała Teela.

- Masz rację. Nie powinienem był się śmiać. Ale i tak mamy szczęście, zostawiamy za nami nasze błędy i nie odczuwamy na sobie ich skutków. Musimy tylko uważać, żeby w każdej chwili móc wznieść się w powietrze. Wtedy jesteśmy już bezpieczni.

- A jednak skutki niektórych naszych błędów zostaną z nami. I to długo - odezwał się kzin.

- Zabawne, że to akurat ty mówisz. - Louis podrapał się mimochodem po nosie, który w swoim obecnym stanie przypominał sterczący mu nie wiedzieć czemu z twarzy kawałek nieczułego drewna. Zdaży się zagoić, zanim ustąpi działanie środka znieczulającego.

- Nessus? - powiedział po chwili zastanowienia.

- Tak, Louis?

- Coś mi przyszło do głowy. Mówiłeś wcześniej, że uważają cię za szaleńca, ponieważ jesteś odważny. Zgadza się?

- Doprawdy, Louis, twój takt, twoja delikatność...

- Mówię serio. Ty i wszystkie inne laleczniki patrzyły na to z niewłaściwej strony. Lalecznik instynktownie ucieka od niebezpieczeństwa, tak?

- Tak, Louis.

- Otóż właśnie, że nie. Lalecznik instynktownie o d w r a c a się od niebezpieczeństwa. Po to, by wprowadzić do akcji swoją tylną nogę. To jest śmiertelnie groźna broń. Nessus.

Louis doskonale pamiętał, jak to było: lalecznik obrócił się płynnym ruchem i uderzył ze straszną siłą twardym jak stal kopytem. Głowy miał przy tym rozstawione maksymalnie szeroko, by określić dokładnie odległość od celu. Właściwie Nessus wykopał nieszczęśnikowi serce z klatki piersiowej.

- Nie mogłem uciekać - powiedział. - Oddaliłbym się wtedy od mojego pojazdu. To mogło być niebezpieczne.

- Ale wtedy wcale o tym nie myślałeś. Działałeś instynktownie. Automatycznie odwróciłeś się tyłem do przeciwnika i kopnąłeś. Normalny lalecznik odwraca się nie po to, by uciekać, ale by walczyć. Wcale nie jesteś szalony.

- Mylisz się, Louis. Większość laleczników ucieka przed niebezpieczeństwem:

- Ale...

- A norma jest zawsze ustalana przez większość.

- Stądny zwierzak! Louis dał za wygraną. Uniósł wzrok, by obserwować ostatnie błyski zachodzącego w zenicie słońca.

"Skutki niektórych błędów zostaną z nami"...

Co miał na myśli Mówiący-do-Zwierząt?

Nad ich głowami pojawił się pierścień czarnych prostokątów. Ten, który przesłonił słońce, otoczony był promienistą aureolą. Paraboliczny łuk Pierścienia przecinał rozgwieżdżone niebo.

Wyglądało to jak konstrukcja złożona z trójwymiarowej układanki przez dziecko zbyt małe, by zdawało sobie sprawę z tego, co robi.

Po ucieczce z Zignamuclickclick małą flotyllą sterował Nessus, który potem przekazał ten obowiązek Mówiącemu-do-Zwierząt: ten pilotował przez całą noc. Nad ich głowami zza jednej z krawędzi monstrualnego prostokąta zaczął wydobywać się słaby poblask; zbliżał się świt.

Jakoś w międzyczasie Louis znalazł wreszcie sposób na uświadomienie sobie rzeczywistych rozmiarów Pierścienia.

W tym celu należało wyobrazić sobie mapę powierzchni Ziemi w projekcji Mercatora - a więc normalną, ścienną mapę, jakiej używano kiedyś w szkołach - tyle tylko, że równik na tej mapie byłby odwzorowany w skali 1:1. Czterdzieści takich map, ułożonych jedna za drugą, przecięłoby w poprzek błękitną wstążkę Pierścienia.

Taka mapa miałaby powierzchnię dużo większą od powierzchni Ziemi, ale gdyby położyć ją gdzieś na Pierścieniu, spojrzeć w inną stronę, a potem spróbować ją znaleźć - ta sztuka mogłaby się już nie udać.

Raz pobudzona wyobraźnia mogła sobie skakać dalej bez żadnych przeszkód. Na przykład bliźniacze oceany Pierścienia: każdy z nich był większy od największej z zamieszkałych przez człowieka planet. Gdyby wrzucić do któregoś z nich Ziemię, mogłaby w nim swobodnie pływać.

Rzeczywiście, nie powinienem był się śmiać, przyznał w duchu Louis. Minęło sporo czasu, zanim udało mi się ogarnąć ogrom tego... tworu. Dlaczego tubylcy mieliby być w tym lepsi?

Nessus zrozumiał to wcześniej. Tej nocy, której po raz pierwszy zobaczyli

Łuk Nieba, lalecznik krzychał z przerażenia i próbował schować się pod własnym brzuchem.

Niezas, co za... Zresztą, to nie ma znaczenia. Przynajmniej wtedy, kiedy wszystkie błędy zostają z tyłu z prędkością dwóch tysięcy mil na godzinę. Zgłosił się Mówiący-do-Zwierząt, przekazał kontrolę nad eskadrą w ręce Louisa, po czym poszedł spać.

Z szybkością siedmiuset mil na sekundę pędził im na spotkanie świt. Linie dzielącą dzień od nocy nazywa się terminatorem. Ziemski terminator doskonale widać z Księżyca; widać go także z orbity, ale nie można w żaden sposób dostrzec go z powierzchni Ziemi.

Proste, ostre linie oddzielające na łuku Pierścienia dzień od nocy były właśnie terminatorami.

Jedna z takich linii pędziła na spotkanie flotyli skuterów. Ciągnęła się od ziemi do nieba, od jednej niewidzialnej krawędzi do drugiej. Zbliżała się jak zmaterializowane przeznaczenie, jak ściana zbyt wielka, by ją obejść lub przeskoczyć.

I wreszcie nadeszła. Poświata w górze przybrała na sile, by nagle rozbłysnąć pełną jasnością, gdy usuwająca się krawędź czarnego prostokąta odsłoniła rąbek słonecznej tarczy. Louis podziwiał uciekającą po lewej stronie noc, nadchodzący z prawej dzień, przesuwającą się przez bezkresną równinę linię terminatora. Dziwny, niezwykle świt, demonstrowany specjalnie dla Louisa Wu, turysty.

Daleko z tyłu, ponad rozmytą szarością błysnął biały szczyt.

- Pięć Boga - powiedział na głos Louis, smakując niezwykle, groźne brzmienie. Co za znakomita nazwa dla góry! Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że jest to najwyższa góra we Wszechświecie.

Louis Wu, człowiek, czuł potworny ból. Jeśli jego mięśnie i stawy nie zaczną się szybko przystosowywać, to niebawem skostnieje w pozycji siedzącej i nic już nie będzie w stanie go poruszyć. Co gorsza, cegielki, które otrzymywał na posiłki zaczynały smakować... właśnie jak cegły. Co więcej, nie odzyskał jeszcze do końca czucia w nosie. Co najgorsze, nie mógł napić się kawy.

Ale Louis Wu, turysta, czuł się w pełni usatysfakcjonowany.

Weźmy na przykład odruch ucieczki lalecznika. Nikt nie podejrzewał, że w gruncie rzeczy jest to odruch walki. Nikt, oprócz Louisa Wu.

Weźmy na przykład gwiazdne nasiona. Cóż za poetycka nazwa! Proste



urządzenie, skonstruowane tysiące lat temu, powiedział Nessus. I żaden lalecznik nie uznał nigdy za stosowne się o nim zająknąć. Przynajmniej do wczoraj.

Ale laleczniki były przecież tak mało romantyczne. Czy wiedziały, dlaczego statki Zewnętrznych lecą w kierunku źródła sygnałów wysyłanych przez gwiazdne nasiona?

Czy rozkoszowały się tą wiedzą, czy też może uznały ją za nic nie wartą i dawno już o niej zapomniały?

Nessus wyłączył swój interkom. Najprawdopodobniej spał. Louis wezwał go; kiedy lalecznik się obudzi, zobaczy na swoim pulpicie zielone, nagłace światełko.

Czy laleczniki wiedziały?

Gwiazdne nasiona: te prawdziwe były to bezrozumne istoty, od których aż roło się w pobliżu jądra galaktyki. Żywiły się rozproszonym w próżni wodorem. Poruszały się dzięki fotonowym żagliom, ogromnym i precyzyjnie sterowanym, niczym spadochron skoczka. Lot godowy prowadził je zwykle z jądra galaktyki aż na jej skraj, a następnie z powrotem, już bez jaja. Nowo narodzona istota sama musiała znaleźć drogę do domu, lecąc wraz z fotonowym wiatrem do ciepłego, obfitującego w wodór jądra.

W ślad za gwiazdnymi nasionami przemieszczali się Zewnętrzni. Dlaczego? Pytanie może proste, ale nie pozbawione pewnego uroku.

A może i nie takie proste. Mniej więcej w połowie pierwszej wojny między ludźmi a kzinami jedno z nasion zboczyło przypadkiem ze swego kursu, zniesione w bok gwałtowniejszym porywem fotonowego wiatru. Lecący w ślad za nim statek Zewnętrznych znalazł się w pobliżu Procjona. Zatrzymał się tam akurat tak długo, by sprzedać gubernatorowi Naszego Dzieła plany napędu nadprzestrzennego.

Równie dobrze mógł to zrobić na jednej z planet należących do kzinów.

A czy to nie wtedy właśnie laleczniki badały dokładnie rasę, do której należał Mówiący-do-Zwierząt?

- Niezas! Mam zbyt bujną wyobraźnię. Dyscyplina, to jest to, czego potrzebuję.

Badały, czy nie? Oczywiście, że badały. Sam Nessus to powiedział. Laleczniki przyglądały się dokładnie kzinom, zastanawiając się, czy można ich w jakiś bezbolesny sposób zlikwidować.

Wojna rozwiązała ten problem. Statek Zewnętrznych wylądował na Naszym Dziele, a kiedy ludzie dysponowali już napędem nadprzestrzennym, kzinowie przestali stanowić zagrożenie i dla nich, i dla laleczników. .

- Nie odważyłyby się - wyszeptał ze zgrozą Louis. - Gdyby Mówiący... -było to zbyt straszne, by nawet o tym myśleć. - Cholerny, pieprzony eksperyment hodowlany!

Wykorzystali nas. Wykorzystali nas!

- Zgadza się - powiedział Mówiący-do-Zwierząt.

Przez chwilę Louisowi zdawało się, że śni. Potem nad tablicą przyrządów zobaczył małą, przezroczystą główkę kzina; zapomniał wyłączyć interkom.

- Niezas! Słuchałeś!

- Niechcący, Louis. Po prostu nie wyłączyłem interkomu.

- Och! - Dopiero teraz, trochę za późno, Louis przypomniał sobie wyszczerzony uśmiech kzina, przycupniętego na łące w odległości, zdawałoby się, uniemożliwiającej usłyszenie czegokolwiek, kiedy Nessus skończył opisywać działanie sztucznych gwiazdnych nasion. Uszy kzina były uszami drapieznika. A jego uśmiech był odruchem obnażającym kły do walki.

- Wspomniałeś coś o eksperymencie hodowlanym - powiedział kzin.

- Ja po prostu... tak sobie...

- Laleczniki skierowały nasze dwie rasy jedną przeciwko drugiej, po to, by ograniczyć ekspansję kzinów. Dysponowały już wtedy sztucznymi nasionami. Użyły jednego z nich, by skierować statek Zewnętrznych do zamieszkanego przez ludzi rejonu Kosmosu, by zapewnić wam zwycięstwo. Nazwałeś to eksperymentem hodowlanym.

- Słuchaj, to tylko cienka nić domysłów i przypuszczeń. Uspokój się i...

- I ty, i ja zdołaliśmy ją jednak dostrzec.

- Eee...

- Wahalem się, czy zapytać o to Nessusa już teraz, czy dopiero wtedy, gdy uda nam się bezpiecznie opuścić Pierścień. Teraz jednak, kiedy wiesz o wszystkim, nie mam wyboru.

- Ale... - zaczął Louis, lecz nie skończył, - Nie było sensu. Mówiący-do-Zwierząt włączył syrenę sygnalizującą niebezpieczeństwo.

Syrena wyła przeraźliwym, sztucznym głosem, sięgającym od infra do ultradźwięków, na dłuższą metę absolutnie niemożliwym do wytrzymania. Nad tablicą przyrządów pojawiły się miniaturowe główki Nessusa.

- Co się stało?

- Pomagaliście w wojnie naszym wrogom?! - ryknął kzin. Wasze działania są równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Patriarsze Kzinu!

Teela włączyła się z małym opóźnieniem, tooteż usłyszała tylko ostatnie zdanie. Louis potrząsnął energicznie głową: Nic wtrącaj się!

Głowy lalecznika zakołysały się ze zdumienia.

- O czym ty mówisz? - zapytał swoim zmysłowym głosem.

- Pierwsza Wojna z Ludźmi. Gwiezdne nasiona. Hiperprzestrzenny napęd Zewnętrznych.

Głowy zniknęły, jakby zdmuchnięte huraganowym powiewem wiatru. Jeden ze skuterów wystrzelił w bok, odłączając się od szyku. Louis wiedział, że to Nessus.

Powstała sytuacja nie napawała go specjalnym lękiem. Pozostałe dwa skutery były tak daleko, że przypominały srebrne muszki. Gdyby doszło do starcia na ziemi, mogło być nieprzyjemnie. Ale co mogło się zdarzyć tutaj, w górze? Skuter lalecznika z całą pewnością był szybszy od pojazdu kuna; Nessus nie byłby sobą, gdyby się o to nie zatroszczył. Musiał mieć pewność, że w razie czego będzie mógł uciec.

Tyle tylko, że lalecznik wcale nie uciekał. Zataczał olbrzymi łuk, zbliżając się do Mówiącego-do-Zwierząt.

- Nie chcę cię zabić - powiedział kzin. - Jeśli chcesz atakować w powietrzu, to nie zapominaj, że zasięg twojego taspu może okazać się dużo mniejszy od zasięgu tego zmodyfikowanego urządzenia do kopania. SNARL!

Morderczy okrzyk kzina zmroził Louisowi krew w żyłach. Ledwo zauważył małą, srebrną kropkę, która odłączyła się od skutera Mówiącego-do-Zwierząt i poleciała w dół.

Zauważył za to otwarte z podziwu usta Teeli:

- Nie mam zamiaru cię zabić - powtórzył, już spokojniej, Mówiący-do-Zwierząt. - Ale chcę uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Wiemy, że potraficie kierować gwiazdnymi nasionami.

- Tak - potwierdził Nessus. Jego skuter oddalał się z ogromną szybkością w kierunku, w którym lecieli. Doskonały spokój kzin i lalecznika był tylko złudzeniem wynikającym z tego, że Louis nie potrafił odczytać wyrazu ich twarzy, oni zaś nie umieli oddać swych uczuć intonacją głosu.

Nessus uciekał, jakby chodziło o jego życie, ale kzin nie opuścił swego miejsca w szyku.

- Chcę odpowiedzi, Nessus.

- Twoje domysły są słuszne - powiedział lalecznik. - Badania, jakie prowadziliśmy nad krwiożerczymi, dzikimi kzinami doprowadziły nas do wniosku, że drzemią w was duże możliwości, które mogliśmy spożytkować z korzyścią dla nas. Przedsięwzięliśmy kroki mające na celu doprowadzenie was do takiego stadium rozwoju; w którym będziecie potrafili współistnieć pokojowo z innymi, rozumnymi rasami. Stosowaliśmy metody pośrednie, a przez to bardzo bezpieczne.

- Rzeczywiście. Nessus, to mi się wcale nie podoba.

- Ani mnie - dodał Louis.

Jego uwadze nie uszedł fakt, że obydwaj obcy cały czas rozmawiali w interworldzie. Gdyby używali Języka Bohaterów, treść ich rozmowy zostałaaby między nimi. Woleli jednak włączyć do sporu ludzi - i zupełnie słusznie, ponieważ była to także sprawa Louisa Wu.

- Wykorzystaliście nas - powiedział. - Wykorzystaliście nas dokładnie tak samo, jak kzinów.

- Tyle tylko, że ku naszej zgubie - wtrącił Mówiący-do-Zwierząt.

- W wojnie zginęło też wielu ludzi.

- Louis, odczep się od niego! - wkroczyła na arenę Teela. - Gdyby nie laleczniki, wszyscy bylibyśmy niewolnikami kzinów! Powstrzymały ich przed zniszczeniem naszej cywilizacji!

- My TEŻ mieliśmy cywilizację - zauważył ze swoim morderczym uśmiechem kzin.

Jednooka głowa lalecznika przypominała wyblakłego, gotowego do ataku

pytona; druga najprawdopodobniej obsługiwała stery skutera, który znajdował się już szmat drogi od nich.

- Laleczniki wykorzystały nas - wycedził Louis. - Wykorzystały nas jako narzędzie do kształtowania rozwoju kzinów.

- I udało im się!

Odgłos, jaki wydobył się z gardła kzina, mógłby przerazić nawet najodważniejszego tygrysa; teraz już nikt nie pomyliłby grymasu jego twarzy z uśmiechem.

- Udało im się - powtórzyła Teela. - Życie teraz w pokoju. Potraficie ułożyć sobie stosunki z ...

- Zamilcz, człowieku!

- ... z innymi rozumnymi rasami - dokończyła wielkodusznie. - Nie zaatakowaliście żadnej...

Kzin wydobył "lekko zmodyfikowane" narzędzie do kopania i przytrzymał je przed interkodem. Teela momentalnie przestała mówić.

- To mogliśmy być my - mruknął Louis. Spojrzeli z zainteresowaniem.

- Gdyby laleczniki zechciały dla jakichś swoich celów hodować ludzi, to... - urwał nagle. - O rany. Jasne: Teela.

Lalecznik milczał jak zaklęty.

Teela poruszyła się niespokojnie pod utkwionym w niej spojrzeniem Louisa.

- O co chodzi, Louis? Louis!

- Przepraszam. Właśnie coś mi przyszło do głowy... Nessus, odezwij się. Opowiedz nam o Radzie Ludnościowej i Loterii Życia.

- Louis, zwariowałeś? -

- Rrr... - mruknął Mówiący-do-Zwierząt. - Sam powinienem być na to wpaść. No, i jak, Nessus?

- Słucham - powiedział lalecznik.

Jego skuter był już tylko srebrną kropką, malejącą z minuty na minutę. Niemal nie można już było go dostrzec na tle również srebrnej, błyszczącej

plamy, oddalonej jeszcze od nich bardziej, niż jakiegokolwiek dwa punkty mogłyby być od siebie oddalone na Ziemi. Przezroczysta, pocieszna, jednooka główka nie mogła należeć od żadnej groźnej istoty. W żadnym wypadku.

- Ingerowaliście w populacyjne problemy Ziemi.

- Tak.

- Dlaczego?

- Lubimy ludzi. Ufamy im. Utrzymujemy z nimi korzystne stosunki handlowe. Pomagając im, działamy na naszą korzyść, bo z pewnością dotrą przed nami do Obłoków Magellana.

- Lubicie nas. Jak to miło. I co z tego?

- Chcieliśmy trochę usprawnić was genetycznie. Ale co mieliśmy poprawić? Na pewno nie inteligencję. Nie na niej opiera się wasza wielka siła: Podobnie jak nie na przezorności, długowieczności czy waleczności.

- Więc postanowiliście obdarzyć nas szczęściem - powiedział Louis i wybuchnął śmiechem.

Dopiero wtedy Teela zrozumiała. Jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia; spróbowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko niezrozumiały skrzek.

- Oczywiście - potwierdził Nessus. - Nie śmiej się, Louis. Twój gatunek miał nieprawdopodobnie dużo szczęścia. W waszej historii aż roi się od szczęśliwych przypadków, od unikniętych o włos katastrof, w wyniku których nie pozostałby po was nawet najmniejszy ślad. Nawet o eksplozji jądra galaktyki dowiedzieliście się zupełnie przypadkowo. Louis, dlaczego ciągle się śmiejesz?

Louis śmiał się, ponieważ cały czas obserwował Teelę. Była zarumieniona aż po uszy. Jej oczy rozglądały się w panice dookoła, jakby poszukując miejsca, w którym mogłyby się schować. To niezbyt przyjemne dowiedzieć się, że jest się drobną cząstką zakrojonego na szeroką skalę eksperymentu genetycznego.

- Zmieniliśmy więc obowiązujące na Ziemi prawo. Wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Nasze zniknięcie ze znanego Kosmosu spowodowało krach na giełdach. W wyniku drobnych manipulacji wielu członków Rady Ludnościowej znalazło się na skraju bankructwa. Tych przekupiliśmy, innych zastraszyliśmy, by potem ujawnić stopień ich skorumpowania i doprowadzić do pożądaných przez nas zmian.

Cała operacja była wręcz niewyobrażalnie kosztowna, ale za to zupełnie bezpieczna; zakończyła się częściowym sukcesem. Ustanowiono Loterię Życia. Mieliśmy nadzieję uzyskać zwiększającą się stopniowo populację szczęściarzy.

- Potwór! - wrzasnęła wreszcie Teela. - Potwór!

Mówiący-do-Zwierząt schował broń.

- Nie wzruszyło cię zbytnio, że laleczniki sterowały rozwojem mojej rasy - powiedział. - Chciały wyhodować łagodnego kzina. Stosowały zwykłe, znane z eksperymentów biologicznych metody: likwidacja nieudanych osobników, rozmnażanie tych, które rokowały jakieś nadzieje. Nie widziałas w tym nic złego, twierdząc, że odbywało się to z pożytkiem dla ludzkości. Teraz nagle zaczynasz narzekać. Dlaczego?

Teela rozplakała się z bezsilnej wściekłości i wyłączyła interkom.

- Łagodny kzin - powtórzył Mówiący-do-Zwierząt. - Chcieliście wyhodować łagodnego kzina. Nessus, wróć do nas, jeżeli sądzisz, że wam się udało.

Lalecznik nie odpowiedział. Jego skuter zniknął już gdzieś w oddali.

- Nie chcesz się przyłączyć do naszej małej flotyli? Więc jak mam cię bronić przed czyhającymi dokoła niebezpieczeństwami? Chociaż... właściwie masz rację. Twoje obawy nie są pozbawione podstaw.

- Kzin od niechcienia wyciągnął przed siebie potężne, uzbrojone w pazury dłonie. - Wasze wysiłki, by wyhodować ludzi, którym zawsze sprzyjałoby szczęście, także spełżyły na niczym.

- Nieprawda - zaprotestował Nessus. - Są tacy. To ci, z którymi nie udało nam się skontaktować. Mieli na to za dużo szczęścia.

- Próbowaliście odegrać wobec ludzi i kzinów rolę boga. Nie próbuj tu wrócić.

- Będę z wami w kontakcie.

Twarz kzina zniknęła.

- Louis, Mówiący się wyłączył - powiedział lalecznik. - Jeśli będę miał mu coś do powiedzenia, zrobię to za twoim pośrednictwem.

- Oczywiście - warknął Louis i również wyłączył interkom. Niemal od razu na

tablicy przyrządów zapłonęło samotne, zielone światełko. Lalecznik koniecznie chciał z kimś porozmawiać.  
Diabli z nim.

Po południu przelatywali nad morzem wielkości Morza Śródziemnego. Louis zniżył lot, żeby się trochę rozejrzeć; pozostałe dwa skutery powtórzyły jego manewr. Ciągle więc kierował całą eskadrą - tyle tylko, że nikt nie chciał się do niego odezwać.

Wzdłuż całego brzegu ciągnęło się olbrzymie miasto, z którego pozostały tylko ruiny. Oprócz części portowej nie różniło się zbyt od Zignamuclickclick. Louis nie lądował. Z pewnością niczego by się tutaj nie dowiedzieli.

Wkrótce potem ląd zaczął wznosić się do góry, ciągle do góry; ciśnienie spadło i Louis czuł co jakiś czas charakterystyczne pyknięcie w uszach. Zieleń lasów i łąk ustąpiła miejsca brązowym, karłowatym krzewom, potem pustkowiu tundry, potem nagim skałom, by wreszcie...

W wyniku działania wiatrów i deszczy na liczącym co najmniej pół tysiąca mil długości grzbiecie nie została nawet odrobina gleby lub skał; groźną szarością błyszczał materiał konstrukcyjny Pierścienia.

Z pewnością żaden z jego budowniczych nie dopuściłby do takiej sytuacji. Upadek cywilizacji Pierścienia musiał się rozpocząć już bardzo dawno temu, właśnie od takich zjawisk w miejscach, których nikt nigdy nie odwiedzał.

Daleko przed skuterami, w kierunku, w którym zniknął Nessus ostrym blaskiem świeciła tajemnicza plama. Mogła znajdować się jakieś pięćdziesiąt tysięcy mil od nich. Wielka, błyszcząca plama wielkości Australii.

Czyżby znowu odsłonięta "podłoga" Pierścienia? Olbrzymie obszary, z których zniknęła żyzna niegdyś gleba, wyschnięta i rozpylona z powodu braku wody? Zagłada Zignamuclickclick i awaria systemu zasilania musiały nastąpić w ostatniej fazie upadku.

Ile czasu mógł trwać? Dziesięć tysięcy lat?

Dłużej?

Niezas! Dobrze by było z kimś o tym porozmawiać. To może być bardzo ważne - powiedział Louis do tablicy przyrządów.

Mając słońce zawieszony nieruchomo nad głową zupełnie inaczej odczuwało się upływ czasu. Ranek i popołudnie niczym się od siebie nie różniły. Rzeczywistość wydawała się mniej rzeczywista. Wszystkie czynności i



decyzje traciły jakby nieco na znaczeniu. To tak, jakby znaleźć się w rozciągniętej w czasie chwili przeskoku z jednej kabiny transferowej do drugiej.

Otóż to. Przeskakiwali między dwiema kabinami - jedną na "Kłamcy" a drugą na krawędzi Pierścienia. Cała ich podróż była tylko snem.

Lecieli przez zamrożony czas.

Kiedy po raz ostatni rozmawiali ze sobą? Minęło już kilka godzin od chwili, kiedy Louis wezwał Teelę, a zaraz potem kzina. Obydwoje zignorowali zielone lampki płonące na pulpitych sterowniczych ich skuterów, podobnie jak Louis zignorował tę, która płonęła na jego.

- Dostyc tego - powiedział wreszcie i włączył interkom.

W jego uszy uderzyła wezbrana fala muzyki. Dopiero po chwili lalecznik zauważył, że połączenie zostało przywrócone.

- Trzeba zrobić wszystko, żeby bez rozlewu krwi doprowadzić do ponownej konsolidacji ekspedycji - powiedział Nessus. - Masz jakiś pomysł?

- Tak. To niezbyt uprzejme zaczynać rozmowę od środka.

- Przepraszam, Louis. Dziękuję, że się odezwałeś. Jak się czujesz?

- Samotnie i głupio. To wszystko twoja wina. Nikt nie chce ze mną rozmawiać.

- Mogę jakoś pomóc?

- Być może. Czy miałeś coś wspólnego z Radą Ludnościową i Loterią Życia?

- Osobiście kierowałem tymi projektami.

- Nieżas! To najgorsza z możliwych odpowiedzi. Obyś był pierwszą ofiarą wstecznej kontroli urodzeń! Nie ma szans, żeby Teela jeszcze kiedykolwiek się do mnie odezwała.

- Nie powinieneś być się z niej śmiać.

- Wiem. Wiesz, co mnie w tym wszystkim najbardziej przeraża? Wcale nie twoja nieprawdopodobna arogancja, ale to, że podejmując decyzje i działania na tak ogromną skalę potrafisz potem zrobić coś tak głupiego, jak...

- Czy Teela nas słyszy?

- Oczywiście, że nie. Nessus, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co jej zrobiłeś?

- Jeżeli wiedziałeś, że ją to zrani, to po co podejmowałeś ten temat?

Louis jęknął. Rozwiązał pewien problem i doszedł do określonych wniosków. Nie przyszło mu na myśl, że i rozwiązanie i wnioski mogą być zupełnie inne. Po prostu nie przyszło mu to na myśl.

- Czy masz jakiś pomysł, jak doprowadzić do połączenia naszej ekspedycji?  
- zapytał Nessus.

- Tak - odpowiedział Louis i wyłączył interkom. Niech i lalecznik pozna słodki smak niepewności.  
Teren obniżył się i ponownie pokrył zielenią.

Przelecieli nad kolejnym morzem i nad wielką, trójkątną deltą jakiejś rzeki. Jednak jej koryto, podobnie jak sama delta, było zupełnie suche. W wyniku zmiany kierunków wiatrów musiało wyschnąć znajdujące się gdzieś w górach źródło.

Louis zmniejszył wysokość i wtedy stało się jasne, że niezliczone kanały i kanaliki delty nie były pochodzenia naturalnego, lecz zostały starannie wykopane według z góry założonego planu. Budowniczości Pierścienia nic nie pozostawiali przypadkowi. I mieli rację; warstwa gleby była na to zbyt cienka. Potrzebna była ręka inżyniera-artysty.

Puste, wyschnięte kanały wyglądały wręcz brzydko. Louis skrzywił się z dezaprobatą i zwiększył prędkość.

## 14. Interludium ze słonecznikami

Niezbyt daleko przed nimi pojawiły się góry.

Louis prowadził całą noc i jeszcze dość długo po wschodzie słońca. Nie był właściwie pewien, jak długo. Stojące nieruchomo w zenicie słońce wyczyniało z czasem najrozmaitsze cuda, skracając go lub wydłużając.

Jeżeli chodzi o nastrój, to Louis Wu znajdował się właśnie w trakcie swego kolejnego Oderwania. Niemal zapomniał o tym, że obok niego lecą także inne skutery. Ten nie kończący się lot nad bezkresnymi, zmieniającymi się ciągle połączeniami ładu i morza niewiele różnił się od samotnej włóczugi w małym stateczku po nieznanym obszarach Kosmosu. Louis Wu znajdował się sam na sam z Wszechświatem, Wszechświat zaś zawiesił na moment wszelką inną

działalność, zajmując się wyłącznie Louistem Wu. Najważniejsze i jedyne zarazem pytanie brzmiało: Czy Luis Wu jest zadowolony?

Niespodziewanie nad tablicą przyrządów pojawiła się pokryta pomarańczowym futrem twarz.

- Musisz być zmęczony - powiedział kzin. - Mam przejąć stery?

- Wolałbym wylądować. Cały zeszywniałem.

- Więc ląduj: Przecież ty pilotujesz.

- Nie chciałbym nikomu narzucać mego towarzystwa. - Dopiero kiedy to powiedział dotarło do niego, że naprawdę tak myśli. Nastrój Oderwania jeszcze nie minął. ""

- Sądzisz, że Teela będzie cię unikać? Może masz słuszość. Nie odezwała się nawet do mnie, chociaż spotkało mnie to samo, co ją.

- Zbyt się tym przejmujesz. Ej, poczekaj! Nie wyłączaj się.

- Chcę być sam, Louis. Ten zjadacz liści okrył mnie straszliwą hańbą.

- Ale to było tak dawno! Nie wyłączaj się, miej litość nad starym człowiekiem. Obserwowałeś krajobraz?

- Tak.

- Zauważyłeś te nagie obszary?

- Tak. Miejscami erozja dotarła aż do samej konstrukcji. Bardzo dawno temu coś musiało kompletnie rozregulować system ruchu mas powietrza. Tak olbrzymie zniszczenia nie powstają z dnia na dzień nawet na Pierścieniu.

- Słusznie.

- Louis, jak to możliwe, żeby nic nie zostało z cywilizacji dysponującej tak niewyobrażalną potęgą.

- Nic mam pojęcia. Prawda jest taka, że nigdy się tego nie dowiemy. Nawet lalecznikom nie udało się nigdy osiągnąć choćby zbliżonego poziomu rozwoju. Skąd więc możemy wiedzieć, co cofnęło ich do etapu pięści i maczugi?

- Musimy zebrać więcej informacji o tubylcach - powiedział kzin.

- Ci, których spotkaliśmy nie mogą nam być w niczym pomocni. Musimy

znaleźć innych.

Louis właśnie na to czekał.

- Mam pewien pomysł na to, żebyśmy mogli kontaktować się z tubylcami tak Często, jak tylko będziemy tego potrzebować. .

- Mów.

- Wolałbym najpierw wylądować.

- Więc ląduj.

Góry tworzyły ustawioną poprzecznie do trasy ich lotu barierę. Ich szczyty i przełęcz między nimi lśniły znajomą szarością. Szalejące wiatry zdmuchnęły ciekłą warstwę gleby i starły płaszcz skał, pozostawiając wypolerowaną powierzchnię konstrukcji Pierścienia.

Louis sprowadził małą flotyllę w dół, kierując się ku łagodnie zaokrąglonym pagórkom przedgórza, a dokładniej do miejsca, w którym z gór wypływał srebrzysty strumień, niknący niemal od razu w nieskończonej, zdawałoby się, gęstwinie lasu.

- Co robisz? - zapytała niespodziewanie Teela.

- Ląduję. Jestem zmęczony. Ale nie wyłączaj się, chciałbym cię przeprosić.

Teela przerwała połączenie.

- Najlepsze, czego mogłem się spodziewać - mruknął Louis bez większego przekonania. Ale teraz, kiedy już wiedziała, że nadchodzą przeprosiny, może będzie bardziej skłonna go wysłuchać

- Wpadłem na ten pomysł po tej całej gadaninie o bogach - powiedział Louis. Niestety, jego jedynym słuchaczem był Mówiący-do-Zwierząt. Teela zeszła ze swego skutera, spopieliała Louisa spojrzeniem i zniknęła w lesie.

Mówiący-do-Zwierząt skinął głową; jego uszy drżały niczym trzymane w nerwowych dłoniach chińskie wachlarze.

- Dopóki jesteśmy w powietrzu, właściwie nic nam nie grozi - podjął Louis. - Prawdę mówiąc, gdyby było trzeba, moglibyśmy dolecieć do krawędzi bez lądowania, albo lądując tylko tam, gdzie erozja obnażyła konstrukcję Pierścienia. W ten sposób z pewnością przez cały czas nie spotkalibyśmy żywego ducha.

Ale i niczego byśmy się nie dowiedzieli. Poza tym, nie uda się nam stąd wydostać bez pomocy ze strony miejscowych, bo ciągle wszystko wskazuje na

to, że trzeba będzie jakoś przetaszczyć "Kłamcę" na odległość ponad czterystu tysięcy mil.

- Do rzeczy, Louis. Chciałbym rozprostować kości.

- Kiedy dotrzemy do krawędzi, będziemy chcieli wiedzieć o tubylcach znacznie więcej, niż wiemy teraz.

- Bez wątpienia.

- Więc dlaczego nie mamy udawać bogów?

Mówiący zawahał się.

- Mam to rozumieć dosłownie?

- Tak. Będziemy odgrywać rolę budowniczych Pierścienia. Nie dysponujemy taką potęgą jak oni, ale i tak tubylcom nasze możliwości muszą wydawać się nieograniczone. Ty możesz być bogiem...

- Dziękuję.

- ... a Teela i ja akolitami. Nessus będzie pojmanym demonem.

Z miękkich poduszczek dłoni kżina wysunęły się ostre jak stal pazury.

- Ale Nessus nie jest z nami. I nigdy nie będzie.

- O to właśnie chodzi. W...

- To nie jest rzecz do dyskusji, Louis.

- Wielka szkoda. Potrzebujemy go.

- Więc musisz wymyślić coś nowego.

Louis nie bardzo wiedział, co sądzić o tych pazurach. Czy rzeczywiście wysuwały się niezależnie od woli ich właściciela? Tak czy owak, ciągle było je widać. Gdyby rozmawiali przez interkom, Mówiący dawno już przerwałby połączenie.

Dlatego właśnie Louis wolał odbyć tę rozmowę na ziemi.

- Popatrz, jakie to intelektualnie piękne. Byłbyś naprawdę wspaniałym bogiem. Z ludzkiego punktu widzenia jesteś osobą robiącą ogromne wrażenie... Chociaż przypuszczam, że będziesz musiał uwierzyć mi na słowo.

- Do czego mielibyśmy potrzebować Nessusa?

- Do rozdzielania kar i nagród. Ty, jako bóg, rozdierasz wąpiących na kawałki i pożerasz na oczach tłumu: to kara. Tych, których obdarzasz swoją łaską, nagradzasz przy użyciu taspu lalecznika.

- Nie możemy obejść się bez niego?

- A czy możesz wyobrazić sobie bardziej boską nagrodę? Uderzenie czystej rozkoszy, sięgające prósto do mózgu. Bez efektów ubocznych. Bez kaca. Tasp to coś lepszego niż seks!

- Niezbyt mi się to podoba. Co prawda, tubylcy są tylko ludźmi, ale mimo wszystko nie chciałbym ich uzależniać. Chyba lepiej byłoby ich zabić. Zresztą, tasp lalecznika działa tylko na kzinów, nie na ludzi.

- Chyba się mylisz.

- Louis, przecież obaj wiemy, że tasp skonstruowano tak, by działał na strukturę mózgu kzina. Sam go na sobie odczułem. W jednym masz rację: to rzeczywiście niemal ekstaza religijna, czy raczej diaboliczna.

- Ale skąd wiesz, że ten tasp nie działa na ludzi? Ja sądzę, że działa. Znam Nessusa. Albo ten tasp działa i na ciebie, i na nas, albo ma drugi. Nie byłoby tutaj ani mnie, ani Teeli, gdyby Nessus nie miał na nas jakiegoś haczyka.

- To tylko domysły.

- Więc może zapytamy go?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie ma potrzeby.

- Zapomniałem. Po prostu nie jesteś ciekawy. - Małpia ciekawość była uczuciem nieznanym większości inteligentnych gatunków.

- Chciałeś pobudzić moją ciekawość, tak? Rozumiem. Miałeś zamiar popchnąć mnie do działania zgodnego z twoimi oczekiwaniami. Nic z tego. Lalecznik leci dalej sam.

I zanim Louis zdołał cokolwiek odpowiedzieć, kzin odwrócił się i dał susa w

zieloną gęstwinę. Zakończyło to dyskusję równie nieodwracalnie, jak wyłączenie interkomu.

Świat sprzysiągł się przeciwko Teeli Brown. Teela Brown pochlipywała cichutko, użalając się nad swoim losem. Na te żale udało jej się znaleźć naprawdę przepiękne miejsce.

Motywym przewodnim była ciemna zieleń. Gałęzie i liście nad jej głową tworzyły zbyt gęsty parasol, by przepuszczać bezpośrednio światło słońca. Blżej ziemi robiło się jednak znacznie luźniej, dzięki czemu nie miało się żadnych kłopotów z chodzeniem. Prawdziwy raj dla miłośników przyrody.

Płaskie, pionowe skały otaczały głębokie, kryształowo czyste jeziorko, którego woda tylko w jednym miejscu była maćcona wbijającą się w nią kolumną wodospadu. Teela znajdowała się właśnie w jeziorku. Szum wodospadu zagłuszyłby jej rozpaczliwe szlochania, gdyby nie amfiteatralne ustawienie skał, wzmacniających słabe odgłosy. Można było odnieść wrażenie, że Natura płacze wraz z nią.

Nie zauważyła Louisa.

Nawet Teela, wyrzucona jako rozbitek na obcym świecie, nie oddaliłaby się nigdzie bez swego zestawu pierwszej pomocy. Było to niewielkie, płaskie pudełeczko, przymocowane do jej paska; miało wbudowany miniaturowy, działający bez przerwy nadajnik. Jego sygnał doprowadził Louisa do ubrania Teeli, ułożonego na sięgającej niemal powierzchni wody granitowej półce.

Ciemnozielona iluminacja, szum wodospadu i wzmocnione odgłosy łkania. Teela siedziała chyba na czymś przy samym wodospadzie, bowiem jej ramiona i barki wystawały nad powierzchnię wody. Miała pochyloną głowę, a czarne włosy zakrywały jej twarz gęstą zasłoną.

Nie było sensu czekać, aż sama do niego przyjdzie. Louis zdjął ubranie i ułożył je na półce. Zadrzał, kiedy doszedł go jakiś zabłąkany podmuch wiatru, po czym skoczył na głowę.

W tej samej chwili przekonał się, że popełnił olbrzymi błąd.

Podczas swoich Oderwań niezbyt często trafiał na ziemiopodobne planety. Te, na które trafił, były przynajmniej równie ucywilizowane i oswojone, jak sama Ziemia. Louis nie był głupi. Gdyby przyszło mu do głowy zastanowić się, jaką temperaturę może mieć woda...

Ale nie przyszło.

Woda pochodziła z topiącego się gdzieś wysoko, na zboczu góry lodu i śniegu. Louis wrzasnąłby wniebogłosy, gdyby nie to, że jego głowa znajdowała

się już pod wodą. Zachował jeszcze przynajmniej tyle przytomności umysłu, żeby nie wykonać rozpaczliwego wdechu.

Kiedy wreszcie udało mu się wystawić głowę na powierzchnię, prychnął z zimna i łapał rozpaczliwie powietrze.

Potem zaczęło mu się to podobać.

Wiedział, jak należy zachowywać się w wodzie, chociaż swą wiedzę zdobywał w dużo wyższych temperaturach. Poruszał rytmicznie nogami i rękami, utrzymując się na powierzchni i czując, jak woda z wodospadu obmywa mu skórę rzeźkimi, podpowierzchniowymi strumieniami.

Teela nie mogła go nie zobaczyć. Siedziała bez ruchu, czekając na niego. Popłynął w jej kierunku.

Musiałby wrzeszczeć z całej siły, by cokolwiek do niej dotarło. Słowa przeprosin i miłości nie bardzo się do tego nadają. Ale mógł ją przecież dotknąć.

Nie odsunęła się. Pochyliła tylko głowę i znowu odgrodziła się od świata kurtyną włosów. Odtrącała go; czuł to każdym skrawkiem swego ciała..

Uszanował jej wolę.

Pływał dookoła, rozprostowując mięśnie, zdrętwiałe po osiemnastu godzinach spędzonych w fotelu skutera. Woda była cudowna. Jednak po pewnym czasie spowodowane zimnem odrętwienie zaczęło przeradzać się w ból i Louis uznał, że jest to już dopraszanie się o zapalenie płuc.

Dotknął ramienia Teeli i pokazał w kierunku brzegu. Tym razem skinęła głową i popłynęła za nim.

Drżąc z zimna leżeli na brzegu obejmując się ciasno ramionami. Rozłożone skafandry termiczne ogrzewały ich zziębnięte ciała.

- Przepraszam, że się z ciebie śmiałem - powiedział wreszcie Louis.

Skinęła głową, przyjmując do wiadomości fakt przeprosin, ale w tym skinięciu nie było przebaczenia.

- Zrozum, to naprawdę było śmieszne. Laleczniki, uważane powszechnie za największych tchórzów galaktyki, hodujące ludzi i kzinów niczym dwie rasy bydła! Musiały doskonale zdawać sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują. - Wiedział, że za dużo mówi, ale czuł nieodpartą potrzebę wyjaśnienia, usprawiedliwienia swego postępowania. - I zobacz, do czego doszli. Łagodny,



rozsądny kzin; to wcale niegłupi pomysł. Wiem co nieco o wojnach z kzinami. Byli naprawdę ostrzy. Przodkowie Mówiącego zrównaliby Zignamuclickclick z powierzchnią ziemi. Mówiący tego nie zrobił.

Ale hodowanie ludzi w celu uzyskania populacji szczęściarzy...

- Uważasz, że popełnili błąd, robiąc mnie taką, jaka jestem.

- Nieżas, myślisz, że chcę ci dokuczyć? Próbuję tylko powiedzieć, że to zabawny pomysł. Szczególnie jeśli się zważy, że wpadły na niego laleczniki. Dlatego właśnie się śmiałem.

- I sądzisz, że ja też powinnam?

- Nie, to już by była przesada.

- To dobrze.

Nie czuła do niego nienawiści. Chciała pociechy i uspokojenia, nie zemsty. Pociecha i uspokojenie były w ciepłe promieniującym ze skafandrów i w dotyku przytulonego do niej ciała.

Louis gładził ją delikatnie po plecach. Trochę się odprężyła.

- Chciałbym, żebyśmy znowu byli wszyscy razem - powiedział. Od razu poczuł, jak napinają się jej mięśnie. - Nic podoba ci się ten pomysł?

- Nie.

- Nessus?

- Nienawidzę go. Nienawidzę! - Rozmnażał nas jak... jak zwierzęta! - Nagle uspokoiła się. - Ale Mówiący zastrzeliby go od razu, jak tylko by się tutaj pojawił. Więc nie ma sprawy.

- A gdyby udało mi się przekonać Mówiącego, by pozwolił lalecznikowi przyłączyć się do nas?

- Ciekawe, jak byś to zrobił.

- A jeżeli jednak?

- Ale, po co?

- "Szczęśliwy Traf" ciągle należy do Nessusa, a "Szczęśliwy Traf" to jedyna szansa dla ludzkości, by dostać się do Obłoków Magellana przed upływem

kilku stuleci. Jeżeli opuścimy Pierścień bez Nessusa, nigdy nie zobaczymy "Szczęśliwego Trafu".

- To ohydne, Louis.

- Poczekaj. Sama powiedziałaś, że gdyby nie to, co laleczniki zrobiły kzinom, to bylibyśmy dzisiaj niewolnikami Mówiącego-do-Zwierząt. To prawda. Ale gdyby laleczniki nie wmieszały się w nasze, ziemskie sprawy, to w ogóle byś się nie urodziła!

Cała zeszywniała. Jej uczucia odbijały się na jej twarzy, zaś twarz była zupełnie zamknięta, podobnie jak oczy.

Louis nie dawał za wygraną.

- To, co zrobiły laleczniki, zrobiły bardzo dawno temu. Czy nie potrafisz przebaczyć i zapomnieć?

- Nie! - odtoczyła się w bok, prosto do lodowatej wody. Louis po chwili wahania poszedł w jej ślady. Zimny, mokry wstrząs... powierzchnia. Teela siedziała na swoim poprzednim miejscu u stóp wodospadu.

Uśmiechając się kusząco. Jak to możliwe, żeby komuś tak szybko zmieniał się nastrój?

Popłynął do niej.

- Co za uroczy sposób, by kazać komuś się zamknąć! - roześmiał się. Chyba go nie słyszała. Sam siebie nie słyszał, ogłuszony łoskotem spadającej wody. Ale Teela zaśmiała się radośnie i wyciągnęła do niego ręce.

- To i tak byty głupie argumenty! - krzyknął.

Woda była zimna, bardzo zimna. Jedyne ciepło pochodziło z ciała Teeli. Klęczeli naprzeciw siebie na wąskiej, podwodnej skale.

Miłość stanowiła cudowną mieszankę zimna i ciepła. Kochając się, nie rozwiązywali co prawda żadnych problemów, ale za to mogli choć na chwilę od nich uciec.

Wracali do skuterów drżąc nieco we wnętrzu swoich ogrzewanych kokonów. Louis nie odzywał się.

Właśnie dowiedział się pewnej rzeczy o Teeli Brown.

Nic potrafiła się od niego odwrócić. Nie potrafiła powiedzieć "nie" i wytrwać

przy tym. Nie potrafiła nikogo odrzucić, posługując się dawkowaną umiejętnością niechęcią. Jeszcze nigdy nie miała okazji się tego wszystkiego nauczyć.

Louis mógłby ją krzywdzić co dnia aż do skończenia świata, a ona nie potrafiłaby go powstrzymać. Ale potrafiłaby go znienawidzić. Nie odezwał się więc, częściowo dlatego, a trochę z jeszcze innego powodu.

Po prostu NIE CHCIAŁ jej krzywdzić.

Szli w milczeniu trzymając się za ręce i przekomarzając się palcami.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Jeżeli uda ci się przekonać kziną, możesz przyprowadzić Nessusa.

- Dziękuję ci - powiedział nic kryjąc zdziwienia.

- To tylko ze względu na "Szczęśliwy Traf" - wyjaśniła. - Poza tym, i tak ci się nie uda.

Mówiący-do-Zwierząt miał wreszcie czas na godziwy posiłek i tradycyjne ćwiczenia fizyczne, czyli pompki i przysiady. Miał również czas na nieco mniej tradycyjne ćwiczenia, czyli wchodzenie na drzewa.

Wreszcie wrócił do swego skutera, futro na jego twarzy było doskonale czyste. Nie zwlekając, wyjął z podajnika żywności dwie parujące cegiełki substancji przypominającej nieco świeżą wątrobę. "Wielki myśliwy wraca do domu" pomyślał Louis, z udanym zainteresowaniem obserwując niebo.

Kiedy lądowali, było pokryte chmurami. Teraz, kiedy ruszali w dalszą drogę, ani trochę nie przejaśniało.

Louis podjął dyskusję przez interkom.

- Przecież to było już tak dawno!

- Poczucie godności nic słabnie z upływem czasu, chociaż, rzecz jasna, ty nie możesz o tym wiedzieć. Co więcej, wciąż mamy do czynienia z konsekwencjami ich postępu. Dlaczego Nessus postanowił zabrać na tę wyprawę kziną?

- Już to wyjaśnił.

- A po co mu Teela Brown? Otrzymał od Najlepiej Ukrytego polecenie, by sprawdzić, czy odziedziczyła ten "szczęśliwy" gen. Miał również przekonać się, czy kzinowie złagodnieli. Wybrał akurat mnie, ponieważ jako ambasador na planecie, której mieszkańcy znani są ze swojej arogancji, musiałem odznaczać

się łagodnością, o którą mu chodziło.

- Też o tym myślałem - przyznał Louis. Posunął się nawet dalej: - Czy Nessusowi polecono wspomnieć o gwiazdnych nasionach właśnie po to, by zbadać reakcję kżina?

- To nie ma znaczenia. Ja twierdzę, że nie jestem łagodny.

- Mógłbyś przestać używać w kółko tego słowa? Zupełnie, jakbyś miał klapki na oczach.

- Dlaczego tak bronisz lalecznika, Louis? Dlaczego zależy ci na jego obecności?

Dobre pytanie, pomyślał Louis. Nessus z całą pewnością zasłużył sobie na to, by się trochę pomartwić. Tym bardziej, że jeśli miałyby się sprawdzić podejrzenia Louisa, to lalecznikowi i tak nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Czy chodziło tylko o to, że Louis Wu lubił obcych?

A może prawda była bardziej złożona? Lalecznik był INNY. Inność miała swoją niemałą wagę. Człowiek w wieku Louisa Wu miał prawo znudzić się życiem. Towarzystwo obcych było dla niego wręcz koniecznością.

Skutery nabierały wysokości, wznosił się również przesuwający się pod nimi teren.

- Chodzi mi o jego punkt widzenia - powiedział Louis. - Znajdujemy się w obcym, niezwykłym miejscu i żeby zrozumieć, co tu się w ogóle dzieje, potrzebujemy tak dużo różnych opinii, jak to tylko możliwe.

Teela kiwnęła z aprobatą głową: Dobrze powiedziane! Louis mrugnął w odpowiedzi. Mówiący z pewnością nawet nie dostrzegł tej wymiany właściwych tylko ludziom gestów.

- Nie potrzebuję lalecznika, żeby tłumaczył mi, co się dzieje. Moje oczy, mój nos i moje uszy w zupełności mi do tego wystarczą.

- Być może. Ale potrzebujesz przecież "Szczęśliwego Trafu". Wszyscy go potrzebujemy.

- To zysk. Honor jest ważniejszy od zysku.

- Niezas! Przecież "Szczęśliwy Traf" nie jest dla ciebie czy dla mnie, tylko dla wszystkich ludzi, kżinów!

- Nawet, jeśli zysk nie należy tylko do ciebie, nie możesz stawiać go wyżej, niż honor.

- Mojemu honorowi nic nie grozi.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział kzin i wyłączył interkom.

- Strasznie zmyślna rzecz, ten wyłącznik - zauważyła ze złośliwą uciechą Teela. - Wiedziałam, że to zrobi.

- Ja też. Ależ go trudno przekonać!

Za górami rozpościerało się bezkresne, sięgające aż po nie istniejący horyzont pasmo chmur. Skutery płynęły nad matowoszarą, wełnistą warstwą; nad nimi, na jasnoblękitnym niebie rysował się najdelikatniejszym z możliwych cieni łuk Pierścienia.

Góry zostały z tyłu, i wraz z nimi okolone lasem jeziorko z wodospadem. Nigdy do niego już nie wrócą.

W dole, na skłębionej powierzchni chmur widać było wyraźnie, jak pędzi za nimi fala uderzeniowa, wywołana przez trzy lecące z prędkością naddźwiękową skutery. Z przodu tylko jeden szczegół zakłócał nieskończoną, spokojną szarość chmur. Louis uznał, że musi to być albo góra, albo olbrzymich rozmiarów, niezwykle od nich odległa trąba powietrzna. To coś było wielkości główki szpilki trzymanej w wyciągniętej ręce.

- Louis, przed nami po prawej przerwa w pokrywie chmur - odezwał się Mówiący-do-Zwierząt.

- Widzę.

- Jest bardzo jasna. Tak, jakby światło słoneczne odbijało się od powierzchni.

- Rzeczywiście. Krawędzie otworu jarzyły się intensywnym blaskiem.

Hmm...

- Może znowu lecimy nad odsłoniętą konstrukcją Pierścienia? Jeśli tak, to byłby to największy obszar z dotychczasowych.

- Chciałbym przyjrzeć się temu z bliska.

- W porządku - zgodził się Louis. Srebrzysty punkcik wykonał gwałtowny skręt i pognął do przodu i w prawo, zgodnie z ruchem obrotowym Pierścienia.

Przy szybkości dwukrotnie przewyższającej prędkość dźwięku Mówiący ledwie zdążył rzucić okiem na odsłonięty fragment terenu.

Louis miał nie lada problem: na co właściwie patrzeć? Na srebrny punkcik, czy na małą, pomarańczową głowę nad tablicą przyrządów? To pierwsze było prawdziwe, to drugie bardziej szczegółowe. Z obydwu źródeł można było uzyskać informacje, tyle tylko, że różnego rodzaju.

Skończyło się na tym, że Louis patrzył i na to, i na to.

Srebrna plamka wleciała nad wyrwę w chmurach...

W interkomie rozległ się przeraźliwy ryk kżina. Skuter Mówiącego rozjarzył się intensywnym blaskiem, podobnie jak jego pomarańczowa twarz. Miał zaciśnięte rozpaczliwie oczy i szeroko otwarte usta. I krzyczał. Krzyczał.

Obraz wrócił do swojej poprzedniej jasności. Skuter kżina znalazł się znowu nad warstwą chmur. Mówiący zasłaniał twarz ramieniem. Pomarańczowe niegdyś futro było zwęglone do samej skóry.

W dole, na szaroburej powierzchni widać było jasny, przesuwany się krąg; zupełnie, jakby w ślad za skuterem podążał snop światła rzucanego przez ogromny reflektor.

- Mówiący! - krzyknęła Teela. - Widzisz?

Mówiący-do-Zwierząt odstonił twarz. Jedyne miejsce, w którym pomarańczowe futro pozostało nietknięte, był szeroki pas dookoła oczu. Wszędzie indziej pozostało po nim tylko wspomnienie i zwęglone, spieczone resztki. Kżin otworzył oczy, zacisnął je, znowu otworzył.

- Jestem ślepy - powiedział.

- Tak, ale czy widzisz?

Louis, poruszony i przerażony tym, co się stało, niemal nie dostrzegł niczego dziwnego w tym natarczywym, powtórzonym pytaniu. Jednak jakaś czuwająca część jego umysłu zarejestrowała ton głosu Teeli: niepokój, a oprócz tego przekonanie, że Mówiący nie odpowiedział tak, jak powinien i że należy dać mu jeszcze jedną szansę.

Ale teraz nie było na to czasu.

- Mówiący, przełącz sterowanie na mój skuter! Musimy gdzieś się schronić.

- Zrobione - oświadczył po chwili kżin. Po jego głosie słychać było, że walczy

ze strasznym bólem.

- O jakim schronieniu mówisz?

- W górach.

- Nie. Stracilibyśmy zbyt wiele czasu. Wiem, co mnie zaatakowało. Jeśli mam rację, to jesteśmy bezpieczni tak długo, jak długo znajdujemy się nad warstwą chmur.

- Hę?

- Sam się o tym przekonasz.

- Trzeba cię opatrzyć.

- Rzeczywiście, ale najpierw musisz znaleźć bezpieczne miejsce, w którym będziemy mogli wylądować. Zejdź w dół tam, gdzie pokrywa chmur jest najgęstsza.

Pod grubą warstwą chmur wcale nie było ciemno. Trochę światła jednak docierało aż tutaj, a to, które dotarło, było natychmiast odbijane.

Teren, nad którym lecieli był nie kończąca się równiną, porośniętą z rzadka roślinami.

Pojedynczymi roślinami, rozmieszczonymi w równych odstępach. Każda z nich miała jeden, duży kwiat. Każdy kwiat obracał się w ślad za Louisem Wu. Niesamowita, milcząca, uważna publiczność.

Louis wylądował w pobliżu jednej z roślin i zsiadł ze skutera.

Jej kwiat był wielkości ludzkiej twarzy; z zewnątrz miał całą masę żylastych wypukłości, jakby ścięgien czy mięśni, zaś jego wewnętrzna powierzchnia była gładka i wypolerowana, tworząc wklęsłe zwierciadło. W jego środku znajdował się krótki słupek zakończony zieloną, bulwiastą naroślą.

Wszystkie kwiaty patrzyły prosto na niego, kąpiąc go w swoim blasku. Louis wiedział, że usiłują go zabić i zerknął niespokojnie w górę; na szczęście chmury były na swoim miejscu.

- Miałeś rację - powiedział do swego komunikatora. - To słoneczniki Slavera. Gdyby nie chmury, bylibyśmy martwi w chwili, kiedy wlecieliśmy nad tę nizinę.

- Możemy tu się gdzieś schować? W jakiejś jaskini, albo czymś w tym rodzaju?

- Nie sędzę. Teren jest zbyt płaski. Słoneczniki nie mogą zbyt dokładnie skoncentrować wiązki światła, ale i tak świecą jak diabli.

- Na łapy finagla, co z wami? - zniecierpliwiała się Teela. - Louis, musimy szybko lądować! Mówiący jest ranny! I cierpi.

- To prawda, Louis.

- Więc musimy zaryzykować. W porządku, wyłazcie. Miejmy nadzieję, że te chmury nie odpłyną z wiatrem.

Louis poświęcił jakąś minutę na spacer między kwiatami. Było tak, jak przypuszczał: w królestwie słoneczników nie żyło nic oprócz nich. Nic nie rosło. Nic nie latało. Nic nie ryło w spopielalej glebie. Na samych słonecznikach nic było żadnych pasożytów, narośli czy zgrubień. Gdy któryś zachorował, inne natychmiast go niszczyły.

Lustrzany kwiat stanowił broń o straszliwej sile. Jego podstawowym zadaniem była koncentracja promieni słonecznych na owej zielonej, znajdującej się w jego środku narośli, w której zachodził proces fotosyntezy. Ale mógł też skoncentrować te promienie na roślinożernym zwierzęciu lub owadzie, paląc je w okamgnieniu. Wszystko co żyje, jest wrogiem rośliny istniejącej dzięki fotosyntezie; dlatego też wszystko, co żyło, skończyło jako nawóz dla słoneczników.

Ale skąd się tutaj wzięły, zadumał się Louis. Nie mogły przecież koegzystować z jakąkolwiek inną formą życia. Były na to zbyt potężne. Nic mogły więc pochodzić z macierzystej planety budowniczych Pierścienia.

Mityczni Inżynierowie z pewnością odwiedzali różne planety w poszukiwaniu użytkowych i ozdobnych roślin. Być może dotarli nawet do Srebrnookiej, która teraz znajdowała się już w granicach poznanego Kosmosu. I być może uznali, że słoneczniki są niezwykle ozdobne.

Ale przecież powinni byli ogrodzić je jakimś płotem. Każdy dureń by tak zrobił. Wysoki płot i pas nagiej powierzchni Pierścienia. To by je powstrzymało.

Tyle tylko, że n NIE powstrzymało. Wystarczyło jedno ziarno. Trudno powiedzieć, jak wielki obszar teraz zajmują. To musiała być właśnie ta "srebrna plama", którą zauważyli wspólnie z Nessusem.

Ciałem Louisa wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. Jak sięgnąć okiem, jedynymi żyjącymi istotami były słoneczniki.

Kto wie, czy za jakiś czas nie opanują całego Pierścienia.



Ale na to potrzebowałyby bardzo dużo czasu. A Pierścień jest ogromny. Wystarczająco ogromny, by zmieściły się na nim różne, bardzo różne rzeczy.

## 15. Zamek ze snów

- **L**ouis! - obudził go z zamyślenia gros Mówiącego-do-Zwierząt. - Weź z mojego skutera to narzędzie do kopania i zrób dla nas kryjówkę. Teela, zajmij się moimi obrażeniami.

- Kryjówkę?

- Tak. Musimy zagrzebać się jak zwierzęta i - przeczekać do nocy.

- Oczywiście. - Louis wziął się w garść. To on powinien był o tym pomyśleć, a nie ciężko poparzony kzin. Najmniejsza dziura w chmurach i już po nich. Słonecznikom wystarczyłaby chwila słonecznego blasku. Ale nocą...

Przeszukując skuter kзина Louis starał się; jak mógł, by nie patrzeć zbyt często na Mówiącego. Spojrzał tylko raz i to mu w zupełności wystarczyło. Niemal całe ciało kзина pokryte było zwęgloną warstwą spalonego futra i przypieczonej skóry. W miejscach, w których popękała, widać było żywe, czerwone mięso. Nozdrza drażnił nieznośny odór palonej sierści.

Louis znalazł wreszcie "nieznacznie udoskonalony" dezintegrator Slavera - dwulufową strzelbę o opływowej kolbie. Obok leżał laser, na widok którego Louis kwaśno się uśmiechnął. Dobrze, że kzin nie polecił strzelać do słoneczników z lasera, bo oszołomiony Louis z pewnością by to zrobił, a wtedy...

Wziął broń i odszedł szybko na bok, zawstydzony swoją słabością. Rany Mówiącego-do-Zwierząt paliły go żywym ogniem. Teela, która nie wiedziała nic o bólu, mogła pomóc kzinowi znacznie lepiej, niż Louis.

Włożył maskę przeciwpyłową i skierował wylot luf pod kątem trzydziestu stopni w ziemię. Nie zależało mu specjalnie na czasie, więc nacisnął tylko jeden ze spustów.

Otwór powstawał szybko. Louis nie mógł podziwiać, jak szybko, ponieważ znajdował się w środku gęstego obłoku pyłu. Z miejsca, na które padał promień, dał mały huragan, zmuszając go do mocniejszego stanięcia na rozstawionych szeroko nogach.

Ziemia i skała, pozbawione nagle wiążących je do tej pory sił, otaczały go

mgłą jednoatomowego pyłu. Louis błogosławił w duchu maskę.

Wreszcie wyłączył dezintegrator. Ziejąca w ziemi jama wyglądała na wystarczająco dużą, by pomieścić ich troje i skutery.

Tak szybko, pomyślał z podziwem. Ciekawe, ile by trwało, gdyby użyć obydwu promieni. Ale wtedy nastąpiłby gwałtowny przepływ prądu elektrycznego, żeby użyć eufemizmu Mówiącego. A w tej chwili Louis miał już dość jakichkolwiek atrakcji.

Teela i kzin zeszli już ze swoich skuterów. Skóra kzina była teraz zupełnie naga, czerwono-fioletowa i popękana, z wyjątkiem dużego, pomarańczowego placka na siedzeniu i wąskiego paska dookoła oczu.

Teela spryskiwała go czymś pieniącym się i białym.

Smród palonej sierści i ciała nie pozwolił Louisowi podejść bliżej.

- Gotowe - powiedział.

Kzin spojrzał na niego.

- Znowu widzę, Louis.

- To dobrze. - Bał się, że może być inaczej.

- To są wojskowe leki, znacznie lepsze od naszych cywilnych - zadudnił Mówiący-do-Zwierząt.

Skąd on to miał? Przecież laleczniki nie powinny mieć styczności z jakimkolwiek ekwipunkiem wojskowym. - W słowach kzina słychać było gniew. Być może podejrzewał jakieś przekupstwo. I być może miał rację.

- Połączę się z Nessusem - powiedział Louis, okrążając Teelę i kzina ostrożnym łukiem. Kzin od stóp do głów pokryty był białą pianą. Nieprzyjemny zapach zniknął.

- Wiem, gdzie jesteś, Nessus.

- To wspaniale. Więc gdzie jestem?

- Za nami. Kiedy tylko zniknąłeś nam z oczu, zrobiłeś wielki łuk i znalazłeś się za naszymi plecami. Teela i Mówiący nic o tym nie wiedzą. Nie potrafią myśleć jak laleczniki.

- Ale chyba nie sądzą, że lalecznik będzie przecierał im drogę?

- Chyba będzie najlepiej, jeżeli tak właśnie będą uważać.

- Czy zgodzą się, bym znowu do was dołączył?

- Nie teraz. Może później. Posłuchaj, co się stało... - I Louis opowiedział lalecznikowi o polu słoneczników. Opisywał właśnie ze szczegółami obrażenia, jakich doznał Mówiący-do-Zwierząt, kiedy płaska głowa lalecznika zniknęła z zasięgu kamery interkomu.

Louis poczekał jakiś czas, po czym wyłączył interkom. Nessus z pewnością wkrótce ocknie się ze stanu katatonii. Zbyt bardzo zależało mu na jego własnym życiu.

Do końca dnia pozostało dziesięć godzin, które spędzili w wrytej w ziemi jamie.

Kzin większą część tego czasu przespał. Pomogli mu zejść do kryjówki, po czym zaaplikowali środek nasenny. Pokrywająca jego ciało biała piana tymczasem zgęstniała i kzin przypominał teraz miękką, gumową poduszkę.

- Jedyne gumowe kzin na świecie - powiedziała Teela.

Louis starał się zasnąć. Kilka razy prawie mu się udało. W pewnej chwili zdawało mu się, że jest słoneczny dzień i że wali się na niego czarny cień ogromnego prostokąta. Zadrżał cały i ponownie zapadł w niespokojną drzemkę.

Obudził się zlany zimnym potem. Gdyby wstał, rozespany, by się rozejrzeć, słoneczniki spaliłyby go w okamgnieniu!

Ale chmury znowu wisiały na swoim miejscu, uniemożliwiając groźnym kwiatom dokonanie dzieła zemsty.

Wreszcie zaczął zapadać zmrok i Louis zabrał się do budzenia swoich towarzyszy.

Lecieli poniżej chmur. Musieli cały czas widzieć słoneczniki, bo gdyby o świecie okazało się, że są jeszcze nad nimi, musieliby prędko lądować i przygotować sobie kolejną kryjówkę.

Od czasu do czasu Louis schodził jeszcze niżej, by przyjrzeć się z bliska terenowi.

Po godzinie jakby zaczęło się trochę przeredzać. Potem szerokim pasem ciągnął się obszar, na którym słoneczniki dopiero co wzeszły, rosnąc tu i ówdzie wśród kikutów spalonych niedawno drzew; nie potrafiły nawet dać sobie rady z bujną, walczącą o dostęp do światła trawą.

A potem znikły.

I Louis mógł się wreszcie przespać.

Spał tak twardo, jakby ktoś dosypał mu do jedzenia narkotyków. Kiedy się obudził, była jeszcze noc. Rozejrzył się dookoła i z przodu, trochę w prawo, dostrzegł mrugające światełko.

Jeszcze trochę otumaniony po głębokim śnie, pomyślał, że to pewnie świętojański robaczek rozplaszczony na niewidzialnej powierzchni bariery dźwiękochłonnej albo coś w tym rodzaju. Przetarł oczy, ale światełko nie zniknęło.

Wezwał Mówiącego.

Światełko rosło w oczach. Na tle pograżonej w mroku powierzchni Pierścienia wydawało się jasne jak promień słonecznego światła.

Z pewnością nie były to słoneczniki. Nie w nocy.

- Może dom, pomyślał Louis. Tylko skąd ta iluminacja? Poza tym, gdyby miał to być tylko dom, to mignąłby im, o, tak i koniec. Przy tej prędkości przebycie w poprzek Ameryki Północnej zajęłoby im niespełna dwie i pół godziny.

Światełko, teraz już dokładnie z prawej strony, przesuwało się powoli do tyłu. Mówiący ciągle nie odpowiadał.

Louis uśmiechnął się i wyłamał z szyku. Flotylla, prowadzona teraz przez kziną, składała się już tylko z dwóch skuterów. Louis skręcił w stronę pojazdu Mówiącego-do-Zwierząt.

Fale uderzeniowe kreśliły zawile wzory na przesuwających się nad nimi obłokach. Skuter kziną i jego szara, przypominająca ducha sylwetka zdawali się być złapani w sieć euklidesowych linii.

Dopiero w niebezpiecznie bliskiej odległości Louis błysnął reflektorem; duch ożył. Louis ostrożnie wprowadził swój skuter między kziną a tajemnicze światełko, po czym ponownie błysnął.

- Tak, Louis - odezwał się głos kziną. - Widzę. Jakieś światło z prawej i od tyłu.

- Przyjrzyjmy mu się.  
- Z chęcią. - Kzin wszedł w szeroki zakręt.

Okrażali je w ciemności niczym małe rybki, trącające z zaciekawieniem

nosami tonącą butelkę. Tajemnicze światełko okazało się dziesięciopiętrowej wysokości zamkiem unoszącym się tysiąc stóp nad ziemią i oświetlonym niczym tablica przyrządów jakiejś antycznej rakiety.

Za olbrzymim oknem widokowym, wygiętym tak, że tworzyło zarówno ścianę, jak i część podłogi i sufitu znajdowało się pomieszczenie wielkości sali operowej. W środku wyniesiony w górę okrąg podłogi otaczał labirynt stołów i krzesel. Pięćdziesięciostopowa przestrzeń między podłogą a sufitem była zupełnie pusta, jeżeli nie liczyć abstrakcyjnej rzeźby z drutu.

Rozległość i dostępność przestrzeni na Pierścieniu ciągle ich jeszcze zaskakiwała. Na Ziemi jednym z największych przestępstw było prowadzenie skutera bez włączonego autopilota. Spadający pojazd po prostu MUSIAŁ kogoś zabić, bez względu na to, gdzie upadł.

Tutaj zaś mieli do czynienia z tysiącami mil kompletnej dziczy, latającymi nad miastami budowłami i salami wystarczająco wysokimi, by nie zmuszać do schylania gości mierzących nawet pięćdziesiąt stóp wzrostu.

Pod zamkiem znajdowało się miasto. Ciemne, bez żadnych świateł.

Mówiący-do-Zwierząt przemknął nad nim jak polujący jastrząb, rozglądając się w bladej poświacie Łuku Nieba. Wrócił z informacją, że miasto bardzo przypomina Zignamuclicklick.

- Możemy zbadać je za dnia - powiedział. - Sądzę, że ten zamek jest dużo ważniejszy. Mógł przetrwać w niezmiennym stanie od chwili upadku cywilizacji.

- Musi mieć własne źródło energii - zastanawiał się na głos Louis. - Ciekawe, dlaczego? W Zignamuclicklick nie spotkaliśmy się z niczym podobnym.

Teela skierowała swój skuter bezpośrednio pod latającą budowlę. Jej oczy rozszerzyły się z zachwyty.

- Louis, Mówiący! - zawołała. - Musicie to zobaczyć!

Bez zastanowienia polecili za nią: Kiedy Louis zbliżył się do jej skutera, odczuł niemal fizycznie ciężar wiszący nad jego głową.

Cała spodnia strona zamku pokryta była oknami. Cała również składała się ze stykających się ze sobą pod najróżniejszymi kątami ścian, występów i załomów. Nie mogło być mowy o posadzeniu gdziekolwiek tej potężnej konstrukcji. Kto ją zbudował? I dlaczego właśnie w taki sposób? Beton i stal, splecione ze sobą w najdziwaczniejszy sposób... Jak to, niezas, trzymało się kupy? Żołądek Louisa skurczył się ostrzegawczo, ale on zacisnął tylko zęby i

wraz z Teelą przesuwał się powoli pod budowlą o masie większej od dużego pasażerskiego liniowca.

Teela odkryła zadziwiającą rzecz: duży, rzęście oświetlony basen w kształcie wanny. Jego przezroczyste dno i ściany graniczyły tylko z otwartym powietrzem, z wyjątkiem jednej, która łączyła się z czymś w rodzaju baru... a może salonu... Trudno było cokolwiek stwierdzić, patrząc przez dwie załamujące światło ściany.

Basen był suchy. Na jego dnie spoczywał olbrzymi szkielet przypominający nieco szkielet bandersnatcha.

- Trzymali w domach duże zwierzaki - zauważył Louis.

- Czy to bandersnatch Jinxów? Mój wuj sporo polował - wyjaśniła Teela. - Urządził sobie pokój trofeów we wnętrzu szkieletu bandersnatcha.

- Spotyka się je na wielu planetach. Niektórzy nawet je jedzą. Wcale bym się nie dziwił, gdyby miało się okazać, że zamieszkują całą galaktykę. Nie wiem tylko, dlaczego sprowadzono je TUTAJ?

- Dla ozdoby - powiedziała po prostu Teela.

Chyba żartujesz. - Bandersnatch przypominał skrzyżowanie Moby Dicka ze spychaczem gąsienicowym.

Chociaż, pomyślał Louis, niby dlaczego nie? Budowniczo Pierścienia odwiedzili z pewnością wiele planet, by wybrać te formy życia, które chcieliby widzieć na swoim dziele. Wszystko, co tu żyło, musiało być skądś sprowadzone. Słoneczniki. Bandersnatche. Co jeszcze?

Nieważne. Najlepiej skierować się prosto ku krawędzi. Żadnych badań. Żadnych okryć. Przebyli już odległość, która pozwoliłaby im okrążyć Ziemię sześć lub siedem razy. Na czerwone oczy finagla, jak wiele było do odkrywania!

Obce formy życia. (Niegroźne, jak na razie).

Słoneczniki. (Oświetlony nienaturalnym blaskiem kzin i ryk bólu w interkomie).

Latające miasta. (Które miały to do siebie, że spadały).

Bandersnatche (Inteligentne i niebezpieczne. Z pewnością takie same były tutaj. Bandersnatche wszędzie są takie same).

A śmierć? Śmierć również wszędzie jest taka sama.

Okrążyli zamek po raz kolejny, szukając jakiegokolwiek wyjścia lub otworu. Okien, owszem, było ,dużo - czworokąty, ośmiokąty, koła, elipsy i po prostu duże, wybrzuszone płaszczyzny - ale wszystkie zamknięte. Znaleźli dok dla pojazdów latających z czymś w rodzaju zwodzonego mostu, na którym można by wylądować; most, jak to zwykle bywa ze zwodzonymi mostami, także był zamknięty. Znaleźli kilkusetstopowej długości spiralne schody, zwieszające się w dół niczym urwana sprężyna łożka, kończyły się w powietrzu. Jakaś potężna siła urwała je, pozostawiając poskręcane, stalowe belki i wyszczerbioną, betonową krawędź. Na ich drugim końcu czekały zamknięte na głucho drzwi.

- Do finagla z tym wszystkim! Rozbiję któreś okno!- zawołała rozzłoszczona Teela.

- Stój! - krzyknął Louis. Był pewien, że by to zrobiła, - Mówiący, zrób to dezintegratorem. Musimy wejść do środka.

W świetle lejącym się z wielkiego, panoramicznego okna kzin wyjął dezintegrator Slavera.

Louis, korzystając z tego narzędzia na polu słoneczników użył tylko jednego promienia, neutralizującego ujemny ładunek elektronów. Tutaj również w zupełności by to wystarczyło.

Powinien był się jednak domyśleć, że Mówiący-do-Zwierząt i tak użyje obu.

Dwa oddalone od siebie o kilka cali punkty, na które padły niewidzialne promienie przybrały nagle przeciwne miana elektryczne. Wystąpiła różnica potencjałów.

Błysk był oślepiający. Louis zacisnął powieki, próbując zapanować nad łzami i bólem. Jednocześnie ze światłem uderzył ogłuszający, nawet przez dźwiękochłonną barierę, grzmot. W osłupiałej ciszy, która nastąpiła w chwilę później Louis czuł, jak na jego karku, ramionach i wierzchniej stronie dłoni osiadają drobniutkie, gryzące cząsteczki. Na wszelki wypadek nie otwierał jeszcze oczu.

- Musiałeś to sprawdzić - stwierdził.

- Nawet nieźle działa. Przyda nam się.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie. Nie celuj z tego w tatusia; bo tatuś będzie zły na ciebie.

- Nie widzę powodów do kpin, Louis.

Oczy Louisa odzyskały zdolność widzenia. Zarówno on sam, jak i skuter byli pokryci grubą warstwą szklanego pyłu. Pole siłowe zatrzymało zapewne rozbryźnięte okruchy, by potem pozwolić im pomalutku opaść i pozostać na wszystkich w miarę choćby poziomych płaszczyznach.

Teela właśnie zniknęła w olbrzymim pomieszczeniu. Nie zwlekając ruszyli za nią.

Louis budził się stopniowo, doznając zapomnianego już niemal uczucia komfortu. Leżał na cudownie miękkiej powierzchni, opierając głowę na swym ramieniu - ramię miał zupełnie zdrętwiałe.

Przekręcił się na wznak i otworzył oczy.

Leżał w łóżku, patrząc na wysoki, biały sufit. Coś odrobinę twardszego, ugniatającego mu lekko żebra okazało się stopą Teeli.

Zgadza się. Znaleźli to łóżko w nocy, ogromne niczym lądowisko, w niewiarygodnych rozmiarów sypialni zajmującej coś, co w każdej budowli stojącej na ziemi można by uznać za piwnicę.

Zanim tutaj trafili, napotkali wiele cudów.

Zamek był rzeczywiście zamkiem, a nie tylko stylizowanym hotelem. Sala bankietowa z pięćdziesięciostopowym oknem sama w sobie była już czymś niezwykłym. Ustawione w niej stoły otaczały centralne, koliste podium, na którym stał samotny, bogato zdobiony fotel o wysokim oparciu. W krótkim czasie Teeli udało się odkryć sposób, pozwalający unieść się wraz z fotelem w powietrze oraz uruchomić urządzenie wzmacniające głos osoby, która go zajmowała, niemalże do huku pioruna. Fotel mógł się także obracać - a gdy się obracał, obracała się także wisząca nad nim rzeźba.

Wykonana była z naprężonego drutu i składała się głównie z powietrza. Wydawała się doskonałą abstrakcją, dopóki Teela nie ustawna jej pod odpowiednim kątem. Wtedy okazało się, że jest to wizerunek głowy zupełnie łysego mężczyzny.

Czy był tubylcem, członkiem społeczności, w której zwyczaju leżało golenie twarzy i głów? Czy też może przedstawicielem obcej, mieszkającej po przeciwnej stronie Pierścienia rasy? Nic nie wskazywało na to, by mieli się kiedykolwiek tego dowiedzieć. Jedno było pewne - regularna, przystojna twarz należała do człowieka, i to do człowieka nawykłego do wydawania rozkazów.

Louis spoglądał w górę i starał się zapamiętać tę twarz. Ciężar odpowiedzialności wyrzył na niej liczne bruzdy i obciążył oczy ciężkimi workami. Artysty w jakiś niezwykle sposób udało się zawrzeć te szczegóły w niemal



nieważkiej, ledwie zarysowanej kilkoma lekkimi łukami rzeźbie.

Zamek musiał być siedzibą rządu. Wszystko na to wskazywało - tron, sala bankietowa, niezwykle okna, a wreszcie sam zamek wyposażony w niezależne źródło energii. Ale dla Louisa najważniejsza była ta twarz.

Zaczęto się zwiedzać. Piętra łączyły przepięknie zdobione klatki schodowe. Ale schody nie poruszały się, toteż mała ekspedycja skierowała się w dół, by uniknąć męczącej wspinaczki. Na samym dnie zamku znaleźli sypialnię.

Nie kończące się dni i noce spędzane w fotelach skuterów, pośpieszne kochanie się tylko wtedy, gdy pozwalali sobie na luksus lądowania - wszystko to sprawiło, że widok łóżka podzielał na Louisa i Teelę z niemal hipnotyczną siłą. Zostali w sypialni, a kzin samotnie wyruszył dalej.

Trudno było powiedzieć, jak wiele udało mu się już odkryć.

Louis uniósł się na łokciu. Do zdrętwiałej ręki powoli wracało życie. Starał się na razie zbytnio nią nie poruszać. W łóżku anty-g to zupełnie niemożliwe, pomyślał. No, ale dobrze, że jest chociaż takie...

Za jedną ze szklanych ścian sypialni znajdował się wyschnięty basen.

Biały szkielet olbrzymiego bandersnatcha przyglądał mu się czarnymi, pustymi oczodołami.

Przez równie przejrzystą ścianę po przeciwnej stronie widać było rozciągające się tysiąc stóp pod nimi miasto.

Louis przeturlał się po łóżku i spadł na podłogę wyłożoną miękkim dywanem, którego kolor w dosyć nieprzyjemny sposób kojarzył się z brodami tubylców. Louis zbliżył się do okna i wyjrzał przez nie.

(Coś zakłócało ostrość widzenia, jakby delikatne migotanie stereowizyjnego obrazu. Nie zdawał sobie z tego świadomie sprawy, niemniej jednak było to irytujące).

Pod białym, bezkształtnym niebem miasto mieniło się wszystkimi odcieniami szarości. Większość budynków była dość wysoka, ale kilka z nich swoim ogromem przyćmiewało całą resztę; ich wierzchołki sięgały wyżej, niż spód latającego zamku. Kiedyś nie była to jedyna napowietrzna budowla. Tu i ówdzie można było dostrzec spore obszary rumowisk, pozostałe po upadku ważących tysiące ton konstrukcji.

Ale ten nierzeczywisty, jakby przeniesiony ze snu zamek miał własne źródło

energii. I sypialnię wystarczająco dużą, by zorganizować w niej całkiem przyzwoitą orgię. Z oknem, przez które pan i władca mógł widzieć swoich poddanych jako maleńkie mrówki, którymi w istocie byli.

Coś ledwie dostrzegalnego mignęło po drugiej stronie szyby.

Nić. Zaczepiała się o wystający gzymś, ale ciągle jeszcze spadała z nieba. Gruba, ciężka nić. Spadała zapewne przez cały czas, kiedy przyglądał się miastu, powodując owo ledwie dostrzegalne zakłócenie widzenia.

Nie mając pojęcia, co to może, być, Louis zaakceptował niezwykle zjawisko po prostu jako kolejną, niezrozumiałą atrakcję. Leżał nago na włochatym dywanie i przyglądał się spadającej bez końca nici. Czuł się bezpiecznie i był wypoczęty, chyba po raz pierwszy od chwili, kiedy na "Kłamcę" runęła ulewa laserowego ognia.

Czarna nić opadała na miasto olbrzymimi pętlami. Była wystarczająco cienka, by niemal nie można było jej dostrzec. Jak ocenić jej długość? A jak policzyć płatki śniegu w szalejącej zamieci?

I w tej chwili Louis już wiedział, co to jest.

- Miło cię znowu widzieć - powiedział, ale jednocześnie poczuł, że wszystko w nim tężeje.

Niść łącząca czarne prostokąty. Trafiła za nimi aż tutaj. Louis przewędrował pięć pięter w poszukiwaniu śniadania.

Naturalnie nie oczekiwał, że kuchnia będzie działała; chciał trafić do sali bankietowej, ale niechcący wszedł do kuchni.

Potwierdziło to jego wcześniejsze przypuszczenie. Władca jest prawdziwym władcą tylko wtedy, kiedy ma służących tych musiało kiedyś być tutaj bez liku. Kuchnia była wręcz monstrualnych rozmiarów. Trzeba było chyba całej armii kucharzy, kuchcików, kelnerów i pomywaczy, by sporządzić potrawę, zanieść ją do sali bankietowej, przynieść naczynia, umyć je, wysuszyć...

Znalazł kosze na owoce, a w nich kurz i jakieś wysuszone, szerniałe resztki. Znalazł chłodnię, gdzie kiedyś wisały półcie mięsa, teraz pustą i ciepłą. Znalazł wielką lodówkę, ciągle działającą. Być może część wiktuałów poustawianych na jej półkach nadawała się jeszcze do jedzenia, ale Louis wolał nie ryzykować.

Nie znalazł natomiast żadnych pojemników z wodą:

Krany były suche.

Oprócz lodówki nigdzie nie zauważył żadnej maszyny czy urządzenia bardziej skomplikowanego od automatu przy drzwiach. Przy kuchniach nie było żadnych regulatorów czy termometrów. Nigdzie nie mógł dostrzec niczego w rodzaju opiekaczy czy piekarników. Z sufitu zwieszały się sznury wyschniętych bulw i jakby cebulek - przyprawy? - Czyżby używano ich w całości?

Miał już wyjść, ale obrzucił pomieszczenie jeszcze jednym spojrzeniem. Gdyby tego nie zrobił, nie zauważyłby najważniejszej rzeczy.

To kiedyś wcale nie była kuchnia. \_

Więc co? Magazyn? Sala stereowizyjna? Całkiem możliwe. Jedna ze ścian była zupełnie gładka, pomalowana świeższą farbą, niż pozostałe, zaś na podłodze można było dostrzec ślady po stojących tam kiedyś fotelach lub sofach.

Niegdyś mogła tu być luksusowo wyposażona sala projekcyjna. Potem aparatura zepsuła się i nie było już nikogo, kto by wiedział, jak ją naprawić. Później to samo stało się z automatyczną kuchnią.

Salę przerobiono więc na tradycyjną, obsługiwaną przez ludzi kuchnię.

Z pewnością powstawało ich wtedy coraz więcej, w miarę, jak psuły się skomplikowane, automatyczne urządzenia. Żywność dostarczały na górę latające ciężarówki.

A kiedy i one, jedna po drugiej, zaczęły odmawiać posłuszeństwa?

Louis wyszedł.

Wreszcie udało mu się trafić do sali bankietowej, a zarazem do jedynej, pewnego źródła pożywienia. Tam zjadł śniadanie składające się z cegiełki z regeneratora żywności.

Kończył już, kiedy do sali wszedł Mówiący-do-Zwierząt. Kzin musiał umierać z głodu. Bez słowa skierował się do swego skutera, połknął trzy krwiste cegiełki i dopiero wtedy zwrócił się do Louisa.

Nie był już "gumowym kzinem". W nocy biała pianoguma zakończyła swoje lecznicze działania i złuszczyła się, ukazując różową, zdrową skórę, o ile oczywiście skóra zdrowego kzina powinna mieć właśnie kolor różowy. Tylko gdzieś widać było szare zgrubienia świeżych blizn i fioletową siatkę żył.

- Chodź ze mną - polecił kzin. - Znalazłem komnatę map.

## 16. Komnata map

O ważności tego pomieszczenia świadczył już fakt, że znajdowało się na samym szczycie zamku. Louis dyszał ciężko, zmęczony wspinaczką. Musiał zdrowo wyciągać nogi, by nie zostać z tyłu. Kzin co prawda nie biegł, ale szedł dużo szybciej, niż zwykle chodzi człowiek.

Kiedy Louis wszedł na ostatni stopień, Mówiący-do-Zwierząt otwierał właśnie duże, podwójne drzwi znajdujące się u szczytu schodów.

Przez powstały w ten sposób otwór Louis dostrzegł poziomy, szeroki na około osiem cali, atramentowo czarny pas, znajdujący się jakieś trzy stopy nad podłogą. Odruchowo uniósł nieco wzrok, w poszukiwaniu takiego samego pasa, tyle tylko, że jasnoblękitnego, z regularnymi, czarnymi cieniami. Znalazł go.

Stanął w drzwiach i rozejrzał się dookoła. Miniaturowy Pierścień był niemal wielkości samego pomieszczenia, które mogło mieć średnicę jakichś stu dwudziestu stóp. Wewnątrz makiety znajdował się potężny, prostokątny ekran, zamocowany na obrotowej osi. W tej chwili był zwrócony tyłem do drzwi.

Wzdłuż ściany umieszczono dziesięć obracających się kul. Różniły się między sobą rozmiarami i prędkością obrotów, ale wszystkie miały ten sam, błękitno-zielono-biały kolor, charakterystyczny dla planet ziemskiego typu. Pod każdą z kul znajdowała się mapa jej powierzchni w projekcji stożkowej.

- Spędziłem tutaj całą noc - powiedział kzin. - Mam ci do pokazania wiele rzeczy. Chodź tutaj.

Louis chciał już przejść na czworakach pod miniaturowym Pierścieniem, ale w ostatniej chwili zatrzymał się, tknięty pewną myślą. Ten człowiek o dumnych rysach, którego wizerunek zdobił salę bankietową z pewnością nie zrobiłby tego nawet wtedy, gdyby w tym najświętszym z miejsc był zupełnie sam. Louis ruszył prosto na Pierścień i przeszedł przez mego, nie czując najmniejszego oporu; była to tylko projekcja.

Zajął miejsce u boku kzina.

Prostokątny ekran otoczony był urządzeniami sterującymi. Wszystkie pokrętła były duże, masywne, wykonane ze srebra; wszystkie przedstawiały podobizny głów zwierząt. Wszelkie ścianki i płaszczyzny przenikały w siebie bogatymi, ozdobnymi łukami. Przeładnione, pomyślał Louis. Czyżby dekadencja?

Ekran działał. Obraz przypominał widok, jaki roztaczał się na Pierścień z okolic czarnych prostokątów.

- Używałem już tego wcześniej - powiedział kzin. - O ile sobie dobrze przypominam... - dotknął jednego z pokręteł i obraz ruszył im na spotkanie tak szybko, że ręka Louisa odruchowo sięgnęła po nieistniejący drążek sterowy. - Chcę pokazać ci krawędź Pierścienia. Rrr....trochę w bok... - Musnął dłonią inną, rzeźbioną główkę i obraz przesunął się. Mieli przed sobą krawędź olbrzymiej konstrukcji.

Gdzieś znajdowały się teleskopy, dzięki którym mogli podziwiać ten widok: Ale gdzie? Czyżby na czarnych prostokątach?

Spoglądali prostopadle z góry na tysięczmilowej wysokości wzniesienia. Obraz cały czas powiększał się, nie tracąc nic ze swojej jakości. Zaraz za górami otwierała się czarna otchłań Kosmosu.

W pewnej chwili Louis dostrzegł szereg srebrnych kropek, biegnących wzdłuż niebotycznych szczytów. To mu wystarczyło.

- Akcelerator liniowy.

- Zgadza się - potwierdził Mówiący-do-Zwierząt. - Przy braku kabin transferowych to jedyny sposób, by przemieszczać się na takie odległości. Z pewnością właśnie na tym opierał się główny system komunikacyjny.

- Ale to jest na wysokości tysiąca mil. Windy?

- Tak. Szyby wzdłuż całej krawędzi. O, na przykład tam. - Tymczasem szereg kropek powiększył się do rozmiarów małych pętelek, rozmieszczonych w równych odstępach i z pewnością niewidocznych z dołu, bo zasłoniętych wyniosłymi szczytami. Przy jednej z pętelek można było dostrzec cieniutką nitkę szybu windowego niknącą w rozciągającej się poniżej szczytu warstwie chmur.

- Zwoje są zdecydowanie gęściejsze w okolicy wind - powiedział kzin. - Najprawdopodobniej potrzebne są tylko do startu, lądowania i nadawania kierunku. Odbyna się to pewnie tak, że pojazdowi nadaje się szybkość swobodnego spadania, wyrzuca za krawędź Pierścienia ze względną prędkością 770 mil na sekundę, po czym wyhamowuje się go w następnej spirali.

- W ten sposób dalsze podróże mogłyby trwać i dziesięć dni. Nie licząc przyspieszania i hamowania.

- I co z tego? Na dotarcie do Srebrnookiej, waszej najbardziej odległej od

Ziemi planety, potrzebujesz sześćdziesięciu dni. Przebycie całego poznanego Kosmosu zajęłoby ci cztery razy więcej czasu.

- To prawda. A tutaj jest więcej miejsca niż w całym poznanym Kosmosie. Zbudowali to po to, żeby mieć jak najwięcej przestrzeni. Zauważyłeś jakieś ślady aktywności?

Używają jeszcze tego akceleratora?

- To nie ma znaczenia. Patrz uważnie.

Obraz drgnął, przesunął się raptownie, po czym znowu zaczął się powiększać. Była noc. Ciemne chmury przesunęły się nad pograżonym w ciemności lądem, a potem...

- Światła. Światła miasta. - Louis przełknął głośno ślinę. Szczerze mówiąc, wcale się tego nie spodziewał. - Więc jednak nie wszystko zginęło. Będziemy mogli uzyskać pomoc:

- Nie byłbym taki pewien. Nie będzie łatwo ich znaleźć, a poza tym...

- Co to? Na czarny umysł finagla!

Zamek, najwyraźniej ICH zamek, szczybujący majestatycznie nad morzem światła. Okna, neony, pędzące we wszystkie strony kolorowe gwiazdki latających pojazdów... Przedziwne budowle... wspaniałe.

- Niezas! To taśmy. Stare taśmy. A ja myślałem, że to na żywo. - Przez jedną, upojną chwilę wydawało się, że oto ich poszukiwania zostały uwiecznione powodzeniem. Rozświetlone, kipiące życiem miasta... obrazy, które widzieli, musiały być bardzo stare. Kto wie, czy nie tak stare, jak nie istniejąca już cywilizacja...

- Ja też tak myślałem ostatniej nocy. Zacząłem się domyślać prawdy dopiero wtedy, kiedy nie udało mi się nigdzie znaleźć bruzdy wyżłobionej przez „Kłamcę”. Ma przecież kilka tysięcy mil długości. Powinienem ją znaleźć, nawet tutaj.

Louis bez słowa poklepał Mówiącego-do Zwierząt po nagim, różowym ramieniu. Nawet gdyby chciał, nie dałby rady sięgnąć ani o centymetr wyżej.

Kzin nie zwrócił uwagi na tę poufałość.

- Kiedy udało mi się zlokalizować nasz zamek, reszta nie przedstawiała żadnego problemu. Patrz. - Krajobraz zaczął przesunąć się z ogromną szybkością, uniemożliwiając dostrzeżenie jakichkolwiek szczegółów. Kiedy

obraz uspokoił się, na ekranie widzieli ogromny, czarny ocean.

Powiększenie nieco się zmniejszyło.

- Widzisz? Na naszej drodze znajduje się zatoka jednego ze słonych oceanów. Sam ocean jest wielokrotnie większy od największych na Kzinie lub Ziemi. Zatoka jest równie duża, jak największe.

- Znowu opóźnienie! Nie damy rady nad nią przelecieć? .

- Może i damy. Ale i tak czeka nas zwłoka jeszcze większa od tej.

- Kzin sięgnął do pokrętła.

- Poczekaj. Chciałbym przyjrzeć się dokładniej tym wyspom.

- Po co? Sądysz, że moglibyśmy się tam zatrzymać w celu uzupełnienia zapasów?

- Nie... Zauważyłeś, że są poukładane w małe archipelagi, oddzielone od siebie oceaniczną głębią?

O, tu... - Palec Louisa zatoczył na ekranie małe kółko. - A teraz spójrz na te mapy.

- Nie rozumiem.

- O, te wyspy w zatoce i ta mapa za tobą, na ścianie. W projekcji stożkowej kształty kontynentów są trochę zdeformowane, ale... Widzisz już? Dziesięć planet, dziesięć archipelagów. Z pewnością nie są w skali jeden do jednego, ale założę się, że ta wyspa jest co najmniej wielkości Australii. Sądząc po mapie, w rzeczywistości ten kontynent nie był większy od Eurazji.

- Co za makabryczny żart. Louis, czy to jest typowe dla ludzkiego poczucia humoru?

- Nie, nie. To sentyment. Wspomnienia. Tyle tylko, że...

- Tak?

- Nie pomyślałem o tym, a to przecież oczywiste. Pierwsza generacja musiała opuścić swoje rodzinne planety, ale chciała mieć coś, co by im o nich przypominało. Trzy pokolenia później było to już tylko śmieszne. Tak jest zawsze.

Zapadła cisza. Kiedy Mówiący-do-Zwierząt był już pewien, że Louis

skończył, zapytał bez swojej zwykłej pewności w głosie:

- Czy wam, ludziom, wydaje się, że rozumiecie kzinów?

Louis uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To dobrze - powiedział kzin i zmienił temat. - Ostatniej nocy przez dłuższy czas obserwowałem najbliższy port kosmiczny.

Stali w środku miniaturowego Pierścienia, zaglądając przez prostokątne okno do jego przeszłości.

A przeszłość ta była doprawdy wspaniała. Mówiący-do-Zwierząt powiększył na ekranie obraz portu kosmicznego, czegoś w rodzaju listwy wystającej z zewnętrznej strony konstrukcji. Łagodnie zaokrąglony, rozświetlony tysiącem okien cylinder właśnie lądował miękko w elektromagnetycznej kołysce. Pola jarzyły się pastelowymi barwami, prawdopodobnie po to, by ułatwić operatorom ich ręczne ustawianie.

- Ta taśma idzie na okrągło - dowiedział kzin. - Oglądałem ją kilka razy. Pasażerowie wchodzą po prostu w ścianę Pierścienia, tak, jakby zachodziło tam coś w rodzaju osmozy.

- Aha - mruknął bez wielkiego entuzjazmu Louis. Dopadło go nagle wielkie przygnębienie. Port znajdował się daleko przed nimi, patrząc w kierunku obrotu Pierścienia. Tak daleko, że odległość, jaką do tej pory przebyli wydawała się wręcz śmieszna..

- Obserwowałem też start. Wcale nie używają do tego akceleratora, tylko po prostu wypychają statek w Kosmos. Dokładnie tak, jak się domyślił pożeracz liści.

Pamiętasz tę zamkniętą klapę? Louis, słyszysz mnie?

Louis ocknął się.

- Przepraszam. Myślę po prostu o tym, że nasza podróż wydłuży się o co najmniej siedemset tysięcy mil.

- Może uda nam się skorzystać z tego akceleratora na szczycie bocznej ściany.

- Wątpię: Na pewno już od dawna nie działa. Cywilizacja rozprzestrzenia się tylko wtedy, jeżeli dysponuje jakimś środkiem transportu, który może jej w tym pomóc. Zresztą, nawet gdyby działał, albo gdyby udało nam się go naprawić, to i tak nie ma w pobliżu żadnego szybu windowego.



- To prawda - przyznał kzin. - Szukałem, ale nic takiego nie znalazłem.

Tymczasem na ekranie małe holowniki podciągnęły do śluz wyjściowych statku długie, przezroczyste tunele, które wkrótce zapełniły się wysiadającymi pasażerami.

- Może więc zmienimy kierunek lotu?

- Nie możemy. Port ciągle pozostaje naszą największą szansą.

- Naprawdę?

- Nieżas, naprawdę! Pierścień jest co prawda ogromny, ale to tylko kolonia. Na wszystkich koloniach ośrodkami cywilizacji są właśnie porty kosmiczne.

- Ponieważ tam właśnie przybywają statki z macierzystej planety. Tymczasem budowniczoje Pierścienia albo musieli swoją zniszczyć, albo ją opuścili.

- Ale statki mogą przybywać- upierał się Louis. -Choćby z jakichś odległych, zapomnianych planet. Albo z przeszłości. Przy tak niewielkich szybkościach z całą pewnością muszą występować różnice w subiektywnym upływie czasu.

- Masz nadzieję znaleźć tam kosmonautów z przeszłości uczących swych potomków tego, co ci zdążyli już zapomnieć - mruknął kzin. - I możesz mieć rację. Tyle tylko, że jestem już bardzo zmęczony, a do portu jest bardzo daleko. Co jeszcze chcesz zobaczyć?

- Jaka odległość dzieli nas teraz od „Kłamcy”? - zapytał niespodziewanie Louis.

- Już ci powiedziałem, że nie mogłem znaleźć miejsca naszego upadku. Musiałbym zgadywać, tak jak i ty. Wiem natomiast, ile jeszcze musimy przebyć: od zamku do krawędzi jest około dwustu tysięcy mil.

- To kawał drogi... A góra? Musiałeś przecież znaleźć górę.

- Nie.

- Tę dużą, Pięść Boga. Rozbiliśmy się właściwie na jej zboczu.

- Nie znalazłem jej.

- To mi się nie podoba. Mówiący, czy mogliśmy jakimś cudem zejść z wyznaczonego kursu? Powinieneś ją znaleźć idąc od zamku w stronę

przeciwległej krawędzi.

- Ale nie znalazłem - zakończył dyskusję kzin. - Chcesz jeszcze coś zobaczyć? Na niektórych taśmach są puste miejsca. Albo uległy zużyciu, albo są tam jakieś tajne obszary.

- Żeby to sprawdzić, musielibyśmy się tam dostać.

Nagle Mówiący-do-Zwierząt rozpostarł uszy niczym dwie pomarańczowe parasolki, odwrócił się w stronę drzwi, przypadł do podłogi i skoczył.

Louis zamrugnął ze zdumieniem. Co się stało? A potem i on usłyszał...

Biorąc pod uwagę jej wiek, znajdująca się w zamku maszyna działała i tak zadziwiająco cicho. Zza podwójnych drzwi dochodził przytłumiony pomruk.

Lotus wyciągnął swój laser i ostrożnie wyszedł z komnaty map.

Znalazł kzina u szczytu schodów. Odłożył broń i razem z Mówiącym-do-Zwierza przyglądał się wznoszącej się ku nim Teeli

- Jada tylko do góry - poinformowała ich dziewczyna. - Na dół nie chcą. Między piątym a szóstym piętrem w ogóle nie działają.

Louis zaczekał chwilę, po czym zadał oczywiste pytanie:

- Jak je uruchomiłaś?

- Trzeba złapać słupek balustrady i pchnąć do przodu. Działają tylko wtedy, kiedy tego chcesz. Tak jest dużo bezpieczniej. Odkryłam to zupełnie przypadkowo.

- Ja myślę. Rano przeszedłem na piechotę dziesięć pięter. A ty ile?

- Żadnego. Szłam właśnie na śniadanie, kiedy potknęłam się na pierwszym stopniu, złapałam za słupek i...

- Wystarczy. Wszystko się zgadza.

Teela zrobiła obrażoną minę.

- To nie moja wina, że ty...

- Przepraszam. I co, jesteś już po śniadaniu?

- Nie. Obserwowałam ludzi. Czy wiecie, że pod tym budynkiem jest coś w

rodzaju rynku albo głównego placu?

Uszy kżina stanęły na baczność.

- Naprawdę? I jest tam ktoś?

- Tak. Od rana ściągają ze wszystkich stron. Jest ich już tam pewnie z kilkuset. - Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. - I wszyscy śpiewają. We wszystkich korytarzach zamku znajdowały się obszerne nisze, czy raczej alkowy, wyłożone miękkimi dywanami, wyposażone w wygodne kanapy i stoły, oferujące miejsce do spożycia posiłku każdemu, kto by tylko miał na to ochotę. Jedna z takich alków na najniższym piętrze zamku miała wypukłe okno, zajmujące nie tylko ścianę, ale i część podłogi.

Louis zadyszał się trochę po drugim w ciągu kilku godzin, dziesięciopiętrowym spacerze. Zafascynował go stół, jego blat był rzeźbiony w kształty mające wyobrażać talerze z zupą, miseczki z sałatkami, naczynia do napojów. Dziesiątki, czy może nawet setki lat intensywnego użytkowania pozostawiły na twarde, białej powierzchni dość wyraźne ślady.

- Widocznie nie używali naczyń - myślał na głos Louis. - Kładli potrawy w te zagłębienia, a potem myli cały stół. - Wydawało się to niezbyt higieniczne, ale... - Nie zabrali ze sobą much, moskitów, ani wilków. Czemu mieliby zabierać bakterie?

- Dotrawienia- odpowiedział sam sobie. Są przecież niezbędne do trawienia. Wystarczyłoby, żeby zmutowała jedna, jedyna, a wtedy... - Wtedy żaden organizm nie potrafiłby się obronić. Czy właśnie w ten sposób zginęła cywilizacja Pierścienia? Każda cywilizacja potrzebuje dla swego przetrwania pewnej minimalnej ilości żywych osobników.

Teela i Mówiący nie zwracali na niego żadnej uwagi. Klęczeli w zagięciu okna i patrzyli w dół. Louis dołączył do nich.

- Ciągłe tam są - powiedziała Teela. I rzeczywiście, byli. Louis ocenił, że patrzy na niego jakieś tysiąc osób. Już nie śpiewali.

- Przecież nie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy - powiedział.

- Może czczą sam budynek - zasugerował Mówiący-do-Zwierząt.

- Jeśli nawet, to nie mogą tego robić codziennie. Jesteśmy zbyt daleko od skraju miasta. Nie zdążyliby dotrzeć na pola,

- Więc może trafiliśmy tutaj akurat na jakiś ich święto.

- Albo coś zdarzyło, się w nocy - odezwała się Teela. - Coś niezwykłego.

Na przykład nasze przybycie, jeżeli ktoś zdołał to zauważyć. Albo TO - wskazała palcem.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział kzin. - Jak długo to spada?

- Co najmniej do rana. Zupełnie jak deszcz albo jakiś nowy rodzaj śniegu. To nić łącząca czarne prostokąty. Ale dlaczego opada właśnie tutaj?

Louis pomyślał o sześciu milionach mil, dzielących od siebie czarne prostokąty... o czarnej nici dokładnie takiej długości, zerwanej przez „Kłamcę”, spadającej wraz z nim ku powierzchni Pierścienia... Nic dziwnego, że w końcu trafili na nią.

Nie był w zbyt gadatliwym nastroju.

- Przypadek - mruknął tylko.

- Tak czy tak, zaczęła pewnie spadać tej nocy i jest jej coraz więcej. Co do zamku, to tubylcy z pewnością już wcześniej uważali go za święte miejsce chociażby dlatego, że wciąż lata.

- Pomyślcie - powiedział niespiesznie kzin. - Gdyby akurat dzisiaj pojawili się mityczni Inżynierowie, przyjęto by to jako logiczne następstwo niezwykłych wydarzeń. Louis, czy spróbujemy rozegrać gambit boga?

Louis chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Z zaciśniętymi zębami walczył o to, by zachować niezmienny wyraz twarzy. Może nawet by mu się udało, gdyby nie to, że kzin mówił dalej do Teeli:

- Louis uważa, że w kontaktach z tubylcami powinniśmy odgrywać rolę budowniczych Pierścienia. Ty i Louis bylibyście akolitami, a Nessus schwytanym demonem, ale damy sobie jakoś radę bez niego. Ja byłbym raczej bogiem, niż budowniczym, groźnym bogiem wojny, który...

Teela wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Louis nie wytrzymał i poszedł w jej ślady.

Wysoki na osiem stóp, niezwykle szeroki w barkach i biodrach, był kzin stworzeniem zbyt wielkim i zbyt zębatym na to, by się go nie bać. Może najmniej imponującym elementem jego postury był szcurzy, nagi ogon. Teraz cała jego skóra była takiego samego koloru-dziecinnie różowa z mlecznymi, tłustymi gaśienicami gojących się blizn. Uszy na jego pozbawionej sierści głowie sterczały niczym dwie parasolki. Zachowane pomarańczowe futro na oczach kojarzyło się z maską złodziejaska, a poniżej pleców - z noszoną dla

wygody wielką, puchatą poduszką.

Fakt, że śmianie się z kzina było równie niebezpieczne, jak chodzenie po linie, czynił całą sytuację jeszcze zabawniejszą. Louis, zgięty w pół, trzymając się za brzuch i śmiejąc się bezgłośnie, niezdolny do zaczerpnięcia tchu w piersi, cofał się po omacku, mając nadzieję trafić na krzesło.

Nieludzko wielka dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i uniosła go w górę. Załzawione ze śmiechu oczy Louisa po raz pierwszy w jego życiu znalazły się na równym poziomie z oczami kzina.

- Doprawdy, Louis, musisz wyjaśnić to zachowanie - usłyszał.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli udało mu się na moment opanować.

- G... g... gro... groźny bóg woj... wojny... -wykrztusił, po czym znowu ryknął śmiechem. Teela wydawała słabe, piskliwe odgłosy.

Kzin postawił go na podłodze i czekał spokojnie, aż obydwójce dojdą do siebie.

- Jesteś teraz zbyt mało dostojny, by grać rolę boga-wyjaśnił mu Louis kilka minut później. -Bez futra nie da rady.

- Może nabraliby respektu, gdybym rozdarł kilku na strzępy?

- Wielbiliby cię wtedy z daleka i z ukrycia. Nic by to nam nie dało. Nie, musimy poczekać aż wyrosnie ci nowe futro. A nawet wtedy przydałby nam się tasp Nessusa.

- Lalecznik jest nieosiągalny.

- Ale...

- Powiedziałem, że jest nieosiągalny. W jaki sposób nawiążemy kontakt z tubylcami?

- Będziesz musiał tu zostać. Przez ten czas rozejrzyj się jeszcze po komnacie map. Może coś znajdziesz. Teela i ja... - Louis spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. -Teela, przecież ty nie byłaś w komnacie map!

- A co to jest?

- W takim razie zostaniesz z Mówiącym. Polecę sam. Będziecie słyszeć mnie przez komunikatory; w razie czego przyjdziecie mi z odsieczą. Mówiący,

oddaj mi swój laser.

Kzin wymamrotał coś pod nosem, ale nie sprzeciwił się życzeniu Louisa. Miał przecież jeszcze „nieznacznie udoskonalony” dezintegrator Slavera. Na wysokości tysiąca stóp nad ich głowami usłyszał, jak nabożna cisza ustępuje miejsca zdumionemu pomrukowi. Zobaczyli go - błyszczący punkt, który oderwał się od jednego z okien. Zaczął spadać ku nim.

Pomruk nie umilkł, tylko nieco przycichł. Cały czas mógł go dokładnie słyszeć.

A potem zaczęli śpiewać.

- Strasznie fałszują - upредиła go wcześniej Teela. - Zawodzą każdy sobie.

Nic dziwnego, że po takim przygotowaniu trochę się zdziwił. Śpiewali dużo lepiej, niż się spodziewał.

Śpiewali w skali dwunastodźwiękowej. „Oktawowa” skala używana na większości zamieszkałych przez ludzi światów również, w gruncie rzeczy, była skalą dwunastodźwiękową, ale nikt jej jako takiej nie odbierał. Nic dziwnego, że Teeli wydawało się, że fałszują.

Z tym, że zawodzili, trzeba było się zgodzić. Była to muzyka kościelna-powolna, dostojna, o powtarzających się motywach, pozbawiona harmonii. Ale nie pozbawiona świetności.

Plac był olbrzym. Tysiąc osób wydawało się po trzech tygodniach samotności nieprawdopodobnym tłumem, ale mogło ich się tutaj pomieścić nawet dziesięć razy więcej. Dzięki głośnikom śpiewaliby wszyscy razem, ale tu nie było głośników. Samotny mężczyzna wymachiwał ramionami ze stojącego na środku podwyższenia. Ale nikt nie patrzył na niego - każdy patrzył na Louisa Wu.

Biorąc to wszystko bod uwagę, muzyka była wręcz cudowna.

Teela nie mogła jej docenić. Muzyka, którą znała pochodziła z nagrań i odbiorników stereowizji i była przetworzona przez cały system mikrofonów, mikserów, urządzeń rejestrujących oraz wzmacniaczy. Można z nią było zrobić wszystko - zmienić głos; obciąć fałszywie brzmiące dźwięki, dodać inne, których akurat zabrakło. Teela nigdy w życiu nie słyszała muzyki na żywo.

W przeciwieństwie do Louisa Wu. Zwolnił, by dać czas niezwykłym tonom na dotarcie do najodleglejszych zakamarków jego duszy. Pamiętał doskonale wielkie, publiczne śpiewy na urwiskach wznoszących się nad Roztrzaskanym Miastem, w których brały udział wielokroć liczniejsze tłumy i które brzmiały

zupełnie inaczej, między innymi dlatego, że on sam także śpiewał. Teraz wchłaniał w siebie obce dźwięki, znajdując powoli upodobanie w nierównym rytmie, w ciągłych powtórzeniach, w powolnym dostojności hymnu.

Niemal nie przyłączył się do chóru. „To niezbyt dobry pomysł”, mruknął pod nosem i zszedł do lądowania.

Podwyższenie w centralnej części placu pełniło niegdyś rolę cokołu. Louis dostrzegł z góry dwa długie na cztery stopy ślady, jedyną pozostałość po stojącym tu niegdyś posągu. Teraz na podwyższeniu znajdowało się coś w rodzaju trójkątnego ołtarza; wymachujący rękami człowiek stał tyłem do skleconej w niezbyt wyrefinowany sposób konstrukcji.

Coś różowego błysnęło nad burą szatą... Widocznie miał jakieś nakrycie głowy, być może z różowego jedwabiu.

Postanowił wylądować na samym cokole. Właśnie dotykał jego powierzchni, kiedy dyrygent zwrócił się twarzą w jego stronę. W rezultacie Louis niemal rozbił skuter.

Owa różowość, która mignęła mu przed chwilą, okazała się nagą, łysą czaszką. Jako jedyny w zarośniętym, kudłatym tłumie mężczyzna na cokole miał głowę pozbawioną włosów.

Wyprostowawszy przed siebie ręce mężczyzna trzymał ostatni dźwięk hymnu... trzymał go kilka sekund .. po czym dał znak i śpiew ucichł, dolatując deszczem przez moment spóźnionym pogłosem z dalszych części placu. W niezmaconej niczym ciszy mężczyzna - kapłan? - odwrócił się do Louisa Wu.

Był równie wysoki jak Louis, a więc bardzo wysoki, jak na tubylca. Skóra na jego twarzy i głowie miała jasną, niemal białą barwę, jak skóra albinosa z Naszego Dzieła. Musiał golić się dosyć dawno temu niezbyt ostrą brzytwą, bowiem świeży zarost kładł na ową bladość szary, wyraźny cień.

W jego głosie, kiedy przemówił, zabrzmiała nuta wyrzutu.

- A więc wreszcie przybyliście - przetłumaczył autopilot „Kłamcy”.

- Nie wiedzieliśmy, że nas oczekujecie - odparł zgodnie z prawdą Louis. Nie czuł się na tyle pewnie, by samodzielnie próbować rozegrać gambit boga. W ciągu swego długiego życia zdążył się już wielokrotnie przekonać, że tworzenie historii złożonej wyłącznie z powiązanych ze sobą kłamstw może okazać się diabelnie skomplikowane.

- Masz włosy na głowie - powiedział kapłan. - Można by przypuszczać, o Inżynierze, że twoja krew nie jest zupełnie czysta!

A więc tak się przedstawiały sprawy! Wszyscy Inżynierowie musieli być kompletnie łysi, więc kapłan naśladował ich, katując swą delikatną skórę jakąś tępą brzytwą. A może Inżynierowie używali depilatorów albo jakichś innych, nieskomplikowanych środków, powodowani wyłącznie modą lub poczuciem estetyki? Twarz kapłana wcale nie różniła się tak bardzo od rzeźby w sali bankietowej.

- Moja krew nic cię nie obchodzi - odparł Louis, odsuwając problem na bok. - Udajemy się do krawędzi świata. Co możesz nam powiedzieć o naszej trasie?

Twarz kapłana wyrażała szaroblade, półprzezroczyste zdziwienie.

- Żądasz ode mnie informacji? Ty, Inżynier?

- Nie jestem Inżynierem. - Louis cały czas trzymał dłoń na wyłączniku pola siłowego.

Ale kapłan, o ile było to możliwe, tylko się jeszcze bardziej zdziwił.

- Więc dlaczego prawie nie masz włosów? Jak latasz? Czyżbyś skradł sekrety z Nieba? Czego chcesz od nas? Czy przybyłeś, by zabrać mi moje zgromadzenie?

Najważniejsze wydawało się to ostatnie pytanie.

- Znajdujemy się w drodze ku krawędzi. Potrzebujemy tylko informacji.

- Możecie ją znaleźć w Niebie.

- Nie bądź taki dowcipny - poradził mu Louis.

- Przecież ty sam przybyłeś z Nieba! Widziałem na własne oczy.

- A, zamek! Przeszukaliśmy go, ale niewiele znaleźliśmy. Na przykład, czy Inżynierowie naprawdę nie mieli włosów?

- Nieraz podejrzewałem, że po prostu się gola, jak ja. Ale twoja skóra wydaje się w naturalny sposób bezwłosa.

- Używam depilatora. - Louis rozejrzył się dookoła, po morzu pełnych uwielbienia, włochatych twarzy. - A co oni myślą? Nie wydają się podzielać twoich wątpliwości.

- Widzą nas rozmawiających jak równy z równym w języku Inżynierów. Chciałbym, żeby tak dalej było, jeśli ci to odpowiada. - Zachowanie kapłana



zmieniło się z niemal wrogiego w konspiracyjne.

- Czy dzięki temu umocnisz swoją pozycję? Tak, chyba tak. - Kapłan najbardziej obawiał się tego, że utraci swoich wiernych. Każdy kapłan, którego bóg zstąpiłby na ziemię i próbował bezpośrednio kontaktować się z ludem, żywiłby podobne obawy. - Czy oni nas rozumieją?

- Może jedno słowo na dziesięć.

Sprawność autopilota jako tłumacza okazała się nawet zbyt wysoka. Louis nie miał pojęcia, czy kapłan posługuje się tym samym językiem, którym mówiono w Zignamuclickclick. Gdyby to wiedział, gdyby wiedział, czym i jak bardzo różniły się oba te języki, mógłby chociaż w przybliżeniu określić, kiedy zaczął się upadek cywilizacji Pierścienia.

- Dlaczego ten zamek nazywa się Niebem? - zapytał. - Wiesz coś na ten temat?

- Legendy mówią o Zrillirze - odparł kapłan - i o tym, jak rządził ziemiami leżącymi pod Niebem.

Na tym cokole stał niegdyś jego pomnik naturalnej wielkości. Ziemia dawała Niebu smakołyki, które mogą ci wymienić, bowiem ich nazwy przetrwały do dziś w rytualnych tekstach, ale ich samych już nie uświadczysz. Czy mam...

- Nie, dziękuję. I co dalej?

W głosie kapłana pojawił się uduchowiony, religijny zaśpiew. Z pewnością wiele razy słyszał tę historię. I wiele razy ją opowiadał.

- Niebo powstało wtedy, gdy Inżynierowie stworzyli cały świat i Łuk Nieba. Ten, kto panuje w Niebie, rządzi ziemią od krawędzi do krawędzi. Zrillir panował przez wiele pokoleń, rzucając w chwilach gniewu ogniste gromy. Aż kiedyś pojawiła się pogłoska, że już nie potrafi ich rzucać.

Lud przestał go słuchać. Przestał oddawać żywność. Zburzył pomnik. Gdy anioły Zrillira zaczęły rzucać z góry kamieniami, ludzie tylko śmiali się i chowali.

Przyszedł dzień, w którym lud postanowił wdrzeć się do Nieba. Zrillir jednak zniszczył poruszające się schody, zaś jego anioły opuściły Niebo na latających maszynach.

Później zaczęto żałować, że nie ma już Zrillira. Niebo było wiecznie zasnuwane chmurami, plony niszczył padający bezustannie deszcz. Modliliśmy się o powrót Zrillira...

- Jak myślisz, na ile to wszystko odpowiada prawdzie?

- Powiedziałbym, że to wszystko nieprawda, dopóki nie zobaczyłem ciebie, przybywającego z Nieba na latającej maszynie. Bardzo się przestraszyłem, o inżynierze. Być może Zrillir rzeczywiście ma zamiar wrócić i wysłać naprzód swego bękartą, by ten usunął mu z drogi fałszywych kapłanów.

- Mogłem ogolić sobie głowę. Zmieniłoby to coś?

- Nie. Zresztą, nieważne. Miałeś jakieś pytania.

- Co możesz mi powiedzieć o upadku cywilizacji Pierścienia?

Kapłan poruszył się niespokojnie.

- Czyżby cywilizacja miała upaść?

Louis westchnął ciężko i odwrócił się, by przyrzeć się ołtarzowi.

Zajmował centralną część potężnego cokołu i wykonany był z ciemnego drewna. Na prostokątnej powierzchni, o brzegach lekko zadartych ku górze, wyrzeźbiono wzgórze, rzeki i duże jezioro. Na owych uniesionych, krótszych krawędziach, wspierał się złoty, paraboidalny łuk. Złoto było miejscami wytarte, a miejscami zaśniedziałe, ale wisząca na cienkim, umocowanym w najwyższym punkcie łuku druciku kulka była wypolerowana do połysku.

- Czy cywilizacja znajduje się w niebezpieczeństwie? Tak wiele się zdarzyło: słoneczny drut, twoje przybycie... Czy to naprawdę słoneczny drut? Czy słońce też ma zamiar na nas spaść?

- Nie sędzę. Czy mówisz o tym drucie, który spada od rana?

- Tak. Nasza religia uczy nas, że słońce jest umocowane do Łuku niezwykle mocnym drutem. Ten drut jest mocny, wiemy o tym. Dziewczynka próbowała go podnieść, a on obciął jej palce.

Louis skinął głową.

- Nic na was nie spadnie - powiedział. - Nawet czarne prostokąty, dodał w myśli. Nawet gdyby poprzecinać wszystkie nici, i tak nie uderzyłyby w Pierścień.

Oddaliłyby się tylko od słońca, ustawiając na wyznaczonej im przez ich prędkość orbicie. Budowniczości Pierścienia z pewnością tak to obmyślili, by orbita ta wypadła wewnątrz ich drogocennej konstrukcji.

- A może wiesz coś o systemie transportowym na krawędzi? - zapytał bez większej nadziei. I w tej chwili poczuł, że coś jest nie tak. Wyczuł jakiś sygnał, znak zbliżającej się katastrofy - ale co to było?

- Czy mógłbyś to powtórzyć? - zapytał kapłan.

Louis powtórzył.

- Ta rzecz, która mówi za ciebie - wyjaśnił kapłan - za pierwszym razem powiedziała coś innego. Coś o zakazanym... czymś.

- To zabawne - mruknął Louis. Tym razem już to usłyszał. Komunikator odezwał się w zupełnie obcym języku, w dodatku dużo głośniejszy, niż do tej fory.

- Korzystasz z zastrzeżonej częstotliwości łamiąc. .. nie pamiętam reszty - powiedział kapłan. - Najlepiej będzie, jeżeli skończymy tę rozmowę. Obudziłeś coś prastarego, coś złego... - Kapłan przerwał, wsłuchując się w słowa płynące z komunikatora, który znowu przemówił w miejscowym języku.

- ... łamiąc rozporządzenie dwunaste, dotyczące...

To, co kapłan powiedział potem, nie zostało już nigdy przetłumaczone.

Komunikator rozpałił się nagle do czerwoności. Louis rzucił go momentalnie przed siebie; mały, ogniście biały dysk spadł na nawierzchnię placu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Dopiero wtedy Louis poczuł ból i oczy zaszyły mu łzami.

Z trudem dostrzegł, że kapłan skinął mu dostojnie głową.

Odpowiedział mu tym samym gestem; ponieważ podczas całej rozmowy siedział w fotelu skutera, teraz dotknął tylko lekko sterów i wzniósł się ku Niebu.

Kiedy był już sam, wykrzywił twarz w paroksyzmie bólu i użył słowa, które usłyszał po raz pierwszy na Wunderlandzie z ust człowieka, który właśnie upuścił liczący sobie tysiąc lat kryształ Steubena.

## 17. Oko cyklonu

**S**kutery opuściły Niebo lecąc poniżej stalowoszarej, kłębiastej powłoki. Ocaliła im życie nad polem słoneczników, ale teraz jej widok działał wyłącznie przygnębiająco.

Louis ustawił na tablicy przyrządów blokadę ich obecnej wysokości. Robił to bardzo ostrożnie, ponieważ jego prawa dłoń, pokryta grubą warstwą środka leczniczego, a uprzednio; oczywiście, znieczulona, pod względem precyzji ruchów bardzo przypominała kawałek drewna. Przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, o ile gorzej mogłoby się to skoczyć, gdyby...

Nad tablicą pojawiła się pomarańczowa głowa Mówiącego-do-Zwierząt.

- Louis, czy nie wzniesiemy się nad chmury?
- Moglibyśmy coś przeoczyć. Stamtąd nic nie widać.
- Mamy przecież mapy.
- Czy są na nich zaznaczone pola słoneczników?
- Masz rację - przyznał kzin i wyłączył swój interkom.

Podczas gdy Louis konwersował z wygolonym kapłanem, Mówiący i Teela nie marnowali czasu w komnacie map. Sporządzili konturowe mapki trasy ich lotu, nanosząc na nie kipiące niegdyś życiem miasta, które mogli podziwiać na dużym ekranie.

A więc komuś-lub czemuś-nie spodobało się, że używają zastrzeżonej częstotliwości. Zastrzeżonej przez kogo? Kiedy? Dlaczego? Czemu powiedziano im o tym dopiero teraz? Louis podejrzewał, że mogło tu chodzić o jakąś maszynę, coś w rodzaju laserowego strażnika, który zestrzelił „Kłamcę”. Być może działała tylko okresowo.

Również komunikator kzina rozpałił się do czerwoności w jego dłoni. Minie dobrych kilka dni, zanim będzie mógł znowu nią władać, nawet przy zastosowaniu najlepszych leków z „wojskowego” wyposażenia. Spalona tkanka musi mieć czas na regenerację.

Teraz, kiedy dysponowali mapami, nie lecieli już na ślepo. Jeżeli cywilizacja miała gdziekolwiek się odrodzić, to najbardziej prawdopodobnym miejscem były właśnie wielkie metropolie. Wiedząc, gdzie ich szukać, badaliby je dokładnie z powietrza, wypatrując świateł lub dymu.

Na tablicy kontrolnej płonęło jeszcze jedno światełko; Nessus chciał rozmawiać. Louis włączył interkom.

Ujrzał zmierzwioną grzywę lalecznika i jego pokryty delikatną skórą grzbiet, wznoszący się i opadający w równym rytmie oddechu. Przez moment myślał, że lalecznik jeszcze nie wyszedł z poprzedniego stanu katatonii, albo że wpadł

w następny, ale w tej chwili pojawiła się trójkątna, jednooka głowa.

- Witaj, Louis! - zaśpiewał Nessus. - Co nowego?

- Odkryliśmy latający budynek - odparł Louis. - Z komnatą map.

Opowiedział lalecznikowi o zamku zwanym Niebem, o komnacie map, o ekranie, mapach i globusach, o kapłanie i jego opowieści oraz modelu wszechświata. Odpowiadał właśnie na kolejne pytanie, kiedy pomyślał o zadaniu własnego.

- A, właśnie. Czy twój komunikator działa?

- Nie, Louis. Jakiś czas temu rozżarzył się do białości, niezwykle mnie przestraszając. Gdybym tak bardzo się nie bał, na pewno bym na chwilę odszedł.

- No, tak. Inne też nie działają. Mówiący i ja mamy poparzone dłonie, a Teela dziurę w bagażniku.

Wiesz co? Musimy nauczyć się miejscowego języka.

- Oczywiście.

- Szkoda, że ten kapłan nie wiedział nic o upadku starożytnej cywilizacji Pierścienia. Miałem pewien pomysł... - I przedstawił lalecznikowi swoją teorię zmutowanych bakterii trawiennych.

- To całkiem możliwe - powiedział Nessus. - Jeżeli raz stracili umiejętność przetwarzania pierwiastków, nigdy się już nie podniosą.

- A to dlaczego?

- Rozejrzyj się dokoła, Louis. Co widzisz?

Louis rozejrzył się. Zobaczył formujący się przed nimi front burzowy; zobaczył wzgórza, doliny, odległe miasto, podwójny szczyt błyszczący półprzezroczystą szarością materiału konstrukcyjnego Pierścienia...

- Wyląduj w dowolnym miejscu i zacznij kopać. Co znajdziesz?

- Glebę - odpowiedział Louis. - I co z tego?

- A głębiej?

- Też glebę. Skały. Konstrukcję. - I w tej samej chwili krajobraz diametralnie

się zmienił. Burzowe chmury, góry, miasta, jedno po prawej, drugie z tyłu, tajemniczy blask za nie istniejącym horyzontem, który mógł okazać się morzem lub kolejnym polem słoneczników - wszystko to zrobiło się nagle sztuczne i płaskie. Różnica między TYM a prawdziwą planetą była taka sama jak między gumową maską, a ludzką twarzą.

- Gdybyś zaczął kopać na jakiegokolwiek prawdziwej planecie-podjął lalecznik - prędzej czy później trafiłbyś na jakąś rudę metalu. Tutaj, po przekopaniu się przez czterdzieści stóp ziemi trafiasz na spód Pierścienia. I koniec. Nie możesz się przez niego przebić, a nawet gdybyś mógł, po drugiej stronie znalazłbyś tylko próżnię.

Jeżeli cywilizacja, która zbudowała Pierścień chce na nim żyć i rozkwiąć, musi dysponować tanią technologią przetwarzania pierwiastków. Jeżeli ją utraci - co jej pozostaje: Na Pierścieniu nie ma żadnych bogactw naturalnych. Choćby nie wiem jak szukali, nic by nie znaleźli. Cywilizacja musiałaby upaść. Na zawsze.

- Kiedy na to wpadłeś? -zapytał Louis.

- Dość dawno temu. Nie było to nic takiego, co by w bezpośredni sposób wpływało na nasze bezpieczeństwo.

- Więc po prostu siedziałeś cicho. Jasne. - Ileż czasu Louis łamał sobie nad tym głowę! A teraz wydawało się to takie jasne i oczywiste. Cóż za pułapka, coś za nieprawdopodobna pułapka dla myślących istot!

Louis spojrzął przed siebie (kątem oka dostrzegł, że głowa lalecznika zniknęła znad tablicy przyrządów). Burza zbliżała się coraz bardziej; była potężnych rozmiarów. Bariery dźwiękochłonne z pewnością dadzą sobie z nią radę, ale...

Lepiej ominąć ją, wznosząc się na większą wysokość. Louis przyciągnął do siebie drążek i skutery zaczęły wspinać się w górę, ku nieprzeniknionej warstwie szarych chmur, która wisiała nad nimi od chwili, kiedy dotarli do zamku zwanego Niebem.

Louis myślał leniwie o tym i o owym...

Opanowanie miejscowego języka zajmie im trochę czasu. Uczenie się nowego języka po każdym lądowaniu będzie niemożliwe. W tej chwili ta właśnie sprawa urastała do rangi najważniejszego problemu. Od jak dawna mieszkańcy Pierścienia żyli jak dzicy? Jak dawno temu w jednolitym języku zaczęły wytwarzać się narzecza i dialekty? Jak bardzo różniły się od oryginału?

Roztaczający się dokoła widok ściemniał, po czym zupełnie zniknął. Byli w chmurach. Macki szarej, lepkiej mgły głąskały otaczającą skuter Louisa niewidzialną bańkę. Po chwili znaleźli się nad jednolicie szarą powierzchnią.

Z uciekającego w nieskończoność horyzontu spoglądało na Louisa Wu olbrzymie, niebieskie oko.

Gdyby Bóg miał głowę wielkości Księżyca, to oko byłoby akurat właściwych rozmiarów.

Zrozumienie tego, co widzi, zajęło Lotusowi dobrych parę sekund. Przez następnych kilka chwil jego umysł kategorycznie odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Niesamowity widok przyblakł jak źle oświetlony hologram.

Przez delikatne brzęczenie w uszach usłyszał / wyczuł czyjś krzyk.

Czy już nie żyję? - pomyślał.

„Czy to Nessus?” Ale przecież lalecznik przerwał połączenie. -

To była Teela. Teela, która jeszcze nigdy w życiu niczego się nie bała. Zakryła sobie twarz rękami, chowając się przed tym monstrualnym, błękitnym spojrzeniem.

Oko znajdowało się dokładnie przed nimi. Wydawało się, że przyciąga ich z jakąś nieprawdopodobną siłą.

„Czy ja umarłem? Czy to Stwórca, który ma mnie sądzić? K t ó r y Stwórca?”

Nadeszła chwila, w której Louis Wu miał zdecydować, w jakiego Stwórcę wierzy, o ile w ogóle wierzy.

Oko było błękitno-białe; biała brew i ciemna źrenica. Białe dzięki chmurom, błękitne dzięki odległości. Tak, jakby było częścią nieba.

- Louis, zrób coś! - krzyczała Teela.

To nie może być prawda, powtarzał sobie Louis. Wszechświat jest naprawdę ogromny, ale niektóre rzeczy są po prostu niemożliwe, i już.

- Louis!

Louis odzyskał głos.

- To ty, Mówiący? Co widzisz?

Kzin zamilkł na chwilę. Kiedy się znowu odezwał, jego głos był dziwnie bezbarwny.

- Prosto przed nami widzę ogromne, ludzkie oko.

- Ludzkie?

- Tak. Ty też je widzisz?

To jedno słowo, którego Louis nigdy by nie użył, wszystko zmieniało. Ludzkie. Ludzkie oko. Gdyby była to halucynacja lub jakieś nadnaturalne zjawisko, kzin powinien widzieć oko kzina albo nic.

- A więc to coś prawdziwego - powiedział Louis. - Coś zupełnie prawdziwego.

Teela wpatrywała się w niego z nadzieją.

Ale dlaczego przyciągało ich do siebie?

Louis pociągnął drążek sterowy w prawo. Skutery posłusznie skrzyły w tę samą stronę.

- Zbaczasz z kursu - zareagował od razu Mówiący-do-Zwierząt. - Wracaj , albo oddaj mi sterowanie.

- Chyba nie masz zamiaru przelecieć p r z e z to?

- Jest zbyt duże, by to omijać.

- Nie większe niż krater Platona. Za godzinę będziemy z powrotem na kursie. Po co ryzykować?

- Jeżeli się boisz, leć sam. Ty też, Teela. Spotkamy się po drugiej stronie.

- Ale dlaczego? - zapytał chrapliwie Louis. - Czy uważasz, że to... że ten przypadkowy układ chmur stanowi wyzwanie dla twojej męskości?

- Dla czego? Louis, tutaj nie chodzi o moje zdolności prokreacyjne, tylko a moją odwagę.

Skutery pędziły przed siebie z prędkością tysiąca dwustu mil na godzinę.

- Co tu ma do rzeczy twoja odwaga? Musisz mi odpowiedzieć.

- Nie muszę. Jeśli chcecie, możecie okrążyć Oko.



- A niby jak mamy cię później znaleźć?

- To rzeczywiście problem - przyznał po chwili, zastanowienia kzin. - Louis, czy słyszałeś kiedyś o herezji Kdapta-kaznodziei?

- Nie.

- W ponurym okresie, który nastąpił po Czwartym Pokoju z Ludźmi Kdapt - kaznodzieja zaczął głosić nową religię. Został rozszarpany w pojedynku przez samego Patriarchę, ale jego religia egzystuje w ukryciu do dnia dzisiejszego. Kdapt-kaznodzieja uważał, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo.

- Człowieka? Ale... Przecież Kdapt był kzinem?

- Tak. Ciągłe wygrywaliście, Louis. W ciągu trzystu lat wygraliście cztery wojny. Naśladowcy Kdapta nosili w czasie nabożeństw maski przedstawiające ludzkie twarze. Mieli nadzieję oszukać Stwórcę i zwyciężyć w wojnie.

- Więc kiedy zobaczyłeś to oko, spoglądające na nas zza horyzontu...

- Właśnie.

- A niech to.

- Wydaje mi się, że moja teoria jest znacznie bardziej prawdopodobna od twojej. Przypadkowy układ chmur! No wiesz, Louis!

Mózg Louisa powoli zaczynał znowu funkcjonować.

- Wykreśl słowo „przypadkowy”. Może budowniczo Pierścienia umieścili je tutaj celowo, na przykład dla ozdoby albo jako jakąś wskazówkę?

- Co miałyby, według ciebie, wskazywać?

- Nie wiem. Coś dużego. Wesole miasteczko, albo archikatedrę. Może kwaterę Głównego Okulisty. Biorąc pod uwagę technikę, jaką dysponowali, no i przestrzeń, to może być cokolwiek.

- Na przykład więzienie dla podglądaczy! - wtrąciła Teela, niespodziewanie przychodząc Louisowi z pomocą. - Uniwersytet dla prywatnych detektywów! Obraz kontrolny największego odbiornika-stereowizji we Wszechświecie! Bałam się przynajmniej tak samo, jak ty, Mówiący - powiedziała już normalnym tonem. - Myślałam, ie to... Sama nie wiem, co myślałam. Ale nie zostawię cię. Przelecimy przez to razem.

- Znakomicie, Teelo.
- Jeżeli akurat wtedy mrugnie, zginiemy.
- Normę ustala zawsze większość - zacytował niezbyt dokładnie Louis.
- Wezwę Nessusa.
- Na finagla, oczywiście! Przecież on już przez to przeleciał, albo dokoła tego.

Louis roześmiał się nieco głośniej niż zwykle. Bał się jak diabli.

- Chyba nie myślisz, że Nessus przeciera nam szlak?
- Hę?
- Przecież to lalecznik. Zatoczył olbrzymi łuk, zachodząc nas od tyłu, po czym prawdopodobnie przełączył sterowanie na skuter Mówiącego. W ten sposób Mówiący z pewnością go nie złapie, a jednocześnie ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie mogłyby go spotkać, najpierw my musimy dać sobie radę.
- Zdumiewa mnie twoja zdolność myślenia jak tchórz- powiedział kzin.
- Nie lekceważ tego. Znajdujemy się na obcym terenie. Nigdy nie wiadomo, kto ostatecznie będzie miał rację.
- W porządku. Porozmawiaj z nim, skoro łączy was takie pokrewieństwo charakterów: Ja w każdym razie lecę prosto w Oko. Muszę wiedzieć, co jest za nim. Albo w nim.

Louis połączył się z lalecznikiem..  
Lalecznik znowu spał.

- Nessus - powiedział Louis. - Nessus! - powtórzył głośniej . .
- Skóra na grzbiecie lalecznika zadrżała nerwowo i pobawiła się zdziwiona, trójkątna głowa.
- Już myślałem, że będę musiał włączyć syrenę.
- Czy coś się stało? - Do pierwszej dołączyła druga głowa i obie rozejrzały się niespokojnie dookoła.

Louis nie był w stanie patrzeć w przyglądające mu się spokojnie błękitne oko. Odwrócił wzrok.

- Jeszcze nie, ale się stanie. Moi szaleni kompani mają zamiar popełnić samobójstwo. Nie jestem pewien, czy możemy im na to pozwolić.

- Wyjaśnij, proszę.

- Spójrz prosto przed siebie i powiedz mi, czy widzisz skupisko chmur w kształcie ludzkiego oka.

- Widzę.

- Czy wiesz, co to może być?

- Najprawdopodobniej jakaś burza. Coś w rodzaju cyklonu. Chyba domyślasz się, że na Pierścieniu nie mogą występować spiralne wiatry.

- Hę? - Loms nawet się nad tym nie zastanawiał.

- Wiatry spiralne, takie jak cyklony, powstają dzięki działaniu siły Coriolisa i różnicom w prędkości przemieszczania się mas powietrza na różnych wysokościach. Każda planeta jest obracającym się sferoidem. Kiedy dwie masy powietrza dążą do miejsca, w którym powstała częściowa próżnia, ich siły cząstkowe niosą je niejako na siebie i powstaje zjawisko wiru.

- Nessus, ja w i e m, jak powstają cyklony.

- A więc musisz też wiedzieć, że na Pierścieniu wszystkie masy powietrza poruszają się z dokładnie takimi samymi prędkościami. Żadnych wirów.

Louis spojrzał w kierunku przypominającej oko burzy.

- No, a wiatr? W ten sposób nie powstanie nawet najlżejszy podmuch. Nie będzie żadnego przepływu mas powietrza.

- Nieprawda. Ciepłe powietrze będzie wznosić się w górę, a zimne opady na dół. Ale takie zjawiska nie mogą być powodem tego, co widać przed nami.

- Słusznie.

- Co ma zamiar zrobić Mówiący?

- Przelecieć przez sam środek. A Teela chce lojalnie podążyć jego śladem.

Lalecznik zagwizdał tak cudownie czysto, jak czyste jest światło lasera

rubinowego.

- To wydaje się niebezpieczne. Pola siłowe skuterów ochronią ich przed działaniem każdego zwyczajnego wiatru. Ale ten wiatr nie jest zwyczajny...

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to coś sztucznego.

- Tak... Inżynierowie musieli obmyślić jakiś sposób na to, by wymusić cyrkulację powietrza. Ale taki system powinien przestać działać w momencie, gdy urwały się dostawy energii. Nie rozumiem... Aha. Już mam, Louis.

- Co takiego?

- Wyobraź sobie znajdujące się gdzieś w centrum burzy miejsce, w którym powietrze po prostu znika, pozostawiając po sobie częściową próżnię. Cała reszta jest już oczywista. Masy powietrza suną do tego miejsca z przodu i z tyłu, patrząc w kierunku obrotów Pierścienia, dzięki...

- I z boków.

- To nieważne - zbył jego uwagę lalecznik. - Powietrze płynące „pod prąd” będzie odrobinę lżejsze, a płynące „z Prądem” cięższe.

Louis wysiłał swoją wyobraźnię, ale bezskutecznie.

- Dlaczego?

- Powietrze obracające się wraz z Pierścieniem porusza się odrobinę szybciej, przez co ulega działaniu minimalnie większej siły odśrodkowej. Jest po prostu cięższe.

Opada.

To dolna Powieka oka. Górną tworzy powietrze napływające „pod prąd”. Oczywiście, tutaj także powstaje zjawisko wiru, ale jego oś jest pozioma, podczas gdy na każdej planecie byłaby pionowa.

- Tutaj to jest właściwie efekt uboczny.

- Uboczny i jedyny zarazem. Nie ma nic, co by go mogło powstrzymać. Zjawisko, które widzisz przed sobą może trwać niezmiennie nawet tysiące lat.

- Może i tak. - Oko wydawało się teraz jakby trochę mniej przerażające. Rzeczywiście, lalecznik miał rację: musiało być to coś w rodzaju cyklonu. „Powieki” były oświetlonymi przez słońce chmurami, zaś „żrenica» - jego

centrum.

- Jedyne problem to owo tajemnicze miejsce, w którym znika powietrze. Dlaczego tak się dzieje?

- Może pracuje tam cały czas jakaś pompa?

- Wątpię, Louis. Gdyby tak miało być w istocie, wszystkie ruchy powietrza w tej okolicy byłyby starannie zaplanowane.

- Więc?

- Czy zwróciłeś uwagę na miejsca, w których materiał konstrukcyjny Pierścienia wyrzwał na światło dzienne spod warstwy ziemi i skał? Z pewnością tak ogromne zjawiska erozyjne nie mogły być celowo zaplanowane. Zauważyłeś, że takie miejsca spotykamy coraz częściej? Oddziaływanie oka musiało zakłócić dystrybucję mas powietrza w promieniu wielu tysięcy mil, na powierzchni większej niż powierzchnia mojej czy twojej planety.

Tym razem to Louis gwizdnął przeciągle.

- Nieżas! No tak, rozumiem. W centrum tego cyklonu musi być krater po meteorycie.

- Właśnie. Rozumiesz, jakie to ma znaczenie - materiał konstrukcyjny Pierścienia nie jest jednak niezniszczalny.

- Dla nas, biorąc pod uwagę to, czym dysponujemy, jednak jest.

- Rzeczywiście. Tak czy tak, musimy sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam otwór wybity przez meteoryt.

Niedawna panika wydawała się Louisowi już tylko na pół zapomnianym snem. Analityczny chłód wywodu lalecznika podziałał krzepiąco i uspokajająco. Lotus Wu spojrział odważnie w olbrzymie oko i powiedział:

- W tej częściowej próżni powinno być po prostu czyste, spokojne powietrze. W porządku; przekażę im dobrą wiadomość. W s z y s c y przelecimy przez oko cyklonu.

Kiedy byli już blisko źrenicy, niebo nad nimi pociemniało. Czyżby zbliżała się noc? Trudno było to stwierdzić. Gruba warstwa chmur czyniła ciemnym i ponurym nawet jasny, słoneczny dzień.

Oko od kącika do kącika liczyło sobie co najmniej sto mil długości, zaś jego wysokość wynosiła około czterdziestu mil. Teraz jego kontury wydawały się bardziej błękitne, niż białe. Mogli dostrzec pasma i zgrubienia rozwiewanych

obłoków. Źrenica była w istocie tunelem utworzonym przez kłębiące się wiatry, niemniej jednak całość ciągle jeszcze wyglądała jak gigantyczne oko.

Lecieli prosto w oko Boga. Widok był wstrząsający, przerażający, niemal humorystycznie przerysowany. Louis był gotów jednocześnie śmiać się i krzyczeć z przerażenia. Lub zawrócić. Wystarczyłaby przecież jedna osoba, żeby sprawdzić, czy w podłodze Pierścienia rzeczywiście ziele czarny otwór. Lotus mógłby okrążyć Oko dookoła i...

Byli już w środku.

Wlecieli w czarny korytarz, rozświetlony uderzającymi właściwie bez przerwy błyskawicami. Dokoła nich powietrze było doskonale spokojne. Poza obszarem źrenicy kłębiły się spienione niczym fale chmury, mrując szybciej, niż najpotężniejszy cyklon.

- Pożeracz liści miał rację - ryknął Mówiący-do-Zwierząt. - To po prostu burza.

- Najzabawniejsze, że jako jedyny nie wpadł w panikę kiedy to zobaczył! - odwrzasnął Louis. - Widocznie laleczniki nie są przesądne.

- Widzę coś! Z przodu! - krzyknęła Teela.

Dziura w podłodze tunelu. Louis wyszczerzył zęby w nerwowym uśmiechu i delikatnie położył dłonie na sterach. Nad tą dziurą mogło nieźle rzucać.

Był teraz zdecydowanie mniej spięty i zdenerwowany niż w chwili, kiedy wlatywali do Oka. Co mogło mu grozić w miejscu, którego nie bał się nawet lalecznik?

Chmury i błyskawice otaczały ich coraz ciaśniej z kręgami.

Wyhamowali i zawiśli nad otworem, ciągiem silników przeciwstawiając się wsysającej ich weń sile. Stłumiony dźwiękochłonnymi barierami ryk cyklonu żelazną obręczą ścisnął im głowy.

Zupełnie, jakby zaglądali w otwór komina. Oczywiście, niknęło w nim powietrze, ale czy było po prostu wypompowywane, czy też może wysysane i wyrzucane w czyhającą po drugiej stronie cienkiej wstążki Pierścienia próżnię? Niewiele moli zobaczyć...

Louis nie zauważył, kiedy Teela skierowała swój skuter w dół. Znajdowała się zbyt daleko od niego, migoczące, upiorne światło było zbyt niezwykle, a on patrzył akurat prosto w czarny otwór komina. Dostrzegł co prawda nikoną w nim, srebrzystą iskierkę, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Dopiero później usłyszał przytłumiony, przeraźliwy krzyk Teeli.

Obraz jej twarzy przekazywany przez niterkom był czysty i wyraźny. Teela patrzyła w dół i była przerażona.

- Co się stało? - ryknął .

Z trudem dosłyszał jej odpowiedź:

- ... ma mnie!

Spojrzał ponownie w dół.

W wypełniającej otwór komina pustce panował zupełny spokój, wściekle wirowały tylko jej krawędzie. Rozświetlał ją dziwny blask, mający swe źródło nie w wyładowaniach elektrycznych, ale w katodowych efektach powstających dzięki różnicom potencjałów w niemal zupełnej próżni. Na samym dole migotało coś... jakby iskra, która mogła być skuterem, gdyby znalazł się ktoś na tyle głupi, żeby dać nura w ryczący maelstorm tylko po to, by przyrzeć się z bliska dziurze, za którą przecież mogła znajdować się tylko pustka.

Louis poczuł, że ogarnia go jakiś nieprawdopodobny bezwład. Nic już nie można było zrobić. Nic.

Odwrócił wzrok.

Nad tablicą przyrządów zobaczył twarz Teeli. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w coś potwornego. Z nosa ciekła krew.

Przerażenie powoli ustępowało z twarzy dziewczyny, pozostawiając po sobie trupioblady spokój. Lada moment mogła zemdleć. Anoksją? Bariera dźwiękochłonna nie wypuściłaby powietrza ze swojego wnętrza, ale najpierw trzeba ją było włączyć.

Półprzytomne oczy Teeli patrzyły prosto w Louisa Wu. Zrób coś, błagały. Zrób coś.

Jej głowa opadła bezwładnie na tablicę przyrządów.

Lotus czuł w ustach smak krwi. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że niemal odgryzł sobie dolną wargę. Spojrzał w dół, w oświetloną neonowym blaskiem gardziel komina, przypominającą powiększony do monsturalnych rozmiarów wir, powstający w wannie podczas spuszczenia wody. Dostrzegł srebrną iskierkę, która musiała być skuterem Teeli...

... skręcającą nagle w bok i wbijającą się z ogromną siłą w wirującą ścianę komina.

Kilka sekund później daleko przed nim, już poza Okiem, pojawiła się przesuwającą się z olbrzymią prędkością smuga kondensacyjna. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że jest to skuter Teeli.

- Co się stało? - doszedł go głos kżina.

Louis potrząsnął tylko głową, był jak ogłuszony. Miał wrażenie, jakby w jego obwodach logicznego myślenia nastąpiło nagle zwarcie, uniemożliwiając przeprowadzenie najprostszego nawet rozumowania.

Obraz nad jego tablicą przyrządów pokazywał jedynie opuszczoną głowę i czarne włosy Teeli. Była nieprzytomna w pędzącym na oślep z dwukrotną prędkością dźwięku skuterze. Coś trzeba zrobić, ale co?...

- Przecież ona miała umrzeć, Louis. Czyżby Nessus uruchomił jakieś ukryte urządzenie sterownicze?

- Nie. Chciałbym, żeby tak było, ale... Nie.

- A ja uważam, że właśnie tak się stało - oznajmił Mówiący-do-Zwierząt.

- W i d z i a ł e ś , co się stało! Zemdląca, uderzyła głową w tablicę przyrządów i jej skuter wystrzelił w bok, jakby goniło go tysiąc diabłów! Po prostu odblokowała czołem stery, a jej ciało pchnęło drażek w odpowiednią stronę.

- Nonsens.

- Aha... - Louis marzył tylko o tym, żeby zasnąć i przestać myśleć...

- Zastanów się nad prawdopodobieństwem, Louis. - Kżin dopiero wtedy zrozumiał i szczęka opadła mu ze zdumienia. Dopiero po dłuższej chwili zdobył się na to, żeby wykrztusić - Nie. To niemożliwe.

- Aha... - powtórzył Louis.

- Przecież nie byłaby tu z nami. Nessusowi nigdy nie udało się jej odnaleźć. Zostałaby na Ziemi.

Uderzyła kolejna błyskawica, oświetlając długi, wirujący tunel. Cienka, prosta linia wskazywała ślad przelotu skutera Teeli. Sam skuter zniknął już w oddali..



- A przede wszystkim, nigdy nie spotkałaby nas ta katastrofa!

- Właśnie się nad tym zastanawiam.

- Może lepiej zacznij się zastanawiać nad tym, jak ocalić jej życie.

Louis skinął głową. Bez specjalnego pośpiechu wcisnął przycisk wzywający Nessusa - kzin nigdy by tego nie zrobił.

Lalecznik odpowiedział niemal od razu, jakby cały czas czekał na sygnał. Louis ze zdziwieniem zauważył, że kzin nie wyłączył swojego interkomu. W skrócie opowiedział Nessusowi, co się stało.

- Wygląda na to, że obydwaj nie mieliśmy racji co do Teeli - stwierdził lalecznik.

- Właśnie.

- Leci na dopalaczu. Niemożliwe, żeby wyłączyła go uderzeniem głową.

Właściwie, w ogóle nie można go przypadkowo wyłączyć.

- A gdzie go się włącza? - zapytał Louis. Kiedy lalecznik pokazał mu, mruknął - Mogła wsadzić tam palec po prostu z ciekawości, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Naprawdę?

- Co możemy teraz zrobić? - wtrącił się Mówiący-do-Zwierząt.

- Dajcie mi znać, kiedy odzyska przytomność - powiedział Nessus. - Pokażę jej, jak ma zmniejszyć prędkość i wrócić do nas.

- A tymczasem?

- Tymczasem możemy tylko czekać. Istnieje niebezpieczeństwo, że może przeciążyć silnik. Dopóki jednak leci, skuter sam będzie omijał przeszkody, z pewnością nigdzie się nie rozbije. Oddala się od nas z prędkością około 4 Macha. Jedynym niebezpieczeństwem, jakiego można by się obawiać jest anoksja, ale ja jestem pewien, że nic jej nie grozi.

- Dlaczego? Przecież anoksja może doprowadzić do uszkodzenia mózgu.

- Teela ma na to zbyt wiele szczęścia - odparł lalecznik.

## 18. Przypadki Teeli Brown

**B**yla głęboka noc, kiedy wreszcie znaleźli się po drugiej stronie Oka. Nie mogli dostrzec nawet jednej gwiazdy, ale przez nieliczne dziury w pokrywie chmur docierał do nich od czasu do czasu błękitny poblask Łuku Nieba.

- Zmieniłem zdanie - oznajmił Mówiący-do-Zwierząt. -Jeżeli chcesz, Nessus, możesz do nas wrócić.

- Chcę - powiedział lalecznik.

- Potrzebujemy twojego sposobu myślenia. Musisz jednak wiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, co twoja rasa uczyniła mojej.

- Nie mam najmniejszego zamiaru ingerować w twoją pamięć.

Louis ledwie zwrócił uwagę na to zwycięstwo praktycznego podejścia do życia nad poczuciem dumy, rozumu nad ksenofobią. Wypatrywał oczy w poszukiwaniu smugi kondensacyjnej pozostawionej przez skuter Teeli, ale nie mógł jej już nigdzie dostrzec.

Teela ciągle była nieprzytomna. Jej głowa poruszyła się lekko, ale Louisowi, mimo ponawianych ciągle prób, nie udało się uzyskać nic więcej.

- Myliliśmy się co do niej - powiedział Nessus. - Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego. Dlaczego nasza wyprawa zakończyła się katastrofą, jeżeli jej szczęście jest aż tak potężne?

- To samo mówiłem Louisowi!

- Gdyby jednak jej szczęście nie miało żadnej mocy - kontynuował lalecznik - to jak wyjaśnić włączenie dopalacza? Uważam, że od samego początku miałem rację: Teela Brown ma szczęście, które należy rozpatrywać w kategoriach dziedzicznych zdolności psychicznych.

- W takim razie, dlaczego udało ci się ją zwerbować? Dlaczego „Kłamca” uległ katastrofie? Odpowiedz!

- Uspokójcie się - spróbował przerwać im Louis. Nie zwrócili na jego słowa żadnej uwagi.

- Najwidoczniej jej szczęście nie jest całkowicie niezawodne - odparł Nessus.

- Gdyby zawiodło ją choć raz, byłaby już martwa.

- Gdyby była martwa lub ranna, nie wziąłbym jej na wyprawę. Musimy pozostawić trochę miejsca przypadkowi. Nie zapominaj, Mówiący, że rachunek prawdopodobieństwa uznaje istnienie czegoś takiego, jak przypadek.

- Ale nie czegoś takiego, jak czary. Nigdy nie uwierzę w dziedziczenie szczęścia.

- Będziesz musiał - stwierdził po prostu Louis. Tym razem usłyszeli, mógł więc mówić dalej - Powinienem być domyśleć się tego dużo wcześniej. Nie dlatego, że omijały ją wszelkie nieszczęścia. Chodzi o różne drobnostki w jej osobowości. Ona naprawdę ma szczęście, Mówiący. Uwierz w to.

- Louis, jak możesz opowiadać takie bzdury?

- Nigdy nie stała się jej żadna krzywda. Nigdy.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Wiedziała wszystko o przyjemności, nic o bólu. Pamiętasz, co powiedziała, kiedy zaatakowały cię słoneczniki? Zapytała, czy widzisz. „Jestem ślepy”, odpowiedziałeś. A ona na to: „Tak, ale czy w i d z i s z?” Nie uwierzyła ci.

Albo zaraz po katastrofie. Próbowwała wejść na bosaka na zbocze dymiącej lawy.

- Po prostu nie jest zbyt inteligentna, Louis.

- Nieżas, właśnie, że jest! Po prostu nie wie, co to ból! Kiedy oparzyła sobie stopy, zbiegła na dół po powierzchni tysiąc razy bardziej śliskiej od lodu i nie upadła!

Zresztą, nie trzeba aż takich szczegółów. Wystarczy, że popatrzysz, jak chodzi. Niezgrabnie. Sprawia wrażenie, jakby lada moment miała upaść. Ale nie upada. Nie rozbija sobie łokci. Niczego nie upuszcza ani nie rozlewa. Nigdy tego nie robiła. Po prostu nie wiedziała, że tak można, rozumiesz? Nie potrzebuje więc wcale być zgrabna i delikatna.

- U stworzeń innych, niż ludzie to, co mówisz nie byłoby wcale takie oczywiste - powiedział z powątpiewaniem Mówiący-do-Zwierząt. - Wierzę ci na słowo, Louis. Ale jak mam uwierzyć w dziedziczne szczęście?

- Ja wierzę. Muszę.

- Gdyby jej szczęście było niezawodne - wtrącił Nessus -to przede

wszystkim nigdy nie próbowałyby nawet chodzić po gorącej lawie. A jednak od czasu do czasu jej szczęście bierze nas pod swoje skrzydła. Pocieszające, nieprawdaż? Już dawno nie żylibyście, gdyby akurat nad polem słoneczników nie rozciągała się gęsta pokrywa chmur.

- Właśnie - potwierdził Louis. Ale chmury rozstały się na tyle, by słoneczniki zdążyły dotkliwie poparzyć kszina. W Niebie Teela jechała sobie wygodnie ruchomymi schodami, podczas gdy Louis musiał iść na piechotę. Jego dłoń, podobnie jak dłoń kszina, była jeszcze zabandażowana, natomiast jedyną szkodą, jakiej doznała Teela była dziura w bagażniku jej skutera.

- Jej szczęście chyba jednak lepiej chroni ją, niż nas - powiedział.

- To chyba oczywiste. Wydajesz się czymś zmartwiony; Louis.

- Może i jestem... - przyjaciele Teeli dawno już przestali opowiadać jej o swych kłopotach. Teela nie rozumiała, co to w ogóle jest. Wy tłumaczyć jej, czym jest ból byłoby równie trudno, co wyjaśnić niewidomemu, co to jest kolor.

Nagłobieg serca? Teela nigdy nie przeżywała rozterek miłości. Mężczyzna, którego chciała, przychodził do niej, był, aż się nim znudziła, potem odchodził.

Od czasu do czasu dzięki swym nadzwyczajnym zdolnościom Teela stawiała się... trochę inna od reszty ludzi. Była ciągle kobietą, rzecz jasna, ale dysponującą niezwykłą siłą, odmiennymi zdolnościami i słabościami... I taką właśnie kobietę Louis kochał. Dziwne.

- Ona też mnie kochała - mruknął Louis. - Bardzo dziwne. Nie jestem przecież w jej typie. A jeśli mnie nie kochała, to...

- Słucham? Louis, mówisz do mnie?

- Nie, Nessus. Mówię do siebie... - Jaka była prawdziwa przyczyna, dla której zdecydowała się przyłączyć do Louisa Wu i jego pstrokatej załogi? Zagadka gmatwała się coraz bardziej. Czyżby jej niespotykane szczęście kazało jej zakochać się w nieodpowiednim mężczyźnie, wziąć udział w męczącej i niebezpiecznej wyprawie, podczas której w każdej chwili groziła jej śmierć? To nie miało żadnego sensu.

Nad tablicą przyrządów dostrzegł jakieś poruszenie. Teela ocknęła się i uniosła głowę. Spojrzała, nic nie rozumiejąc... a jej oczy wypełniły się przerażeniem. Patrzyła w dół. Na jej ślicznej twarzy pojawiło się ohydne znamię szaleństwa.

- Spokojnie - powiedział uspokajającym tonem Louis. - Tylko spokojnie. Odpręż się. Wszystko w porządku.

- Ale... - wyskrzeczwała nie swoim, wysokim głosem.

- Wyszliśmy już z tego. Zostało daleko za nami. Obejrzyj się.

Odwróciła głowę. Przez długą - chwilę Louis widział tylko zmierzwione, czarne włosy. Kiedy pojawiła się znowu, jej twarz była już znacznie bardziej opanowana.

- Nessus, powiedz jej.

- Od ponad pół godziny lecis z czterokrotną prędkością dźwięku - odezwał się lalecznik swoim łagodnym głosem. - Musisz wyhamować. Włóż palec wskazujący do otworu oznaczonego kolorem zielonym...

Chociaż ciągle przerażona, mogła przynajmniej wykonywać polecenia.

- Teraz musisz wrócić do nas. Oddaliłeś się po olbrzymim łuku. Ponieważ nie masz odpowiednich przyrządów, będziesz musiała stosować się cały czas do moich wskazówek. Na razie wykręć w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Pierścienia.

- To znaczy, w którą stronę?

- Skręcaj w lewo tak długo, aż zobaczysz przed sobą podstawę Łuku.

- Nie widzę go. Muszę wznieść się nad chmury. - Sprawiała wrażenie, jakby już całkiem wróciła do normy. A jednocześnie bardzo się bała! Louis nigdy w życiu nie widział kogoś aż tak przerażonego. A już szczególnie Teeli.

Czy w o g ó 1 e widział kiedyś przerażoną Teelę?

Rzucił krótkie spojrzenie przez ramię. Ziemia była niewidoczna w ciemności, ale Oko, błękitne w błękitnej poświacie Łuku Nieba spoglądało na nich w skupieniu, lecz bez najmniejszego nawet śladu żalu.

Louis był głęboko pogrążony w myślach, kiedy jakiś głos wypowiedział jego imię.

- Tak? - ocknął się.

- Nie jesteś zły?

- Zły? - powtórzył z zastanowieniem. Właściwie to, co zrobiła według normalnych kryteriów należałoby ocenić jako szaleństwo i monstrualną głupotę. Spróbował wywołać w sobie gniew, tak jak próbuje się wywołać stary, zapomniany ból zęba. Nic z tego.

Postępowania Teeli Brown nie można było oceniać według normalnych kryteriów.

Ząb był martwy.

- Chyba nie. A właściwie, co tam zobaczyłaś?

- Mogłam zginać- powiedziała z narastającym gniewem Teela. -Nie potrząśnij nade mną głową, Louis. Mogłam zginać! Nic cię to nie obchodzi.

- A ciebie?

Odrzuciła głowę, jakby właśnie ją spoliczkował. Dostrzegł jeszcze ruch jej dłoni - i zniknęła.

W chwilę później zjawiała się z powrotem.

- Tam była dziura! - parsknęła z wściekłością. - Dziura i mgła.

- Duża?

- Skąd niby mam wiedzieć? - I znowu zniknęła.

Słusznie. Jak mogła ocenić jej wielkość, nie dysponując żadną skalą porównawczą?

Ryzykuje życiem, pomyślał Louis, a potem jest na mnie zła za to, że nie jestem na nią zły. Czyżby po prostu próbowała zwrócić na siebie uwagę? Od jak dawna to robi?

Gdyby na jej miejscu znalazł się ktokolwiek inny, już dawno by nie żył.

- Ale nie ona - powiedział na głos. - Nie ona...

Czy boję się o Teelę Brown?

A może zwariowałem? W jego wieku wszystko mogło się zdarzyć. Człowiek tak stary jak Louis Wu widział już niejednokrotnie, jak zdarzają się rzeczy niemożliwe. Dla kogoś takiego granica między fantazją a rzeczywistością mogła się zatrzeć, albo nawet zupełnie zniknąć. Mógł wpaść w ultrakonserwatyzm, odrzucając to, co niemożliwe nawet wtedy; gdy było to już rzeczywistością. Jak Kragen Perel, który nie chciał uwierzyć w istnienie napędu bezprzeciążeniowego, ponieważ było to niezgodne z drugim prawem termodynamiki. Mógł też wierzyć we wszystko, co mu powiedziano, jak Zero Hale, który wędrował po poznanym Kosmosie skupując rzekome pamiątki po

Slaverze.

Wszędzie czyhało szaleństwo.

- Nie! - Jeśli Teela Brown unika pewnej śmierci tylko dlatego, że uderza głową w tablicę przyrządów, to jest to coś więcej, niż przypadek.

Dlaczego doszło do katastrofy „Kłamcy”?

Między Louisem a skuterem kżina pojawił się nowy obiekt.

- Witamy - powiedział Louis.

- Dziękuję - odparł Nessus. Sądząc po tym, jak szybko się zjawił, musiał korzystać z dopalacza. Mówiący zaprosił go przecież do towarzystwa nie więcej niż dziesięć minut temu.

Znad tablicy wskaźników przyglądały się Louisowi dwie trójkątne, na pół przezryste głowy.

- Czuję się teraz bezpieczny. Za pół godziny, kiedy dołączy do nas Teela, będę się czuł jeszcze bezpieczniejszy.

- Dlaczego?

- Szczęście Teeli Brown osłania także i nas, Louis.

- Nie wydaje mi się. - Louis pokręcił z powątpiewaniem głową.

Kżin w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Tylko Teeli nie było na linii.

- Niepokoi mnie twoja arogancja - powiedział Louis. - Hodowanie ludzi i kżinów świadczy o wręcz szatańskiej arogancji. Słyszałeś kiedyś o Szatanie?

- Czytałem o nim w książkach.

- Snob. Ale jeszcze większa od twojej arogancji jest twoja głupota. Beztrosko uznajesz za oczywiste, że co jest dobre dla ciebie, jest też dobre dla Teeli. Dlaczego tak uważasz?

- No... - zająknął się Nessus. - To chyba naturalne. Jeżeli jesteśmy zamknięci w tej samej kabinie, to uderzenie meteorytu jest równie niebezpieczne dla niej, jak i dla mnie.

- Zgadza się. Przypuśćmy jednak, że przelatujecie nad miejscem, w którym Teela chce wylądować, ty zaś nie. Jeżeli akurat wtedy nastąpi awaria silnika,

to korzyść odnosi wyłącznie Teela, nie ty.

- Co za nonsens! Dlaczego Teela chciałyby lądować na Pierścieniu? Przecież nawet nie wiedziała o jego istnieniu, dopóki jej o tym nie powiedziałem!

- Po prostu ma szczęście. Gdyby miała tu przybyć nie wiedząc o jego istnieniu, z pewnością by przybyła. Wtedy to szczęście trudno by już nazwać sporadycznym i zawodnym, prawda, Nessus? Działałoby cały czas. To sprawa szczęścia, że jednak ją znalazłeś. To sprawa szczęścia, że nie udało ci się skontaktować z żadnym innym kandydatem. Te ciągłe omyłkowe połączenia, pamiętasz?

- Ale...

- To sprawa szczęścia, że się rozbiliśmy. Przypominasz sobie, jak kłóciłeś się z Mówiącym o to, kto ma dowodzić ekspedycją? No więc, teraz już wiesz.

- Nie mam pojęcia. - Louis przejechał dłonią po odrastających mu włosach.

- Czy niepokoi cię to pytanie, Louis? Mnie bardzo. Co takiego znajduje się na Pierścieniu, co by mogło okazać się dla niej atrakcyjne? Przecież tu jest... tu jest niebezpiecznie. Dziwne burze, źle zaprogramowane automaty, pole słoneczników, nieobliczalni tubylcy -wszystko to stanowi zagrożenie dla naszego życia.

- Ha! -wykrzyknął triumfalnie Louis. - Słusznie. To część odpowiedzi. Po prostu dla Teeli nie istnieje coś takiego, jak niebezpieczeństwo, rozumiesz? Zanim podejmiemy jakiegokolwiek działanie, powinniśmy wziąć to pod uwagę.

Lalecznik kilka razy otworzył i zamknął swoje bliźniacze usta.

- To trochę komplikuje sytuację, prawda? - zarechotał Louis. Rozwiązywanie problemów stanowiło dla niego przyjemność samą w sobie. - Ale to tylko część odpowiedzi. Jeżeli przyjmujemy, że...

Lalecznik zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Louis był wstrząśnięty. Nie oczekiwał, że Nessus aż tak bardzo się tym przejmie. Lalecznik krzyczał jeszcze przez chwilę, po czym bez widocznego pośpiechu schował obie głowy pod brzuch. Obraz w interkombie pokazywał jedynie zmierzwioną, gęstą grzywę.

Obok pojawiła się twarz Teeli.

- Rozmawialiście o mnie - stwierdziła bez większej emocji w głosie. (Nie



potrafiła ukryć urazy. Czy umiejętność ukrywania urazy stanowiła jeden z czynników decydujących o zdolności przeżycia?). -Próbowałam coś z tego zrozumieć, ale nie mogłam. Co mu się stało?

- To przez moją niewyparzoną gębę. Przestraszyłem go. Nie wiem, jak cię teraz znajdziemy.

- Nie możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

- Urządzenia lokacyjne są tylko na skuterze lalecznika.

Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego zatroszczył się o to, żebyśmy nie potrafili uruchomić dopalaczy.

- Też tak mi się wydaje.

- Chciał mieć pewność, że uda mu się uciec przed rozwścieczonym kzinem. Nieważne. Jak dużo zrozumiałaś?

- Niewiele. Pytaliście się nawzajem o to, dlaczego chciałam tutaj przylecieć. Nie chciałam, Louis. Przyleciałam tu z tobą, bo cię kocham. Louis skinał głową. Jasne. Jeżeli Teela miała tu przybyć, to musiała przecież mieć jakiś motyw. Nie było w tym nic dziwnego. Kochała go dlatego, że tak kazała jej własne szczęście. A jemu przez moment zdawało się, że kocha go dla niego samego...

- Przelatuję nad miastem - powiedziała nagle Teela. - Widzę trochę światła. Kiedyś musiało tu mieszkać masę ludzi. Mówiący na pewno ma je na swojej mapie.

- Warto mu się dokładniej przyjrzeć?

- Przecież mówię ci, że tu są ś w i a t ł a. Może... - Fonia i wizja zniknęły bez żadnego ostrzeżenia, jak ucięte nożem.

Louis przez dłuższą chwilę wpatrywał się w puste miejsce nad tablicą.

- Nessus? - wykrztusił niepewnie.

Cisza.

Włączył syrenę.

Tańczące na długich szyjach głowy lalecznika przypominały rodzinę węży, ewakuującą się z płonącego zoo. W innych okolicznościach byłoby to nawet śmieszne: wijące się szyje, wygięte w dwa znaki zapytania.

- Co się stało, Louis?

Pojawiła się także twarz kżina. Siedział w pełnej gotowości, czekając na informacje i wyjaśnienia.

- Coś stało się z Teelą.

- To dobrze - powiedział Nessus i schował głowy pod brzuch.

Louis wyłączył syrenę, odczekał chwilę, po czym włączył ją znowu. Lalecznik zareagował identycznie, jak poprzednio. Tym razem Louis odezwał się pierwszy:

- Jeżeli nie sprawdzimy, co się z nią stało, zabiję cię - powiedział spokojnie.

- Mam tasp - odparł Nessus. - Skonstruowaliśmy go tak, żeby działał zarówno na kżinów, jak i na ludzi. Widziałeś, że działa.

- Sądysz, że to mnie powstrzyma?

- Tak, Louis. Tak sądzę.

- O co się założysz? - zapytał powoli Louis.

Lalecznik zastanowił się przez chwilę.

- Próba uratowania Teeli będzie z pewnością bezpieczniejsza od takiego zakładu. Zapomniałem, że ona jest twoją samicą. - Jedna z jego głów spojrzała na wskazania przyrządów. - Zniknęła mi z lokatora. Nie wiem, gdzie teraz jest.

- Czy to znaczy, że jej skuter został uszkodzony?

- Tak. Nadajnik był umieszczony w pobliżu silnika. Prawdopodobnie dostała się w zasięg działania jakiegoś automatu podobnego do tego, który zniszczył nasze komunikatory.

- Hm. Ale wiesz, gdzie była, kiedy poprzednio przerwała połączenie?

- Znam kierunek, ale nie odległość. Możemy jej się tylko domyślać na podstawie niezbyt dokładnych obliczeń.

Skręcili w kierunku, który podał lalecznik. Po dwóch godzinach ciągle jeszcze nie natrafili na żadne światła i Louis zaczął się zastanawiać, czy aby nie zgubili tropu.

Trzy i pół tysiąca mil od Oka powinien znajdować się port, a za nim zatoka wielkości Oceanu Atlantyckiego. Teela z pewnością nie dotarła dalej. Port był ich ostatnią szansą...

Niespodziewanie na schodzącym w dół zboczu góry pojawiły się światła.

- Stać! - szepnął przez zaciśnięte zęby Louis, nie bardzo zdając sobie sprawę, dlaczego to robi. Ale kzin zdążył już zatrzymać ich w powietrzu.

Wisieli bez ruchu, przyglądając się okolicy.

Miasto. Wszędzie miasto. W dole, w błękitnej poświacie łuku Nieba widzieli domy o okrągłych oknach, oddzielone od siebie zaułkami zbyt wąskimi, żeby je można było nazwać ulicami. Z przodu domy były coraz większe i większe, aż w końcu wszystkie sięgały kilkudziesięciu pięter. Niektóre ciągle unosiły się w powietrzu.

- Tutaj inaczej budowali - szepnął Louis. - Nie tak, jak w Zignamuclickclick. Różne style...

- Drapacze chmur-powiedział Mówiący-do-Zwierząt. -Po co je stawiać, kiedy ma się do dyspozycji tyle miejsca?

- Aby udowodnić, że się potrafi. Nie, to bez sensu. Po zbudowaniu Pierścienia nie musieli niczego nikomu udowadniać.

- Może te wysokie domy stawiali później, już w schyłkowej fazie cywilizacji.

Światła: oślepiająco białe rzędy okien, kilka olbrzymich wież oświetlonych od parteru po dach. Wszystkie znajdowały się w obrębie czegoś, co musiało kiedyś stanowić centrum miasta, tam bowiem również zgrupowały się wszystkie latające budowle. Było ich sześć.

I jeszcze jedno: jarząca się pomarańczowym blaskiem plama, w sporej odległości do centrum. Siedzieli wokół mapy kзина na drugim piętrze jednego z przypominających ule budynków.

Mówiący uparł się, żeby wprowadzić do środka skutery. Względy bezpieczeństwa. Światło pochodziło z reflektorów jego pojazdu, skierowanych na wygiętą łukowato ścianę. Stół o blacie rzeźbionym w talerze i miski rozpadł się w pył, gdy Louis otarł się o niego. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Zdobiące niegdyś ścianę malowidło spoczywało u jej podnóża w postaci kolorowego proszku.

Louis czuł, jak wiek miasta osiada mu na barkach kamiennym ciężarem.

- Kiedy powstawały zapisy na taśmach, które widzieliśmy w Niebie, było to jedno z największych miast Pierścienia - powiedział kzin. Przesunął zakrzywionym pazurem po mapie. - Miasto powstawało początkowo według starannie obmyślanej koncepcji, na planie półkola opierającego się o brzeg morza. Niebo zbudowano zapewne dużo później, kiedy miasto rozrosło się daleko poza początkowe granice.

- Szkoda, że nie sporządziłeś jego planu - zauważył Louis. Na mapie kzina widniało jedynie zamazane półkole.

Mówiący złożył mapę.

Taka olbrzymia metropolia kryje z pewnością wiele tajemnic. Musimy być bardzo ostrożni. Jeżeli cywilizacja Pierścienia ma się kiedykolwiek odrodzić, to właśnie tu musi szukać tajników zaginionych technologii.

A co z metalami i innymi surowcami? - zaproponował Nessus. - Ta cywilizacja już nigdy nie osiągnie dawnej świetności. Nie ma rud metali, które można by wydobywać, nie ma paliw płynnych. Jedynymi dostępnymi narzędziami pozostają drewno i kość.

Widzieliśmy przecież światła.

Rozrzucone bez żadnego ładu i składu. Świecą po prostu tam, gdzie działają jeszcze źródła energii. Ale oczywiście możecie mieć rację. Jeżeli mieszkają tu ci, którzy zaczęli znowu wytwarzać bardziej skomplikowane narzędzia, musimy się z nimi skontaktować. Ale to m y będziemy ustalać warunki.

Skąd wiesz, że już nie zlokalizowano naszych interkomów?

Stąd, że działają w kierunkowym obwodzie zamkniętym.

Louis słuchał tego jednym uchem. Po głowie goniły mu niespokojne myśli. „Może być ranna. Może gdzieś, bezradna, czekając na pomoc”.

Ale jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Wszystko wskazywało na to, że Teela wpakowała się na jakiś stary automat, może jakąś broń, która unieszkodliwiła nadajnik i system napędowy. Albo i coś więcej...

Dlaczego więc nie mógł wywołać w sobie potrzeby szybkiego działania? Louis Wu, roztrząsający wszystkie za i przeciw jak nieczuły komputer, podczas gdy jego kobiecie zagraża nieznanie niebezpieczeństwo...

Jego kobiecie... Ale tu chodziło jeszcze o coś innego.

Jakąż głupotą ze strony Nessusa było sądzić, że człowiek, który miał po swojej stronie szczęście będzie myślał dokładnie tak samo, jak inni ludzie! Gdyby na miejscu Teeli znalazł się jakiś lalecznik, to czy myślałby tak samo, jak na przykład Chiron?

Chyba, że lęk był już zakodowany w ich genach.

Ale każdy człowiek musiał dopiero nauczyć się bać.

- Musimy przyjąć, że szczęście Teeli opuściło ją tylko chwilowo - mówił tymczasem lalecznik. - Należy z tego wysnuć wniosek, że nic się jej nie stało.

- Co takiego? - zdumiał się Louis. Zupełnie, jakby Nessus podsłuchał jego myśli.

- Awaria skutera musiałaby zakończyć się jej śmiercią. Jeżeli przeżyła, została uratowana natychmiast, kiedy tylko jej szczęście znowu zaczęło działać.

- To śmieszne! Nie oczekujesz chyba, że siła psychiczna podporządkowuje się jakimkolwiek prawom!

- Logika jest nieubłagana, Louis. Twierdzę, że Teeli nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Jeżeli żyje, może poczekać. My zaś zaczekamy do rana, żeby rozejrzeć się po okolicy.

- A co potem? Jak ją znajdziemy?

- Jeżeli sprzyjało jej szczęście, trafiła w dobre ręce. Będziemy musieli je odszukać. Jeśli ich nie znajdziemy, nie pozostanie nam nic innego, jak czekać na jakiś sygnał. Istnieje wiele sposobów, z których będzie mogła skorzystać.

- Oni używają światła - wtrącił Mówiący.

- Zgadza się. I co z tego?

- Możliwe, że reflektory jej skutera ciągle działają. Jeżeli tak jest, z pewnością zostawi je włączone.

Twierdzisz przecież, że jest inteligentna.

- Bo jest!

- I nie potrafi wyobrazić sobie niebezpieczeństwa. Będzie chciała, żebyśmy ją znaleźli i nie przyjdzie jej na myśl że może ją znaleźć ktoś inny. Jeżeli reflektory również nie działają, ma jeszcze laser.

- Chcesz powiedzieć, że nie będziemy w stanie znaleźć jej w dzień.

Masz rację - przyznał Louis.

- Przede wszystkim musimy zbadać miasto przy świetle dziennym - powtórzył Nessus. - Jeżeli znajdziemy jakichś mieszkańców, to znakomicie. Jeżeli nie, to jutro wieczorem rozpoczniemy poszukiwania Teeli.

- Pozwoliłbyś leżeć jej gdzieś przez trzydzieści godzin! Ty zimnokrwisty... Nieżas! Ta pomarańczowa plama to mogła być właśnie ona i płonące budynki!

Mówiący zerwał się z miejsca.

- Słusznie. Musimy to zbadać.

- Ja jestem Najlepiej Ukrytym tej floty. Powtarzam, że użyteczność i wartość Teeli Brown nie usprawiedliwia ryzyka nocnego lotu nad obcym miastem.

Kzin siedział już w swoim skuterze.

- Znajdujemy się na potencjalnie wrogim Terytorium. Przejmuję dowodzenie. Udajemy się na poszukiwanie zaginionego członka wyprawy.

Kzin wystartował, przeprowadzając ostrożnie skuter przez owalne okno. Na zewnątrz czekało bezimienne miasto.

Pozostałe skutery znajdowały się na parterze. Louis schodził po schodach możliwie szybko, ale i ostrożnie, bowiem wiele stopni rozpadało się pod najlżejszym nawet stąpieniem.

Nessus spojrzął w dół zza balustrady.

- Zostaję tutaj, Louis. Uważam to za bunt.

Louis nie odpowiedział. Jego skuter wzniósł się w górę i dołączył do czekającego na zewnątrz kzina.

Noc była chłodna. Blask Łuku Nieba kąpał miasto w powodzi granatowych cieni. Dwa skutery pomknęły w kierunku jarzącej się pomarańczowo plamy, w bok od rzęście oświetlonych wież centrum:

Miasto, miasto, miasto. Nigdzie nawet skrawka parku czy skweru. Po co

budować tak ciasno, kiedy miało się do dyspozycji tak ogromną przestrzeń? Nawet na zatłoczonej Ziemi ludzie lubili mieć dostatecznie dużo miejsca, żeby nie trącać się ciągle łokciami.

- Zostajemy nisko - odezwał się głos klina. - Jeżeli okaże się, że to na przykład oświetlenie ulic, wracamy do Nessusa. Nie można wykluczyć, że Teela została jednak zestrzelona.

- Dobra - powiedział Louis. W duchu jednak pomyślał : - Patrzcie tylko, jaki jest ostrożny w obliczu czysto hipotetycznego przeciwnika. Słynny z odwagi kzin w porównaniu z brawurą Teeli wydawał się przynajmniej równie tchórzliwy, jak lalecznik.

Gdzie ona teraz była? Ranna, martwa, czy może tylko przestraszona?

Poszukiwania cywilizowanych mieszkańców Pierścienia rozpoczęli jeszcze przed przymusowym lądowaniem „Kłamcy”. Czyżby teraz miały zakończyć się powodzeniem? Chyba tylko ta możliwość powstrzymała Nessusa przed tym, żeby zostawić Teelę jej własnemu losowi. Groźby Louisa nic nie znaczyły i lalecznik doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Jeżeli owi cywilizowani mieszkańcy Pierścienia mieli okazać się ich wrogami... Cóż, nie było to wcale takie niemożliwe.

Skuter zaczął zbaczać lekko w lewo. Louis skorygował kurs.

- Louis... - odezwał się trochę niepewnie Mówiący. - Zdaje się, że są jakieś zakłócenia. .. - A potem ostrym, nawykłym do wydawania rozkazów głosem - Zawracaj! Natychmiast zawracaj!

Głos kзина zdawał się wwiercać mu bezpośrednio w mózg. Louis momentalnie wykonał polecenie.

Skuter dalej leciał naprzód.

Louis napał całym ciężarem ciała na drążek sterowy. Bez rezultatu.

Skuter pędził w kierunku skapanego w światłach centrum.

- Coś nas ztapało! - krzyknął Louis i w tym momencie dopadło go przerażenie. Byli tylko marionetkami! Wielki i wszechwiedzący Marionetkarz poruszał nimi zgodnie z sobą tylko znanym scenariuszem.

Louis Wu znał jego imię. „Szczęście Teeli Brown”

## 19. W pułapce

**B**ardziej praktyczny i trzeźwo myślący kzin włączył syrenę alarmową. Przerażliwy dźwięk wznosił się i opadał, zdawałoby się, bez końca. Louis zaczął się zastanawiać, czy lalecznik w ogóle zareaguje. Przypomniała mu się bajka o chłopcu, który krzyknął „Wilk!” o jeden raz za dużo... W tej samej jednak chwili interkom ożył podekscytowanym głosem Nessusa.

- Tak? Tak? Co się stało?

Oczywiście. Musiał przecież najpierw zejść na dół.

- Zostaliśmy zaatakowani - powiedział z zadziwiającym spokojem kzin. - Utraciliśmy kontrolę nad skuterami. Lecimy w nieznane miejsce. Co proponujesz?

Nie sposób było zgadnąć, o czym myśli lalecznik. Jego szerokie, chwytnie wargi poruszały się bezustannie, ale trudno było z tego cokolwiek wynioskować. Czy będzie mógł im pomóc? A może znowu wpadnie w panikę?

- Obróćcie interkomy tak, żebym mógł widzieć, którądy leciecie. Jesteście ranni?

- Nie - odparł Louis. - Ale nic nie możemy zrobić. Nawet wyskoczyć. Lecimy za wysoko i za szybko. Kierujemy się prosto w stronę centrum.

- Dokąd?

- To ta grupa jasno oświetlonych budynków. Pamiętasz?

- Tak. - Lalecznik zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Jakiś silny sygnał zagłusza wasz ślad. Mówiący, podaj mi odczyty przyrządów.

Podczas gdy kzin recytował szeregi liczb, znaleźli się całkiem blisko oświetlonej części miasta.

- Przelatujemy nad tymi pomarańczowymi światłami - przerwał kzinowi Louis.

- Czy to naprawdę światła uliczne?

- Tak i nie. Światło wydobywa się ze wszystkich otworów drzwiowych. Jest jakieś dziwne. Myślę, że to kiedyś rzeczywiście było oświetlenie ulic, tyle że z czasem trochę przygasało.



- Też tak uważam - odezwał się kzin.

- Nie chciałbym cię poganiać, Nessus, ale jesteśmy coraz bliżej. Zdaje się, że prowadzą nas do tego największego budynku w samym środku.

- Widzę go. Podwójny stożek z oświetloną górną połową.

- Zgadza się.

- Spróbuję was wyrwać. Louis, przełącz sterowanie na mnie.

Louis zrobił to.

Skuter szarpnął się bod nim, jakby jakaś olbrzymia stopa kopnęła go mocno w sam dziób, po czym silnik ryknął w agonii i zgasł.

Tuż przed nim i za nim wystrzeliły balony zderzeniowe, ściskając go niczym para troskliwych, złożonych dłoni. Louis ledwie mógł poruszyć głową.

Spadał.

- Spadam - oznajmił. Jego dłoń, przyciśnięta do tablicy przyrządów przez naprężoną, pneumatyczną powłokę dotykała ciągle wyłącznika sterowania. Odczekał jeszcze chwilę, mając nadzieję, że jego skuter podporządkuje się poleceniom lalecznika. Domy w dole rosły jednak zbyt szybko. Louis włączył z powrotem ręczne sterowanie.

Żadnej zmiany. Ciągle siadał.

- Mówiący; nie wyłączaj sterowania-powiedział ze spokojem, który zdumiał jego samego. -To nic nie daje.

Ponieważ widzieli jego twarz, czekał bez mrugnięcia okiem. Czekał na ostatnie spotkanie z Pierścieniem.

Hamowanie nastąpiło nagle i z olbrzymią siłą. Skuter odwrócił się do góry dnem, dzięki czemu Louis Wu został potraktowany przeciążeniem 5 g wisząc głową na dół.

Louis Wu zemdłał.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się cały czas w tej samej pozycji, utrzymując się na miejscu jedynie dzięki ściskającym go balonom. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu głowa. W jego przekrwionym mózgu pojawił się niewyraźny obraz klnącego na czym świat stoi Marionetkarza usiłującego

rozsupłać splątane sznurki, podczas gdy Louis Wu - marionetka podrygiwał na scenie głową na dół.

Unoszący się w powietrzu budynek był niski, szeroki i bogato zdobiony. Kiedy skutery zbliżyły się do niego, w ścianie otworzyły się szerokie wrota i połknęły je. Przesuwali się powoli przez ciemne wnętrza, kiedy skuter kżina bez żadnego ostrzeżenia odwrócił się do góry nogami. Momentalnie strzeliły balony, ratując Mówiącego przed fatalnym upadkiem. Louis uśmiechnął się kwaśno. Już wystarczająco długo znajdował się w tym niewesołym położeniu, żeby docenić wartość czyjś towarzystwa.

- Wasze położenie zdaje się wskazywać na to, że jesteście utrzymywani w powietrzu przez pole elektromagnetyczne - mówił Nessus. - Takie pole może podtrzymywać metale, ale nie protoplazmę, toteż...

Louis poruszył się, ale nie za mocno. Gdyby wyśliznął się spomiędzy balonów, czekałaby go pewna śmierć. Drzwi za nimi zatrzęsły się zbyt szybko, żeby wzrok Louisa zdążył przyzwyczać się do ciemności. Nie widział dosłownie nic. Nie miał pojęcia, jak daleko było do podłogi.

Usłyszał, jak Nessus pyta:

- Możesz sięgnąć tam ręką?

I odpowiedź kżina:

- Tak, jeśli się wcisnę... Ourrr! Miałeś rację. Obudowa jest gorąca.

- W takim razie silnik został spalony. Skutery są do niczego.

- Dobrze, że ten fotel nie przewodzi ciepła.

- Trudno się dziwić, że Inżynierowie tak doskonale opanowali władanie polami elektromagnetycznymi. W końcu; nie znali tak wielu innych rzeczy: napędu hiperprzestrzennego, sztucznej grawitacji, pola Slavera...

Louis wytrzeszczał oczy, próbując cokolwiek zobaczyć. Mógł odwrócić głowę, czując, jak szorstka powłoka balonu drapie jego policzek. Nic z tego - dokoła panowała doskonała ciemność.

Przesuwając dłoń cal po calu poczuł wreszcie pod palcami wyłącznik głównych reflektorów. Nie bardzo wiedział, dlaczego miałby działać, ale na wszelki wypadek wcisnął go.

Snopy białego światła rozcięły ciemność, docierając do odległej, wygiętej łukowato ściany.

Dokoła, na tej samej wysokości unosił się jakiś tuzin najróżniejszych pojazdów. Były wśród nich prawdziwe miniatutki, niewiele większe od odrzutowych olster, wehikuły zbliżone wielkością do ich skuterów, a nawet coś w rodzaju ciężarówki o przeszklonej kabinie.

Wśród tego latającego śmiecia znajdował się również odwrócony podwoziem do góry skuter Mówiącego-do-Zwierząt. Spod wzdętych balonów wyglądała naga głowa i wyciągnięta z wysiłkiem ręka kszina.

- Światło - powiedział Nessus. - Znakomicie. Właśnie miałem zamiar zaproponować, żebyście tego spróbowali. Czy rozumiecie, co to oznacza? Wszystkie elektryczne i elektromagnetyczne obwody waszych skuterów uległy przepaleniu w momencie ataku. Powtórny atak na Mówiącego, a być może i na ciebie, nastąpił w chwili, kiedy znaleźliście się we wnętrzu budynku.

- Który najprawdopodobniej jest po prostu więzieniem - wystękał Louis. Odnosił wrażenie, że zamiast głowy ma balon, do którego nalano dwa razy więcej wody, niż wynosi jego maksymalna pojemność. Mówił z coraz większym trudem. Ale przecież nie mógł pozwolić, żeby inni wszystko za niego robili, nawet jeżeli to „wszystko” polegało tylko na snuciu domysłów.

- A jeżeli istotnie jest to więzienie - podjął - to skąd wiemy, czy nie ma tu jeszcze jakiegoś sprytnego urządzonego na wypadek, gdyby któryś z więźniów znalazł się tutaj razem ze swoją bronią? Tak, jak my, na przykład.

- Na pewno jest coś takiego - odparł lalecznik. - Światła twojego skutera dowodzą jednak, że nie działa. Z pewnością musi to być automat, inaczej pilnowałby was jakiś strażnik. Uważam, że Mówiący może spokojnie korzystać z dezintegratora Slavera.

- To znakomicie - wyraził swą opinię Louis. - Tyle tylko, że rozglądałem się dookoła i...

On i Mówiący-do-Zmerząt pływali do góry nogami w napowietrznym Morzu Sargassowym. Jedno z trzech archaicznych, odrzutowych olster miało ciągle właściciela - szkielet był mały, ale z całą pewnością należał do człowieka. Na białych kościach nie pozostał nawet jeden strzęp skóry, w przeciwieństwie do kolorowych resztek ubrania, które musiało być wykonane z jakiegoś niezwykle wytrzymałego materiału.

Dwa pozostałe olstra były puste, ale przecież kości nie rozpułyły się w powietrzu... Louis odchylił głowę do tyłu... jeszcze bardziej...

Podłoga miała kształt olbrzymiego leja. Dokoła jego ścian znajdowały się cele. Na dno, usłane bielejącymi kośćmi, prowadziły spiralne schody.

Nic dziwnego, że właściciel olster nie zdecydował się na odpięcie pasów. Co prawda inni, uwięzieni podobnie jak on, woleli krótki lot ku czekającej na dole śmierci niż powolne konanie z głodu i pragnienia.

- Nie bardzo wiem do czego miałyby użyć tego dezintegratora - powiedział Louis.

- Ja też się nad tym zastanawiam.

- Jeżeli zrobi dziurę w ścianie, nic to nam nie da: Tak samo w suficie, do którego zresztą nie moglibyśmy dosięgnąć. Gdyby uszkodził generator pola elektromagnetycznego, czekałby nas upadek z wysokości dziewięćdziesięciu stóp. Jeżeli jednak nie zrobi nic, niebawem zaczniemy powoli umierać. Wtedy jedyną alternatywą będzie upadek.

- Zgadza się.

- I to wszystko? Po prostu „zgadza się”?

- Potrzebuję więcej danych. Czy któryś z was mógłby opisać dokładnie to, co widzi dookoła siebie? W interkomie mam tylko kawałek zakrzywionej ściany.

Robili to na zmianę. Mówiący włączył reflektory swojego skutera, dzięki czemu w ich więzieniu zrobiło się niemal zupełnie jasno.

Kiedy jednak Louis zamilkł, powiedziawszy wszystko, co miał do powiedzenia, wisiał bez zmian głową w dół nad groźną przepaścią.

Poczuł wzbierający mu gdzieś głęboko w gardle krzyk, na razie skryty jeszcze pod wieloma warstwami opanowania i spokoju, ale niedługo te warstwy zaczną jedna po drugiej pękać i krzyk będzie przesuwiał się coraz bliżej powierzchni...

Czy Nessus zostawi ich na pastwę losu?

Odpowiedź na to pytanie była wręcz oczywista. Wszystko przemawiało za tym, żeby tak zrobił, nic za tym, by uczynił coś innego.

Chyba że lalecznik ciągle miał nadzieję znaleźć tutaj przedstawicieli rozwiniętej cywilizacji.

- Wygląd tych pojazdów i wiek szkieletów świadczy o tym, że od bardzo dawna nikt tutaj nie zaglądał - odezwał się kzin. - Po opuszczeniu miasta trafiło tu jeszcze parę pojazdów, a potem nie miało już co tutaj trafiać. Dlatego te urządzenia jeszcze działają - przez cały czas nie były w ogóle używane.

- Być może - powiedział Nessus. - Ktoś podsłuchuje naszą rozmowę.

Lotus nadstawił uszu. Zauważył, że Mówiący-do-Zwierząt uczynił to w sensie jak najbardziej dosłownym.

- Trzeba niezwykle wyrafinowanej techniki, żeby przechwycić kierunkowy sygnał w obwodzie zamkniętym. Ciekawe, czy nasz podsłuchiwacz rozumie, o czym mówimy.

- Co wiesz o jego położeniu?

- Znam tylko kierunek. Źródło zakłóceń znajduje się w waszym najbliższym sąsiedztwie. Niewykluczone, że bezpośrednio nad wami.

Louis spróbował spojrzeć w górę. Bez powodzenia. Między nim a sufitem znajdowały się dwa nadmuchane balony i podwozie skutera.

- A więc jednak znaleźliśmy cywilizację Pierścienia - powiedział na głos.

- Cywilizowana istota naprawiłaby trzeci automat, ten w waszym pomieszczeniu. Najważniejsze więc będzie... Muszę się zastanowić.

I lalecznik rozśpiewał się Beethovenem, a może Beatlesami - w każdym razie czymś klasycznym. O ile Louis mógł się zorientować, potem zaczęły się już jego własne wariacje.

Kiedy Nessus powiedział „muszę się zastanowić”, rozumiał to jak najbardziej dosłownie. Muzyka rozbrzmiewała, zdawałoby się, bez końca. Louisowi chciało się pić. I jeść. I bolała go głowa.

Już kilka razy zdążył zupełnie stracić nadzieję, kiedy lalecznik wreszcie przemówił:

- Wolałbym co prawda użyć dezintegratora Slavera, ale trudno.

Louis, to będzie zadanie dla ciebie.

Jesteś potomkiem naczelnych i lepiej od kżina dasz sobie radę ze wspinaczką. Weź...

- Ze wspinaczką?

- Będziesz zadawał pytania, jak skończę. Weź laser i przekłuj jego promieniem balon znajdujący się przed tobą. Kiedy poczujesz, że spadasz, chwyc się mocno jego powierzchni i wejdź po niej na wierzch skutera. Potem...

- Zwariowałeś, Nessus.

Daj mi skończyć. Chodzi o unieszkodliwienie wszelkich działających automatycznie urządzeń, które mogłyby zareagować na użycie broni. Najprawdopodobniej są dwa: jedno pod lub nad drzwiami, drugie gdziekolwiek indziej. Jediną wskazówką dla ciebie będzie to, że z pewnością niczym się nie różni od pierwszego.

- Chyba, żeby się różniło. Jasne. Nie przejmuj się. Może mi tylko wyjaśnisz, jak, twoim zdaniem, mam chwycić się powłoki eksplodującego balonu, żeby... Nie, to niemożliwe.

- A jak ja mam dotrzeć do was wiedząc o tym, że znajdę się w zasięgu urządzenia mogącego zniszczyć także i mój skuter?

- Nie wiem.

- Może oczekujesz, że Mówiący zrobi to za ciebie?

- A czy koty nie potrafią się wspinać?

- Ja pochodzę od kotów nizinnych, Louis - odezwał się kzin. - Nie zagoiła mi się jeszcze dłoń. Nie potrafię się szybko wspinać. Zresztą, i tak propozycja pożeracza liści jest czystym szaleństwem. Nie rozumiesz, że on szuka po prostu pretekstu, żeby nas opuścić?

Louis doskonale to rozumiał. Zdaje się, że na jego twarzy odbiła się przynajmniej część strachu, który odczuwał, bowiem Nessus powiedział.

- Nie opuszczę was jeszcze. Poczekam. Może wymyślicie lepszy plan. Może pojawi się ten, który nas podsłuchuje. Poczekam. Trudno się dziwić, że wciśnięty głową w dół między dwa balony Louis stracił właściwie poczucie czasu. Nic się nie zmieniało. Nic się nie poruszało. Przez interkom słyszał pogwizdywanie lalecznika, i to wszystko.

Wreszcie zaczął liczyć uderzenia swojego serca. Siedemdziesiąt dwa na minutę. Mniej więcej.

Dokładnie dziesięć minut później powiedział:

- Siedemdziesiąt dwa. Minuta. Coją robię?

- Mówiłeś coś do mnie, Louis? ,

- Nieżas! Mówiący, mam tego dosyć. Wolę umrzeć, niż zwariować. - Zaczął

wyswobadzać ręce.

- Louis, znajdujemy się w warunkach bojowych. Rozkazuję ci zachować spokój i nic nie robić!

- Przykro mi. - Szarpnięcie, odpoczynek. Szarpnięcie, odpoczynek. Jeszcze trochę.

- Propozycja lalecznika to pewna śmierć.

- Być może - Wreszcie miał laser w dłoni. Skierował go w przód - zniszczy pewnie tablicę przyrządów, ale to i tak nie miało większego znaczenia.

Nacisnął spust.

Przedziurawiony balon zaczął się powoli zapadać, zaś ten, który znajdował się za plecami Louisa pchał go do przodu, zajmując zwalniającą się przestrzeń. Louis schował pośpiesznie laser za pas i chwycił mocno dłońmi flaczejącą powłokę.

Poczuł, że wyslizguje się z fotela... zacisnął kurczowo palce... a w chwilę później wisiał już na rękach pod skuterem, nad otwierającą się pod nim dziewięćdziesięciostopową przepaścią.

- Mówiący!

- Jestem, Louis. Mam dezintegrator. Przekłuć drugi balon?

- Tak! - Inaczej nigdy nie uda mu się przedostać na wierzch, a właściwie na spód skutera.

Balon nie zapadał się, jak pierwszy, lecz po prostu zamienił się w obłok nieważkiego pyłu. Kzin nie pożałował mu ładunku.

- Na łapy finagla! - mruknął Louis. - Dobrze, że wcelowałeś. - I zaczął się wspinać.

Po powłoce balonu szło mu nawet nie najgorzej. Czytaj: mimo spędzenia kilku godzin w pozycji głową na dół Louisowi udało się nie spaść. Prawdziwe kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy dotarł do samego skutera. Nie bardzo miał jak na niego wejść, tym bardziej że maszyna przechyliła się wyraźnie w jego stronę.

Przycisnął się do skutera najbliżej, jak mógł, obejmując jego konstrukcję rękami i nogami, po czym zaczął nim kołysać.

Mówiący-do-Zwierząt wydawał jakieś zdumione odgłosy.

Skuter zabujał się w przód i w tył, więcej, jeszcze więcej. Louis przyjął założenie, że większość metalowych części znajdowała się w spodniej stronie pojazdu. Gdyby było inaczej, skuter przekręcałby się tylko bezustannie z boku na bok, nie zajmując na dłużej żadnej ustabilizowanej pozycji. Poza tym, Nessus chyba nie zaproponowałby wtedy swego ryzykownego planu...

Skuter kołysał się niczym pełnomorski jacht podczas sztormu. Louis czuł wzbierające nudności. Gdyby teraz zaczął wymiotować i zakrztusiłby się raz czy drugi, byłoby po nim.

Jeszcze jedno wahnięcie i maszyna wykonała wreszcie pełny obrót, potem zatoczyła się na bok, jeszcze raz, znowu obrót, jeszcze jeden...Louis, rozplaszczony niczym żaba zakrztusił się i stracił - co? Wczorajsze śniadanie? Nieważne. Wymiotował z twarzą przyciśniętą do gładkiej, metalowej powierzchni. Nie przesunął się nawet o jeden cal.

Skuter kołysał się jeszcze trochę, ale znajdował się już w normalnym położeniu. Louis odważył się spojrzeć w górę.

Przyglądała mu się kobieta.

Wydawała się zupełnie łyśa. Rysy jej twarzy przypominały Louisowi ową drucianą rzeźbę wiszącą w sali bankietowej Nieba. Rysy twarzy, a także jej wyraz. Była spokojna jak bogini lub nieboszczyk. A on marzył tylko o tym, żeby się gdzieś schować.

- Mówiący, jesteśmy obserwowani - powiedział zamiast tego. - Przekaż Nessusowi.

- Chwileczkę, Louis. Muszę dojść do siebie. Popełniłem błąd i przyglądałem się twojej wspinaczce.

- W porządku. Ona jest... Myślałem, że jest zupełnie łyśa, ale nie.

Ma wąski pasek długich włosów, sięgających prawie do ramion. - Nie powiedział, że te włosy są gęste i kruczoczarne i że opadają jej na jedno ramię, kiedy pochylała głowę, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Nie powiedział też, że ma delikatną, pięknie ukształtowaną czaszkę, ani że jej oczy przeszywają go niczym oliwkę zanurzoną w martini.

- Myślę, że jest Inżynierem. Albo należy do tej rasy, albo hołduje tym samym zwyczajom. Masz to wszystko?

- Tak. Gdzie nauczyłeś się tak wspinać? Zupełnie, jakby przestała działać



siła ciężkości. Kim jesteś, Louis?

Louis, przyciśnięty kurczowo do wraku swego skutera, zaśmiał się na głos. Pochłonęło to resztę jego sił .

- Jesteś wyznawcą religii Kdapta-kaznodziei - powiedział. - Przyznaj się.

- Wychowywano mnie w tej wierze, ale nauki nie trafiły mi do przekonania.

- Jasne. Masz łączność z Nessusem?

- Tak. Użyłem syreny.

- Więc przekaz mu: jest jakieś dwadzieścia stóp nade mną. Przygląda mi się, jakbym był wężem. Nie twierdzą, że jest mną zainteresowana, twierdzą, że nie interesuje jej n i c poza mną. Mruga, ale nawet na moment nie odwraca wzroku. Siedzi w czymś w rodzaju przeszklonej budki. To znaczy, kiedyś przeszklonej. Teraz to po prostu ogrodzona platforma. Siedzi na podłodze z przewieszonymi nogami. Pewnie stamtąd zawsze obserwowano więźniów. Ma na sobie... Nie powiem, żeby mi się podobało. Na dole do kolan, na górze do łokci, baloniaste...- Ale to chyba niezbyt interesujące dla kżina i lalecznika. - Materiał z całą pewnością sztuczny. Albo nowy, albo niezwykle trwały i wytrzymały... - Louis przerwał, bowiem dziewczyna coś powiedziała.

Czekał. Powtórzyła, cokolwiek to było - niezbyt długie zdanie.

Po czym wstała z wdziękiem i wyszła.

- Poszła sobie. Pewnie zaczęło jej się nudzić.

- Albo wróciła do swoich urządzeń podsłuchowych.

- Możliwe. - Jeżeli ów podsłuchiwacz znajdował się w tym budynku, to brzytwa Ockhama kazała przyjąć, że była nim właśnie ona. .

- Nessus mówi, że bxs ustawił laser na małą moc i szeroki zasięg i użył go jako reflektora, kiedy ta kobieta wróci. Ja mam nie pokazywać dezintegratora. Kobieta najprawdopodobniej może nas zabić jednym ruchem palca. Nie może zobaczyć u nas żadnej broni.

- Więc jak mamy pozbyć się tych automatycznych czujników?

Odpowiedź kżina nadeszła z kilkusekundowym opóźnieniem.

- Nie będziemy się ich pozbywać. Nessus mówi; że spróbujemy czegoś innego. Ma zamiar tu się zjawić.

Louis pozwolił swojej głowie opaść swobodnie na chłodną, metalową powierzchnię. Ulga, jaką poczuł była tak wielka, że nie był w stanie się odezwać, dopóki nie doszły go słowa kżina:

- Wszyscy trzej znajdziemy się w jednej pułapce. Louis, jak mam go od tego odwieść?

- Powiedz mu to. Albo nie, nie rób tego. Gdyby nie był pewien, że to bezpieczne, nigdy by tak nie postąpił.

- Ale jak to może być bezpieczne?

- Nie wiem. Daj mi odpocząć.

Lalecznik z pewnością wie, co robi. Nie pozostało im nic innego, jak zaufać jego tchórzostwu. Louis oparł policzek na gładkiej powierzchni... Zapadł w drzemkę.

Jego podświadomość cały czas pamiętała, gdzie jest i w jakim położeniu. Przy najlżejszym poruszeniu skutera natychmiast szeroko otwierał oczy. Jego sen bardziej przypominał jakiś nieprawdopodobny koszmar, niż cokolwiek innego.

Kiedy rozblęsnęło światło, od razu się obudził.

Światło wpadało przez szeroki, poziomy otwór, służący tutaj za drzwi. W rażącym oczy blasku do wnętrza majestatycznie wpłynął odwrócony do góry nogami skuter lalecznika. Jego właściciel wisiał głowami na dół, utrzymując się w fotelu bardziej przytrzymywany przez specjalną uprzęż, niż dzięki balonom.

Drzwi zamknęły się.

- Witamy - wycedził Mówiący-do-Zwierząt. - Możesz odwrócić mnie głową do góry?

- Na razie nie. Czy dziewczyna pojawiła się po raz drugi?

- Nie.

- Przyjdzie. Ludzie są bardzo ciekawscy, Mówiący. Z pewnością nigdy przedtem nie widziała ani mnie, ani ciebie.

- I co z tego? Już mam dosyć tego wiszenia! - jęknął kżin.

Lalecznik dotknął jakiegoś przycisku na tablicy przyrządów swojego skutera i

stał się cud: maszyna ustawiła się w normalnym położeniu.

- Jak? - zapytał tylko Louis.

- Kiedy tylko przejęli kontrolę nad skuterem, wyłączyłem wszystko, co dało się wyłączyć. Nawet gdyby pole elektromagnetyczne nie złapało mnie, zawsze zdążyłbym w ostatniej chwili włączyć silniki. Teraz wszystko powinno się udać. Kiedy dziewczyna znowu tutaj przyjdzie, zachowujcie się przyjaźnie. Louis, możesz mieć z nią stosunek seksualny, jeśli sądzisz, że mogłoby to nam w czymś pomóc. Mówiący, Louis jest naszym panem, a my jego służącymi - kobieta może cierpieć na ksenofobię. Jeżeli zobaczy, że te niezwykle istoty słuchają jednak rozkazów człowieka, może być bardziej przychylna.

Louis zupełnie szczerze roześmiał się. Koszmarny półsen dał mu jednak odrobinę niezbędnego wypoczynku.

- Nie sądzę, żeby miała okazać się w jakikolwiek sposób przychylna, nie mówiąc już o czymś więcej. Nie widziałeś jej. Była zimna jak lodowe jaskinie Plutona, przynajmniej, jeśli chodzi o moją osobę. Szczerze mówiąc, wcale jej się nie dziwię. - Widziała przecież, jak zwracam swój ostatni posiłek. Taki widok trudno uznać za romantyczny.

- Będzie szczęśliwa za każdym razem, kiedy na nas spojrzy - powiedział Nessus. Przebywając gdzie indziej będzie czuła, że czegoś jej brak. Jeżeli zbliży się do któregoś z nas, jej szczęście wzrośnie...

- Niezas! - wykrzyknął Louis. - Oczywiście!

- Rozumiecie? To dobrze. A tak przy okazji: w międzyczasie uczyłem się trochę miejscowego języka. Zdaje się, że moja wymowa i gramatyka są prawie bez zarzutu. Gdybym tylko wiedział, co znaczą słowa, którymi się posługuję... Mówiący już nawet przestał się skarżyć. Przez pewien czas miotał na Louisa i Nessusa obelgi za to, że nie mogą mu pomóc. Ale od dosyć dawna zachowywał się zupełnie cicho.

Louis znowu drzemał.

Przez sen usłyszał jakieś dzwonki i momentalnie się obudził.

Schodziła po schodach, brzęcząc zawieszonymi u sandałów dzwoneczkami. Tym razem miała na sobie długą suknię z kilkoma odstającymi, dużymi kieszeniami. Długie, czarne włosy zwieszały się na jedno ramię.

Tylko spokojne dostojeństwo jej twarzy nie zmieniło się ani trochę.

Usiadła na platformie, zwieszając nogi nad przepaścią i spojrzała na Louisa

Wu. Nie poruszała się, podobnie Louis. Przez kilka nie kończących się minut patrzyli sobie prosto w oczy.

Potem sięgnęła do jednej z kieszeni i wyjęła coś wielkości zaciśniętej pięści i koloru pomarańczy. Rzuciła to w kierunku Louisa, tak, żeby przeleciało kilka cali poza zasięgiem jego ramion.

Louis poznał, co to było: soczysty owoc, taki sam, jakich kilka znalazł dwa dni temu na jakimś krzaku.

Załadował je do pojemnika regeneratora żywności, nie sprawdzając nawet, jak smakują.

Owoc rozbryztał się czerwoną plamą na dachu jednej z cel. W tej samej chwili Louis utopił się we własnej ślinie i poczuł nieprawdopodobne, obezwładniające pragnienie.

Rzuciła mu następny. Tym razem przeleciał bliżej, tak, że mógłby go dosięgnąć. Ale przewróciłby przy tym skuter. A ona doskonale o tym wiedziała.

Trzeci owoc pacnął go prosto w plecy. Przywarł mocniej do skutera, zastanawiając się ponuro, co też go jeszcze czeka.

W polu widzenia pojawił się skuter lalecznika.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

Nessus ukrywał się do tej pory za potężnym wrakiem powietrznej ciężarówki. Teraz, odwrócony znowu do góry nogami, podpłynął do Louisa, jakby przyniesiony przypadkowym prądem powietrza.

- Możesz ją uwieść? - zapytał szeptem.

Louis prychnął z wściekłością, ale w porę zdał sobie sprawę, że lalecznik nie kpi, tylko pyta zupełnie serio.

- Nie ma mowy - odpowiedział. - Ona myśli, że jestem jakimś zwierzęciem.

- W takim razie musimy spróbować odmiennej taktyki.

Louis oparł czoło o chłodny metal. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie podle.

- Spróbuj ty - powiedział. - Mnie na pewno nie uzna za równego sobie, może z tobą będzie inaczej. Nie będzie się z tobą porównywać, za bardzo się od niej różnisz.

Skuter lalecznika był już kilka stóp od niego. Nessus powiedział coś głośno w języku, w którym mówił ogolony dyrygent chóru: w świętym języku Inżynierów.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale... No, trudno to było nazwać uśmiechem, w każdym razie kąciki jej ust uniosły się lekko ku górze, zaś w oczach pojawiła się iskierka ożywienia.

Nessus zaczął od małej mocy. Od b a r d z o małej mocy.

Odezwał się ponownie i tym razem uzyskał odpowiedź. Jej głos był chłodny i melodyjny, zaś jeśli dla Louisa brzmiał zimno i władczo, to nie stanowiło to dla niego zaskoczenia, bo właśnie czegoś takiego się spodziewał.

Głos lalecznika momentalnie upodobnił się do głosu dziewczyny.

Po czym nastąpiła lekcja języka.

Nie było szans, żeby dla Louisa, balansującego niepewnie nad koszmarną przepaścią, ta lekcja nie była po prostu nudna. Od czasu do czasu wychwytywał jakieś słowo, nie mając oczywiście pojęcia, co może oznaczać. W pewnej chwili dziewczyna rzuciła Nessusowi pomarańczowy owoc; ustalili, że nazywa się „thrumb”. Nessus zatrzymał go. Nagle jego rozmówczyni wstała i wyszła.

- I co? - zapytał Lotus.

- Pewnie znudziło jej się - powiedział Nessus. - W każdym razie, nic na ten temat nie powiedziała.

- Umieram z pragnienia. Czy mógłbym skosztować tego thrumba?

- „Thrumb” oznacza tylko kolor lego skóry, Louis.

Lalecznik skierował swój pojazd z powrotem do Louisa i wręczył mu owoc.

Louis odważył się na oswobodzenie tylko jednej ręki. Oznaczało to, że grubą skórę będzie musiał odedrzeć niemal wyłącznie przy użyciu zębów. Zrobił to, a potem wgrzył się w soczysty miąższ. Była to najsmaczniejsza rzecz, jaką od dwustu lat miał w ustach.

- Wróci? - zapytał, kiedy już prawie skończył.

- Miejmy nadzieję. Działalem taspem bardzo delikatnie, żeby uwarunkować ją na poziomie podświadomości. Będzie jej tego brakowało. Uzależnienie

będzie się pogłębiało za każdym razem, kiedy mnie zobaczy. Louis, czy nie powinniśmy raczej skierować jej uczuć na ciebie

- Nie ma nawet mowy. Ona myśli, że jestem tubylcem, dzikusiem. Przy okazji nasuwa się pytanie, kim jest ONA?

- Nie wiem. Nie starała się tego ukryć, ale też nic na ten temat nie mówiła. Zresztą, jeszcze za słabo znam język. Przynajmniej na razie.

## 20. Mięso

Nessus wylądował, żeby zbadać dolną część pomieszczenia. Odcięty od interkomu Louis próbował zerkać w dół i zobaczyć, co robi lalecznik, ale po pewnym czasie zrezygnował.

Dużo później usłyszał kroki. Tym razem bez dzwoneczków.

- Nessus! - krzyknął, przyłożywszy do ust złożone dłonie.

Dźwięk odbił się kilkakrotnie od ścian, żeby skoncentrować się w dnie lejowatej studni. Lalecznik podskoczył, jednym susem zajął miejsce w swoim skuterze i wystartował, a właściwie poleciał w górę niczym bańka powietrza. Widocznie zostawił pracujący silnik, żeby przeciwstawić się działaniu pola, a teraz po prostu go wyłączył.

Kiedy kroki zatrzymały się nad nimi, unosił się, jakby nigdy nic, wśród metalowego śmiecia.

- Nieżas! Co ona robi? - wyszeptał Louis.

- Cierpliwości. Trudno, żeby uzależniła się całkowicie od jednego razu

- Niechże wreszcie dojdzie do tych twoich pustych, bezmózgich głów, że nie dam rady utrzymywać równowagi w nieskończoność!

- Musisz. Jak mogę ci pomóc?

- Wody. - Louis nie był pewien, czy ma jeszcze w ustach język, czy raczej dwujardowy, zwinięty pas flaneli.

- Chce ci się pić? Ale jak mam ci podać wodę? Jeżeli odwrócisz głowę, możesz stracić równowagę.

- Wiem. Nie musisz mi przypominać. - Ciałem Louisa wstrząsnął dreszcz. To

śmieszne, żeby stary wyga kosmiczny tak bardzo bał się wysokości. - Co z Mówiącym?

- Niepokoję się o niego. Już od dawna jest nieprzytomny.

- Nieżas...

Kroki.

Chyba cierpi na manię przebierania się, pomyślał Louis. Tym razem miała na sobie jakąś bogato pofałdowaną szatę w zielone i pomarańczowe plamy. Podobnie jak jej poprzednie stroje, tak i ten nie pozwalał nawet domyśleć się kształtu jej ciała.

Uklękła na skraju platformy obserwacyjnej, przyglądając się im z chłodną uwagą. Louis bez najmniejszego poruszenia czekał na dalszy rozwój wypadków.

Jej twarz złagodniała, oczy rozmarzyły się, a kąciki ust powędrowały do góry.

Nessus odezwał się jako pierwszy.

Zdawała się zastanawiać. Potem powiedziała coś, co można było uznać za odpowiedź.

Po czym wyszła.

- I co?

- Musimy zaczekać.

- Mam już dosyć tego czekania.

Niespodziewanie skuter lalecznika ruszył do przodu i w górę, żeby po chwili stuknąć w krawędź platformy obserwacyjnej niczym przybijająca do nabrzeża łódka.

Nessus zgrabnie zeskokczył na brzeg. Dziewczyna wyszła mu na spotkanie. To, co trzymała w lewej dłoni musiało być bronią, ale drugą ręką dotknęła jedno, z jego głów i po chwili wahania pogładziła go delikatnie po karku.

Nessus wydał odgłos rozkoszy i zachwytu.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Nie spojrzała za siebie ani

razu. Przyjęła pewnie, że Nessus ruszy za nią jak pies. Tak też uczynił.

Dobrze, pomyślał Louis. Bądź przymilny. Bądź grzeczny. Zdobądź jej zaufanie.

Kiedy odgłosy ich nieskoordynowanych stąpień znikły w oddali, w komorze więziennej zrobiło się cicho jak w opustoszałym grobowcu.

Skuter Mówiącego unosił się w odległości jakichś trzydziestu stóp. Spod zielonych balonów wyglądała zabandażowana dłoń i pomarańczowa twarz o zamkniętych oczach. Louis nie miał żadnej możliwości, żeby się do niego zbliżyć. Kzin mógł już od dawna nie żyć.

Wśród zalegających podłogę kości znajdował się przynajmniej tuzin czaszek. Kości, niemal namacalna starość, przerdzewiały metal i cisza. Louis trzymał się kurczowo swego skutera, czekając, kiedy opuszczą go siły. Był pogrążony w płytkie, drzemce, kiedy poczuł, że coś się dzieje. Skuter zakołysał się...

Życie Louisa zależało od tego, czy uda mu się zachować równowagę. Jej chwilowe zachwianie wywołało u niego panikę. Rozejrzał się w popłochu dookoła, poruszając tylko oczami.

Nieruchome wraki otaczały go nadal ze wszystkich stron. Coś się jednak poruszało...

Jakiś pojazd zakołysał się, zajęczał i poleciał w górę.

Hę?

Nie. Wylądował na dachu jednej z cel. Jeden po drugim czyniły to kolejne wraki.

Skuter Louisa przekręcił się w jakimś zawirowaniu pola elektromagnetycznego i ciężko uderzył bokiem w twardą powierzchnię. Lotus momentalnie zwolnił uchwyt zaciśniętych dłoni i odtoczył się o kilka stóp

Próbował wstać na nogi, ale nie mógł. Nie potrafił zachować równowagi. Jego ręce były wykręconymi przez ból, bezużytecznymi szponami. Dysząc ciężko leżał na boku, myśląc, że i tak jest już pewnie za późno. Skuter kżina musiał przy lądowaniu zmiażdżyć wiszącego pod nim Mówiącego.

Leżał nawet niedaleko od niego, przewrócony na bok.

Dopełnienie do niego zajęło Louisowi sporo czasu. Kzin oddychał, ale był nieprzytomny. Ciężar skutera nie złamał mu karku, prawdopodobnie dlatego,



że Mówiący nie miał niczego w tym rodzaju.

Louis z trudem wyciągnął zza paska laser i przekłuł wiążące kżina balony.

I co teraz?

Przypomniał sobie, że umiera z pragnienia.

Jednocześnie jakby przestało mu się kręcić w głowie. Wstał i na glinianych nogach ruszył w poszukiwaniu jedyne go pewnego źródła wody, jakie przychodziło mu w tej chwili na myśl.

Okazało się, że opadający w dół lej podłogi był utworzony przez koncentryczne, tworzące potężne schody kręgi cel. Mówiący i Louis wylądowali na czwartym kręgu, licząc od środka. Dwa pozostałe skutery leżały stopień niżej.

Czując, jak przy każdym kroku drżą mu nogi, Louis schodził po łączących sąsiadujące poziomy schodach. Jego mięśniom daleko było jeszcze do odzyskania zwykłej elastyczności.

Na widok tablicy przyrządów potrząsnął głową. Napisy i w ogóle jej wygląd były tak tajemnicze, że z pewnością nikt nie pokusiłby się o to; żeby ukraść lalecznikowi jego skuter. Jedyną oczywistą rzeczą była przezroczysta, giętka rurka.

Woda była destylowana, ciekła i miała jakiś dziwny smak. Przede wszystkim była cudowna.

Kiedy Louis ugasił już pragnienie, spróbował cegiełki z podajnika. Jej smak był już bardzo dziwny. Na wszelki wypadek postanowił jednak jej nie jeść. Mogła zawierać składniki zabójcze dla ludzkiego metabolizmu. Lepiej zapytać Nessusa.

Zaniósł Mówiącemu wody w bucie - pierwszym pojemniku, jaki przyszedł mu na myśl. Wlał ją ostrożnie do półotwartych ust kżina. Mówiący przełknął ją i uśmiechnął się, nie odzyskując przytomności:

Louis ruszył po następny ładunek, ale zanim zdołał dotrzeć do skutera lalecznika, opuściły go i tak służące mu nadzwyczaj długo siły.

Zwinął się w kłębek na dachu którejś celi i zamknął oczy.

Bezpieczny. Wreszcie bezpieczny.

Powinien zasnąć od razu kamiennym snem. Coś jednak nie dawało mu

spokoju.

Obolałe mięśnie, odciski na dłoniach i wewnętrznej powierzchni ud, strach przed upadkiem, który nie opuszczał go nawet teraz... I coś jeszcze.

- Nieżas... - wymamrotał, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

Mówiący?

Kzin spał ze stulonymi uszami, zwinięty w kłębek wokół dezintegratora Slavera. Oddychał szybko i bardzo płytko. To dobrze, czy źle?

Nessus będzie wiedział. Na razie niech śpi.

- Nieżas - powtórzył pod nosem Louis.

Był sam, ale ta samotność nie miała nic z radosnej samotności Oderwań. Ciężka na nim odpowiedzialność za życie innych. Z kolei jego życie zależało od tego, czy Nessusowi uda się omotać tę szaloną kobietę, która ich uwięziła. Nic dziwnego, że Louis nie mógł zasnąć.

A jednak...

Wzrok Louisa spoczął na jego skuterze i już tam pozostał.

Jego skuter, z przedziurawionymi, sflaczałymi balonami. Obok skuter kzina i sam kzin. Niżej skuter lalecznika. I czwarty, bez balonów. CZTERY skutery.

Za pierwszym razem, szukając gorączkowo wody, nie zwrócił na to uwagi. Skuter Teeli. Wcześniej schował się pewnie za jednym z większych wraków. Bez balonów. Bez balonów...

Musiała wypaść, kiedy skuter odwrócił się do góry dnem.

Albo wyrzucił ją pęd powietrza, kiedy przy szybkości 2 Macha przestała działać bariera dźwiękochłonna.

Jak to powiedział Nessus? "Jest oczywiste, że jej szczęście nie jest niezawodne". A Mówiący: "Gdyby jej szczęście zawiodło ją chociaż raz, już by nie żyła".

Już nie żyła. Z całą pewnością już nie żyła.

"Przyleciałam tu z tobą, bo cię kocham".

- Miałaś pecha - powiedział Louis Wu. - Miałaś pecha, że mnie w ogóle

spotkałaś.

Po czym zwinął się w kłębek i zasnął.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Mówiącego-do-Zwierząt. To dzikie, wygłodniałe spojrzenie... "

- Czy możesz jeść żywność pozeracza liści? - zapytał kzin. - Zdaje się, że tylko ja nie mam żadnego źródła pożywienia.

To w y g ł o d n i a ł e spojrzenie... Louisowi włosy zjeżyły się na karku.

- Wiesz przecież, że masz - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. - Pytanie tylko, czy z niego skorzystasz.

- Oczywiście, że nie. Jeżeli honor będzie ode mnie wymagał, żebym umarł z głodu, z pewnością tak uczynię.

- To dobrze. - Louis odwrócił się na drugi bok i udał, że zasypia.

Kiedy obudził się kilka godzin później, wiedział, że jednak naprawdę zasnął. Widocznie jego podświadomość miała do kzina pełne zaufanie. Skoro powiedział, że umrze z głodu, to umrze.

Czuł parcie na pęcherz. Czuł nieznośny smród. Czuł ból nadwerężonych mięśni. Lejowata studnia pomogła rozwiązać pierwszy problem. Następnie wodą ze skutera laleczmka zmył ze swego kombinezonu zaschnięte wymiociny, po czym pokuśtykał do swego pojazdu po zestaw pierwszej pomocy.

Nie było to ot, takie sobie pudełeczko z lekarstwami. Zestaw potrafił sam przygotowywać niektóre leki, a nawet diagnozować choroby. Został z niego tylko szerniały, bezużyteczny pakunek.

Światło ciemniało coraz bardziej.

Cele z klapami w sufitach i małymi, przezroczystymi wizjerami. Louis położył się na brzuchu i zajrzał przez jeden z nich: łóżko, dość niezwykle urządzenia toaletowe... i światło dzienne, wpadające przez okno.

- Mówiący! - zawołał Louis.

Dostali się do środka przez boczną ścianę przy użyciu dezintegratora. Okno, duże i prostokątne, stanowiło luksusowy i raczej mało spodziewany element wyposażenia celi. Szyby były wybite; zostało tylko kilka wyszczerbionych, ostrych zębów.

Czy umieszczono je tu po to, żeby zadawać więźniowi dodatkowy ból, pokazując mu utraconą wolność?

Na zewnątrz panował półmrok, niczym czarna kurtyna zbliżała się linia terminatora. Przed nimi otwierał się widok na port: sześciany, które musiały być kiedyś magazynami, rozpadające się doki, dźwigi o eleganckich kształtach. Wszystko przerdzewiało niemal na wylot.

W lewo i w prawo ciągnął się powyginany, urozmaicony brzeg. Kawałek plaży, doki, znowu kawałek plaży... Tak widocznie ukształtowano linię brzegową: płytki odcinek z plażą jak Waikiki, a zaraz potem głębia, znakomicie nadająca się na założenie portu. I tak na przemian.

A dalej - ocean. Bezkresny, niknący za nie istniejącym horyzontem. Zupełnie, jakby patrzyli przez Atlantyk.

Z prawej strony zasunęła się ciemna kurtyna nocy. Rozbłysły działające jeszcze światła, iluminując wieże centrum. Miasto i port skryły się w ciemności. Daleko z lewej jaśniał oddalający się dzień.

Mówiący leżał na owalnym łóżku.

Louis uśmiechnął się. Wojowniczy kzin wyglądał najniewinniej, jak tylko można sobie wyobrazić. Sen najlepiej leczy rany, a te musiały porządnie go osłabić. A może spał, żeby nie czuć narastającego głodu?

Louis cicho wyszedł z celi.

W panującym we wnętrzu więzienia mroku odszukał skuter Nessusa. Był już tak wygłodniały, że połknął przeznaczoną dla lalecznika cegiełkę, nie zwracając uwagi na jej dziwny smak. Nie czuł się zbyt pewnie w ciemnościach, więc włączył światła pojazdu Nessusa, a następnie uczynił to samo w pozostałych skuterach. Kiedy skończył, olbrzymie pomieszczenie było już zupełnie dobrze oświetlone, cienie zaś rozproszone i niegroźne.

Co zatrzymało Nessusa?

W starym, napowietrznym więzieniu raczej trudno było o rozrywkę. Spać można było tylko określoną ilość czasu, a Louis wykorzystał już swój przydział z nawiązką. Można było zastanawiać się nad tym, co, na czerwone oczy finagla, robi tak długo Nessus, dopóki nie pojawiła się myśl, że być może po prostu postanowił ratować swoją skórę.

Nessus nie był przecież jakimś tam, zwykłym obcym. Był lalecznikiem Piersona o przeszłości składającej się głównie z mniej lub bardziej udanych

prób manipulowania ludźmi. Gdyby zaistniała szansa dogadania się z (hipotetycznym) Inżynierem, z pewnością bez wahania pozostawiłby na pastwę losu zarówno Louisa, jak i Mówiącego-do-Zwierząt. Nie miałby żadnego powodu, żeby tak nie postąpić.

Miał natomiast przynajmniej dwa powody przemawiające za tym, żeby tak właśnie uczynić.

Mówiący-do-Zwierząt niemal na pewno pokusi się o jeszcze jedną próbę zawładnięcia "Szczęśliwym Trafem", chcąc uniemożliwić ludziom zdobycie napędu hiperprzestrzennego Kwantum II. Podczas tej próby lalecznik mógłby zostać zraniony, albo gorzej. Lepiej rozwiązać ten problem już teraz, zostawiając kżina na Pierścieniu. A przy okazji także i Louisa, który raczej nie przyłożyłby ręki do podobnej niegodziwości.

Poza tym, obydwaj zbyt dużo wiedzieli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakty dotyczące ingerencji laleczników w rozwój obydwu ras. Gwiazdne nasiona, Loteria Życia- jeżeli Nessus otrzymał rozkazy, żeby zbadać reakcję swych współtowarzyszy na te rewelacje, to z pewnością polecono mu również pozbyć się ich natychmiast po zakończeniu eksperymentu.

Nie były to wcale nowe myśli. Louis spodziewał się czegoś takiego od chwili, kiedy Nessus przyznał się do umyślnego sprowadzenia statku Zewnętrznych w okolice Procjona. Najgorsze było to, że mógł tylko beczynnienie siedzieć i czekać.

Chcąc czymś zająć galopujące w coraz bardziej szalonym tempie myśli, Louis włamał się do kolejnej celi. Ustawił promień swego lasera na wąską średnicę i maksymalną moc i po niedługim czasie był już w środku.

Wraz z pierwszym oddechem poczuł straszliwy smród. Używając lasera oświetlił wnętrze - ktoś tutaj umarł, dosyć długo po tym, jak przestała działać wentylacja. Ciało opierało się o okno, ściskając w dłoni resztkę rozbitego dzbanka. Okno było nietknięte.

Kolejna cela okazała się pusta, więc Louis objął ją w posiadanie.

Następnie okrążył studnię, żeby dostać się do celi po przeciwnej stronie budynku. Z jej okna widział doskonale nieruchomy, wpatrzony w niego cyklon. Biorąc pod uwagę, że dzieliło go od niego co najmniej dwa i pół tysiąca mil, rozmiary cyklonu musiały budzić respekt. Wielkie, doskonale spokojne oko.

Po lewej unosił się wąski, długi budynek, przypominający trochę kształtem pasażerski statek kosmiczny. Lotus popuścił na moment wodze fantazji, marząc, że to rzeczywiście ukryty przemysłnie statek i że wystarczy tylko...

Była to marna rozrywka i szybko mu się znudziła.

Starał się zapamiętać topografię miasta. Mogło to im się jeszcze przydać. Było to pierwsze miejsce, na jakie natrafili podczas wędrówki, w którym można było dostrzec ślady funkcjonującej jeszcze cywilizacji.

Jakąś godzinę później siedział na owalnym łóżku, patrząc w przyglądające mu się spokojnie Oko, kiedy obok niego, w jakiejś nieprawdopodobnej oddali, zobaczył mały, zielonobrazowy trójkącik.

- Mmm... - powiedział z namysłem. Trójkącik miał minimalne rozmiary, jednak można było określić jego kształt. Sterczał z szarobiałego chaosu nieskończonego horyzontu, a to oznaczało, że tam był jeszcze dzień.

Louis poszedł po lornetkę.

Patrząc przez nią widział wszystkie szczegóły równie wyraźnie, jak kratery na Księżycu. Nieregularny trójkąt, zielonobrazowy u podstawy, brudnobiały u szczytu... Pięść Boga. Znacznie większa, niż mógł przypuszczać. Fakt, że widział ją z takiej odległości wskazywał na to, że znaczna część góry sterczała ponad atmosferę.

Od momentu przymusowego lądowania na Pierścieniu skutery przeleciały ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mil. Pięść Boga musiała mieć co najmniej tysiąc mil wysokości.

Louis gwizdnął przeciągle i ponownie uniósł lornetkę do oczu. Siedząc w półmroku usłyszał dochodzące z góry hałasy. Wystawił głowę z celi.

- Witaj, Louis! - ryknął Mówiący-do-Zwierząt, machając mu zakrwawioną, na pół zjedzoną tuszą czegoś przypominającego rozmiarami sporą kozę. Odgryzł kawał wielkości ludzkiej głowy, w chwilę potem następny, i jeszcze następny. Jego zęby były stworzone do cięcia, nie do żucia.

Mówiący pokazał mu oderwaną tylną nogę ofiary, jeszcze ze skórą i kopytem.

- To dla ciebie, Louis. Nie jest najświeższe, ale to nie ma znaczenia. Musimy się pośpieszyć. Pożeracz liści wolał nie patrzeć, jak jemy. Podziwia widok z mojej celi.

- Zdziwi się, jak zajrzy do mojej - powiedział Louis. - Myliliśmy się, co do Pięści Boga. Ma co najmniej tysiąc mil wysokości. To na szczycie to nie śnieg, tylko...

- Louis, jedz!

Louis poczuł, że do ust napływa mu ślina.

- Chyba można to jakoś upiec...

Rzeczywiście, było można. Mówiący zdarł za niego skórę z udźca, po czym Louis położył mięso na schodach i upiekł je rozszerzonym promieniem lasera.

- Mięso rzeczywiście nie jest świeże - przyznał przyglądający mu się podejrzliwie kzin - ale czy musisz je od razu palić?

- Co z Nessusem? Jest więźniem, czy kontroluje sytuację?

- Powiedziałbym, że częściowo kontroluje. Spójrz w górę.

Mała figurka dziewczyny siedziała na krawędzi platformy obserwacyjnej.

- Widzisz? Boi się stracić go z oczu.

Louis uznał, że mięso jest już gotowe. Jedząc czuł na sobie niecierpliwy wzrok kzina, przyglądającego się, jak człowiek przeżuwa w nieskończoność każdy kęs. Louisowi jednak zdawało się, że je jak żarłoczne zwierzę. Był głodny.

Przez wzgląd na lalecznika wyrzucili resztki przez wybite okno, po czym wszyscy zebrali się przy jego skuterze.

- Jest już częściowo uzależniona - powiedział Nessus. Miał kłopoty z oddychaniem... albo z zapachem surowego i palonego mięsa. - Udało mi się od niej dużo dowiedzieć.

- Wiesz, dlaczego nas złapała?

- Tak. Wiem też coś więcej. Mieliśmy szczęście. Należała do załogi statku kosmicznego.

- Cała pula dla nas - powiedział Louis Wu.

## 21. Dziewczyna zza krawędzi

Nazywała się Halrloprillalar Hotrufan i od dwustu lat wchodziła w skład załogi statku „Pionier”, jak po chwili wahania przetłumaczył jego nazwę Nessus.

„Pionier” obsługiwał okrężną linię, obejmującą cztery systemy słoneczne: pięć planet z atmosferą tlenową i Pierścień. Jeden pełny kurs trwał dwadzieścia cztery lata, przy czym „rok” nie miał nic wspólnego z Pierścieniem. Była to tradycyjna miara czasu, przeniesiona z jednej z opuszczonych planet.

Przed powstaniem Pierścienia dwa z pięciu odwiedzanych przez „Pioniera” światów były nadzwyczaj gęsto zaludnione. Teraz, podobnie jak na pozostałych, nikt już na nich nie mieszkał. Znajdowały się tam tylko ruiny miast, skryte częściowo pod dziką roślinnością.

Halrloprillalar miała za sobą osiem kursów. Na opuszczonych planetach rosły rośliny i żyły zwierzęta, które nie mogły zaadaptować się do warunków Pierścienia z powodu braku cyklu zima - lato. Niektóre z tych roślin były używane jako przyprawy. Niektóre ze zwierząt stanowiły źródło mięsa. Co do innych, Halrloprillalar nic nie wiedziała i mało ją to obchodziło.

Nie miała nic wspólnego z obsługą ładunku.

- Nie zajmowała się też ani sterowaniem, ani konserwacją urządzeń. Nie mam pojęcia, co właściwie tam robiła - przyznał Nessus. - Załoga „Pioniera” składała się z trzydziestu sześciu osób. Z całą pewnością było to za dużo w stosunku do potrzeb. Raczej na pewno nie miała do czynienia z niczym, co mogło mieć bezpośredni wpływ na los statku i załogi. Jest na to zbyt mało inteligentna.

- Czy zapytałeś o to, jaki był skład pod względem płci?

- Wśród tych trzydziestu sześciu osób znajdowały się trzy kobiety.

- Więc możesz przestać zadręczać się tym, co robiła.

Dwieście lat podróży i przygody. Nagle, pod koniec jej ósmego kursu, Pierścień nie odpowiedział na wezwania „Pioniera”.

Akcelerator nie działał.

Przy użyciu teleskopów nie udało im się stwierdzić aktywności w żadnym z portów.

Pięć planet, który statek odwiedzał podczas każdego kursu, nie miało dział elektromagnetycznych, służących do wyhamowania statku. „Pionier” miał przeznaczone do tego celu paliwo. Statek mógł lądować, pytanie brzmiało tylko: gdzie?

Na pewno nie na powierzchni Pierścienia. Sterowane przez automaty działa



laserowe rozbiłyby ich w pył.

Nie otrzymali zezwolenia na lądowanie w żadnym z portów. Poza tym, coś tam było nie w porządku.

Wracać na jedną z opuszczonych planet? Równałoby to się założeniu nowej kolonii przez trzydziestu trzech mężczyzn i trzy kobiety.

- Byli niewolnikami rutyny, niezdolnymi do podjęcia takiej decyzji. Wpadli w panikę - relacjonował Nessus. - Wybuchł bunt. Pilot zdołał zabarykadować się w sterowni i przy użyciu silników posadził statek w jednym z portów. Zabili go za to, że naraził statek i ich na niebezpieczeństwo. Zastanawiam się, czy nie zabili go raczej za złamanie tradycji, za samowolne lądowanie na silnikach, a nie w bezpiecznej, elektromagnetycznej kołysce.

Louis poczuł na sobie czyjś wzrok. Spojrzał w górę.

Dziewczyna cały czas im się przyglądała. Jedna z głów Nessusa, dokładniej lewa, również nie spuszczała z niej ani na moment oczu.

A więc w niej znajdował się tasp. I dlatego właśnie Nessus ciągle patrzył w górę. Dziewczyna nie chciała nawet na moment stracić go z pola rodzenia, a on bał się choćby na chwilę wypuścić ją poza zasięg działania swego czaru.

- Po zabiciu pilota opuścili statek - kontynuował Nessus. - Dopiero wtedy przekonali się, jak wielką wyrządził im krzywdę. Cziltang brone była nieczynna, zepsuta.

Znajdowali się po niewłaściwej stronie wysokiej na tysiąc mil ściany.

Nie znam żadnego ekwiwalentu dla tej nazwy ani w interworldzie, ani w Języku Bohaterów. Wiem tylko, jak działa. Jej działanie ma dla nas ogromne znaczenie.

- Więc mów - przynaglił go Louis.

Budowniczo Pierścienia wyposażyli go w odpowiednie zabezpieczenia. Mogłoby się wydawać, że przewidzieli upadek cywilizacji, jakby następujące po sobie okresy rozkwitu i powrotu do barbarzyństwa były na stałe wpisane do przeszłej i przyszłej historii człowieka. Skomplikowana konstrukcja, jaką był Pierścień, nie mogła uciec z powodu braku konserwacji.

Potomkowie Inżynierów mogli zapomnieć, jak obsługiwać śluzy powietrzne i elektromagnetyczne działa, jak przesuwać planety i budować latające pojazdy - cywilizacja mogła przestać istnieć, Pierścień - nie.

Na przykład laserowe działa służące do obrony przed meteorytami były do tego stopnia niezawodne, że Halrloprillalar...

- Mów na nią Prill - zaproponował Louis.

- ...że Prill i cała załoga ani przez moment nie podejrzewała, że mogłyby nie działać.

Ale co z fortem kosmicznym? Na co by się przydała jego niezawodność, gdyby jakiś idiota otworzył jednocześnie wszystkie drzwi śluzy

Odpowiedź była prosta: żadnych śluz! Zamiast nich była właśnie cziltang brone. Maszyna ta wytwarzała pole, w którym materiał konstrukcyjny Pierścienia, a więc zarówno jego spód, jak i boczne ściany, przepuszczały wszelkie ciała stałe, stawiając tylko nieznaczny opór. Kiedy cziltang brone działała...

- Generator osmotyczny - podpowiedział Louis.

- Być może. Podejrzewam, że „brone” jest jakimś obscenicznym określnikiem.

Kiedy generator działał, powietrze przesiąkało powoli na drugą stronę, zaś ludzie w skafandrach szli jakby pod silny, wiejący ze stałą prędkością wiatr. Wszelkie większe obiekty mogły być przewożone przez ciągniki.

- A pojemniki ze sprężonym powietrzem do oddychania? - zapytał kzin.

Niezbędne Powietrze robili na miejscu, na zewnątrz.

Tak, Pierścień dysponował tanią technologią przetwarzania pierwiastków. Była tania tylko wtedy, jeżeli stosowano ją na wielką skalę. Istniały takie inne ograniczenia.

Na przykład samo urządzenie - były wręcz gigantyczne. W porcie znajdowały się dwa, przetwarzające ołów w tlen i azot. Ołów, bo łatwo go było transportować i przechowywać.

Generatory osmotyczne były urządzeniem niezwykle bezpiecznym w działaniu. W razie awarii śluzy groziła utrata dużej, ilości pędzącego z prędkością huraganu powietrza, jeżeli zaś zawiodła cziltang brone, oznaczało to tylko, że przejście jest zamknięte.

Także dla powracających kosmonautów.

- I dla nas - dodał Mówiący-do-zwierząt.

- Nie tak szybko - uspokoił go Nessus. - Wygląda na to, że generator osmotyczny jest właśnie tym, czego nam trzeba. Nie potrzebowałibyśmy wogóle ruszać „Kłamcy” z miejsca. Wystarczyłoby skierować cziltang brone. ..  
- wymówił tę nazwę tak, jakby zaczynała się od kichnięcia - . . . w podłogę Pierścienia bezpośrednio pod „Kłamcą”. Statek po prostu przesiąkłby bezpośrednio na drugą stronę.

- I uwiązłby w tej przeciwmeteorytowej gąbce - dokończył kzin. I w chwilę potem - poprawka. Tam moglibyśmy użyć dezintegratora.

- Otóż to. Niestety, nie mamy dostępu do żadnej cziltang brone.

- Ale ONA jest tutaj ! Jakoś przecież musiała się przedostać.

- Tak...

Znajdujący się wśród załogi specjaliści od magnetohydrodynamiki musieli nauczyć się właściwie nowego zawodu, zanim mogli przystąpić do naprawy cziltang brone.

Zajął im to kilka lat. Awaria nastąpiła w trakcie działania. Urządzenie częściowo stopiło się, a częściowo rozsypało. Musieli wykonać zupełnie nowe części, w tym także takie, o których wiedzieli, że również zawiodą - ale może będą działać wystarczająco długo, żeby...

W trakcie prac wydarzył się wypadek. Źle wycelowany promień osmotyczny przeszedł przez kadłub „Pioniera”. Dwaj członkowie załogi zginęli, wtopieni w metalowe grodzie, zaś siedemnastu innych doznało trwałych uszkodzeń mózgu.

Pozostalej szesnastce udało się przejść. Zabrali ze sobą siedemnastu kretynów. Zabrali również samą cziltang brone, na wypadek, gdyby nowy Pierścień okazał się mniej przyjazny, niż był niegdyś.

Znaleźli się w dzikim, prymitywnym kraju.

W kilka lat później część z nich postanowiła wrócić do „Pioniera”.

Cziltang brone odmówiła posłuszeństwa, zamykając czterech z nich w zewnętrznej ścianie. I to był koniec. Wiedzieli już, że nigdzie na Pierścieniu nie znajdą potrzebnych części.

- Nie rozumiem, jak upadek mógł nastąpić aż t a k szybko - powiedział Louis.  
- Jeden kurs „Pioniera” trwał dwadzieścia, cztery lata, tak?

- Dwadzieścia cztery lata według czasu pokładowego.

- A... Chyba, że tak.

- Właśnie. Dla statku poruszającego się z przyśpieszeniem równym temu, które panuje na Pierścieniu gwiazdy znajdują się w odległości od trzech do sześciu lat od siebie. W rzeczywistości odległości te są ogromne. Prill wspominała o opuszczonym regionie jakieś dwieście lat świetlnych stąd, prawie w płaszczyźnie galaktyki, w którym, trzy słońca znajdują się w odległości dziesięciu lat świetlnych od siebie.

- Dwieście lat... To już blisko poznanego Kosmosu.

- Podejrzewam, że już chyba w nim. Poza najbliższą okolicą waszego Słońca nie spotyka się właściwie takiego nagromadzenia planet z atmosferami tlenowymi. Halloprillar wspominała o technikach uzdatniania planet, stosowanych przed zbudowaniem Pierścienia. Były one jednak zbyt powolne i zostały zaniechane.

- To by mogło sporo wyjaśnić. Tyle tylko, że... Ech, nieważne.

- Chodzi ci o naczelnę, Louis? Istnieje wystarczająco wiele dowodów na to, że twój gatunek powstał i rozwijał się na Ziemi. Tyle tylko, że właśnie Ziemia mogła stanowić niezwykle wygodną bazę dla operacji uzdatniania okolicznych planet. Inżynierowie mogli przywieźć ze sobą najróżniejsze zwierzęta...

... jak na przykład małpy i Neandertalczyków? - Lotus wzruszył niecierpliwie ramionami. - To tylko domysły. Poza tym, teraz to i tak nieważne.

- Oczywiście. - Lalecznik mówił dalej, przeżuwając jednocześnie swoją wegetariańską cegiełkę. -

Trasa okrężnego lotu „Pioniera” liczyła sobie ponad trzysta lat świetlnych. W tym czasie mogły dokonać się istotne zmiany, chociaż zazwyczaj nic takiego się nie działo.

Spółeczeństwo, w którym żyła Prill, było bardzo ustabilizowane.

- Skąd wiedziała, że cały Pierścień ogarnęła fala barbarzyństwa? Jak długo szukała pozostałości cywilizacji?

- Niezbyt długo, ale to w zupełności wystarczyło. Miała rację. Nie ma najmniejszych szans na naprawienie cziltang brone.

- Skąd wiesz?

- Prill usiłowała mi wytłumaczyć, co się tutaj zdarzyło, tak jak wytłumaczył jej to jeden z członków załogi. Zrobił to, rzecz jasna, na tyle prosto, żeby mogła zrozumieć. Niewykluczone, że cały proces rozpoczął się jeszcze na wiele lat przed ostatnim lotem „Pioniera”...

Kiedyś istniało dziesięć zamieszkałych planet. Kiedy ukończono budowę Pierścienia, wszystkie dziesięć pozostawiono ich własnemu losowi. Nie były już potrzebne.

Wyobraźcie sobie taką planetę:

Lądy pokryte olbrzymimi miastami w różnym stadium rozwoju. Najmniej może jest slumsów, ale gdzieś na pewno je zachowano, choćby jako pamiątkę historyczną. Wszędzie pełno najróżniejszych odpadków: zużytych opakowań, popsutych maszyn, zniszczonych książek i mikrofilmów, jednym słowem wszystkiego, czego nie można powtórnie przetworzyć, a także sporo tego, co by się jednak dało. Oceany od stuleci były traktowane jako olbrzymie śmietniki, również na materiały radioaktywne.

Cóż dziwnego w tym, że żyjące w nich istoty przystosowały się do nowych warunków?

Cóż dziwnego w tym, że nauczyły się żyć dzięki śmieciom?

- Coś takiego zdarzyło się kiedyś na Ziemi - powiedział Louis.

Drożdże odżywiające się polietylenem. Zjadały plastikowe torby na zakupy. Teraz już wyginęły, bo nie produkuje się więcej polietylenu.

Wyobraźcie sobie d z i e s i ę ć takich planet.

Bakterie przekształciły się tak, żeby móc odżywiać się związkami cynku i ołowiu, plastykiem, farbami, izolacją, śmieciami świeżymi i tymi, które liczyły już sobie setki lat. Nie miałyby to znaczenia, gdyby nie statki kosmiczne.

Odwiedzały regularnie opuszczone planety, poszukując form życia, o których zapomniano lub które nie mogły przystosować się do panujących na Pierścieniu warunków.

Zabierały ze sobą także inne przedmioty: pamiątki i dzieła sztuki, zapomniane lub po prostu przeznaczone do późniejszego przeniesienia. Najbardziej bezcenne zbiory przewożono po jednym egzemplarzu, żeby umknąć ryzyka utraty w jakimś wypadku większej ich ilości.

Wraz z jednym z transportów zabrał się pleśniak zdolny przeżyć wewnętrzną strukturę pracującego w temperaturze pokojowej

nadprzewodnika, używanego niemal we wszystkich bardziej skomplikowanych urządzeniach.

Pleśniak działał powoli. Był młody, prymitywny i przynajmniej z początku, łatwo dawał się zabić. Wraz z kolejnymi transportami przybywały na Pierścień jego różne mutacje, aż wreszcie jedna z nich okazała się wystarczająco silna.

Ponieważ działał tak powoli, statki ulegały awariom długo po przybyciu do portu, a cziltung brone odmawiała posłuszeństwa sporo czasu po tym, jak przeniesiono go przez zewnętrzną ścianę Pierścienia. Odbiorniki strumieni energetycznych wybuchały nie wiadomo dlaczego długo po rozniesieniu go po całej konstrukcji przez promy utrzymujące komunikację między portami.

- Odbiornika strumieni energetycznych?

- Energia była wytwarzana na czarnych prostokątach przez ogniwa termoelektryczne, a następnie kierowana skupionym strumieniem na Pierścień. Zdaje się, że to też było jedno z tych niezawodnych i absolutnie bezpiecznych urządzeń. Emisja strumienia została z pewnością automatycznie przerwana wtedy, gdy uległy zniszczeniu odbiorniki.

- Przecież można było wyprodukować inny nadprzewodnik - odezwał się kzin. - Znamy przecież dwie podstawowe struktury molekularne, z których każda ma rozmaite odmiany o zmieniających się w zależności od temperatury właściwościach.

- Tych struktur jest co najmniej cztery - poprawił go Nessus. - Masz rację, Pierścień powinien przetrwać Upadek Miast. Młodsze, bardziej prężne społeczeństwo z pewnością by przetrwało. Zastanów się jednak nad sytuacją, wobec której się znaleźli.

Znaczna część rządzących zginęła w gruzach spadających na ziemię budynków.

Bez dopływu energii nie mogło być mowy o przeprowadzeniu eksperymentów, mających doprowadzić do powstania nowego nadprzewodnika. Zgromadzone wcześniej zapasy energii zostały albo skonfiskowane przez tych o największych wpływach, albo służyły małym enklawom cywilizacji, których mieszkańcy żywili złudną nadzieją, że tymczasem ktoś inny pracuje nad zażegnaniem niebezpieczeństwa.

Został odcięty dostęp do statków kosmicznych, bo przecież nie działała żadna cziltang brone. Ci, którzy mogliby coś zrobić, nie byli w stanie do siebie dotrzeć; komputer sterujący elektromagnetycznym akceleratorem był tylko stertą złomu, a do samego akceleratora nie dopływał nawet jeden erg energii.

- Z powodu braku gwoźdźcia upadło królestwo - mruknął Louis.

- Znam tę historię, ale to niezupełnie to samo - powiedział lalecznik. - Tutaj mimo wszystko można było coś zrobić. Zgromadzona energia wystarczyłaby w zupełności do skroplenia helu. Naprawa odbiorników strumieni energetycznych nie miałaby żadnego sensu, ale można było uruchomić cziltang brone, używając jako nadprzewodnika schłodzonego w płynnym helu metalu.

Dzięki temu otworzyłby się dostęp do portów, statki poleciałyby do czarnych prostokątów, żeby wznowić dostawy energii, dzięki której skroplono by jeszcze więcej helu i sporządzono kolejne nadprzewodniki, które wmontowano by do kolejnych odbiorników...

Ale żeby zacząć, potrzebna była zmagazynowana energia, a tę zużyto do oświetlania ulic, utrzymywania w powietrzu nielicznych latających budowli i do przygotowywania żywności. I w ten sposób zginęła cywilizacja Pierścienia.

- A przy okazji i my - dodał Louis.

Właśnie. Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na Halrloprillalar.

Oszczędziła nam zupełnie zbędnej podróży. Nie ma sensu lecieć dalej do krawędzi.

Lotus poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Zanosilo się na to, że będzie go bolała głowa.

- Szczęście... - powtórzył za lalecznikiem Mówiący-do-Zwierząt.

Rzeczywiście. Jeżeli mieliśmy szczęście, to dlaczego nie jest mi wesoło? Utraciliśmy nasz cel, ostatnią, nikłą szansę ratunku. Nasze pojazdy nie nadają się do użytku, a jeden z członków wyprawy zaginął.

- Nie żyje - powiedział głucho Louis. Kiedy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wskazał im skuter Teeli. - Teraz możemy już liczyć tylko na nasze własne szczęście - dodał.

- Tak. Jej szczęście działało tylko sporadycznie. Gdyby było inaczej, nigdy nie trafiłaby na pokład „Kłamcy”. Nigdy byśmy się nie rozbili na Pierścieniu. - Lalecznik zamilkł, żeby po chwili dodać -Współczuję ci, Louis.

- Będzie nam jej brakowało - zadudnił kzin.

Louis skinął głową. Powinien właściwie czuć coś więcej, ale to, co nastąpiło w Oku, zmieniło w znaczny sposób jego stosunek do Teeli. Od tamtej chwili

wydawała się mniej ludzka niż Nessus czy Mówiący-do-Zwierząt. Była mitem. Oni byli prawdziwi.

- Musimy znaleźć nowy cel - powiedział Mówiący. - Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wypchnąć „Kłamcę” w przestrzeń kosmiczną. Przyznam, że nie mam żadnych pomysłów.

- A ja mam -oznajmił Louis.

- Już? - zapytał ze zdumieniem kzin.

- Muszę to jeszcze przemyśleć. Nie jestem pewien, czy to w ogóle ma jakikolwiek sens, ani czy może się udać. Tak czy tak, będziemy potrzebowali jakiegoś pojazdu.

Zastanówmy się...

- Może sanie. Duże sanie, na przykład z całej ściany jakiegoś budynku. Może skuter lalecznika dałby radę je pociągnąć.

- Możemy mieć coś lepszego. Jestem pewien, że potrafię skłonić Halrloprillalar, żeby pokazała mi maszynownię tej, budowli. Może moglibyśmy wykorzystać go jako środek lokomocji.

- Spróbuj - skinął głową Louis.

- A ty?

- Potrzebuję czasu.

Wnętrze budynku niemal w całości było wypełnione maszyną. Część z niej utrzymywała budowlę w powietrzu, część napędzała urządzenia wentylacyjne, chłodnie i kondensatory wody. Osobny blok sterował generatorami pola elektromagnetycznego, które wciągnęło ich w pułapkę. Nessus pracował. Louis i Prill stali tuż przy sobie, udając niezdarnie, że nie zwracają na siebie żadnej uwagi.

Mówiący znajdował się ciągle w więzieniu. Prill stanowczo odmówiła wypuszczenia go na wolność.

- Boi się ciebie - powiedział Nessus. - Oczywiście, mógłbym to przeforsować, każąc jej unieść w górę skuter, w którym byś siedział i podprowadzić go do platformy.

- A ona pewnie w połowie drogi wyłączyłaby pole. Nie, dziękuję. Nie zgłaszała natomiast żadnego sprzeciwu co do Louisa.



Przyglądał jej się, udając, że jej w ogóle nie dostrzega. Miała wąskie, niemal bezwargie usta, mały prosty nos i ani śladu brwi.

Nic dziwnego; że jej twarz nigdy nie miała żadnego określonego wyrazu. Przypominała niewykończoną twarz bezdusznej lalki. Po dwóch godzinach nieprzerwanej pracy Nessus uniósł wreszcie głowy.

- Nie dam rady przestawić zespołu napędowego tak, żeby działał w poziomie, ale udało mi się zlikwidować zabezpieczenie, utrzymujące nas stale w jednym miejscu. Budynek jest teraz na łasce wiatrów.

Louis uśmiechnął się.

- Albo liny holowniczej. Przywiążemy linę do twojego skutera i będziesz ciągnął nas za sobą.

- Nie ma takiej potrzeby. Skuter jest wyposażony w silnik działający bezodrzutowo, więc może zostać wewnątrz.

- Wszystko już obmyśliłeś, co? Ale to jest ogromna moc. Gdyby udało mu się uwolnić...

- Taak... - wycedził lalecznik i powiedział coś do Prill w świętym Języku Inżynierów, po czym zwrócił się do Louisa. -Mają tutaj zapas ultratwardego plastyku. Zabezpieczymy nim skuter, zostawiając na zewnątrz tylko stery i tablicę przyrządów.

- Czy to aby nie nazbyt drastyczny środek?

- Louis, gdyby skuter się wyrwał, mogłaby mi się stać krzywda!

- Hmm... Być może. Będziesz mógł w razie czego wylądować?

- Tak.

- Więc dobrze. Bierzmy się do roboty.

Louis odpoczywał nie śpiąc. Leżał na wznak w olbrzymim łożu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w zajmujące cały sufit i znaczną część ściany wypukłe okno.

Zza krawędzi czarnego prostokąta wydobywał się wyraźny blask. Świt był już niedaleko, ale Łuk Nieba ciągle świecił łagodnym błękitem.

- Chyba zwariowałem - powiedział Louis Wu.

Ale czy mieli jakiś wybór?

Sypialnia najprawdopodobniej wchodziła w skład apartamentu gubernatora. Teraz znajdowała się tutaj sterownia. Wraz z Nessusem umieścili w jednej z szaf skuter lalecznika, po czym oblali go szybko stygnącym plastykiem. Szafa była akurat odpowiednich rozmiarów.

Łóżko pachniało starością. I skrzypiało.

- Pięć Boga - powiedział w ciemności Louis. - Widziałem ją. Tysiąc mil wysokości. To bez sensu, żeby budować taką górę, kiedy... - Nie dokończył:

Nagle usiadł, jakby ukuła go jakaś wiekowa sprężyna.

- Nić z czarnych prostokątów! - krzyknął.

Do sypialni wszedł jakiś cień.

Louis zamarł w bezruchu. Wejście było zupełnie czarne, ale w tej czerni dostrzegł płynne poruszenia i delikatne kształty idącej w jego stronę nagiej kobiety.

Halucynacja? Duch Teeli Brown? Dotarła do niego, zanim zdążył się na coś zdecydować. Usiadła przy nim na łóżku i wyciągniętą dłonią dotknęła jego twarzy, po czym pogłaskała go po policzku.

Była prawie łyśa. Gęste, falujące włosy wyrastały jedynie z wąziutkiego paska w pobliżu szczytu czaszki. W ciemności, rysy jej twarzy roztopiały się w nicość, ale jej ciało było cudowne. Widział je po raz pierwszy. Szczupła, umięśniona jak profesjonalna tancerka, o wysokich, ciężkich piersiach.

Gdyby jej twarz była równie wspaniała, jak jej figura...

- Odejdź - powiedział łagodnie Louis. Ujął ją za przeguby, przerywając to, co jej dłonie robiły z jego twarzą. Przypominało to doskonale kojący, odprężający masaż. Wstał, zmuszając ją do tego samego i ujął ją za ramiona. Co by powiedziała, gdyby teraz ją odwrócił i klepnął w zadek?

Pogłaskała go po karku samymi koniuszkami palców. Teraz robiła to już obydwoma rękami. Dotknęła jakiegoś miejsca na jego piersi, potem jeszcze tutaj... i tutaj... i Lomsa Wu ogarnęła szalona, niepohamowana żądza. Zacisnęła dłonie niczym szpony na jej ramionach.

Stała bez ruchu, czekając, aż zdejmie bluzę i spodnie. Kiedy był już nagi, dotknęła go jeszcze tutaj... i tutaj... i za każdym razem było to tak, jakby dotykała ośrodka rozkoszy w jego mózgu.

Drżał jak w gorączce. Gdyby teraz go odtrąciła, użyłby siły. Musiał ją mieć...

Jednak jakaś mniej popędliwa część jego świadomości zdawała sobie cały czas sprawę, że mogłaby go ostudzić równie szybko, jak go pobudziła. Czuł się jak młody satyr, chociaż jednocześnie miał niejasne wrażenie, że jest również bezwolną marionetką.

W tej chwili jednak mało go to obchodziło.

A twarz Prill ciągle nie miała żadnego wyrazu. Doprowadziła go na skraj orgazmu, po czym trzymała tam, trzymała... aż kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, była jak uderzenie trwającej w nieskończoność, drżącej w ekstazie błyskawicy.

Kiedy wszystko się skończyło, nawet nie zauważył, że odeszła. Musiała doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo go wyeksploatowała. Zasnął, zanim zdążyła dojść do drzwi.

Obudził się z myślą: „Dlaczego to zrobiła?”

„Nie bądź takim analitykiem”, odpowiedział sam sobie. „Jest samotna. Musiała być samotna od bardzo długiego czasu. Dawno nie miała okazji wypróbować swych umiejętności...”

Umiejętności. Musiała znać anatomię lepiej od niejednego profesora.

Doktorat z prostytucji? To wcale nie było takie śmieszne. Louis Wu potrafił rozpoznać specjalistę niezależnie od dziedziny, jaką reprezentował. Ta kobieta była specjalistą najwyższej klasy.

Należy dotknąć w odpowiedniej kolejności następujących zakończeń nerwów, żeby uzyskać następującą reakcję... Taka wiedza może zrobić z człowieka marionetkę.

... skaczącą na sznureczkach szczęścia Teeli Brown...

I wtedy już wiedział. Zbliżył się tak bardzo do odpowiedzi, że kiedy wreszcie ją zobaczył, nawet się specjalnie nie zdziwił. Nessus i Halroprillalar pojawili się w drzwiach chłodni, ciągnąc za sobą ubrane w jakieś niezwykle szaty ciało nietotnego ptaka, przewyższającego rozmiarami dorosłego człowieka. Ubranie było pomysłem Nessusa, który dzięki temu nie musiał dotyka bezpośrednio swymi ustami martwej tuszy.

Louis zastąpił go, stając u boku Prill. Podobnie jak ona, musiał chwycić ptaka oburącz. Odpowiedział na jej powitalne skiniecie głową, po czym zapytał:

- Ile ona ma lat?

- Nie wiem - odparł bez śladu zdziwienia lalecznik.

- Przyszła do mnie w nocy. - To za mało, dla Nessusa nic to nie znaczyło. - Wiesz chyba, że to, co robimy w celu prokreacji robimy też czasem tylko dla przyjemności?

- Wiem.

- No więc, właśnie to robiliśmy. Jest w tym dobra. Jest w tym tak dobra, że musi mieć za sobą co najmniej tysiąc lat praktyki.

- To wale nie jest niemożliwe, Louis. Jej cywilizacja знаła środek dużo skuteczniejszy od waszego „utrwalacza”. Dzisiaj nawet najmniejsza jego ilość jest warta dokładnie tyle, ile zażąda za niego właściciel. Jedna pełna dawka oznacza pięćdziesiąt lat młodości.

- Czy może wiesz, ile dawek wzięła?

- Nie, Louis. Ale wiem, że doszła tutaj na piechotę.

Dotarli do klatki schodowej, prowadzącej w dół, do komory więziennej.

- Doszła tutaj, ale skąd?

- Z krawędzi.

- Dwieście tysięcy mil?

- Prawie.

- Musisz mi o tym opowiedzieć. Co się z nimi stało, kiedy przedostali się na tę stronę ściany?

- Zapytam ją. Nie powiedziała mi jeszcze wszystkiego.

I lalecznik, krok po kroku, zaczął odtwarzać całą historię. Wyglądała ona mniej więcej tak:

Pierwsza grupa barbarzyńców, na jaką natrafili, uznała ich za bogów. Miało tak dziać się zawsze, z jednym generalnym wyjątkiem.

Boskość pozwoliła im na rozwiązanie jednego problemu-nieszczęśnicy, którym źle wycelowany promień osmotyczny uszkodził mózgi, mogli pozostać pod opieką mieszkańców poszczególnych wiosek.

Jako osiadli bogowie cieszyli się szacunkiem i uwielbieniem, a ponieważ byli niespełna rozumu, nie mogli wykorzystać swej boskości do żadnych niegodziwych celów.

Pozostała przy życiu i zdrowych zmysłach część załogi „Pioniera” podzieliła się na dwie grupy: siedem osób ruszyło w kierunku obrotu Pierścienia, a reszta, w tym Prill, w przeciwną stronę. Każda grupa miała zamiar wędrować wzdłuż krawędzi, szukając śladów cywilizacji. Każda przysięgła przystać pomoc, jeżeli taką znajdzie.

Wszyscy brali ich za bogów. Wszyscy, z wyjątkiem innych bogów. Upadek Miast pozostawił po sobie trochę niedobitków; część z nich była szalona, zaś wszyscy zażywali przedłużający życie środek, o ile mogli go znaleźć. Wszyscy szukali enklaw cywilizacji. Nikt nie pomyślał o tym, żeby założyć własną.

W miarę upływu czasu przyłączało się do nich coraz więcej bogów. Tworzyli już cały panteon.

We wszystkich napotkanych po drodze miastach znajdowali roztrzaskane resztki napowietrznych wież. Wieże te zbudowano w pierwszej fazie zasiedlania Pierścienia, tysiące lat przed powstaniem eliksiru młodości. Pokolenia, które już korzystały z jego dobrodziejstw, stały się bardziej ostrożne. Ci, których stać było na to, żeby z niego korzystać, trzymali się z dala od latających budowli, chyba że zostali wybrani na jakieś oficjalne stanowiska. Wtedy instalowali niezliczone urządzenia zabezpieczające lub niezależne generatory mocy.

Część latających budynków unosiła się jeszcze w powietrzu, ale większość runęła na kipiące życiem miasta w tej samej chwili, kiedy urwały się dostawy energii z termoelektrycznych ogniw czarnych prostokątów.

Pewnego razu wędrowny panteon natrafił na zamieszkane jedynie na obrzeżach miasto, w którym tliły się jeszcze iskierki dawnej cywilizacji. Tutaj nie mogli rozegrać gambitu boga. Drogą wymiany za nieprawdopodobną ilość eliksiru uzyskali duży, sprawny pojazd.

Po pewnym czasie pojazd odmówił posłuszeństwa. Nie mieli już sił, a może i nie widzieli sensu w kontynuowaniu podróży. Pielgrzymka bogów zakończyła się w jednym ze zrujnowanych, opuszczonych miast.

Ale Prill miała mapę. Jej rodzinne miasto leżało już niedaleko stamtąd. Przekonała jednego z mężczyzn, żeby jej towarzyszył i razem ruszyli w drogę. Wszędzie występowali jako bogowie. Po pewnym czasie Prill znudziło się towarzystwo mężczyzny i dalej szła już sama. Gdzie nie wystarczyła jej boskość, sprzedawała niewielkie ilości eliksiru. Gdzie i to okazywało się za

mało...

- Jest jeszcze jeden sposób, w jaki podporządkowywała sobie ludzi. Próbowała mi to wyjaśnić, ale nie sądzę, żebym zrozumiał.

- Ja rozumiem - uspokoił go Louis. - To coś w rodzaju taspu.

Kiedy wreszcie dotarła do miasta, musiała być już niemal zupełnie szalona. Zamieszkała w siedzibie policji, która bez większych uszkodzeń wylądowała na jednym z placów i po wielu godzinach prób udało się jej unieść budynek w powietrze. Kilka razy niewiele brakowało, żeby straciła panowanie nad skomplikowanym systemem sterowniczym.

- Działały także generatory pola elektromagnetycznego, służącego do wychwytywania pojazdów, które naruszyły przepisy ruchu-zakończył Nessus. - Włączyła je. Ma nadzieję znaleźć w ten sposób kogoś, kto tak jak ona przeżył Upadek Miast. Jeżeli używa latającego pojazdu, to znaczy, że nie jest barbarzyńcą.

- Więc dlaczego zamyka wszystkich w tym złomowisku?

- Na wszelki wypadek. To znak, że wraca do zdrowych zmysłów.

Louis zmarszczył brwi. Ciało ptaka zjechało w dół na jednym z wraków i Mówiący już nim się zajął.

- Moglibyśmy oświetlić ten budynek - powiedział Louis. - Moglibyśmy zmniejszyć jego wagę o prawie połowę.

- Jak?

- Wystarczy odciąć całą dolną część. Ale najpierw musielibyśmy wy dostać stąd Mówiącego. Jak myślisz, uda ci się?

- Spróbuję.

## 22. Poszukiwacz

Ponieważ Halloprillalar ciągle panicznie bała się Mówiącego-do-Zwierząt, Nessus starał się zmienić to jej nastawienie wzmacniając działanie taspu, gdy tylko potężna, pomarańczowa sylwetka znajdowała się w polu widzenia dziewczyny. Twierdził, że z czasem widok kżina stanie się dla Prill równie miły, jak jego, ale na razie zarówno on, jak i dziewczyna unikali towarzystwa Mówiącego.

Dlatego właśnie na platformie obserwacyjnej, spoglądając w mroczną otchłań komory więziennej, znajdowali się tylko Louis i Mówiący.

- Zaczynaj - powiedział Louis.

Kzin nacisnął obydwa spusty.

Rozległ się powtórzony wielokrotnym echem odgłos gromu, zaś na ścianie, tuż pod sufitem, pojawił się oślepiająco jasny punkt. Przesuwał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pozostawiając za sobą krwistoczerwony ślad.

- Tnij po kawałku - polecił Louis. - Jeśli to wszystko spadnie naraz, będziemy się czuli jak pchły na grzbiecie wściekłego psa.

Mówiący posłusznie zmienił kierunek cięcia.

Mimo to, kiedy odpadł pierwszy kęs konstrukcji, budynek zakołysał się jak pijany. Louis wczepił się rozpaczliwie w wysuwającą się spod niego podłogę. Przez wycięty otwór zobaczył słońce, miasto i ludzi.

Bezpośrednio w dół mógł spojrzeć dopiero kilka minut później, kiedy przestało istnieć jeszcze kilka segmentów budowli.

Ujrzał drewniany ołtarz, a na nim błyszczący model w kształcie płaskiego prostokąta nakrytego parabolicznym łukiem. W chwilę potem tuż obok runęła część odciętej właśnie ściany, grzebiąc ołtarz pod rumowiskiem. Ludzie uciekli dużo wcześniej.

- Ludzie! - poskarżył się później Nessusowi. - W środku opustoszałego miasta, co najmniej dzień drogi od pół! Skąd się tutaj wzięli?

- Oddają cześć swojej bogini, Halrloprillalar. Dzięki nim ma co jeść.

- A, ofiary i tak dalej...

- Właśnie. Czemu cię to niepokoi?

- Mogli zginąć

- Być może niektórych to spotkało.

- Zdawało mi się że przez chwilę tam, na dole, widziałem Teelę.

- Nonsens, Louis. Czy możemy sprawdzić działanie naszych horyzontalnych silników?

Skuter lalecznika był niemal całkowicie zatopiony w żelatynowej polewie supertwardego plastyku.

Nessus zajął miejsce przy odsłoniętej tablicy przyrządów. Przez panoramiczne okno roztaczał się wspaniały widok na całe miasto i port, wysmukłe wieże centrum, bujna dżungla, która niegdyś była zapewne reprezentacyjnym parkiem. Wszystko to kilka tysięcy stóp pod nimi.

Louis przymknął oczy...

Czując na sobie spojrzenia wiernej załogi, bohaterski dowódca stanął na mostku. Uszkodzone silniki mogą w każdej chwili eksplodować, ale to nieważne! Trzeba powstrzymać wojenne statki kzinów, zanim uderzą na Ziemię siejąc śmierć i zniszczenie!

- To bez sensu - powiedział Louis Wu.

- Dlaczego? Naprężenia materiału nie powinny...

- Latający zamek! Na czerwone oczy finagla, dopiero teraz uświadomiłem sobie, jakie to wariactwo! Jesteśmy chyba niespełna rozumu. Wlec się do domu w górnej połowce wieżowca...

Budynek zakołysał się i Louis oparł się o ścianę; lalecznik włączył silnik skutera.

Miasto, nabierając szybkości, przesuwało się za oknem. Po pewnym czasie Nessus wyłączył przyśpieszenie, zresztą ani przez chwilę nie było większe niż jakieś trzydzieści centymetrów na sekundę do kwadratu. Lecieli z prędkością około stu mil na godzinę i nie czuli najmniejszego nawet kołysania.

- Udało nam się dobrze osadzić skuter - powiedział Nessus. - Jak widzicie, podłoga jest poziomo, a sama budowla nie wykazuje żadnych tendencji do obracania się.

- To i tak bez sensu.

- Nic, co działa, nie jest bez sensu. Dokąd lecimy?

Louis nic nie odpowiedział.

- Dokąd lecimy, Louis? Ani Mówiący, ani ja nie mamy żadnych planów. Podaj kierunek, Louis.

- Z powrotem.



- Doskonale. Dokładnie tym samym kursem?

- Tak, aż za Oko. Tam skręć o czterdzieści pięć stopni w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Pierścienia.

- Czy chcesz odnaleźć miasto z wieżą, którą nazwano Niebem?

- Tak. Trafisz tam?

- Bez problemu. Lecieliśmy stamtąd trzy godziny; powinniśmy być z powrotem za trzydzieści. A co potem?

- Zobaczymy.

Obraz był tak wyraźny. . . Była to, co prawda czysta teoria wymieszana z jeszcze czystsza fantazją, ale... Louis Wu śnił na jawie.

Tak wyraźny. Ale czy realny?

Jego samego przeraziła łatwość, z jaką zwątpił w możliwości latającej wieży. A przecież leciała. I wcale nie potrzebowała do tego Louisa Wu.

- Zdaje się, że pożeracz liści bez sprzeciwu podporządkowuje się twoim poleceniom-zauważył Mówiący-do-Żwierząt.

Kilka stóp od nich skuter lalecznika mrucał cichutko. Za oknem niezmordowanie przesuwiał się krajobraz. Oko przyglądało im się obojętnie z oddali, niedostrzegalnie zbliżając się do nich z każdą mijającą minutą.

- Pożeracz liści oszalał - odparł Louis. - Mam nadzieję, że przynajmniej ty jesteś przy zdrowych zmysłach.

- Skądże znowu. Jeśli masz jakiś cel, chętnie będę ci towarzyszył. Ale jeżeli będziemy musieli z kimś walczyć, to chciałbym wiedzieć o tym odpowiednio wcześniej.

- Uhm.

- Chciałbym wiedzieć c o k o 1 w i e k niezależnie od tego, czy będziemy musieli walczyć, czy nie.

- Dobrze powiedziane.

Mówiący czekał.

- Wracamy po nią łączącą czarne prostokąty - powiedział wreszcie Louis. - Po tę, którą zerwał „Kłamacz”. Spadała na miasto pętla za pętlą, bez końca.

Jest jej już tam pewnie kilkadziesiąt tysięcy mil, więcej niż będziemy potrzebować.

- Do czego mamy jej potrzebować, Louis?

- Najpierw musimy ją mieć. Sądzę, że jeśli Prill ładnie poprosi, a Nessus zrobi użytek ze swojego taspu, nie powinniśmy mieć z tym większego problemu.

- A potem?

- Potem przekonamy się, czy rzeczywiście zwariowałem. Napowietrzny budynek parł przed siebie niczym potężny parostatek. W żadnym statku kosmicznym nie mieliby do dyspozycji aż tyle miejsca. Także żaden ze znanych im pojazdów poruszających się w obrębie atmosfery nie wytrzymał porównania; sześć pokładów, po których można łązić! Luksus!

Brakowało za to innych luksusów. Zasoby żywności ograniczały się do mrożonego mięsa i owoców z chłodni oraz cegiełek ze skutera lalecznika. Według Nessusa jego pożywienie nie zawierało żadnych składników odżywczych przyswajalnych przez organizm ludzi lub kzinów, toteż każdy posiłek Louisa wyglądał tak samo: kawałek mięsa upieczonego promieniem lasera i pomarańczowy owoc.

Poza tym, nie mieli wody.

Ani kawy.

Nakłonili Prill, żeby przyniosła kilka butelek miejscowego alkoholu i w zaimprovizowanej sterowni urządzili chrzest statku. Kzin taktownie wycofał się do najdalszego kąta, zaś Prill cały czas kręciła się w pobliżu drzwi. Nikt nie chciał się zgodzić na propozycję Louisa, żeby nadać ich nowemu statkowi imię „Niemożliwy”, toteż odbyły się właściwie cztery chrzty, każdy w innym języku.

Alkohol był...no, w najlepszym razie kwaśny. Mówiący nie mógł go przełknąć, zaś Nessus nawet nie próbował. Prill natomiast sama opróżniła jedną butelkę, po czym starannie schowała pozostałe.

Ceremonia chrztu zamieniła się w lekcję języka, podczas której Louis przyswoił sobie kilka podstawowych pojęć języka Inżynierów. Mówiący czynił dostępy o wiele szybciej od niego: Nie było w tym nic niezwykłego, przecież zarówno kzin, jak i lalecznik znali już kilka ludzkich języków, a co za tym idzie, byli obeznani z narzuconymi przez nie sposobami formułowania i wyrażania myśli. Tutaj mieli do czynienia niemal dokładnie z tym samym.

Zrobili przerwę na obiad. Nessus jadł sam, korzystając z regeneratora

żywności swego skutera, żeby nie widzieć, jak Louis i Prill spożywają pieczone, Mówiący zaś surowe mięso.

Po posiłku lekcja trwała dalej. Louis zaczynał powoli mieć tego dosyć. Inni byli już tak zaawansowani, że on sam czuł się jak kretyn.

- Ależ, Louis, przecież m u s i s z się nauczyć! Przemieszczamy się bardzo wolno i nieraz będzie trzeba kontaktować się z tubylcami w celu zdobycia żywności.

- Wiem, wiem. Nigdy nie miałem smykałki do języków.

Zapadła ciemność. Chociaż znajdowali się jeszcze daleko od Oka, niebo było całkowicie zasnuwane chmurami i noc była czarna niczym wnętrze brzucha olbrzymiego smoka. Louis zażądał przerwy. Był zmęczony, poirytowany i najczęściej w ogóle nie wiedział, o co chodzi. Pozostała trójka wyszła, pozwalając mu położyć się spać.

Za mniej więcej dziesięć godzin mieli mijać Oko. Znajdował się na krawędzi snu, kiedy wróciła Prill. Poczł gładzzące go dłonie i sięgnął do niej.

Cofnęła się o krok.

- Ty jesteś wódcz? - zapytała w swoim języku, maksymalnie uproszczonym dla potrzeb Louisa.

Louis zastanowił się przez chwilę.

- Tak - powiedział wreszcie, bowiem rzeczywista sytuacja była zbyt skomplikowana, żeby mógł się pokusić o jej wyjaśnienie.

- Każ dwugłowemu dać mi jego maszynę.

- Jego co?

- Jego maszynę, która robi mi szczęście. Chcę ją. Zabierz mu.

Louis roześmiał się.

- Chcesz mnie? Zabierz ją - powtórzyła niecierpliwie Prill.

Lalecznik miał coś, na czym jej zależało. Nie miała na niego żadnego wpływu, gdyż nie był człowiekiem. Jedynym człowiekiem w pobliżu był Louis Wu: Mogła go zmusić do zrobienia tego, co chciała; do tej pory zawsze tak się działo. Czyż nie była boginią?

Być może zwiodły ją włosy Louisa. Sądziła pewnie, że jest członkiem zarośniętej klasy niższej, no, może pół-Inżynierem, jako że nie miał brody, ale nikim więcej. Oznaczało to, że urodził się już po Upadku Miast. Nie zażywał eliksiru. Był naprawdę młody.

- Masz zupełną rację - powiedział Louis w interworldzie. Jej pięści zacisnęły się z wściekłością, bowiem nie trzeba było się specjalnie wysilać, żeby usłyszeć kpinę w jego głosie. - W twoich rękach każdy trzydziestolatek zmiękłby jak wosk. Ale ja jestem trochę starszy.

- I roześmiał się znowu.

- Maszyna. Gdzie ona jest? - Jej uroczy, kształtny cień pochylił się w jego stronę. Naga skóra na czaszce błyszcząca słabo. Czarne włosy spadały na jedno ramię. Poczł ciepło jej oddechu.

Louis z trudem znalazł odpowiednie słowa.

- Guz w środku, na kości. Głowa.

Prill wydała wściekły pomruk. Z pewnością zrozumiała; tasp był wszczepiony chirurgicznie. Odwróciła się i wyszła bez słowa.

Louisowi przemknęła myśl, czy by przypadkiem za nią nie pójść. Pożądał jej bardziej, niż ośmieliłby się nawet sam przed sobą przyznać. Ale ona mogła nim całkowicie zawładnąć, a motywy i cele, ku którym oboje dążyli wcale nie były takie same.

Świst wiatru przybierał stopniowo na sile. Louis przymknął oczy... i wpadł w objęcia płytkiego; erotycznego snu.

Niebawem obudził się.

Prill klęczała na nim niczym demon w kobiecym przebraniu, niespiesznie przesuwając palce po skórze na jego piersi i brzuchu. Po chwili raz i drugi poruszyła biodrami i Louis nie mógł powstrzymać się, żeby nic odpowiedzieć w ten sam sposób. Grała na nim jak na jakimś instrumencie.

- Kiedy skończę, będziesz mój - wyszeptła. Jej głos drżał z rozkoszy, ale nie była to rozkosz kobietykochającej się z mężczyzną, tylko rozkosz kogoś, kto dysponuje nieograniczoną władzą.

Dotknięcie jej ciała było słodkie i ciężkie jak syrop. Już dawno zdążyła poznać jeden z najstarszych sekretów świata: każda kobieta od urodzenia ma w sobie potężny tasp; jeżeli nauczy się z niego korzystać; nic będzie dla niej nic niemożliwego. Mogła działać nim tak długo, aż wreszcie Louis błagałby ją

na kolanach o to, żeby móc jej służyć...

Nagle coś się w niej zmieniło. Nie można tego było dostrzec na twarzy, ale Louis usłyszał miękki jęk rozkoszy i odczuł zmianę w jej ruchach, coraz szybszych, coraz gwałtowniejszych, aż wreszcie razem doszli do szczytowego punktu. Stłumiony, daleki odgłos jakby gromu wydał się Louisowi nierzeczywistym produktem jego wyobraźni.

Została przy nim przez całą noc. Od czasu do czasu budzili się, kochali, i znów szli spać. Jeżeli nawet Prill odczuwała jakiś niedosyt czy niezaspokojenie, to nie dawała mu tego odczuć, a on nie potrafił nic takiego dostrzec. Wiedział tylko, że nie był już bezwolnym instrumentem; teraz grali w duecie.

Coś jej się stało. I Louis chyba wiedział, co. Poranne niebo było szare i zachmurzone. Wiatr świstał w załomach starej budowli, a deszcz zalewał strumieniami panoramiczne okno, zacinając do środka przez powybijane szyby na innych piętrach. „Niemożliwy” znajdował się już bardzo blisko Oka.

Louis ubrał się i wyszedł ze sterowni.

W holu zobaczył drepczącego dokądś Nessusa:

- Ej, ty! - krzyknął.

- Tak, Louis?

- Co zrobiłeś Prill?

- Powinieneś być wdzięczny, Louis. Chciała cię sobie podporządkować, zmusić do posłuszeństwa. Wszystko słyszałem.

- Użyłeś taspu!

- Kiedy byliście zajęci działalnością reprodukcyjną, dałem przez trzy sekundy małą moc. Teraz to ona jest uwarunkowana, nie ty.

- Ty potworze! Ty cholerny, egoistyczny potworze!

- Nie zbliżaj się, Louis.

- Prill jest człowiekiem, tak jak ja i ma prawo do wolnej woli!

- A co z twoją wolą?

- Nie bój się, nic jej nie groziło. Prill nie dałaby rady mnie omotać.

- Czy jeszcze coś cię martwi? Louis, nie byliście pierwszą parą ludzi, którą obserwowałem podczas działalności reprodukcyjnej. Musieliśmy przecież dowiedzieć się o was wszystkiego. Powtarzam, nie podchodź bliżej.

- Nie miałeś prawa! - Louis, rzecz jasna, nie miał zamiaru zaatakować lalecznika. Z wściekłości zacisnął co prawda pięści, ale w żadnym wypadku by ich nie użył. Zrobił krok naprzód...

... i znalazł się w trudnej do opisanie ekstazie.

W sercu najczystszej rozkoszy, jakiej nie dane mu było jeszcze nigdy zaznać, zdawał sobie doskonale sprawę, że Nessus użył swego taspu. Nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami tego, co czyni, zamachnął się z całej siły nogą.

Obezwładniony cudownym uczuciem nie miał tej siły zbyt wiele, ale wystarczyło jej w zupełności, żeby kopnąć Nessusa w krtań, tuż pod lewą szczęką.

Konsekwencje tego czynu były zadziwiające. Nessus powiedział „Glup!”, zatoczył się do tyłu i wyłączył tasp.

W tej samej chwili na barki Louisa Wu zwały się troski i zmartwienia całego świata. Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie patrząc dokąd idzie. Chciało mu się płakać, ale jeszcze bardziej chciał ukryć przed lalecznikiem swoją twarz.

Szedł na oślep, mając przed oczami panującą w jego duszy ciemność. Przypadkiem trafił na klatkę schodową.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co zrobił Prill. Nawet kiedy balansował nad dziewięćdziesięcio stopową przepaścią miał mieszane uczucia, kiedy Nessus używał na niej swego taspu. Kiedyś widział, jak wyglądają ci, którzy pozostają dłużej pod jego wpływem.

Uwarunkowana! Jak doświadczalne zwierzątko! W dodatku zdawała sobie z tego sprawę! Tej nocy dokonała ostatniej, nieudanej próby wyrwania się spod przerażającego, rozkosznego czaru.

A teraz Louis poczuł na sobie to; z czym walczyła.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział na głos. - Cofam to.

Było to śmieszne, nawet w czarnej rozpacz, w jakiej się znajdował. Niczego nie można cofnąć.

Przypadkiem skierował się po schodach na dół, a nie na górę. Przypadkiem albo jego podświadomość zarejestrowała jednak ów głuchy grzmot sprzed kilku godzin.

Kiedy stanął na platformie, dopadł go szalejący wiatr, zacinając ukośnymi strumieniami deszczu. Nieprzyjemne uczucie sprawiło, że skierował część uwagi na to, co działo się poza nim. Powoli dochodził do siebie po czarnej rozpacz, której doświadczył po wydostaniu się spod działania taspu.

Kiedyś Louis Wu przysiągł sobie, że będzie żył wiecznie.

Teraz wiedział już, że dotrzymanie tej obietnicy wymagało wielu wyrzeczeń i poświęceń.

- Muszę ją uratować - postanowił. Ale jak? Na razie nie przejawiała żadnych objawów depresyjnych... Ale to nie znaczyło, że w każdej chwili nie może wyjść przez wybite okno. A jak mam uratować s i e b i e? Gdzieś w głębi jego duszy ciągle rozlegał się rozpaczliwy krzyk. I nie chciał przestać.

Uwarunkowanie nie było niczym innym jak pamięcią podprogową. Gdyby dać jej dużą dawkę eliksiru, to pamięć ta powinna się zatrzeć...

- Nieżas! Potrzebujemy jej.

Zbyt wiele wiedziała o maszynowni „Niemożliwego”. Nikt nie mógł jej zastąpić. Nie pozostaje mu nic innego, jak zmusić Nessusa, żeby przestał używać taspu. Trzeba będzie przez jakiś czas dokładnie ją obserwować. Z początku będzie pewnie straszliwie przygnębiona...

Do mózgu Louisa dotarło wreszcie to, co jego oczy obserwowały już od dłuższego czasu.

Pojazd, przypominający kształtem niewielką strzałę z wąskimi paskami okien znajdował się jakieś dwadzieścia stóp poniżej platformy. Unosił się w szalejącym wietrze, chwycony więzami elektromagnetycznego pola, którego nikt nie wyłączył.

Louis przyjrzał się dokładnie, żeby upewnić się, że za przednią szybą rzeczywiście mający jakąś twarz, potem popędził po schodach na górę, wołając Prill. .

Nie znał odpowiednich słów, więc tylko schwycił ją za łokieć i sprowadził na dół. Zobaczywszy, o co mu chodzi, skinęła głową i wróciła do maszynowni.

Po chwili strzała przybiła do krawędzi platformy. Pierwszy pasażer

wygramolił się na czworakach, bowiem wiatr dął już jak oszalały.

Była to Teela Brown. Louis nawet specjalnie się nie zdziwił.

Drugi pasażer wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z kart komiksu. Louis nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

Na twarzy Teeli malował się wyraz zdziwienia i urazy. Mijali Oko. Wiatr wciskał się otwartą klatką schodową na pierwsze piętro i hulał po korytarzach. Wyżej, przez powybijane okna zaciął ulewny deszcz.

Teela, jej towarzysz i załoga „Niemożliwego” zebrała się w sterowni, czyli sypialni Louisa. Kompan Teeli rozmawiał w kącie z Prill, która jednak starała się nie spuszczać z oka zarówno Mówiącego-do-Zwierząt, jak i panoramicznego okna. Reszta skupiła się wokół Teeli, słuchając jej opowieści.

Kiedy skuter Teeli dostał się w zasięg policyjnego pola, przestało w nim działać niemal wszystko: lokator, interkom, bariera dźwiękochłonna i regeneratory żywności.

Przeżyła tylko dzięki temu, że urządzenie generujące, chroniące ją przed hałasem i wiatrem pole siłowe miało niewielki zapas energii, pozwalający na utrzymanie go jeszcze przez kilkanaście sekund. Przez ten czas prędkość skutera spadła z 2 Macha poniżej maksymalnej szybkości dozwolonej w granicach miasta. Pole elektromagnetyczne natychmiast ją wypuściło, pozostawiając nieuszkodzony silnik.

Ale Teela miała już dosyć. Przecież niedawno otarła się o śmierć w Oku; kolejny atak nastąpił zbyt szybko. Skierowała skuter w dół, usiłując znaleźć w ciemności jakieś miejsce do lądowania.

Dostrzegła coś w rodzaju ulicy, jasno oświetlonej pomarańczowym blaskiem, wydobywającym się z owalnych otworów wejściowych. Skuter wylądował dosyć twardo, ale jej było wszystko jedno; ważne, że bezpiecznie znalazła się na ziemi.

Właśnie zsiadała, kiedy maszyna sama uniosła się w powietrze. Teela wywinęła salto, a kiedy pozbierała się na tyle, żeby spojrzeć w górę, skutera już nie było.

Rozpłakała się.

- Widocznie wylądowałaś akurat tam, gdzie był zakaz postoju - powiedział Louis.

- Nic mnie nie obchodziło, dlaczego tak się stało. Czułam ... -nie mogła



znaleźć odpowiednich słów.

- Chciałam powiedzieć komuś, że się zgubiłam. Ale nie miałam komu. Usiadłam na jednej z kamiennych ławek i zaczęłam płakać. . .

Nie wiem, jak długo płakałam. Bałam się stamtąd odejść, bo wiedziałam, że będziecie mnie szukać. A potem.... o n przyszedł - wskazała głową swego towarzysza. - Bardzo się zdziwił, kiedy mnie zobaczył. Zapytał mnie o coś, ale ja nie zrozumiałam. Próbował mnie pocieszyć. Byłam szczęśliwa, że jest, chociaż nie mógł mi w żaden sposób pomóc.

Louis skinął głową. Teela zaufała by komukolwiek. Oczekiwała by pomocy i opieki od każdego, na kogo by natrafiła. I nic by jej nie groziło.

Trzeba przyznać, że jej opiekun robił spore wrażenie.

Był bohaterem; wystarczył jeden rzut oka, żeby to stwierdzić. Nawet nie trzeba było widzieć, jak walczy ze smokami - dość było spojrzeć na niesamowite mięśnie, posturę, czarny, krótki miecz i ostre, silne rysy twarzy, podobne do druczanej rzeźby z sali bankietowej Nieba. Do tego kurtuazja, z jaką odnosił się do Prill, nie akcentując wcale faktu, że jego rozmówczyni jest kobietą. Czy dlatego, że była kobietą innego mężczyzny?

Był dokładnie ogolony. Nie, to wydawało się raczej niemożliwe. Już prędzej w jego żyłach płynęła krew Inżynierów. Miał długie, jasnopozielate włosy - nawiasem mówiąc, niezbyt czyste - i wyniosły, szlachetny zarys brwi. Cały jego strój stanowiła krótka spódniczka ze skóry jakiegoś zwierzęcia.

- Nakarmił mnie - mówiła dalej Teela. - Zaopiekował się mną. Wczoraj napadło na nas czterech mężczyzn, a on rozprawił się z nimi tym swoim mieczem, i nauczył się sporo interworldu.

- Naprawdę?

- Bardzo łatwo uczy się języków.

- To już cios poniżej pasa.

- Proszę?

- Nieważne. Mów dalej.

- Jest stary, Louis. Dawno temu wziął dużą dawkę czegoś w rodzaju naszego utrwalacza. Twierdzi, że zdobył ją od złego czarownika. Jest tak stary, że pamięta, jak jego dziadkowie opowiadali o Upadku Miast.

- Wiesz, czym się zajmuje? - uśmiechnęła się figlarnie. - Jest w trakcie wielkiej wędrówki. Dawno temu złożył przysięgę, że dotrze do podstawy Łuku. Właśnie to robi. Robi to od kilkuset lat.

- Do podstawy Łuku?

Teela skinęła głową. Uśmiechała się cały czas, najwyraźniej bawiąc się doskonale tym, co powiedziała. Ale w jej oczach było coś więcej.

Louis widział już kiedyś miłość w oczach Teeli Brown, ale nigdy nie widział czułości:

- Zdaje się, że jesteś z niego dumna! Ty mała idiotko, czy nie wiesz, że nie ma żadnego Łuku? .

- Wiem, Louis.

- Więc dlaczego mu nie powiesz?

- Jeśli TY mu powiesz, znienawidzę cię na zawsze. Robi to przecież niemal całe życie! Inni także mają z tego pożytek: potrafi robić różne rzeczy i uczy tych, których spotka podczas swojej wędrówki.

- Co on może wiedzieć? Nie wygląda na zbyt inteligentnego.

- Bo nie jest. - Sądząc ze sposobu, w jaki to powiedziała, nie miało to dla niej większego znaczenia. - Ale gdybym szła wraz z nim, mogłabym nauczyć wielu ludzi wielu pożytecznych rzeczy.

- Wiedziałem, że coś takiego nastąpi - powiedział Louis Wu.

Niemniej, to bolało.

Czy Teela zdawała sobie z tego sprawę? Unikała jego wzroku.

- Siedzieliśmy na tej uliczce cały dzień, aż uświadomiłam sobie, że przecież będziecie szukać mojego skutera, nie mnie. Opowiedział mi o Hal... Hal... o bogini i o latającej wieży, która wciągała wszystko, co się porusza. Poszliśmy tam.

Dotarliśmy do samego ołtarza i wypatrywaliśmy naszych skuterów, ale wieża zaczęła się nagle rozpadać. Potem Poszukiwacz...

- Poszukiwacz?

- Tak się nazywa. Kiedy ktoś spyta go, dlaczego, może opowiedzieć mu o

swojej pielgrzymce do podstawy Łuku i o przygodach, jakie przeżył po drodze... Rozumiesz?

- Aha.

- Zaczął uruchamiać silniki w starych pojazdach. Powiedział, że kiedy wpadały w pole policyjne, kierowcy wyłączali silniki, żeby nie zostały zniszczone.

Louis, Mówiący i Nessus spojrzeli po sobie. Połowa rzekomych wraków mogła być jeszcze na chodzie!

- Znaleźliśmy jeden, który działał -ciągnęła Teela. - Ruszyliśmy w pogoń, ale pewnie minęliśmy was w nocy. Na szczęście przekroczyliśmy dozwoloną szybkość i zostaliśmy złapani.

- Rzeczywiście. W nocy wydawało mi się, że coś słyszę, ale nie byłem pewien:

Poszukiwacz zakończył rozmowę z Prill i oparł się swobodnie o ścianę sypialni, z lekkim uśmiechem przyglądając się Mówiącemu-do-Zwierząt. Kzin odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Louis odniósł wrażenie, że obydwaj zastanawiają się nad tym, jak by to było, gdyby przyszło im się ze sobą zmierzyć.

Prill spojrzała za okno. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy malowało się przerażenie. Zadrżała, gdy wraz z mocniejszym podmuchem rozległo się zawrozczenie wiatru.

Z pewnością widziała już nieraz tego typu zjawiska, powstające nad małymi kraterami po meteorytach. Ale te kratery były błyskawicznie zasklepiane, działo się zaś to zawsze gdzieś daleko, tak daleko, że dowiadywała się o tym z wiadomości i zdjęć w stereowizji, czy czymś w tym rodzaju. Niemniej, zawsze budziło to dreszcz strachu - rycząca, huraganowi ucieczka powietrza w otwierającą się po drugiej stronie bezdenną pustkę.

Wiatr znowu przybrał na sile.

- Mam nadzieję, że ten budynek jest wystarczająco wytrzymały - zmarszczyła brwi Teela.

Louis zaniemówił ze zdumienia; jakże się zmieniła! Chociaż przecież na własnej skórze doświadczyła niebezpieczeństw, jakie czyhały na Oku.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała. - Chcę być z Poszukiwaczem.

- Aha.

- On też chce być ze mną, ale ma zupełnie pokręcone poczucie godności. Próbowałam mu o tobie powiedzieć, a on zrobił się jakiś dziwny i przestał ze mną sypiać. Uważa, że jestem twoją własnością.

- Niewolnictwo?

- Tylko dla kobiet, jak mi się zdaje. Powiesz mu, że tak nie jest?

Louis poczuł nieznośny ucisk w gardle.

- Byłoby chyba prościej, gdybym cię mu sprzedał. Jeśli tego chcesz, oczywiście.

- Masz rację. Chcę, Louis. Chcę wędrować z nim po Pierścieniu. Kocham go.

- Oczywiście. Zostaliście przecież dla siebie stworzeni i musieliście się spotkać. Tych kilkaset miliardów innych par...

Spojrzała na niego nieufnie.

- Chyba nie starasz się być... sarkastyczny?

- Jeszcze miesiąc temu nie odróżniłabyś sarkazmu od tranzystora. Nie, najśmieszniejsze jest to, że wcale nie mówię tego z sarkazmem. Kilkaset miliardów innych par nie ma żadnego znaczenia, ponieważ nie były częścią cholernego eksperymentu laleczników.

Zapadła kompletna cisza. Wszyscy patrzyli prosto na niego. Nawet Poszukiwacz spojrzał w tę stronę, chcąc zobaczyć, co też takiego przykuło uwagę pozostałych.

Ale Louis widział tylko Teelę Brown.

- Roztrzaskaliśmy się na Pierścieniu - powiedział łagodnie - ponieważ tutejsze środowisko jest jakby specjalnie stworzone dla ciebie. Musiałaś nauczyć się rzeczy, których nie mogłabyś nauczyć się na Ziemi ani gdziekolwiek w poznanym Kosmosie. Z pewnością istniały też inne przyczyny, na przykład ten ich eliksir młodości czy gigantyczna przestrzeń, ale najważniejszym powodem, dla którego tutaj się znalazłaś była nauka.

- Nauka? Czego?

- Bólu. Strachu. Niepewności. Jesteś teraz zupełnie inną kobietą niż w chwili,

kiedy się tu zjawiłaś. Przedtem byłaś ... abstrakcją. Czy kiedykolwiek przedtem zdarzyło ci się uderzyć mocniej w palec?

- Nic wiem... Chyba nic. \_

- A poparzyć stopy?

Spojrzała na niego. A więc jednak pamiętała.

- „Kłamca” rozbił się po to, żebyś mogła stanąć na powierzchni Pierścienia. Potem przebyliśmy kilkaset tysięcy mil wyłącznie po to, żebyś mogła spotkać Poszukiwacza. Twój skuter zaniósł cię do niego, a pole elektromagnetyczne przechwyciło w jedynym, właściwym momencie, ponieważ jest to właśnie człowiek, którego miałaś pokochać.

Teela uśmiechnęła się. Louis nie.

- Musiałaś mieć czas, żeby go lepiej poznać, dlatego Mówiący i ja wisieliliśmy ponad dwadzieścia godzin głowami na dół...

- Louis!

- ... nad dziewięćdziesięciopową przepaścią. Ale nie to jest najgorsze.

- Zależy od punktu widzenia - mruknął kzin.

Louis nie zwrócił na niego uwagi.

- Pokochałaś mnie, ponieważ zyskałaś dzięki temu powód, dla którego przyłączyłaś się do wyprawy. Teraz już mnie nie kochasz, ponieważ tego nie potrzebujesz. Już jesteś tutaj. Ja kochałem cię dla tego samego powodu, ponieważ szczęście Teeli Brown uczyniło ze mnie bezwolną marionetkę...

Ale prawdziwą marionetką jesteś ty. Do końca życia będziesz tańczyła na sznureczkach swojego własnego szczęścia. Wątpię, czy kiedykolwiek odzyskasz wolność. A nawet gdyby tak się stało, to nie będziesz wiedziała, co z nią zrobić.

Teela, z pobladłą twarzą, stała bez ruchu wyprostowana niemal na baczność. Jeżeli nie płakała, to tylko dlatego, że z najwyższym trudem udało jej się opanować. Jeszcze niedawno z pewnością by tego nie potrafiła.

Co do Poszukiwacza, to klęczał pod ścianą, spoglądając to na jedno, to na drugie, wodząc palcem po ostrzu swego krótkiego miecza. Nie mógł nie zauważyć, że Teeli dzieje się krzywda. Ale ciągle myślał, że dziewczyna należy do Louisa Wu.

Louis zwrócił się do lalecznika. Nie zdziwił się zbyt wiele zobaczywszy, że Nessus schował pod siebie obie głowy i zwinął się w ciasną kulę, zawieszając tym samym na czas nieokreślony swoje funkcjonowanie we Wszechświecie.

Ujął go za kolano tylnej nogi i odkrył, że bez większego wysiłku może go przetoczyć na grzbiet. Lalecznik z pewnością nie ważył więcej, niż on sam.

I z pewnością bardzo się bał. Kolano dygotało w dłoni Louisa.

- A to wszystko stało się za sprawą twojego monstrualnego egotyzmu - powiedział. - Ten egotyzm przeraża mnie niemal tak samo, jak błędy, które popełniałeś: Nie jestem w stanie pojąć, jak można być jednocześnie tak potężnym, zdecydowanym na wszystko i tak głupim. Czy rozumiesz wreszcie, że wszystko, w s z y s t k o co nas spotkało jest po prostu efektem ubocznym działania szczęścia Teeli?

Ciepła, miękka kula zacisnęła się jeszcze bardziej. Poszukiwacz przyglądał się, zafascynowany.

- Możesz wrócić na planety laleczników i powiedzieć im, że hodowlane eksperymenty na ludziach mogą się źle skończyć. Kilka takich T'eeli i nic by nie zostało z rachunku prawdopodobieństwa. Nawet podstawowe prawa fizyki to nic innego jak działający na poziomie atomowym rachunek prawdopodobieństwa. Powiedz im, że Wszechświat jest zbyt niebezpieczną zabawką dla tak ostrożnych i delikatnych stworzeń.

Powiesz im to, kiedy wrócimy do domu. A na razie rozwijaj się, ale to już! Potrzeba mi nici łączącej czarne prostokąty i ty musisz mi ją znaleźć. Jesteśmy już prawie za Okiem. No, na co czekasz?

Lalecznik wyprostował się i wstał na swoje trzy nogi.

- Wstyd mi, Louis... - zaczął.

- Śmiesz to t e r a z mówić?

Lalecznik zamilkł. Odwrócił się do okna i z zainteresowaniem zaczął przyglądać zostającemu już w tyle Oku. . . .

## 23. Gambit boga

Tubylcy czczący Niebo mieli teraz nagle dwie latające wieże.

Tak jak poprzednio, plac z ołtarzem zaroił się ludźmi. Usiłował odszukać w tłumie łysego kapłana, ale nigdzie nic mógł go dostrzec.

Nessus spoglądał tęsknie na unoszący się obok nich zamek. Sterownia "Niemożliwego" znajdowała się na tym samym poziomie, co komnata map.

- Za pierwszym razem nie miałem okazji zbadać tego miejsca - powiedział. - Teraz nie mogę się tam dostać.

- Możemy zrobić otwór przy użyciu dezintegratora i opuścić cię na linie - zaproponował Mówiący-do-Zwierząt.

- Mimo wszystko, nie skorzystam.

- Robiłeś już dużo bardziej niebezpieczne rzeczy.

- Tak, dążąc do wiedzy. Teraz wiem już tyle, ile mi trzeba. Jeżeli podejmę jakieś ryzyko, to tylko po to, żeby powrócić z tą wiedzą do tych, którzy mnie wysłali. Louis, masz swoją nić.

Louis w milczeniu skinął głową.

Nad częścią miasta unosił się jakby gęsty, rozciągnięty w długą smugę dym. To właśnie musiała być nić. Nagromadziła się jej niesamowita ilość.

- Ale jak mamy to zabrać?

- Nie mam pojęcia - przyznał Louis. - Musimy się dokładniej przyjrzeć.

Posadzili "Niemożliwego" niedaleko od głównego placu.

Nessus nie wyłączał silników. Gdyby budynek osiadł całym swym ciężarem, zmiażdżyłby platformę obserwacyjną, która teraz służyła jako rampa.

- Musimy coś wymyślić - stwierdził Louis. -Może jakieś rękawice? Albo szpula z materiału konstrukcyjnego Pierścienia?

- Nic takiego nie mamy - odparł Mówiący-do-Zwierząt. -Będziemy musieli dogadać się z tubylcami. Mogą mieć jakieś stare legendy, narzędzia, czy relikwie. Poza tym, mieli trzy dni na oswojenie się z tym zjawiskiem.

- W takim razie, będę musiał zejść z wami - stwierdził z wyraźną niechęcią lalecznik, -Mówiący, zbyt słabo władasz ich językiem. Musimy zostawić Prill, żeby mogła w razie potrzeby szybko wystartować. Chyba że... Louis, czy miejscowy kochanek Teeli mógłby prowadzić pertraktacje w naszym imieniu?

Louisa zabolalo trochę, że lalecznik w ten sposób mówi o Poszukiwaczu.

- Nawet Teela nie uważa go za geniusza - odparł cierpko. - Chyba nie ufałbym mu aż tak bardzo.

- Ani ja. Louis, czy naprawdę potrzebujemy tej nici?

- Nie wiem. Jeżeli nie zwariowałem, to tak. Jeśli nie...

- W porządku, Louis. Pójdę.

- Wcale nie musisz wierzyć mi na...

- Pójdę. - Przez aksamitną skórę lalecznika przebiegł nagły dreszcz.

Najdziwniejsze w jego głosie było to, że potrafił być tak wyraźny, czysty, a jednocześnie nie odzwierciedlał żadnych uczuć. - Wiem, że będzie nam potrzebna. Przecież przypadek sprawił, że spadła na naszej drodze; a wszystkie przypadki mają jakiś związek z Teelą Brown. Gdybyśmy jej nie potrzebowali, nie spadłaby tutaj.

Louis odprężył się. Nie dlatego, żeby wypowiedź lalecznika miała jakiś sens, bo nie miała żadnego. Po prostu słowa Nessusa potwierdziły słuszność wniosków, do których doszedł Louis. I dlatego właśnie przyjął je za dobrą monetę, nie uświadamiając lalecznika, że wygaduje wierutne bzdury.

Schodzili w dół po prowadzących na platformę schodach - Louis ze swoim laserem, Mówiący-do-Zwierząt z dezintegratorem Slavera. Mięśnie kżina poruszały się ze sprężystą, płynną gracją, odznaczając się wyraźnie pod półcalowej grubości futrem. Nessus nie miał ze sobą żadnej broni. Najbardziej ufał taspowi i swojemu instynktowi ucieczki.

Poszukiwacz trzymał w gotowości krótki, ostry miecz. Cały jego strój stanowiła zawiązana dokoła bioder żółta skóra jakiegoś zwierzęcia. Mięśnie grały mu pod skórą tak samo, jak kżinowi.

Teela szła z pustymi rękami.

Tych dwoje czekałoby zapewne na pokładzie "Niemożliwego", gdyby nie transakcja handlowa, która miała miejsce rano. Wszystko przez Nessusa. Louis, korzystając z jego usług jako tłumacza, zaproponował Poszukiwaczowi



kupno Teeli Brown.

Poszukiwacz skinął poważnie głową i zaoferował kapsułkę eliksiru młodości, stanowiącą równowartość około pięćdziesięciu lat życia.

- W porządku - zgodził się Louis. Uważał, że była to uczciwa propozycja, chociaż nie miał nawet zamiaru brać tego specyfiku do ust. Działanie, jakie mógł wyrzucić na kims, kto od stu siedemdziesięciu lat zażywał ziemski utrwalacz mogło znacznie różnić się od tego, jakie przewidywali jego twórcy.

- Nie chciałem go obrazić ani dopuścić, żeby pomyślał, że sprzedajesz Teelę za bezcen wyjaśnił później lalecznik. - Zażądałem więcej. Teraz on ma Teelę, a ty kapsułkę, której zawartość będziesz mógł po powrocie na Ziemię poddać szczegółowej analizie. Oprócz tego do czasu, kiedy wejdziemy w posiadanie wystarczającej ilości nici z czarnych prostokątów, Poszukiwacz będzie pełnił rolę naszej ochrony.

- Czym ma nas niby chronić? Tym scyzorykiem?

- Chodziło mi tylko o to, żeby go dobrze do nas nastawić.

Teela, rzecz jasna, uparła się, żeby mu towarzyszyć. Był przecież jej mężczyzną i narażał się na niebezpieczeństwo. Teraz Louis zastanawiał się, czy przypadkiem Nessusowi nie chodziło właśnie o to. W końcu Teela była starannie wyhodowanym przez laleczniki, chodzącym szczęściem...

Tak blisko Oka niebo musiało być zasnuwane chmurami. W szarym świetle wiszącego w zenicie słońca ruszyli w stronę wznoszącej się ku górze smugi dymu.

- Nie dotykajcie jej - powiedział ostrzegawczo Louis, przypomniawszy sobie, co mówił mu kapłan o dziewczynce, która chciała ją podnieść.

Nawet z bliska zwały czarnej nici ciągle wyglądały jak półprzezroczysty dym. Widać było przez nie zrujnowane miasto; gdzieś wznosiły się trochę lepiej zachowane, duże budynki o elewacjach wykonanych z materiału przypominającego nieco szkło. Na Ziemi lub na którejkolwiek z innych, zamieszkałych przez ludzi planet, mogły się w nich mieścić na przykład domy towarowe.

Sama nić była tak cienka, że można ją było dostrzec dopiero z odległości mniej więcej cala. Louisowi przyszło na myśl skojarzenie z molekularnym włóknem Sinclaira.

- Spróbuj przeciąć ją dezintegratorem - polecił. Mówiący-do-Zwierząt.

W chmurze czarnego dymu pojawił się błyszczący oślepiająco punkt światła.

Być może zostało to uznane za bluźnierstwo. Walczycie światłem? Bardziej prawdopodobne było jednak, że tubylcy już dużo wcześniej postanowili rozprawić się z obcymi. Kiedy błysnęło światło, z wielu stron odezwały się wściekłe okrzyki i z otaczających ich budynków zaczęły wysypywać się odziane w łachmany sylwetki, uzbrojone w... W co? W miecze i pałki?

Biedacy, pomyślał Louis, ustawiając promień lasera na dużą moc i małą średnicę.

Świetlne miecze i przenośne lasery były używane niemal na wszystkich zamieszkałych planetach. Co prawda Louis przeszedł przeszkolenie bojowe ponad sto lat temu, zaś wojna, do której go przygotowywano, w końcu nie wybuchła, ale zasady były zbyt proste, żeby je zapomnieć.

Im dłuższe działanie promienia, tym głębsze cięcie.

Louis przesuwiał lufę w lewo i w prawo szybkimi, płynnymi ruchami.

Napastnicy cofali się, chwytając dłońmi za krwawiące brzuchy, ale ich zarośnięte twarze nie zdradzały nawet śladu bólu. W razie ataku przeważających sił nieprzyjaciela należy wykonać szybkie, płynne poruszenia, tnące płytko, żeby powstrzymać impet atakujących.

Louis czuł żal i niesmak. Nieszczęśni fanatycy byli uzbrojeni tylko w miecze i pałki. Nie mieli żadnych szans...

Jeden z nich dosięgnął, jednak swoim mieczem uzbrojonej w dezintegrator ręki kżina. Mówiący wypuścił broń. Porwał ją od razu inny napastnik, ale w tej samej chwili już nie żył, bowiem zdrowa ręka Mówiącego dosłownie wyszarpnęła mu kręgosłup z grzbietu. Trzeci mężczyzna chwycił dezintegrator i rzucił się do ucieczki. Nie próbował nawet go użyć, po prostu uciekał.

Louis nie mógł dosięgnąć go promieniem swego lasera, bowiem właśnie zaczęło do niego docierać, że walczy o swoje życie.

Zawsze celuj w tułów.

Jak dotąd, nikogo jeszcze nie zabił. Teraz, korzystając z chwilowej przerwy w ataku, rozprawił się z dwoma najbliższymi przeciwnikami. Nie dopuść do zbyt bliskiego kontaktu z nieprzyjacielem.

Mówiący-do-Zwierząt mordował gołymi rękami, zdrową drąc i rozszarpując, zranioną posługując się jak pałką. Potrafił jakoś uniknąć pchnięcia mieczem, sięgając po wymachującego nim człowieka. Był otoczony ze wszystkich stron,

ale tubylcy nie mogli się zdecydować na zmasowany atak; w ich oczach kzin był pomarańczową, olbrzymią śmiercią z wyszczerzonymi zębami.

Poszukiwacz, z ociekającym krwią mieczem, stał oparty plecami o mur. Przed nim leżały trzy nieruchome ciała. Przyczajona u jego boku Teela wyglądała jak typowa bohaterka fantastycznych komiksów.

Nessus, z jedną głową nisko pochyloną, a drugą wysuniętą maksymalnie w górę, pędził w kierunku "Niemożliwego". Dolna głowa rozglądała się czujnie na boki, górna zaś służyła do panoramicznego ujęcia sytuacji.

Louis jak dotąd nie został nawet draśnięty. Oczyszczał teren wokół siebie, w miarę możliwości pomagając także swoim kompanom. Laser poruszał się płynnie w jego dłoni, siejąc wokół zieloną śmiercią.

Nigdy nie celuj w zwierciadło. Odblaskowa zbroja może sprawić posługującemu się laserem żołnierzowi bardzo przykrą niespodziankę. Tutaj jednak najwyraźniej zapomniano już o tym sposobie.

Tuż przed Louisem wyłonił się jak spod ziemi jakiś okryty zielonym kocem człowiek z potężnych rozmiarów młotem w dłoni. Wymachując swą groźnie wyglądającą bronią ruszył prosto na niego. Louis ciął go przez brzuch. Mężczyzna ciągle szedł dalej.

Ubranie tej samej barwy, co promień twego lasera jest równie niebezpieczne, jak odbłaskowa zbroja.

Na finagla, dobrze, że tylko ten jeden! Louis skierował promień na odsłonięty, owłosiony kark.

Jakiś tubylec stanął na drodze Nessusa. Musiał mieć nie lada odwagę, skoro zdecydował się zaatakować tak niesamowitego potwora. Louis nie mógł dobrze wycelować, ale napastnik i tak zginął od kopnięcia tylnej nogi lalecznika. Nessus popędził dalej i wtedy...

Louis dokładnie widział, jak to się stało. Lalecznik właśnie skręcił w wąski przesmyk, kiedy jego uniesiona w górę głowa oddzieliła się nagle od tułowia i potoczyła po ziemi. Nessus zatrzymał się i przez chwilę stał bez najmniejszego poruszenia.

Z przeciętego z chirurgiczną precyzją karku pulsującym strumieniem płynęła czerwona, niczym nie różniąca się od ludzkiej krew.

Druga głowa Nessusa wydała przeraźliwy, żałosny jęk.

Tubylcy wpędzili go w pułapkę z nic z czarnych prostokątów.

Louis miał już dwieście lat. Kilka razy oglądał już śmierć swoich przyjaciół. Walczył dalej, kierując instynktownie promień lasera tam gdzie padło jego spojrzenie:

"Biedny Nessus. Ale zaraz może być twoja kolej..."

Tubylcy ustąpili pola. Straty, jakie ponieśli, musiały być przerażające.

Teela szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w umierającego lalecznika. Bezwiednie uniosła do ust zaciśnięte kurczowo pięści. Mówiący i Poszukiwacz wycofali się w kierunku "Niemożliwego".

Chwileczkę! Przecież on ma jeszcze jedną!

Louis podbiegł do lalecznika. Mijając Mówiącego-do-Zwierząt rzucił mu swój laser. Teela wyciągnęła coś w jego stronę: apaszka. Wyrwał ją z jej ręki. Schylił się, żeby uniknąć rozciągniętej między dwiema ścianami nici i uderzył mono w bok Nessusa, przewracając go na ziemię. Wydawało się, że jeszcze chwila, a jednogłowy lalecznik rzuci się do ucieczki.

Louis sięgnął do paska.

Nie miał go!

A przecież m u s i go mieć!

Apaszka Teeli. W kieszeni.

Louis wyciągnął JĄ i zawiązał ciasno wokół krwawiącego kikuta. Nessus wpatrywał się z przerażeniem w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się jego druga głowa, po czym pojedyncze oko zamknęło się i lalecznik zemdlął.

Louis zacisnął jeszcze bardziej węzeł, wstrzymując upływ krwi, po czym wziął lalecznika na plecy i pobiegł ciężko w ślad za Poszukiwaczem, który był gotów w razie ponownego ataku utorować mu drogę. Tubylcy przyglądali im się, ale żaden nie wykonał najmniejszego ruchu.

Teela ocknęła się i ruszyła za Louisem. Ostatni zjawił się Mówiący-do-Zwierząt. Zatrzymał się przy rampie, poczekał aż Teela zniknie we wnętrzu "Niemożliwego", po czym zawrócił i pognął w kierunku, z którego przyszli.

Po co?

Louis nie miał czasu na zastanawianie, wspinając się po schodach. Kiedy

dotarł do sterowni, miał wrażenie, że lalecznik waży co najmniej pięć razy więcej niż na początku. Położył go przy zatopionym w plastiku skuterze, sięgnął do wnętrza maszyny, wydobył zestaw pierwszej pomocy i przyłożył go do zakończonego krwawym kikutem karku. Zestaw ten, w przeciwieństwie do tego, który miał Louis, był połączony wiązką przewodów z tablicą kontrolną skutera. Po kilkunastu sekundach z podajnika żywności wystrzelił długi, giętki przewód i zagłębił się w skórę na szyi lalecznika. Wyglądało to dosyć niesamowicie. Louis wstrząsnął się... Odżywianie dożylnie. Najwidoczniej lalecznik jeszcze żył.

"Niemożliwy" był już w powietrzu. Byli tak zaaferowani, że nie zauważyli nawet chwili startu. Mówiący siedział na służącej jako rampa platformie, trzymając coś ostrożnie w dłoniach.

- Czy lalecznik umarł? - zapytał.

- Nie. Ale stracił masę krwi. - Louis usiadł ciężko obok kżina. Był wykończony i przygnębiony. - Czy laleczniki mogą doznać szoku?

- Skąd mam wiedzieć? Sam mechanizm szoku nie jest jeszcze dokładnie zbadany. Potrzebowaliśmy kilku stuleci badań, żeby dojść wreszcie dlaczego torturowani ludzie tak szybko umierają. - Kżin najwyraźniej myślał o czymś innym. - Czy to też sprawka szczęścia Teeli Brown? - zapytał wreszcie.

- Tak mi się wydaje.

- Ale dlaczego? W jaki sposób może skorzystać na tym, co spotkało pożeracza liści .

- Musiałbyś spojrzeć na to moimi oczami - powiedział Louis. - Kiedy ją poznałem, była taka... jednostronna. Jak w tej historii...

Występowali w niej dziewczyna i bohater. Bohater był kompletnym cynikiem i wyruszył na jej poszukiwanie tylko dlatego, że otaczał ją Mit.

Kiedy ją znalazł, wcale nie był przekonany, że Mit jest prawdą. Do chwili, kiedy odwróciła się do niego plecami. Wtedy zobaczył, że z tyłu jest zupełnie pusta. Była tylko maską, niezwykle wierną maską przedstawiającą całą postać, a nie tylko twarz. Nie można jej było w żaden sposób skrzywdzić ani dotknąć. O to właśnie chodziło bohaterowi. Wszystkie kobiety, z jakimi miał do tej pory do czynienia prędzej czy później czuły się skrzywdzone, a on myślał, że to jego wina. Miał już tego dosyć.

- Nic z tego nie rozumiem, Louis.

- Kiedy Teela się tutaj zjawiała, była tylko maską. Nie wiedziała, co to ból. Jej osobowość nie była osobowością człowieka.

Czy to źle?

- Źle, bowiem miała być człowiekiem, zanim Nessus uczynił z niej coś innego. Nieżas! Rozumiesz, co on zrobił? Chciał stworzyć boga na swój obraz i podobieństwo, a otrzymał Teelę Brown.

Ona jest tym, czym chciałby być każdy lalecznik. Nie może jej być źle. Nie może jej być niewygodnie, chyba, że sama tego zechce.

Właśnie dlatego znalazła się tutaj. Na Pierścieniu może doświadczyć wszystkich przeżyć, które pozwolą jej stać się człowiekiem. Wątpię, czy jest więcej takich, jak ona. Musieliby też znaleźć się na pokładzie "Kłamcy".

Chociaż... Może być i tak, że są ich tysiące. Zaczną się dziać dziwne rzeczy, kiedy przekonają się, jak bardzo są potężni. Będziemy musieli możliwie szybko usunąć im się z drogi.

- Co zrobimy z głową pożeracza liści? - spytał kzin.

- Nie potrafiła nikomu współczuć - kontynuował Louis. - Musiała więc zobaczyć, jak jej przyjaciela spotyka nieszczęście. Nieważne, że mogło to kosztować życie Nessusa.

Wiesz, czym zahamowałem upływ krwi? Jej apaszką. Dała mi ją, domyślając się, co zamierzam zrobić. Po raz pierwszy zachowała się w obliczu niebezpieczeństwa tak, jak powinna.

- Po co to robiła? Przecież jej i tak nic by się nie stało.

- Nie wiedziała do tej pory, że stać ją na coś takiego. Nie była nigdy zmuszona do działania.

- Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

- Uświadamianie sobie własnych ograniczeń stanowi część procesu dorastania. Teela nie mogła stać się dorosłą, dopóki nie stanęła twarzą w twarz z autentycznym, fizycznym niebezpieczeństwem.

- To musi być coś właściwego wyłącznie ludziom - stwierdził Mówiący.

Louis słusznie uznał, że stwierdzenie to stanowi przyznanie się do absolutnej bezradności i niemożności zrozumienia.

- Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy, zatrzymując "Niemożliwego" wyżej od zamku, który tubylcy nazywają "Niebem" - dodał kzin. - Być może

zaatakowali nas dlatego, że uznali to za świętokradztwo. Chociaż to i tak nie ma znaczenia, skoro wszystko dzieje się tak, jak tego chce szczęście Teeli Brown...

Louis ciągle nie mógł dostrzec, co Mówiący tak ostrożnie trzyma w swoich dłoniach.

- Wróciłeś po głowę? Jeśli tak, to traciłeś tylko czas. Nie damy rady odpowiednio jej przechować.

- Nie, Louis. - I Mówiący pokazał, co trzyma w dłoni. - Nie dotykaj tego. Mógłbyś stracić palce.

Był to jakby podłużny uchwyt, rozszerzający się na jednym końcu, a zwężający na drugim. Węższy koniec przechodził w cienką, czarną nić.

- Wiedziałem, że tubylcy potrafią jakoś nią manipulować, skoro urządzili zasadzkę, więc wróciłem, żeby zobaczyć, jak to robią.

Po prostu - znaleźli jeden koniec. To widocznie zaczep, łączący nić z czarnym prostokątem. Mieliśmy szczęście, że udało nam się go znaleźć.

- Jasne! Teraz możemy ją za sobą ciągnąć. Nie powinna się o nic zaczepić, bo wszystko przecina!

- Dokąd lecimy, Louis?

- Z powrotem. Do "Kłamcy".

- Oczywiście. Musimy ratować Nessusa. A potem?

- Zobaczymy.

Pozostawił Mówiącego na platformie a sam poszedł na górę, żeby sprawdzić, czy zostało jeszcze choć trochę supertwardego plastyku. Zostało. Za jego pomocą przytwierdzili koniec nici do ściany. Plastik twardniał i kzin mógł spokojnie opuścić swój posterunek na świeżym powietrzu.

Teelę, Poszukiwacza i Prill znaleźli w maszynowni.,

- Udajemy się w innym kierunku - powiedziała od razu Teela. - Ta kobieta mówi, że może zbliżyć się do latającego zamku. Powinniśmy dać radę przejść tam przez jakieś wybite okno.

- I co dalej? Zginiecie, jeżeli nie uda wam się ruszyć go z miejsca.

- Poszukiwacz twierdzi, że zna trochę czarów. Jestem pewna, że da sobie radę.

Louis nawet nie próbował jej tego wyperswadować. Wolał usunąć się jej z drogi tak samo jak usunąłby się z drogi szarżującemu bandersnatchowi.

- Jeżeli będziecie mieli jakieś kłopoty z uruchomieniem silników, po prostu naciśnij pierwszy guzik, jaki nasunie ci się pod rękę - poradził jej.

- Zapamiętam - uśmiechnęła się. - Zaopiekujcie się Nessusem - dodała poważniej.

Kiedy w dwadzieścia minut później Poszukiwacz wraz z Teelą opuszczali pokład "Niemożliwego", obyło się bez pożegnań. Louis nawet i miałby sporo do powiedzenia, ale nie odezwał się ani słowem. Czy miał jej uświadamiać, jaką dysponuje mocą? Będzie musiała sama się uczyć metodą prób i błędów, podczas gdy jej szczęście zatroszczy się o to, żeby nie spotkało jej nic złego. W ciągu kilku następnych godzin ciało lealcznika stygło coraz bardziej, aż wreszcie stało się zimne jak zwłoki. Światełka na jego zestawie pierwszej pomocy mrugały tajemniczo. Najprawdopodobniej wszystkie zachodzące w jego ciele procesy zostały spowolnione do minimum.

"Niemożliwy" ruszył w drogę, ciągnąc za sobą to napinającą się, to znów zwisającą bezwładnie nić. Dziesiątki, a potem i setki budynków runęły w gruzy, przecięte niczym olbrzymim nożem. Przytwierdzony do ściany uchwyt nawet nie drgnął.

Miasto nie mogło zniknąć za horyzontem, bo go po prostu nie było. Widzieli je jeszcze przez kilka dni, coraz mniejsze, aż wreszcie jego kontury zatarła sama odległość.

Prill siedziała u boku Nessusa. Nie mogła mu pomóc, ale nie chciała od niego odejść. Najwyraźniej bardzo cierpiała.

- Musimy coś dla niej zrobić - powiedział Louis. - Została uwarunkowana taspem, a teraz, kiedy go nie ma, zabije albo siebie, albo Nessusa, albo mnie!

- Chyba nie oczekujesz w tej sprawie rady ode mnie?

- Nie. Chyba nie.

Chcąc pomóc cierpiącemu człowiekowi odgrywa się rolę cierpliwego, wyrozumiałego słuchacza. Louis spróbował tej metody, ale po pierwsze zbyt słabo znał język, a po drugie Prill nie chciała mówić. Kiedy był sam, zagryzał bezsilnie zęby; kiedy był z Prill, próbował po raz kolejny.

Miał ją ciągle przed oczami i koło siebie. Gdyby mógł się jakoś od niej oddzielić, odseparować, jego sumienie może by się uspokoiło. Ona jednak ani



na moment nie opuszczała sterowni.

- Stopniowo uczył się języka i stopniowo Prill zaczynała mówić.

Próbował opowiedzieć jej o Teeli, o Nessusie, o gambicie boga...

- Naprawdę myślałam, że jestem bogiem - powiedziała. - Naprawdę. Dlaczego? Przecież nie ja zbudowałam Pierścień. On jest dużo starszy ode mnie.

Ona także się uczyła. Używała prostych zdań i jeszcze prostszych słów. Dwa czasy, prawie żadnych, określników, przesadnie staranna wymowa.

- Tak ci powiedziano.

- Ale ja czułam. Wiedziałam.

- Każdy chce być bogiem. - Każdy chciałby mieć władzę, nie będąc za nic odpowiedzialnym.

- Potem on się zjawił. Dwugłowy. Miał maszynę?

- Miał tasp.

- Tasp - powtórzyła starannie. - Wiedziałam. Tasp zrobił go bogiem. Stracił tasp, nie jest bogiem. Czy Dwugłowy nie żyje?

Trudno było powiedzieć.

- Dla niego głupio być martwym - odparł Louis.

- Głupio dać sobie uciąć głowę. - Żart. Spróbowała zażartować.

Zaczęła odzyskiwać zainteresowanie innymi rzeczami: seksem, lekcjami języka, roztaczającym się za oknem widokiem. Natrafili na szkółkę słoneczników. Prill nigdy przedtem ich nie widziała. Nie zwracając uwagi na niezdarne próby młodych roślin, usiłujących spalić ich słabym blaskiem swoich nie w pełni rozwiniętych kwiatów, wykopali małą siewkę i zasadzili ją w dużej donicy na dachu "Niemożliwego", po czym ominęli szerokim łukiem obszar, na którym występowały pola dorosłych słoneczników.

Kiedy skończyła im się żywność, Prill zupełnie straciła zainteresowanie dla lalecznika. Louis uznał, że została wyleczona.

W najbliższej wiosce Prill i Mówiący spróbowali gambitu boga. Louis czekał z niepokojem, mając nadzieję, że kzin utrzyma nerwy na wodzy. Chciał ogolić

sobie głowę i iść z nimi, ale jego wartość jako akolity była niewielka - ciągle zbyt słabo znał język.

Wrócili z darami. Mieli co jeść.

Dni łączyły się w tygodnie, a oni powtarzali to samo. Byli w tym naprawdę dobrzy. Futro kuna odzyskało dawną świetność, toteż znowu przypominał olbrzymią, pomarańczową panterę, prawdziwego boga wojny. Louis poradził mu tylko, żeby nie rozpościerał swoich wachlarzowatych uszu.

Odgrywanie roli boga wrzało się jednak z pewnymi obowiązkami. Pewnego wieczoru kzin przyszedł do Louisa z problemem.

- Nie mam kłopotów z byciem bogiem - powiedział. - Ale nie chcę nim być źle.

- Co przez to rozumiesz?

- Oni zadają pytania, Louis. Kobiety zadają pytania Prill i ona na nie odpowiada, a ja zazwyczaj nie rozumiem ani pytań, ani odpowiedzi. Mężczyźni też powinni pytać Prill, bo ona jest człowiekiem, ja zaś nie. Ale oni pytają właśnie mnie. Mnie! Dlaczego ode mnie, obcego, oczekują pomocy w rozwiązywaniu ich problemów?

- Bo jesteś bogiem - powiedział Louis. - Bóg wojny, nawet jeśli jest jak najbardziej realny, przede wszystkim jest symbolem. Symbolem męskości.

- Męskości? Śmieszne. Przecież nawet nie mam zewnętrznych narządów rodnych. Ty, jak przypuszczam, masz.

- Ale jesteś duży i budzisz strach. To automatycznie czyni z ciebie symbol męskości. Jest nierozzerwalnie związane z twoją boskością.

- W takim razie potrzebujemy jakiegoś systemu łączności, żebyś mógł odpowiadać za mnie na te pytania.

Prill zadziwiła ich. „Niemożliwy” stanowił kiedyś siedzibę władz policyjnych. W jednym z magazynów Prill znalazła zestaw przenośnych interkomów, zasilanych bezprzewodowo z głównego źródła energii w budynku. Nie wszystkie co prawda były sprawne, ale po drobnych naprawach dwa działały bez zarzutu.

- Jesteś sprytniejsza, niż myślałem - powiedział jej w nocy Louis. Zawahał się, ale nie znał wystarczająco dobrze języka, żeby powiedzieć to w sposób bardziej taktowny. - Sprytniejsza, niż spodziewałem się po dziwce.

Prill roześmiała się.

- Głupie dziecko! Sam mi mówiłeś, że wasze statki latają bardzo szybko, prawie tak szybko, jak nasze.

- Dużo szybciej. Szybciej niż światło.

- Powinieneś poprawić, tę opowieść - roześmiała się ponownie. - Według naszej teorii to niemożliwe.

- Może stosujemy się do różnych teorii.

To ją zastanowiło. Louis nauczył się odczytywać jej uczucia raczej z napięcia mięśni, niż z wyrazu jej najczęściej pustej twarzy.

- Podczas długich podróży, kiedy statek leci z planety na planetę, nuda może być bardzo groźna - powiedziała. - Rozrywki muszą być różne i łatwo dostępne. Dziwka musi znać medycynę ciała i duszy, musi umieć kochać i rozmawiać. Musi wiedzieć, jak działa statek, żeby nie powodować wypadków. Musi być zdrowa, musi grać na jakimś instrumencie.

Louis patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Prill zaśmiała się melodyjnie, po czym dotknęła go tutaj... i tutaj... Interkomy spisywały się znakomicie, pomimo tego, że ich słuchawki dostosowane były raczej do kształtu małżowin człowieka, a nie kżina. Louis wykształcił w sobie umiejętność błyskawicznego myślenia i udzielania odpowiedzi takich, jakich można było oczekiwać od potężnego boga wojny. Pomagała mu w tym świadomość; że nawet w razie jakiegoś błędu mogli przemieścić się szybciej od wiadomości o nim. Każde spotkanie było pierwsze.

Mijały miesiące.

Od jakiegoś czasu teren wznosił się w górę, zamieniając się powoli w pustkowia. Przed sobą widzieli już wyraźnie Pięć Boga - z każdym dniem była większa. Louis tak wpadł już w rutynę codziennego życia, że dopiero po dłuższym czasie uświadomił sobie, co to oznacza.

Pewnego dnia poszedł do Prill.

- Czy słyszałaś kiedyś o prądzie indukcyjnym? - zapytał, po czym wyjaśnił, o co mu chodzi. - Jeżeli oddziałuje się bezpośrednio na mózg prądem o niewielkim napięciu, można wywoływać w nim uczucia rozkoszy lub bólu. Tak właśnie działa tasp.

Mówił dalej, w sumie co najmniej dwadzieścia minut.

- Wiedziała, że ma maszynę - przerwała mu Prill. - Po co ją teraz opisujesz?

- Opuszczamy cywilizację. Nie napotkamy już żadnych wiosek.

Najbliższe źródło żywności znajduje się na naszym statku. Chciałem, żebyś wiedziała wszystko o taspie, zanim podejmiesz decyzję.

- Jaką decyzję?

- Czy chcesz wysiąść w najbliższej wsi? Czy chcesz lecieć z nami do "Kłamcy" i tam przejąć "Niemożliwego"?

- Na "Kłamcy" jest dla mnie miejsce - stwierdziła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Oczywiście, ale...

- Mam dosyć barbarzyńców. Chcę wrócić do prawdziwej cywilizacji.

- Możesz mieć kłopoty z przystosowaniem. Na przykład, prawie wszyscy mają włosy, takie jak ja. Podczas podróży Louisowi wyrosła gęsta czupryna. - Będziesz musiała nosić perukę.

Prill skrzywiła się.

- Jakoś dam sobie radę. - Niespodziewanie roześmiała się. - Czy chciałbyś wracać sam, beze mnie? Ten duży, pomarańczowy nie zastąpi kobiety.

- To jedyny argument, który jestem gotów zawsze uznać.

- Pomogę wam, Louis. Wy tak mało wiecie o seksie.

Louis roztropnie zmienił natychmiast temat.

## 24. Pięć boga

**O**kolica stawała się coraz bardziej sucha, a powietrze coraz rzadsze. Pięć Boga zdawała się uciekać przed nimi. Skończyły się zapasy owoców, a mięsa też nie zostało zbyt wiele. Znajdowali się nad wznoszącym się nieprzerwanie w górę, pustynnym stokiem, którego powierzchnia, według oceny Louisa, musiała być większa od powierzchni Ziemi.

Wiatr świszczwał nieustannie w zakamarkach "Niemożliwego". Nad nimi, na

nocnym niebie ostro i wyraźnie odcinał się swoim błękitem Łuk Nieba, gwiazdy świeciły twardym, niewzruszonym blaskiem.

Mówiący spojrział w górę przez wielkie, panoramiczne okno.

- Potrafiłbyś znaleźć jądro galaktyki? - zapytał Louisa.

- Po co? Przecież i tak wiemy, gdzie jesteśmy.

- Jednak spróbuj.

Louis odnalazł kilka znajomych gwiazd i konstelacji, do których zdążył się przyzwyczaić w ciągu długich miesięcy, jakie spędził pod tym niebem.

- Chyba tam. Za Łukiem.

- Otóż to. Jądro galaktyki znajduje się w płaszczyźnie Pierścienia.

- Właśnie to powiedziałem.

- A materiał, z którego jest wykonany, zatrzymuje większość neutronów. Najprawdopodobniej zatrzyma także inne rodzaje promieniowania. - Kzin najwyraźniej do czegoś zmierzał.

- Masz rację! Pierścień jest zabezpieczony przed skutkami eksplozji jądra! Kiedy na to wpadłeś?

- Przed chwilą. Wcześniej nie byłem pewien, gdzie dokładnie jest jądro galaktyki.

- A trochę promieniowania jednak się przedostanie, szczególnie w pobliżu krawędzi.

- Możesz być pewien, że kiedy dotrze tutaj fala uderzeniowa, szczęście Teeli Brown umieści ją tak daleko od krawędzi, jak to tylko będzie możliwe.

- Dwadzieścia tysięcy lat... - wyszeptał Louis. Na uśmiech finagla!

Jak można myśleć w takiej skali?

- Choroba i śmierć nie należą do najszcześniejszych wydarzeń, Louis.

Biorąc to pod uwagę, Teela powinna żyć wiecznie.

- Ale... Masz rację. Ona tak nie myśli, tylko jej szczęście.

Wielki, patrzący na nas z góry Marionetkarz.  
Nessus ostatnie dwa miesiące spędził w charakterze przechowywanych w temperaturze pokojowej zwłok, a mimo to nie zaczął się rozkładać. Świątełka na jego zestawie pierwszej pomocy migotały bez przerwy. Był to jedyny znak świadczący o tym, że lalecznik żyje.

Louis przyglądał mu się właśnie, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Laleczniki... - powiedział z namysłem.

- Słucham? - kzin spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Zastanawiam się, czy przypadkiem nie nazwano ich tak dlatego, że usiłowały manipulować wszystkimi, którzy się z nimi stykali. Ludzi i kzinów traktowali właśnie jak pozbawione własnej woli lalki.

- Ale szczęście Teeli zrobiło taką lalkę z Nessusa.

- Każdy z nas odgrywał kiedyś rolę boga. - Louis skinął głową w stronę Prill, która przysłuchiwała się rozmowie, wychwytyjąc może co trzecie słowo. - Ona, ty i ja.

Jak się czuleś, Mówiący? Byłeś dobrym bogiem, czy złym?

- Nie wiem. Byłem bogiem dla obcych. Trzy tygodnie temu nie dopuściłem da wybuchu wojny: Pamiętasz, udowodniłem obydwu stronom, że każda z nich musi przegrać.

- Tak. Tyle tylko, że to był mój pomysł...

- Oczywiście.

- Będziesz musiał odegrać tę rolę jeszcze raz. Na Kzinie.

- Nie rozumiem.

- Laleczniki hodowały ludzi i kzinów dla swoich celów. Doprowadziły do sytuacji, w której dobór naturalny będzie preferował kzinów łagodnych i pokojowo nastawionych, zgadza się?

- Tak.

- Co by się stało, gdyby dowiedział się o tym Patriarcha?

- Wojna - odparł krótko Mówiący-do-Zwierząt. - Natychmiast wyruszyłaby

potężna flota, żeby po dwóch latach podróży uderzyć na planety laleczników. Być może przyłączyliby się do nas także ludzie. Laleczniki naraziły się zarówno nam, jak i wam.

- Jasne. A co potem?

- Potem pożeracze liści wymordowałyby nas do ostatniego kociaka. Louis, nic nikomu nie powiem ani o gwiazdnych nasionach, ani o eksperymentach laleczników. Czy mogę liczyć na to, że postąpisz tak samo? ..

- Tak.

- Czy właśnie to miałeś na myśli mówiąc, że będę musiał jeszcze raz odegrać rolę boga, tym razem na mojej ojczystej planecie?

- Właśnie to. I jeszcze coś: „Szczęśliwy Traf „. Ciągle zamierzasz go zagarnąć?

- Może.

- Nie uda ci się. Ale przypuśćmy, że jednak tak się stało. Co wtedy?

- Wtedy kzinowie będą dysponować napędem hiperprzestrzennym kwantum II.

- I...?

Prill wyczuła, że spokojna z pozoru rozmowa rozstrzyga o niezwykle ważnych sprawach. Wstała, jakby szykując się do rozdzielenia ich, gdyby skoczyli sobie do gardeł.

- Wkrótce mielibyśmy flotę statków zdolną przebyć odległość jednego roku świetlnego w ciągu minuty i piętnastu sekund. Opanowalibyśmy cały poznany Kosmos podporządkowując sobie wszystkie zamieszkujące go rasy.

- A potem?

- Nie ma żadnego „potem”, Louis. Na tym kończą się nasze ambicje.

- Nieprawda. Nie zaprzestalibyście podbojów. Dysponując takim napędem rozprzestrzenialibyście się we wszystkich kierunkach, obejmując we władanie każdą planetę, na jaką zdołalibyście trafić. Zagarnęlibyście więcej, niż moglibyście utrzymać... aż kiedyś, gdzieś w tej olbrzymiej przestrzeni trafilibyście na coś naprawdę groźnego: na przykład flotę laleczników, inny Pierścień, bandęrsnatche z rękami, kdatlyno na potężnie uzbrojonych krążownikach.

- Mało prawdopodobne.

- Widziałeś przecież Pierścień. Widziałeś planety laleczników. Skąd wiesz, że na tym koniec?

Kzin nic nie odpowiedział.

- Nie śpiesz się - powiedział Louis. - Przemyśl to sobie. Zresztą, i tak nie możesz ukraść „Szczęśliwego Trafu”. Zabiłbyś wszystkich, także i siebie.

Nazajutrz „Niemożliwy” odnalazł wyraźną, ciągnącą się, mogłoby się zdawać, w nieskończoność bruzdę. Zakręcili, kierując się wzdłuż niej prosto na Pięć Boga.

Wydawało się, że góra urosła wcale się do nich nie zbliżając. Większa od jakiegokolwiek asteroidu, niemal dokładnie stożkowa, przypominała zwykłą górę o pokrytym śniegiem szczycie, tyle że rozdętą do rozmiarów z koszmarne snu. Ze snu, z którego nie można było się obudzić, bowiem Pięć Boga nadal rosła.

- Nie rozumiem - powiedziała Prill. Było wyraźnie widać, że jest zaniepokojona i zdenerwowana.

Nigdy tego nie widziałam. Dlaczego to zbudowano? Takie góry są potrzebne tylko na krawędzi, bo tam zatrzymują powietrze.

- Tak właśnie myślałem - mruknął Louis Wu. Nie odezwał się więcej ani słowem.

Tego samego dnia ujrzeni małą, szklaną butelkę, porzuconą przez kogoś w miejscu, gdzie kończyła się bruzda.

„Kłamca” leżał tak, jak go zostawili: niemal do góry nogami na gładkiej, pozbawionej prawie tarcia powierzchni. Louis stłumił w sobie uczucie ulgi - nie byli jeszcze w domu.

Prill zatrzymała „Niemożliwego” tak nisko nad „Kłamcą”, że mogli przejść bezpośrednio na jego pokład. Louis bez problemów otworzył zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne drzwi śluzy, nie potrafił natomiast na stałe wyrównać ciśnienia między wnętrzem kabiny a otoczeniem. Musiałby zająć się tym Nessus, ale lalecznik wedle wszelkich oznak był martwy.

Niemniej jednak włożyli go do koi autolekarza. Inżynierowie i technicy laleczników z pewnością zaprojektowali go tak, żeby potrafił poradzić sobie nawet z najtrudniejszym przypadkiem. Czy jednak przewidzieli dekapitację?



Przewidzieli. W banku narządów znajdowały się dwie zapasowe głowy, a oprócz tego tyle najróżniejszych organów, że można by złożyć z nich kilka kompletnych laleczników. Najprawdopodobniej wszystkie te „części” otrzymano drogą klonowania z komórek ciała Nessusa - twarze obydwu głów wydawały się dziwnie znajome.

Prill zeszła na „Kłamcę” i oczywiście wylądowała na głowie. Louis chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś równie zdumionego. Zupełnie zapomniał ją ostrzec.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał nagle przeraźliwy wrzask Louisa:

- Kawa! Prysznic! - popędził do kabiny, którą zajmował wspólnie z Teelą. Zaraz potem z jej wnętrza rozległ się kolejny wrzask - Prill! .

I Prill poszła.  
Nie zносиła kawy. Uważała, że Louis musi być szalony, wlewając w siebie gorącą, gorzką ciecz i nie omieszkała mu tego powiedzieć.

Kiedy Louis wyjaśnił jej, jak należy posługiwać się prysznicem, w jej pamięci obudziło się wspomnienie tego kiedyś posiadanego, a potem na długo utraconego luksusu.

Najbardziej podobały się jej antygravitacyjne łóżka.

Mówiący świętował powrót do domu na swój własny sposób. W pewnym momencie Louis zaczął się obawiać, że kzin pęknie z przejedzenia.

- Mięso! - ryczał w przerwach między potężnymi kęsami Mówiący-do-Zwierząt. - Nareszcie świeże mięso!

- To, co jesz, pochodzi z przetworzonych... - usiłował mu delikatnie przypomnieć Louis.

- Wiem. Ale smakuje jak świeże!

Prill spędziła noc na kanapie w „mesie”. Była zachwycona bezgrawitacyjnymi łózkami, ale uważała, że powinny służyć do innych celów niż do spania. Louis nie mógł odmówić sobie przyjemności spędzenia nocy w stanie nieważkości.

Obudził się po dziesięciu godzinach, głodny niczym wilk. Pod jego stopami pełnym blaskiem świeciło słońce. Wrócił na „Niemożliwego” i promieniami lasera odciął przymocowaną do ściany końcówkę czarnej nici. Zostało na niej jeszcze trochę twardego niczym skała plastyku.

Nie odważył się zwyczajnie zanieść ją na „Kłamcę”. Przecinająca wszystko nie stanowiła zbyt wielkie zagrożenie, a szara powierzchnia była zbyt śliska. Louis pełzł na czworakach, ciągnąc za sobą oklejony plastykiem zaczep.

Mówiący w milczeniu przyglądał mu się z drzwi śluzy.

Louis wszedł na górę po drabince sznurowej, przycisnął się obok pomarańczowego cielska kżina i skierował się na rufę statku. W jej najwęższym miejscu, na samym końcu, znajdował się otwór o średnicy może stopy, przez który wychodziła wiązka kabli, łączących sterownię z zamocowanymi na skrzydle urządzeniami i silnikami. Teraz, kiedy skrzydło nie istniało, otwór był zamknięty metalową plombą. Louis wypchnął ją i wyrzucił na zewnątrz końcówkę nici.

Ruszył na dziób, od czasu do czasu sprawdzając położenie nici. Robił to, tnąc na plasterki zaoferowane mu przez autokuchnię pęto kiełbasy i malując odcinki niemal niewidocznego przewodu żółtą, odblaskową farbą.

Kiedy nic się napnie, z pewnością przetnie część przegród i niektóre elementy wyposażenia. Główną troską Louisa było, żeby nie uległy zniszczeniu żadne elementy układu podtrzymywania życia. Żółta farba miała oprócz tego uchronić ach przed utratą palców, albo i czymś gorszym.

Louis wyszedł na zewnątrz, zaczekał, aż dołączy do niego Mówiący-do-Zwierząt, po czym zamknął zewnętrzne drzwi śluzy.

- Czy dlatego właśnie wróciliśmy? - zapytał kżin.

- Zaraz ci wyjaśnię - odparł Louis. Przeszedł ostrożnie wzdłuż kadłuba, podniósł oblepiony plastykiem zaczep i pociągnął. Nic ani drgnęła. Pociągnął mocniej. To samo,

Drzwi śluzy trzymały ją mocno.

- Nie mam jak lepiej tego wypróbować- powiedział. - Nie byłem pewien, czy docisk drzwi okaże się wystarczający. Nie byłem pewien, czy nic nie rozetnie samego kadłuba. Ciągle nie jestem pewien. Ale tak, właśnie dlatego wróciliśmy.

- Co teraz zrobimy?

- Otworzymy drzwi śluzy. -Po chwili były już otwarte. - A teraz zaniemiemy zaczep z powrotem na

„Niemożliwego” i umocujemy do ściany.

Niść ciągnęła się tysiące mil za latającym budynkiem. Być może sięgała aż do miasta, nad którym unosił się zamek zwany Niebem.

Teraz przechodziła także przezwnętrze kadłuba „Kłamcy”, zaś jej koniec był przytwierdzony garścią plastyku do ściany „Niemożliwego”.

- Jak na razie, wszystko w porządku - stwierdził Louis. - Teraz będę potrzebował Prill... Nieżas! Zupełnie zapomniałem, że ona nie ma skafandra!

- Skafandra?

- Lecimy „Niemożliwym” na Pięść Boga, a przecież ta ruina nie jest hermetyczna. Będziemy musieli ją tutaj zostawić.

- Na Pięść Boga - powtórzył Mówiący. - Louis, silnik skutera ma za mało mocy, żeby wciągnąć tam „Kłamcę”. Może odmówić posłuszeństwa.

- Wcale nie mam zamiaru go ciągnąć. Chcę tylko przeprowadzić przez „Kłamcę” czarną niść.

- To powinno się udać - stwierdził po chwili namysłu Mówiący. - Jeżeli zabraknie mocy, będziemy mogli odciąć jeszcze kilka pięter. Ale... po co to robisz? Co spodziewasz się znaleźć na szczycie?

- Mógłbym ci powiedzieć-to tylko jedno słowo. Ale ty mógłbyś wtedy roześmiać mi się w twarz. Jeżeli okaże się, że nie miałem racji, to przysięgam, nigdy nie dowiesz się, co planowałem.

Będę musiał wytłumaczyć Prill, czego od niej oczekuję, pomyślał. I zatkać plastykiem ten otwór w rufie „Kłamcy”.

„Niemożliwego” w żaden sposób nie można było uznać za statek kosmiczny. Siła utrzymująca go w powietrzu była pochodzenia elektromagnetycznego i działała odpychając go od podłogi Pierścienia. Na szczęście podłoga ta wznosiła się cały czas ku górze, bowiem Pięść Boga była pusta w środku. Tyle tylko, że latająca budowla wykazywała tendencję do ześlizgiwania się wstecz.

Silnik skutera lalecznika miał nie tylko ją przed tym powstrzymać, ale i pchać naprzód.

Musieli coś zrobić, żeby ułatwić mu to zadanie.

Jeszcze przed rozpoczęciem właściwej podróży zamieszkali na stałe we wnętrzu swoich skafandrów.

Louis pociągał markotnie odżywczą papkę z tubki i myślał tęsknie o upieczonym promieniem lasera befsztyku. Mówiący pociągał sztuczną, podgrzaną krew, o czym myślał, nie wiadomo.

Nie potrzebowali już kuchni, więc odcięli mieszczącą ją część budynku. Odcięli także piętra, na których znajdowała się aparatura wentylacyjna i najróżniejszy sprzęt policyjny, łącznie z generatorami pól elektromagnetycznych, które kiedyś schwytały ich w swe sidła.

Odcięli większość stropów i ścian. Zostały tylko te, których cień był niezbędny dla normalnego życia.

Z każdym dniem zbliżali się do ziejącego na szczycie góry krateru, w którym swobodnie zmieściłaby się większość asteroidów, jakie Louisowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Krawędź krateru wyglądała dosyć niezwykle: można było odnieść wrażenie, że materiał konstrukcyjny Pierścienia został wypchnięty od wewnątrz...

W górę strzelały olbrzymie strzepy i załomy. Między dwoma z nich otworzyła się nagle dosyć szeroka przerwa.

- Chcesz wejść do krateru - stwierdził w pewnej chwili Mówiący-do-Zwierząt.

- Tak.

- Musimy więc skierować się do tego przesmyku. Nie damy rady wznieść się wyżej.

Mówiący sterował „Niemożliwym” regulując ciąg silnika skutera. Dążąc do, maksymalnego zmniejszenia wagi budynku odcięli nawet mechanizm stabilizujący jego położenie. Kzin dokonywał cudów zręczności, żeby utrzymać w pionie nieregularną konstrukcję.

- Wzywam Prill - powiedział Louis do interkomu. - Wzywam Halrloprillalar. Słyszysz mnie, Prill?

- Słyszę, Louis.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu.

- To dobrze. Długo to trwało.

Łuk Nieba jarzył się nad nimi błękitnym blaskiem. Z wysokości tysiąca mil nad powierzchnią Pierścienia widzieli, jak Łuk łączy się ze ścianami krawędzi, przechodząc stopniowo w płaski teren. Louis czuł to samo, co czuli tysiąc lat wcześniej pierwsi ludzie, którzy wznieśli się nad Ziemię i zobaczyli, że

naprawdę jest okrągła.

- Nie mogliśmy o tym wiedzieć - powiedział cicho Louis. Mówiący usłyszał jednak i spojrzał na niego. Louis nie zwrócił uwagi na dziwny wzrok kżina. - Zaoszczędzilibyśmy sobie tyle czasu i kłopotów... Mogliśmy zawrócić od razu, jak tylko znaleźliśmy nić. Mogliśmy przecież wciągnąć „Kłamcę” naszymi skuterami. Ale wtedy Teela nie spotkałaby Poszukiwacza.

- Znowu szczęście Teeli Brown?

- Oczywiście - Louis otrząsnął się. - Czy mówiłem na głos?

- Tak.

- Powinniśmy się domyśleć - podjął Louis. Krawędź była już bardzo blisko i czuł nieodpartą potrzebę mówienia. - Inżynierowie nigdy nie zbudowali tu t a j aż tak wysokiej góry. Mają przecież pasma o długości ponad miliarda mil, jeśli liczyć obie krawędzie.

- Ale Pięć Boga istnieje, Louis.

- Właśnie, że nie - to tylko skorupa. Spójrz w dół. Co widzisz?

- Materiał konstrukcyjny Pierścienia.

- Kiedy pierwszy raz to zobaczyliśmy, myśleliśmy, że to brudny lód.

Brudny lód w zupełnej próżni!

Ale mniejsza o to. Pamiętasz, jak suwałś na mapie Pięści Boga i nie mogłeś jej znaleźć? Wiesz, dlaczego?

Kzin nie odpowiedział.

- Bo jej nie było. Kiedy sporządzano te mapy, po prostu jej nie było. Prill, jesteś tam?

- Jestem. Dlaczego miałoby mnie nie być?

- Dobrze. Zamknij drzwi śluzy. Powtarzam: zamknij drzwi śluzy.

Tylko uważaj, żeby nić nie pocięła cię na plasterki.

- To m y wynaleźliśmy tę nić, Louis. - W interkomie zapadła cisza, przerywana jedynie szumem i trzaskami zakłóceń. - Wewnętrzne i zewnętrzne drzwi zamknięte - zameldowała po pewnym czasie Prill.

„Niemożliwy" przechodził właśnie między dwoma ostrymi szczytami.

- Louis, co właściwie chcesz znaleźć w, tym kraterze?

- Gwiazdy.

- Nie kpj ze mnie. Moje poczucie...

Znajdowali się już w kraterze. Pięć Boga rzeczywiście była tylko pustą w środku skorupą.

Spadali. I krater był pełen gwiazd.

Louis Wu dysponował znakomitą wyobraźnią. Nie miał żadnych kłopotów z odtworzeniem tego, co musiało się kiedyś wydarzyć.

Miał przed sobą doskonale czysty, przejrzysty model Pierścienia; żadnych statków, promów, satelitów. Tylko słońce typu G2 i Pierścień.

Widział, jak z międzygwiazdnej przestrzeni nadlatuje jakieś ciało. Leciąco bardzo szybko... aż wreszcie jego lot zakończył się na spodniej stronie Pierścienia.

W jego wizji to ciało było wielkości ziemskiego Księżyca.

W ciągu ułamka sekundy zamieniło się w zjonizowaną plazmę. Mniejsze meteoryty, poruszające się z niewielkimi prędkościami po wejściu w atmosferę jakiejś planety płoną niczym suche drewnianki, niknąc przed dotarciem do powierzchni. Tutaj jednak nie istniała atmosfera, zaś plazma, włoczona potwornym uderzeniem w spodnią stronę konstrukcji nie miała gdzie się rozszerzać. Pędziła dalej przed siebie, wypychając w górę spód Pierścienia, aż wreszcie twarda powłoka pękła, wypuszczając ognistą kulę na wolność.

Obszar większy od powierzchni Ziemi znalazł się nagle dziesiątki i setki mil wyżej, niż do tej pory. Załamał pieczołowicie opracowany mechanizm ruchu mas powietrza i rozkładu temperatur. Tysiąc milowej wysokości Pięć Boga...

- Pięć Boga? Nieżas! Oczywiście! Dla obserwatorów znajdujących się na Pierścieniu musiało wyglądać to tak, jakby jakaś potworna, ognista pięć przebiła jednym ciosem cienką niczym kartka papieru konstrukcję. Powinni się cieszyć, że materiał, z którego zbudowano Pierścień okazał się aż tak odkształcalny. Przez krater mogłoby uciec całe powietrze; którym oddychali. Na szczęście, krater znajdował się o tysiąc mil za wysoko... I był pełen gwiazd. Nagle ustało działanie siły grawitacji. Tego Louis nie przewidział.

- Łap się czegoś! - krzyknął. - Jeśli wypadniemy, to po nas!

- Oczywiście - zgodził się z nim Mówiący-do-Zwierząt, chwytając się mocno metalowej poręczy. Louis czym prędzej poszedł w jego ślady.

- I co, miałem rację? Gwiazdy!

- Rzeczywiście. Ale skąd wiedziałeś?

Wróciło ciążenie. „Niemożliwy” przekręcił się na bok tak, że panoramiczne okno skierowane było teraz w górę...

- Trzyma! - zawołał z triumfem Louis, stając na tym, co jeszcze przed chwilą było ścianą sterowni .

- Mam nadzieję, że Prill czymś się przypięła. Będzie miała trochę wyboistą drogę. Na szczyt Pięści Boga, a potem przez krawędź krateru i...

Spojrzeli w górę, na spodnią stronę Pierścienia-nieskończona, misternie rzeźbiona powierzchnia. A w jej środku stożkowe zagłębienie o błyszczącym dnie. „Niemożliwy” zakołysał się, niczym zawieszony na niebotycznie długim pręcie serce wahadła i krater rozjarzył się na moment słonecznym blaskiem.

- ... i w dół. Kiedy i my, i ona wylecimy w przestrzeń z prędkością 770 mil na sekundę, będziemy mogli zbliżyć się do niej korzystając z silnika skutera.

Skąd wiedziałem? Przecież cały czas ci o tym mówiłem. Nie wspominałem nic o krajobrazie?

- Nie.

- To właśnie było rozstrzygające. Te nagie, zerodowane obszary i upadek cywilizacji, która liczyła sobie zaledwie półtora tysiąca lat! A wszystko dlatego, że dwa kratery meteorytowe zupełnie zmieniły układ wiatrów. Czy wiesz, że właściwie cała trasa naszej podróży prowadziła od jednego krateru do drugiego?

- To bardzo mało przekonujące rozumowanie, Louis.

- Ale okazało się słuszne.

- Tak. I dzięki temu zobaczę jeszcze zachód słońca - powiedział cicho kzin.

Louis spojrzał na niego ze zdumieniem.

- TY?

- Tak, czasem lubię popatrzeć na zachodzące słońce. A teraz porozmawiajmy o „Szczęśliwym Trafie”.

- Zaraz, coś ty powiedział?

- Gdybym zawładnął „Szczęśliwym Trafem”, moja rasa opanowałaby cały poznany Kosmos aż do chwili, kiedy podczas ekspansji natrafiłaby na jeszcze potężniejszą cywilizację. Zapomnielibyśmy wszystko, czego z takim trudem udało nam się nauczyć, jeżeli chodzi o pokojowe współżycie z innymi gatunkami.

- To prawda - przyznał Louis. Ciężenie nie zmieniało się. „Kłamca”, uwiązany na końcu długiej na dziesięć tysięcy mil nici, wspinał się w ślad za nimi po zboczu góry.

- Co prawda, mogłoby nam nie pójść tak łatwo, jeśli szczęście kilkuset Teeli Brown uznałoby za słuszne bronić przed nami Ziemi. Jednak poczucie honoru wymaga, bym chociaż spróbował. -Kzin mówił zupełnie spokojnie, ale Louis czuł, że jego towarzysz znajduje się w nie lada rozterce. - Czy potrafiłbym sprowadzić mych braci z pełnej chwały drogi, wiodącej ku wojnie? Moi bogowie wyklęliby mnie za to.

- Lepiej nie być bogiem, Mówiący. To boli.

- Na szczęście problem właściwie nie istnieje. Powiedziałeś, że gdybym spróbował opanować statek, moglibyśmy wszyscy zginąć. Masz rację. Napęd laleczników będzie nam potrzebny do tego, żeby uciec przed eksplozją jądra galaktyki.

- To prawda.

- A jeżeli kłamię? - zapytał niespodziewanie kzin.

- Nic na to nie poradzę. Nie dałbym rady przechytryć istoty o twojej inteligencji - odparł Louis.

W kraterze ponownie rozbłysło na moment słońce.

- Pomyśl, jak niewiele w sumie zobaczyliśmy - powiedział z zadumą Louis. - Przebyliśmy sto pięćdziesiąt tysięcy mil w pięć dni, a potem tę samą drogę w dwa miesiące.

To tylko jedna siódma szerokości Pierścienia. A Teela i Poszukiwacz chcą przejść go wzdłuż...



- Głupcy.

- Nie zobaczyliśmy nawet krawędzi. Oni ją zobaczą. Zastanawiam się, co jeszcze nas ominęło? Ich statki mogły docierać nawet na Ziemię. Może zabrali z niej wieloryby i kaszaloty, zanim jeszcze je wytępilliśmy? Nawet nie dotarliśmy do oceanu.

Albo ludzie, których spotkają na swojej drodze... A przestrzeń...

Przecież Pierścień jest tak ogromny...

- Nie możemy tam wrócić, Louis.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Przynajmniej dopóki nie dotrzemy do domu. I dopóki nie otrzymamy naszej zapłaty.

**KONIEC**